

Aksamitny Anschluss

Debski Eugeniusz



calibre 0.7.27

Eugeniusz Dębski

Aksamitny Anschluss

Mamie

Prolog Dotknął końca wąsa opuszką wskazującego palca i nieznacznie sprawdził, czy wąż trzyma się na swoim miejscu. Mimo zapewnień fachowców nie ufał w skuteczność tego kleju. Do umówionej godziny pozostało cztery minuty, ale znając Gedderena, wiedział, że ten pojawi się dokładnie kwadrans po dziesiątej. Głupia pora, pomyślał. W filmach wszystkie ponure sprawy dzieją się w ponurych okolicznościach – noc, deszcz lub mgła, śliskie tajemnicze nabrzeże, sterty beczek, paki, skrzypiące dźwigi... A tu proszę – jasny dzień, kawiarnia w centrum Berlina, dziewczyny w wywołujących zawrót głowy spódniczkach, kelnerka, co jak się pochyli, ukazuje sutki tak jasne, że niemal nie różniące się od reszty opalanej skóry. Zamówił jeszcze jedną francuską mineralną i umyślnie strzepnął popiół obok popielniczki – będzie musiała się pochylić, żeby wytrzeć blat. Popijając wodę z oszronionej szklanki, rozejrzał się na pozór obojętnie, rejestrując z zadziwiającą dokładnością dziesiątki, setki, może tysiące szczegółów: twarze, oczy, zegarki, numery rejestracyjne, postacie w odległych, otwartych oknach biurowców, ceny na wystawach, wysokie szpilki, nerwowe lub gniewne spojrzenia młodych mężczyzn, czekających w umówionym miejscu na swoje młode, piękne i lekkomyślne wybranki.

I zbliżający się Gedderen.

Podrapał się po małżowinie prawego ucha, co oznaczało: „Proszę podejść i siadać”. Gedderen podszedł, przywitał się i usiadł. Powstrzymał gestem mężczyznę zamierzającego przywołać kelnerkę.

–Dziękuję. Nie ma potrzeby siedzieć tu zbyt długo. Wszystko poszło zgodnie z planem, który wykonałem co do joty i...

–Proszę opowiedzieć – przerwał mężczyzna. – Sam zadecyduję, na ile szczegółowo.

–Dobrze – natychmiast zgodził się Gedderen. Poprawił kołnierzyk koszuli, przy okazji rozejrzał się dokoła. Mogę używać nazwisk i tak dalej?

–Nie będzie pan przecież krzyczał – mężczyzna uśmiechnął się krzywo.

Przybysz przez chwilę wpatrywał się w niego, jakby podejrzewał jakiś podstęp, ale w końcu kiwnął głową.

–Ten Polak, tak jak zaproponowałem, dostał mu się pęcherzyk powietrza do układu krwionośnego. Ponieważ wszystko poszło całkiem gładko, zdecydowałem się na jeszcze jeden krok: zawiozłem go w nocy do... ee, do bakutilu, oni tam tak nazywają utylizatornie, gdzie z padliny zwierzęcej i czegoś tam jeszcze robią paszę dla zwierząt. W tej chwili, o ile dobrze zrozumiałem przebieg procesu produkcyjnego, już go wcinają kurczaki.

–Pfuj! Niech mi pan oszczędzi opisu! – Nie kryjąc zadowolenia, mężczyzna skrzywił się teatralnie.

–Nie wierzę, żeby pan, panie... żeby pan – poprawił się Gedderen – jadał kurczaki z marketu.

–A co dalej? – ponaglił rozmówca, nie zwracając uwagi na przymilny ton Gedderena.

–Tak więc ta sprawa jest załatwiona. Ta druga też załatwiona, ale pan chciał, żeby

ciało zostało. Więc zostało. Jak pan wie, to starszy pan, kuśtykał codziennie na spacer po parku. Null problemo, jak mawia mój ulubiony kosmita. Zaaplikowałem mu aerozol, zwałił się na trawnik, dodałem jeszcze porcję, od której słoniowi wybuchłaby czaszka. Potem, ponieważ nie widać było żywego ducha, starannie wydusiłem mu resztki pe-en-pi z płuc. No i spokojnie odszedłem. Miał klasyczny wylew, jak się patrzy, oczywiście sprawdziłem wcześniej u jego lekarza, co i jak.

Wzruszył ramionami. Mężczyzna odczekał chwilę, a później sapnął niecierpliwie.

–Aha! – przypomniał sobie Gedderen. – Chciał pan, żeby nie przeszukiwano jego mieszkania? No więc nie przeszukano: w piwnicy jakiś Turek idiota trzymał kilka kanistrów z benzopirem, jakoby do użytku w pralni szwagra, no i te kanistry eksplodowały. Dom spłonął na żużel, a ten gość upiera się, że nic tam takiego nie miał. Pokiwał z oburzeniem głową.

–Okay – powiedział mężczyzna. Nie zamierzał informować, że o wszystkim już wiedział i że jest bardzo zadowolony z profesjonalizmu Gedderena. – Zapłata, jak się umawialiśmy, na koncie. Z małą premią za precyzyjne wykonanie zleceń.

Skinął na kelnerkę i wyciągnął w jej stronę banknot dziesięciomarkowy.

–Dziękuję, śliczna – uśmiechnął się promiennie. Wpadnę tu jeszcze do ciebie. Diewczyna odwzajemniła uśmiech i nawet leciutko zmrużyła prawe oko. Odeszła, a wtedy mężczyźni podnieśli się jednocześnie.

–Może pan mnie podrzucić do jakiejś stacji metra? zapytał mężczyzna z przyklejonym wąsikiem.

–Oczywiście, nawet zaparkowałem niedaleko. Gedderen wskazał kierunek i ruszył pierwszy.

–Chciałbym wyjechać na dwa tygodnie gdzieś, gdzie jeszcze jest lato. Czy to nie koliduje z pańskimi planami? – zapytał.

Mężczyzna zastanawiał się chwilę. Pokręcił głową

–Nie. Absolutnie. Nie przewiduję niczego wyjątkowego.

–Zresztą jakby co, to ma pan mój numer. W ciągu doby będę z powrotem.

Podeszli do Audi 8 CFI. Gedderen wyjął kluczyki, pisnął immobilizer, szczęknęły zamki. Gedderen otworzył swoje drzwi i wsadził nogę do środka. W chwili, gdy pochylał się i wsuwał na fotel, mężczyzna z wąsem błyskawicznie przyskoczył do niego i przez połą marynarkę oddał precyzyjny strzał w nerkę. Najwyższej klasy tłumik NV 2 spowodował, że odgłos strzału zabrzmiał jak zwykle kichnięcie. Gedderen westchnął i zaczął opadać na fotel. Mężczyzna pomógł mu, poprawił ułożenie nóg, splótł ręce na piersi i zamknął oczy. Gedderen wyglądał teraz jak drzemiący w ciepłym wnętrzu limuzyny mąż, który czeka na żonę siedzącą u fryzjera. Nagle przez ciało przebiegło drżenie i jedna z rąk niemal wyplątała się z objęć drugiej.

–No? Nie świruj – mruknął rozzłoszczony mężczyzna. Już wcześniej rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt nie zainteresował się incydentem, i nie życzył sobie żadnych komplikacji. Zerknął na zwłoki, ale znowu znieruchomiały. Poprawił ręce, wyprostował się i łokciem zatrzaskał drzwi. – Pa!

Spokojnym, długim, pozornie niedbałym krokiem zaczął się oddalać od samochodu. Dwie przecznice dalej wsiadł do własnego wozu i pojechał za miasto do

pensjonatu Dwa Potoki. Z pokoju zadzwonił pod umówiony numer, odczekał, aż rozmówca „przedmucha” linię i uruchomił randomizer uniemożliwiający zrozumienie rozmowy.

–Tu Jacob – powiedział, dotykając wąsa. Jak długo jeszcze, pomyślał. Do wieczora? Po diabła? – Rozmawiałem z kolegą i wszystko jest załatwione znakomicie. Zaraz zapyta o punkty, pomyślał zjadliwie.

–Na ile punktów? – wycharczał głoścniczek.

–Sto na sto.

–Dobrze. Wysłałeś mu gratyfikację?

–Tak, choć szczerze mówiąc... zastanawiałem się, czy to nie przesada, wysłać do nieboszczyka.

–Jacob?!

–Nie, nic – zmytygował się. Jego rozmówca nie słychał z poczucia humoru. – Wysłałem wczoraj.

Tak, ale na swoje konto, ha, ha, ha!

–Dobrze. Masz wolne, ale... Ach, nie! Zostań na miejscu i zadzwoń do mnie za godzinę, nie, za półtorej. Nieważne. Dzwoń za piętnaście pierwsza.

Sygnał w słuchawce. Mężczyzna przedstawiający się jako Jacob uniósł brwi i trącił klawisz rozłączenia.

–Za półtorej to za półtorej – mruknął do siebie i rzucił się na łóżko. Leżał chwilę z rękami pod głową, potem przymknął oczy i wrócił myślami do spotkania z Gedderenem. Szukał czegoś niepokojącego, podejrzanego, błysku szkła lornetki w oknie, samochodu widzianego już kilkakrotnie. Nic. Otworzył oczy i usiadł energicznie. Nic, czyli w porządku.

Poszedł do łazienki i zatrzymał się przed lustrem. Przyglądał się przez chwilę swojej twarzy, potem, posykując i mrużąc z bólu oczy, zdarł wąsy i cisnął do muszli klozetowej.

–Jak nie trzeba, to trzymają.

Rozmasował górną wargę. Pochylił się i długo splukiwał ją zimną wodą. Potem wszedł pod prysznic i podstawił twarz pod siekący strumień.

Nie słyszał, jak do pokoju wszedł dysponujący repliką el-klucza mężczyzna. Gość zaraz za progiem wyjął z jednej kieszeni pistolet, a z drugiej rewolwer i zaczął cicho skradać się do łazienki. Pod drzwiami przystanął, nasłuchiwał chwilę i skinął z zadowoleniem głową. Bezszelestnie wsunął się do zaparowanego pomieszczenia. Jacob poczuł na skórze powiew chłodnego powietrza, odwrócił się, a wtedy gość strzelił mu w twarz z pistoletu. Szybko odwrócił się od ciała i wypalił dwa razy z rewolweru w ścianę obok drzwi. Potem podszedł do krwawiących obficie zwłok, wytarł ręcznikiem rewolwer i wcisnął go Jacobowi do ręki.

Rozejrzał się po łazience, musnął wzrokiem muszlę, zastanawiał się kilka sekund, ale w końcu uznał, że bez względu na obrzydzenie powinien doprowadzić akcję do końca. Ostrożnie włożył rękę do muszli i wydobył wąsy Jacoba. Cisnął je obok głowy trupa, strząsnął wodę z palców i przeszedł do pokoju. Wystukał siedmiocyfrowy numer.

–Inspektor Haase – powiedział. – Połączcie mnie z komisarzem. Czekał chwilę.

–Panie komisarzu, tu Haase. Kilka minut temu dostałem anonimowy telefon, że w pensjonacie Dwa Potoki znajduje się Emil Batafdie, pamięta pan, ten ideolog grupki Front Trzech. Tak? No właśnie. Przyszedłem tu, recepcjonista potwierdził, że to ten mężczyzna. Zachodziła obawa, że zniknie, jak wiele razy wcześniej – westchnął – Podśluchałem, że jest w łazience, pod prysznicem, więc wszedłem, ale ten drań nawet tam nie rozstawał się z gnatem. Tyle że chyba mu piana zalała oczy, bo spudłował haniebnie. Ja trafiłem. – Słuchał chwilę. Tak, ale jest problem: to nie Batafdie.

Zaczął mówić szybciej, jakby chciał uprzedzić wyrzuty rozmówcy:

–Jego twarz jest mi znajoma, prawie na pewno szukamy faceta za coś innego. Chyba płatny egzekutor. Tak, Dwa Potoki, to jest na wylocie z Berlina. Tak jest. Dobrze. Czekam.

Odłożył słuchawkę i szybko wyjął płaski DSM. Wystukał dwie sekwencje numerów i nie czekając na zgłoszenie rozmówcy, świadomy, że nie doczekałby się nigdy, powiedział cicho:

–Sprzedałem te buty. Rozmiar się zgadzał, kolor też. Wszyscy zadowoleni.

Odłożył słuchawkę i zaczął spokojnie myszkować po pokoju. Nie wierzył w nadmiar szczęścia, w końcu Jacob był jednym z najdłużej żyjących likwidatorów, między innymi dlatego właśnie, że niczego po sobie nie zostawiał. Ale, myślał, co mi szkodzi, gdybym coś sprezentował Szefowi? O! To by było wybicie.

Az do przyjazdu ekipy śledczej zawzięcie szperał po pokoju, sprawdził listwy przypodłogowe, wnętrze telewizora; nie krył się z tym – ostatecznie działał w majestacie prawa. Gdy milcząca i sprawna ekipa pojawiła się w pokoju, jeden z policjantów rzucił okiem do łazienki i syknął:

–Przecież to Kominiarz! Niech mnie... Panie komisarzu!

Haase udał zaskoczonego, a komisarz odetchnął. Jego podwładny nie zastrzelił nerwowego gościa, tylko samego Kominiarza. Cała ekipa już spokojnie dokończyła rewizji.

Niczego jednak nie znaleźli. Haase zdobył dostęp do wyników badań fachowców z labo. Też nic. Trudno, pomyślał. Szef musi się tym zadowolić. Wystarczy mu do szczęścia.

Szef natomiast rozważał przez kilka minut wszystkie implikacje otrzymanej wiadomości. Potem, nie znalazłszy słabych punktów w zakończonej rozgrywce, wystukał sekwencję cyfr, ignorując pamięć telefonu i możliwość głosowego wybrania numeru rozmówcy. Odczekał chwilę.

Człowiek, do którego dzwonił Szef, sączył świeżo wyciśnięty sok z trzech nektarynek, kiwi i dwóch pomarańczy, wszystkie owoce z najdroższych i najzdrowszych szklarń w Reykjaviku. Szeroki pas pulsacyjnego masażera owijał jego szczupły tors, ale gdy zadzwonił telefon, mężczyzna wyłączył urządzenie – nie zamierzał mówić drżącym głosem. Po pierwszych słowach dzwoniącego odruchowo dotknął skrytej w wąsach brodawki, lecz uświadomiwszy sobie ten gest, natychmiast opuścił rękę i do końca rozmowy trzymał ją na widoku, pod kontrolą.

–Tu Artur. Dzwonię z czwartego piętra. Wdrapałem się tu bez kłopotów. Na górze wszystko w porządku. Jakież dyrektywy?

Linia telefoniczna przez długą chwilę przenosiła w obie strony ciszę; dzwoniący zdążył pomyśleć, że pierwszym piętrzem tej sprawy był Gedderen, drugim – Jacob, trzecim -Haase. Czwartym – on sam. Dwa pierwsze się zawaliły, pomyślał. Czyżbym teraz ja znalazł

się nad parterem? Potem mężczyzna pod masażerem odetchnął głęboko, chociaż przeszkadzał mu w tym elastyczny pas.

–Jakieś śmiecie? – zapytał.

–Nie, a jeśli nawet były, to sprzątaczką wymiotła. Długa cisza, ale dzwoniący nie zamierzał ponaglać swojego rozmówcy. Prawdę mówiąc, gotów był spędzić cały urlop słuchając jego oddechu w słuchawce.

–Dobrze.

Szef czekał. Niespodziewanie słuchawka poinformowała o przerwaniu połączenia. Cholera, całe szczęście, że jest ten sygnał, pomyślał Szef słuchając pulsującego dźwięku. Inaczej sterczałbym tu do sądnego dnia.

Jeszcze przez chwilę zastanawiał się, czy na pewno wszystko poszło tak świetnie, jak zameldował. Wiedział, że potknięć się nie wybacza, nawet na szczeblu władz federalnych.

Zwłaszcza tam. Ale długa analiza nie ujawniła żadnego błędu. Podszedł do barku i nalał sobie, jak mawiała żona, „słowiańską porcję o barbarzyńsko przedpołudniowej porze”. Wypił schłodzoną aż do zgęstnienia wódkę i dopiero teraz odważył się odetchnąć z ulgą.

1.

W toalecie panował wzorowy wręcz porządek. Zdając sobie sprawę, że nie obchodzi go w gruncie rzeczy profesjonalizm ekipy remontowej, Michał rozejrzał się krytycznie. Nie było do czego się przyczepić, uzupełniono nawet brakujące od miesięcy czy lat kafelki. Nowe lustra nie wykrzywiały i nie cięły twarzy pęknięciami; no, z wyjątkiem jednego, na którym ktoś usiłował zapalić zapalniczkę i pozostawił na tafli zamaszyste smugi, układające się we wzór koguciego ogona. Poza tym – połyj pariadok. Michał ostrożnie ustawił na rogu umywalki neseserek, otworzył wieko i wyjął szelki. Buro-szare, z wyraźnym wzorem na gumie, nowiutkie. Potem wyjął „pięćdziesiątkę” wyborowej, zerwał kapsel i wlał do ust jedną trzecią zawartości. Mlaskał chwilę rozprawiając alkohol po jamie ustnej, potem wypluł i parsknął. Po wyjściu z Urzędu zamierzał przejechać jeszcze kawał drogi, kamuflażu potrzebował tylko na teraz, na kilkanaście najbliższych minut.

Wylał resztę wódki do okrągłego niklowanego gardziołka umywalki, butelkę niedbale wyrzucił do kubła, gdzie nie powinna nikogo zdziwić. No dobrze, co tam jeszcze? A! Krople! W kieszonce w plastikowym piórniczku znajdowały się jeszcze dwa „naboje”. Cholerna difelomycyna, czy jak tam ją zwą... Szczypie, zaraza.

Posykiwał, gdy zapuszczone krople zapiekły, ale miał świadomość, że ten zabieg się opłaca: po chwili oczy wyglądały jak wymowne świadectwo nocy spędzonej na hulance. Dla

pewności potarł je jeszcze, chuchnął w garść i skrzywił się, czując świeży gorzelniany zapach. Ogólnie twarz w lustrze prezentowała się nieźle: dyskretne zacięcie na policzku, trudne do wykonania w czasach Maszynek-Którymi-Nie-Można-Się-Zaciąć, buraczane oczy, do tego odpowiedni cuch i detale stroju.

Wyszedł na korytarz i pomaszerował do pokoju numer osiemnaście. Pod drzwiami nie było nikogo i nic dziwnego – umówił się na dziewiątą piętnaście, była dziewiąta czternaście. Poprzedni petent już wyszedł, a następny był on. Nikt więcej nie powinien się tu kręcić. Wypuścił z płuc całe powietrze i poczekał na bezdechu, aż serce zacznie łomotać i łomot odezwie się w skroniach. Wtedy podniósł rękę i zapukał.

–Proszę!

Głos był męski, głęboki, aksamitny. „O” zabrzmiało jak wyciągnięte z omszałej zimnej studni. Michał w chwili natchnienia dodatkowo zmierzwił dłonią włosy nad uchem i wszedł.

–Dzień dobry – rzucił i ruszył do biurka z wyciągniętą dłonią, wydychając przed siebie smugę pachnącego ciepłym alkoholem powietrza.

Mężczyzna zza biurka poderwał się z uśmiechem, jakby przyjemnie zdziwiony wizytą Michała, choć nikt inny nie ośmieliłby się wtargnąć tu o tej godzinie.

–Aaa, pan Michał?! – wykrzyknął obiegając biurko. Michał za każdym razem zastanawiał się nad tą manifestacją radości na jego widok i ciekawiło go, czy inni petenci są witani równie ekspresyjnie. – Jakże się cieszę!

Mogliby unowocześnić swój język, przemknęła mu zgryźliwa myśl. Kto tak dzisiaj mówi? Co to, z wizytą u Połanieckich? Spróbował uwolnić dłoń z uścisku, ale

daremnie: Zadornyj z reguły trzymał rękę witanego tak długo, aż tamten zaczynał czuć się nieswojo i złościć na siebie za brak asertywności. Kiedyś na korytarzu Michał usłyszał, jak jakiś zdenerwowany facecik zaklinał się, że Zadornyj ma wszczepiony w dłoń czujnik, który pozwala mu wyczuć zakłopotanie petenta – przyspieszone tętno, zwiększoną wilgotność skóry, napięcie mięśni.

–Również się cieszę – powiedział i zdecydowanie uściskawszy dłoń Rosjanina, wyszarpnął rękę, kolejny raz zauważając błysk rozbawienia w jego oczach. – Zawsze chętnie do pana przychodzę.

–Po promesę – uśmiechnął się szeroko Zadornyj i puścił oko: „Ja wiem i ty wiesz, że ja wiem, że przychodzisz tu, bracie, nie na pogaduchę, a po bumagę”.

Płynnym ruchem, wyćwiczonym na dziesiątkach i setkach petentów, prawą ręką wskazał fotel, a lewą położył na ramieniu Michała, kierując go nie do twardego krzesła przed

biurkiem, lecz do kącika przeznaczanego na mniej oficjalne rozmowy. Fotele były tu zdecydowanie wygodniejsze, a matową ławę zdobił precyzyjnie wykonany misterny model jakiegoś żaglowca. Brakowało miejsca na papiery, ale w tej części pokoju nie były potrzebne. Usiedli i Michał już otworzył usta, ale Zadornyj poderwał się i zamachał rękami.

–Kawy, jak sądzę? Pan szanowny nie wygląda najlepiej dzisiaj – uśmiechnął się porozumiewawczo. Michał poczuł dumę z udanego kamuflażu, ale tylko skrzywił się i zrobił skruszoną minę.

–Żeniu – rzucił Zadornyj do mikrofonu. – Dzbanek kawy, bez zabielaaczy i glukozy. Aha, jeszcze zimny kwas.

Wrócił na fotel, rozsiadł się i westchnął.

–Zaszalało się, co? – dobrodusznie roześmiał się, nie otwierając ust. – Widzę, widzę... Trudno nie zauważyć. Wskazał palcem nowiutkie szelki Michała. – Te kajdany na szelkach. Potrzebne to panu do czegoś?

Michał zerknął na szelkę, rozciągnął ją nawet, żeby lepiej widzieć.

–Kajdany? Gdzie pan to zauważył, Robercie Diegowiczu? To zwykłe kółka i jakieś sznurki. – zbagatelizował, starannie dobierając intonację.

–Dobra, dobra! Wy, Polacy, lubicie takie numery: pierścionki z trupią czaszką, spinki do krawatów w kształcie kosy, klamry do włosów... – poszukał w pamięci i nie znalazł: -...jakieś tam, żeby tylko zaborcy zrobić koło piera.

–Pióra – odruchowo poprawił Michał. – Jest pan nieźle zorientowany w naszej historii. Co prawda nie wiem nic o szpilkach do krawata, bo nie wiem, czy wtedy noszono krawaty, ale reszta...

–Pióra – powtórzył Robert Diegowicz. – Co do krawatów, może i prawda, chociaż zawsze braliście z Zachodu, co się dało.

–Ale u nas to się nazywa krawat, a u was gałstuk, to z niemieckiego halsztuka. Kto tu zapożycza?

Zadornyj zarechotał, plasnawszy dłonią w udo. Do drzwi zastukała sekretarka, wniosła tacę z dzbankiem, filiżankami, oszronionym dzbanem i wysokimi karbowanymi szklankami z grubego szkła.

–To się u nas nazywa odkryt’ szczot – stwierdził Zadornyj.

–Strzelić pierwszą bramkę – uprzejmie przetłumaczył Michał. – Pochlebia mi pan, ale słabo gram w piłkę. Dziękuję.

Podniósł do ust filiżankę i łyknął. Kawa była mocna i aromatyczna, o niebo lepsza niż w dowolnej kawiarni. Przymknął dziękczynnie oczy i odetchnął.

–Pyszna.

–Proszę najpierw uraczyć się kwasem – zaproponował Zadornyj.

Nalał do szklanki ciemnego płynu. Pojedyncze bąbelki oderwały się natychmiast od dna i pognały do góry. Nieporównywalny z niczym zapach uderzył w nozdrza. Michał z przyjemnością chwycił szklankę, osuszył ją duszkiem i nie musiał udawać zachwyty.

–Za każdym razem inny – skomentował – ale zawsze wspaniały!

Robert Diegowicz przyłożywszy dłoń do serca podziękował bezgłośnie. Nalał drugą szklankę, odstawił dzban i rozsiadł się wygodnie z palcami splecionymi na brzuchu. Taki biurokrata jak on powinien mieć wydatny kałdun, pomyślał Michał, a nie ma nic. Płaski jak ja. I jeszcze coś – on jakby się kurczył; ten legendarny ichni aktor potrafił wydłużać rękę o siedemnaście centymetrów, a on potrafi zmniejszyć swój wzrost o ćwierć metra. Jak brzmiał tytuł tej słynnej książki? Kim pan jest, doktorze Sorge? Kiedy odważę się zapytać: „Kim pan jest, Robercie Diegowiczu?”

–Znowu wyprawa po złote? – zagadnął gospodarz odczekawszy chwilę, jakby wiedział, że petent myśli o nim i nie trzeba mu przeszkadzać.

–Z pana jest genialny kalamburzysta – powiedział z namysłem Michał. – Niemal w każdym zdaniu ukryte jest jakieś, jak wy to nazywacie, drugie dno.

–Naprawdę? Pochlebia mi pan. A co tym razem takiego powiedziałem?

–„Wyprawa po złote” – zacytował Michał. – Wyprawa po złote runo, tak określa się wyprawę Jazona i jego towarzyszy.

–No to chyba nie spudłowałem? Pan też nie jeździ po psichuj, prawda?

Zadornyj brutalnie przerwał tym „psichujem” spokojną i kulturalną konwersację. Nie był to nowy chwyt i Michał spodziewał się podobnych zagrywek, więc nie zareagował. Odpowiedział spokojnie:

–Nie, po książki. Książki i trochę takich bambetli okolicznościowych... dowcipne pocztówki, szarfy na bukiety i wieńce, kalendarze na przyszły rok.

–Już na przyszły? – zdziwił się Zadornyj. – Gdzie wy się tak śpieszycie?! Dopiero drugi kwartał, a wy na przyszły rok! Zna pan takie powiedzonko...

–Spieszka nuzna tol’ko pri jebie czużoj żeny![(ros.) Pośpiech jest potrzebny tylko przy pierdoleniu cudzej żony!] – wpadł mu w słowo Michał.

–To też – protekcjonalnie pochwalił Robert Diegowicz. – Ale nie o rżnięcie cudzej żony mi chodziło. – Podniósł sztywno wyprostowany wskazujący palec, żeby podkreślić swoje słowa. – Spieszka nużna tol’ko pri lowie błoch!

–Aha, tyż piknę – podsumował Michał wiedząc, że rozmówca zrozumie tę pseudogóralską pochwałę. Wyjął z bocznej kieszeni marynarki napoczętą paczkę cameli i zapalniczkę. Zapalił i nawet nie zaciągnąwszy się, zgasił. – Nie, jeszcze nie – powiedział.

Przez te podchody kiedyś naprawdę wrócę do nałogu, pomyślał, bacznie obserwując Zadornego. Rzucił palenie przed niecałym rokiem, ale za każdym razem, kiedy kusił Roberta Diegowicza papierośnicą, bajerancką zapalniczką czy innym gadżetem, bał się, że pod wpływem stresu pęknie i sam zapali.

Objaśnienia trudniejszych słów i zwrotów obcojęzycznych na końcu książki.

Zadornyj wolno wyciągnął rękę, chwycił zapalniczkę i szczęknął wieczkiem.

–Wspaniała podróba zic-zaca – powiedział Michał, w duchu ściskając kciuki. – Za grosze.

Gdyby Zadornyj wziął, następna rozmowa odbyłaby się już bez cyrku w toalecie.

Gdyby... Rosjanin bawił się. Otwierał, zapalał, zamykał. Działała sto na sto. Nic dziwnego -oryginalny zic-zac za dwie banie, pomyślał. Dlaczego ma nie działać?

–Fajne – powiedział Robert Diegowicz. – Któryś z waszych satyryków zauważył kiedyś, że mężczyźni są jak dzieci. Papieros przypalony zapałką nie smakuje inaczej niż papieros odpalony od złotego ronsona, ale wszyscy wolą przypalać od dwudziestokaratowego złota.

Na to nie licz, zachichotał w duchu Michał i głośno powiedział:

–Normalna sprawa, skoro zapałki tak staniały, że kupuje je tylko jakiś maniak i wyrabia z nich trumny, żeby trafić do księgi Guinnessa.

–A pan to wszystko zaraz od strony handlowej: staniało, zdrożało... – poskarżył się Zadornyj. Wypił duszkiem swoją kawę, nalał sobie drugą filiżankę i stanowczo odsunął dzbanek. – Dosyć na dziś kofeiny!

Próbuje ująć sobie wzrostu, udaje schorowanego, choć byk z niego jak komandos; na dodatek różnie głupszego od rozmówcy i tak dalej. Ta myśl przychodziła Michałowi do głowy niemal przy każdym spotkaniu. I jeszcze jedno: on udaje, że jest inny niż naprawdę, w porządku. Tylko czy kiepsko udaje, czy też umyślnie przejawia swoją rolę, żeby to zauważył?

–A te kalendarze – zapytał Zadornyj, turlając pod opuszką palca jakiś wyimaginowany okruch – w wersji polskiej i rosyjskiej?

–Tak. A jakie mogłyby być? – Michał pozwolił sobie na lekko kpiący uśmiech.

–Mogłyby być w wersji tylko polskiej – strzelił Rosjanin, wyraźnie cyzelując sylaby.

Michał poczuł, że się czerwieni, w skroniach zbudził się łomot. Tak żeś mnie wykiwał, bydlaku? Żebym ja sam,

Polak, musiał przyznać, że nie widzę innej przyszłości niż wspólne mieszkanie z wami.

–Przepraszam, zamyśliłem się – wydukał w końcu.

–Biznesmen nie powinien sobie pozwalać na takie chwile zadumy, może pan dużo stracić – pouczył go Zadornyj.

–To niekontrolowany napływ wspomnień – wyrzucił z siebie petent, czując, że postępuje fatalnie, ale już nie potrafił powstrzymać się od wypowiedzenia słów, których za chwilę miał pożałować. – Z czasów, kiedy na wschód od Wisły byliśmy jeszcze sami.

Pod stołem zacisnął pięści. Diabli wzięli interes, i żeby tylko ten jeden! No i

dobrze, w cholere! Ile można?

–To se ne urati! – uśmiechnął się Zadornyj. Nagle spłynął chłód i stoicki spokój.

–Jeśli pan nie wie, to pointa dowcipu, w którym Czech mieszkający po wojnie w Związku Radzieckim z nostalgią wspomina pobyt w Buchenwaldzie! – palnął.

–A wiem, wiem – uspokoił go gospodarz. – Jeszcze kwasu?

Michał chciał odmówić, chciał trzasnąć Zadornego w ten jego zadowolony, władczy pysk, jednak opamiętał się i tylko kiwnął głową. Zdołał donieść do ust szklankę, nie rozlewając ani kropli. Zadornyj dopił kawę i rzeczowo popatrzył na Michała.

–To co, na dwa tygodnie? – zapytał.

–Tak, wystarczy.

–No to wszystkiego dobrego! – Robert Diegowicz Zadornyj wstał energicznie i wyciągnął rękę do Michała. Wymienili mocne męskie uściski, Zadornyj wskazał ścianę dzielącą jego gabinet od Depozytowni. – Tam odbierze pan wizę i do zobaczenia. Zawsze miło mi pana gościć.

–Do widzenia.

I żeby ci smród nogi powykręcał, idąc do drzwi, klął w duchu Michał.

–Panie Michale? – dobiegło go z tyłu. Zmartwiały, irracjonalnie wystraszył się, że Zadornyj przejrzał jego myśli. Odwrócił się sztywno.

–Zapomniał pan – Robert Diegowicz wskazał papierosy i zapalniczkę. – Zauważyłem, że ludzie wychodząc stąd lubią sobie zapalić – zakpił w żywe oczy.

Wbrew sobie Michał roześmiał się, kręcąc głową, zgarnął przedmioty, schował do kieszeni i wyszedł na korytarz. Odbierając wizę towarową uświadomił sobie, że w gruncie rzeczy nic nowego nie zaszło. Jego wizyty u Zadornego zawsze były wariantami tego samego

pojedyнку i właściwie ani razu nie wyszedł stamtąd z poczuciem pełnego triumfu. Ale też, musiał przyznać obiektywnie, nigdy nie wychodziłem zgnojony czy z płonącymi uszami.

Przedpołudnie nagle i niespodziewanie rozgorzało upa-łem, jakaś niewidzialna siła wymiotła chmury. Michał podszedł do samochodu i otworzył drzwi. Terminal ucieszony jego obecnością wygdał serię celowo nieprzyjemnych, trudnych do zignorowania dźwięków, ekranik wyemitował napis, a vocoder odczytał:

–Spotkanie z Jarosławem. Wizyta w magazynie. Odebrać walizki z domu. O piętnastej powinieneś wystartować.

Michał wrzucił do skrytki zapalniczkę i papierosy, wyjechał z parkingu, płynnie włączył się do ruchu. Szyba ściemniała, gdy uderzyły w nią promienie słoneczne, ale po kilkudziesięciu metrach obfita chmura przesłoniła słońce; fotochrom z anielską cierpliwością posłusznie dostosował się do zmienionych warunków.

Michał prowadził spokojnie, jedną ręką; storm, wyposażony w trafiksy wyczulone na bliskość innych pojazdów, w miejskim ruchu praktycznie sam chronił go przed kolizją. Michał sięgnął do kieszeni, wyjął paszport i sprawdził wizę, żeby z powodu jakiegoś drobiazgu nie cofnęli go z przejścia w Garwolinie, ciasnego, brudnego, z wyjątkowo chamską i chciwą obsługą. Czołowy trafiks pisnął, gdy storm zbliżył się

zbytnio do jakiegoś poobijanego moskwicza. Michał zwolnił i skręcił w prawo. Na rogu czekał Jarek, uśmiechnął się i wskoczył do środka.

–Strzałeczka! – rzucił raźnie. Klepnął Michała po ramieniu i opadł na fotel. Pasy wykorzystwały chwilę bezruchu i oplotły tors pasażera. – Byłeś u niego?

Michał przytaknął i parsknął śmiechem. Wyminął dwuczłonową ciężarowe, z której na rampę wysuwały się szeregi zafoliowanych packów. Jak człony gąsienicy, pomyślał albo...

–Co cię tak bawi w tych sporach z Robertem Di-jegowiczem? – zapytał Jarek, nieświadomie przerywając obsceniczne porównania.

Od kiedy się znali, czyli od zawsze, Jarek miał kłopoty z artykułowaniem niektórych sylab; mówiąc o Zadornym, zawsze dodatkowo akcentował idiotyczny jego zdaniem patronimik.

–Po prostu chcę go wykiwać. Niech sobie myśli, że nabrałem się na jego gierki. On gra typowego biurokrate, brzuchatego, rubasznego, ale z precyzyjnie, choć wąskofalowo działającym mózgiem, a ja mam być typowym Polakiem, według jego wyobrażeń. Znaczący, co jakiś czas zdobywam się na bunt czy prowokację, jak choćby te szelki. Taki tani patriotyzm, wyłącznie dla poprawienia mojego samopoczucia. Rosjanie mówią na to: „Schować rękę do kieszeni i pokazać władzy figę”.

–Coś jak: „Dobrze, że sobie poszedł, bo bym mu coś powiedział do słuchu”? – zapytał Jarek, sięgając do terminala i wyszukując w menu kursy walut.

–Dokładnie.

Skręcił w boczną uliczkę, zwolnił, wychylił się do przodu i oparł na kierownicy.

–Odepnij mi to z tyłu – poprosił. Jarek pstryknął klamerkami i pomógł przerzucić końcówki do przodu, a Michał uwolnił się od zapięć i zwinąwszy patriotyczne szelki w kłęb, wyrzucił je przez okno. – Jedziemy do roboty.

Przez chwilę jechali w milczeniu, potem Jarek zapytał:

–Jesteś pewien, że ktoś nas okrada w trzecim magazynie?

W rzeczywistości pytał: „Jesteś pewien, że szykuje się na nas nalot?”.

–Absolutnie. Dostałem cynk, informator się nie ujawnił, ale podał sposób na zdemaskowanie złodzieja. – „Informacja ze źródła. Wiem, gdzie i czego będą szukali”. Musimy się szybko uwinąć albo będziesz rył sam, bo ja o trzeciej startuję, choćby świat się zawałił.

–Do trzeciej? Załatwimy to z palcem w dupie!

Jarek znowu wyszarpnął klawiaturę terminala. Z szybkością świadcząca o dużej wprawie stukał w klawisze, przerywając tylko przy szczególnie gwałtownych wstrząsach samochodu, które zresztą wkrótce ustały, gdy dojechali do centrum Bystrzyny.

–Aha! Tam masz zapalniczkę i fajki – Michał wskazał brodą skrytkę.

–Dziękuję. – Jarek obojętnie schował zapalniczkę i papierosy. – Ciągłe nie bierze?

–Jak ryba. Ale nic to, jeszcze go kiedyś macnę – buńczucznie obiecał Michał, choć wcale nie był pewien, że zdoła wcisnąć Zadornemu łapówkę. Płynnie włączył się do ruchu na ulicy Bliskiego Horyzontu, zwanej potocznie ulicą Ciasnych Horyzontów, przyspieszył.

–Jak się dzielimy?

Jarek poruszył na boki żuchwą i postukał zębami. Plan kontrnalotu miał opracowany co do sekundy, ale skorzystał z okazji i jeszcze raz poddał go błyskawicznej analizie.

–Myślę, że tak...

Skoncentrowali się na omówieniu taktyki działania.

2.

Przejście graniczne Lipsko, jedno z niewielu przeznaczonych wyłącznie dla samochodów osobowych, nie cieszyło się dużą frekwencją, działało jednak sprawnie – może dlatego, że celnicy nie spodziewali się większych gratyfikacji. „Rozumiesz – perorował kiedyś Jarek – Ruscy nie biorą byle czego, bo czekają na życiowy fart. Wiedzą, że ich etaty wzbudzają zazdrość całej masy rodaków i wszyscy oni czekają na jakiś błąd, żeby uruchomiwszy znajomości, tak zwany blat, wskoczyć na ich miejsce. Uważają, że jeśli już ryzykować, to tak, żeby łup wystarczył na resztę życia”. Polscy celnicy dostosowali się do tej reguły; zresztą van Michała, z wyjątkami siedzeniami, przygotowany do przewozu powrotnego ładunku, nie wzbudzał niczyich podejrzeń. Michał jeździł tędy przynajmniej raz w miesiącu, więc wszyscy go znali. Chwilę po tym, jak wyłączył silnik, ze standardowego aluminiowo-szklanego baraku wyszedł Tiszenko i zbliżał się z szerokim uśmiechem, pokrzykując już z daleka.

–Nu-u-u! – przeciągnął. – Coś dawno pana nie było?!

–Miał klasyczną rosyjską, jak sam mówił, prononsjację nie potrafił na tyle zmiękczyć głoski „s”, żeby nie brzmiała jak przetarcie szyby zapiaszczoną suchą ścierką. – Interesy, mam nadzieję, idą dobrze? – i nie czekając na odpowiedź przeszedł na prywatne zwierzenia:

–Aleśmy wczoraj dali! – zabrakło mu słów, porzucił język polski: – Jebat’ mienia dubowej doskoj! Cziut’ li nie do potieri pulsa! Żatko, szto was nie było.

Stopień znajomości nie upoważniał Tiszenki do takiego spoufalenia. Michał ostrożnie powąchał powietrze i nie poczuł śladu alkoholu. Uśmiechnął się przyjaźnie.

–Żatko, ale będę zdrowszy.

–Mądra-ala! – obraził się Tiszenko. Przysunął się bliżej. – Pan, człowiek bywały, nie słyisał przypadkiem, czy nasze przejście nie będzie przerobione na towarowo-osobowe?

Michał myślał chwilę, pokręcił głową.

–Nie wpadło mi nic takiego do ucha – oświadczył i uważnie popatrzył na Tiszenkę. – A panu?

–Mnie tak – powiedział cicho dowódca posterunku. Dobrze by było. Prawda?

–Prawda – przyznał szczerze Michał. Nie musiałyby za każdym razem nadrabiać kilometrów, żeby ominąć fatalny Garwolin i pchać się do Wyszkowa, Mielca albo Pilzna.

–Mnie by to urządzało.

Trzeba w takim razie coś przygotować dla Tiszenki, pomyślał. Najlepiej teraz, póki jeszcze nikt mu nie wisi na plecach. Zerknął na kapitana i poczuł na plecach gęsią skórę -Tiszenko wpatrywał się w niego jak doświadczony kocur w mysz zapędzoną do kąta. Nie, poczekajmy, zdecydował, choć przez sekundę chciał już wracać tym samym przejściem nawet bez towaru, żeby jak najszybciej Posmarować kapitana. To jakiś cwany numer.

Pewnie, skoro pan zawsze musi kołować – ni to stwierdził, ni to zapytał Tiszenko.

! Ciekawostka przyrodnicza, pomyślał Michał, skąd on wie, że wracam innymi

szlakami? Przecież nie siedzi tu na okrągło, a ja mu nic nie mówiłem. Otworzył usta, ale nie

zdążył się odezwać. – Z nudów przejrzałem sobie kilkunastu najczęstszych klientów, komputer pana wybrał: nietypiczny – kontynuował Tiszenko. – Zawsze w jedną stronę.

Zabrzmiało to jak pretensja albo groźba, zanim jednak Michał zdążył zareagować, Tiszenko chwycił jego prawą dłoń i mocno potrząsnął.

–Wsiewo chorozewo, pan Michaił. – Odwrócił się i zamasyżuje pomaszerował do budki z pogranicznikiem, ospale sprawdzającym paszporty rodziniki w toyocie. – Ty prosnis', motodiec! – krzyknął na podwładnego. – Ludzi-je czekajo!

Zasalutował kierowcy (cała rodzina jak na komendę wyszczerzyła zęby w uśmiechu), ominął samochód i zniknął w baraku. Michał wsiadł do stroma i podjechał kilka metrów na zwolnione miejsce w kwadracie, gdzie jaskrawożółtą farbą wymalowano w obu oficjalnych językach polecenie zatrzymania się i wyłączenia silnika. Przekręcił kluczyk i spokojnie rozparł się w fotelu. Żołnierz odczekał chwilę, ale nie widząc u kierowcy chęci do współpracy, wysunął się zza lady obudowanej pancernym szkłem i podszedł salutując służbiście.

–Dzień dobry. Kontrola paszportowa.

Michał podał paszport, a na widok zbliżającego się celnika trącił zamki bocznych i tylnych drzwi. Celnik burknął coś pod nosem, zajrzał pod siedzenia i oszacował torbę. Zasalutował niedbale, o pół sekundy wyprzedzając kolegę z budki. Minutę później wóz Michała wytoczył się slalomem między barierami i przyspieszając pognął wzdłuż długiego szeregu aut w kierunku Piotrkowa. Większość wozów miała tablice rejestracyjne zza Odry i kierowała się prosto na wschód, do lubelsko-chełmskiego zagłębia grzybowo-jagodowo-jałowcowego. Niemal wszyscy kpili z „grzybenlandu”, wielu jednak zaopatrywało się tam w owoce lasu.

Michał zwolnił, bo przypomniał sobie, że zaraz pojawi się słynny w okolicy, porzucony przez właścicieli billboard, traktowany przez miejscowych i przejezdnych jak strzelnica i poligon sprajów. Ostatnio królowało na nim ogromne przesłanie do wszystkich druciarek świata”. Zjechał na prawy pas, zafiksował sto dziesięć i rozparł się wygodnie w fotelu. Droga nie powinna sprawić kłopotów, mógł spokojnie pomyśleć. Wyciągnął dłoń do wbudowanego w kierownicę sterownika radia, ale w ostatniej chwili zrezygnował. W pole widzenia wpadł legendarny billboard, tym razem pomalowany jednolicie na biało, z ogromnym czerwonym napisem głoszącym: „Witaj, ruski okupancie!” Ktoś nie wytrzymał i dopisał żółtą farbą jedno słowo, wskutek czego powstał dwuwiersz: „Witaj w Vaterlandzie, ruski okupancie!”

–Rzykowna przewrotność, bracie – powiedział na głos Michał. – Nie każdy zrozumie i jeszcze cię wezmą za folksdojczka.

A może nie ma tu żadnej ironii, pomyślał. Może ktoś naprawdę czuje się już jak w Vaterlandzie i będzie go bronił jak Częstochowy? Rany, co za kocioł!

Otrząsnąwszy się z nieprzyjemnych myśli, zwiększył prędkość jeszcze o dziesięć kilometrów – w końcu nie miał w swoim prawie jazdy ani jednej dziurki. Krajobraz ruszył ostro do tyłu. Pola, częściowo już zaorane, częściowo tylko skoszone,

przemykały wzdłuż okien i natychmiast zwalniały w tylnej szybie, jakby zadowolone, że pozbyły się intruza. Michał odczytał na tablicy informacyjnej wiadomość o wolnych pokojach w pobliskim zajeździe; obawa przed bojkotem jadących z tej strony spowodowała, że właściciel nie zdecydował się na niemiecko-polską informację, ale ze względów patriotycznych nie użył cyrylicy – Zajazd powinien się nazywać: Między Sytym Wilkiem a Całą Owcą. Zaraz za tablicą stała druga, z której zdarto reklamową treść, a na białym podłożu ktoś nerwowo napisał: „Fajny ten Protekto-ratten!” i z obawy, że nie wszyscy zrozumieją dowcip, dopisał pod spodem: „Ratten = szczur”. dopiero teraz pojawił się pierwszy samochód jadący Przeciwną stroną. Michał przejeżdżał właśnie przez dziwnie senną jak na tę porę wieś. Na tle niezbyt starannie utrzymanych gospodarstw, dziurawych dachów stodół i rdzewiejących szkieletów maszyn dość osobliwie wyglądały kobiety zmiatające kostropatą jezdnię przed swoimi domami. Manifestowały przynależność do tej lepszej części kraju, gdzie dba się o wygląd nie tylko domu, ale także otoczenia. Mężowie sączyli swoje popołudniowe piwka nie na parapetach przed sklepem, ale w wygodnych plastikowych fotelach, pod parasolami z napisami: „Kronenberg”, „Jaegermeister” i „Hochbrau”. Na szybie sklepu wyklejono napis: „Vodka-Bier-Zigaretten”, pod spodem biegł gruby zielony pas, jakby przeznaczony na reklamę innych towarów, ale na razie niewykończony. Zaraz za wsią droga wpadła w mroczny kanion pomiędzy wysokimi, zbyt gęsto kiedyś posadzonymi sosnami. Tablica rozdzielcza rozjarzyła się miękko, smugi reflektorów wystrzeliły przed samochód i omiały jezdnię kilkadziesiąt metrów przed maską, niczym usłudźni przewodnicy, wyprodukowani w szczytnieńskiej filii OSRAM.

Droga była niezbyt szeroka, na dwa samochody, ale właśnie dlatego zawsze tędy jeździł – stanowiła dziwaczny kompromis pomiędzy brakiem pieniędzy w gminie a potrzebą usprawnienia ruchu. Od Lipska do Końskich była to szosa jednokierunkowa, dziwaczny kręty produkt fantazji drogowców, wymagający od kierowcy odwagi i doświadczenia. Za to była prawie pusta i bardzo rzadko kontrolowana przez policjantów świadomych, że na ogół korzystają z niej tylko Niemcy, wracający do domu z zapasami na zimę jak skrzętne wiewiórki.

Michał włączył na wszelki wypadek wykrywacz radaru, zawiesił kciuk nad panelem radia, ale rozmyślił się. Chwilę zastanawiał się nad kasetą z jakąś powieścią sensacyjną, ale też zrezygnował. Nagle cała wyprawa do Starego Kraju wydała mu się niepotrzebna, budząca tylko niesmak.

–Gówniarskie humorki-waporki – mruknął na głos, żeby skuteczniej odpędzić deprechę.

Zobaczył znak sygnalizujący zatokę parkingową z nieśmiertelnymi plastikowymi zadaszzeniami, krzesłami, ławkami i kubłami wypełnionymi po brzegi śmieciami z pobliskich domów. Nadgorliwi Schmutzige SparerA tak rozumieli niemiecką oszczędność. Zatrzymał się, przerzucił dźwignię na pozycję „parking” i wysiadł, zostawiając otwarte drzwi. Przeciągnął się, aż trzasnął któryś staw, przemaszerował wzdłuż dłuższej osi parkingowego owalu, głęboko wciągnął w płuca zapach lasu, zbutwiałego listowia i gnijących odpadków. Rozejrzał się i nie widząc nikogo w

pobliżu, zaczął wymachiwać ramionami, aż się zadyszał. Z tyłu szurgnęły opony, na parking wtoczył się lśniący białą mercedes na austriackich numerach. Miętko wyhamował, wahał się na amortyzatorach, cmoknęły drzwi od strony kierowcy. Z wozu wygramolił się facet, szarpnął ku górze spodnie zjeżdżające z wydatnego brzucha.

–Glick auf! – przywitał się i zamarł z półotwartymi ustami, oczekując odpowiedzi. Michał zrozumiał, że facet ma problemy z dogadaniem się po polsku i szuka kogoś władającego niemieckim. Źle trafiłeś, bracie, pomyślał. Nie mam dzisiaj ochoty na uprzejmości.

–Dzień dobry – odpowiedział grzecznie.

–Ach... – stęknął zawiedziony Austriak. Odwrócił się do samochodu. – Ich habe gedacht, da/ wir nur jenseits der Grenze nicht zur Verstdndigung gelange können – powiedział do kobiety z przedniego siedzenia. – Hier ist es aber nicht Besler.

Niemal nie ukrywał pogardy. Michał miał ochotę mu przygadać, ale kobieta w mercedesie, jakby wyczuła jego zamiar, półgłosem ostrzegła męża przed agentami bezpieczeństwa. Zerknęła na Michała, więc ukłonił się jej grzecznie, kiwnął głową mężczyźnie i ruszył do swojego wozu. Austriacy wymienili kilka cichych, gorączkowych uwag na temat wciąż działającego systemu infiltracji społeczeństwa. Stłumił pęczniejącą złość, nawet nie splunął na żwir parkingu. Ostentacyjnie wolno, żeby poczuli, kto tu jest gospodarzem, wsiadł, ustawił lusterka i dostojnie wytoczył się na szosę.

Do lży dotarł w ciągu kilku minut. Stąd rozchodziły się dwie jednokierunkowe drogi na Lipsk. Wbrew logice Przyspieszył i do Końskich gnał, jakby ścigał go diabeł albo urząd

finansowy. Nieco zwolnił na odcinku od Końskich do Sulejowa, a gdy anty-rad ćwierknął ostrzegawczo, zredukował prędkość do sześćdziesięciu trzech. Spokojnie przejechał obok policjanta, opartego biodrem o maskę granatowego samochodu z czterema sterczącymi antenami. Minał sklep, odprowadzany sennymi spojrzeniami amatorów piwa skręcił w prawo i zatrzymał storma przed czwartym domem na ulicy. Wyłączył silnik, podniósł słuchawkę telefonu. Krystyna odebrała po piątym sygnale.

–Cześć! – rzucił rażno. Wyjął kluczyki, uruchomił alarm. – Co robisz?

–Myję głowę. Przyjedziesz? Pojedziemy do Wrocławia? Pamiętasz?

–Odpowiadam na pytanie pierwsze. – Wygramolił się na jezdnię ze słuchawką przy uchu. – Przyjadę. Odpowiadam na pytanie drugie... – Udał teleturniej ową niepewność. – Pojedziemy? Czy „pojedziemy” to właściwa odpowiedź?

–Tak. Nie muszę nawet patrzeć na sędziów – dostosowała się do jego wygłupów. – Ale z niecierpliwością czekamy na odpowiedź trzecią, która zadecyduje, czy dwie nieużywane landrynki przejdą na pana własność.

Podszedł do furtki, przełożył rękę i otworzył zamek. Szybko podszedł pod drzwi wejściowe, nacisnął klamkę. Skrzywił się – zamknięte.

–A ile mam jeszcze czasu? – zapytał, jednocześnie wciskając gong. W słuchawce usłyszał jego dźwięk.

–Pięć sekund. Pośpiesz się, ktoś dzwoni do drzwi, może konkurencyjny szofer?

–Umm... – przeciągnął, jednocześnie słuchając kroków za drzwiami i w

słuchawce. – No to...

Otworzyła, nie spojrzawszy nawet w wizjer. Słuchawkę przyciskała barkiem do ucha, lewą ręką masowała gruby elastyczny kłęb wilgotnych, ciemnych włosów, w prawej trzymała wysokie naczynie podobne do amfory. Otwierając drzwi, nabierała powietrza, żeby coś powiedzieć, ale na widok Michała zamarła.

Odpowiadam na trzecie pytanie: pamiętam – powiedział do słuchawki.

–Co za bydlę!

Opuściła ręce, włosy uwolnione z pęt rozsypały się jak stado węży. Cisnęła butelkę w kąt, ale przedtem zerknęła czy jest zakręcona, co Michał zauważył z rozbawieniem – Pisnęła i rzuciła mu się na szyję, trzymając słuchawkę w daleko odsuniętej ręce.

Pocałował ją w szyję, chwycił koniuszek ucha między zęby i przygryzł lekko. Okręcił na dłoni kaskadę włosów, odchylił do tyłu głowę Krystyny. W szeroko rozwartych, błyszczących oczach widział swoją twarz, rozróżniał nawet własny uśmiech. Wolno pochylił

się i musnął jej wargi swoimi, potem jeszcze raz, mocniej. Po minucie jednocześnie odsunęli się od siebie.

–Cholera – rzuciła głośno i niespodziewanie. – Nigdy jej nie ma, kiedy jest potrzebna!

–Kto ci jest potrzebny oprócz mnie? – obruszył się.

–Madzka z kamerą! – Odskokczyła i pokazała mu obie słuchawki, które ściskali w rękach podczas pocałunku. Przecież to wymarzone zdjęcie dla telekomunikacji!

Michał wszedł i nogą zatrzaskał drzwi.

–Jeśli sprzedasz nas jakiejś zakichanej telekomunikacji... – zagroził.

–Jeśli dobrze zapłaci – pokręciła głową z cwany uśmieszkiem, a potem w jej oczach coś rozbłysło.

Aha!, pomyślał Michał, akurat teraz dotarło do niej, że żarty żartami, ale to może być naprawdę ładne zdjęcie reklamowe.

–Świnia jesteś – powiedziała nagle Krystyna. Michał popatrzył na nią ze zdziwieniem. Pomyślałeś sobie, że sprzedam to zdjęcie, prawda?

Uderzyła go pięścią w pierś.

–Takie oszczerstwa bolą – bronił się żartem. – I takie Piąstki również. Najbardziej jednak boli, że usiłujesz wykiwać mnie przy kasie.

Przytuliła się do niego, objęła wolną ręką i westchnęła Przeciagle.

–Jak ty mnie znasz.

Poszukał ustami jej ucha, pocałował. Przytulił ją i trwali tak długo, długo, długo...

3.

Wóz wszedł gładko w szeroki zakręt. Znudzony monotonną jazdą, Michał przeniósł wzrok na kierownicę i własne dłonie. Zobaczył cienką bliznę biegnącą od kostki środkowego palca do brzegu dłoni. Nierówna walka, pomyślał, nie miałem szans. Kiedy po raz pierwszy przyszedł do Krystyny i stał jeszcze ze skórzaną kurtką w ręku, do pokoju wpadło nagle olbrzymie kocisko podobne do żbika z obciętym ogonem i wyrzuciło z siebie przeraźliwy skrzek, od którego ciarki przeszły po plecach. Krystyna zamarła i szepnęła:

–Nie ruszaj się, niech cię obwącha!

Michał beztrąsko zamachnął się kurtką na kota.

–Czy to naprawdę konieczne...

–Cii! – przerwała.

Było już za późno. Cętkowany pocisk runął na Michała, wczepił się w kurtkę i ciął wszystkimi czterema łapami. Skóra niemal nie stawiała oporu, tylko cicho trzeszczała pruta

podszewka. Potem jeden z pazurów dosięgnął ręki Michała, który pospiesznie puścił kurtkę i odskoczył. Krystyna przysunęła się do niego. Zwierz chlasnął pazurami po znieruchomiałej kapitulacyjnie skórze, warknął przeciągle i nagle uspokoił się, odsunął od pognębnego przeciwnika.

–Matko w niebiesiech! – wykrztusił Michał. Przez głowę przemknęło mu kilka dowcipnych pytań, ale wydały się żałosne wobec leżących na podłodze, jeszcze ciepłych zwłok kurtki. – Co to za kot!?

–Zapomniałam, przepraszam. Nazywam go Puchalec. Zaprowadziła gościa do kuchni i wskazała krzesło.

–Przyszedł do mnie pół roku temu, przez otwarte okno w piwnicy i dziurę po wykutej rurze – ciągnęła. – Był potwornie skatowany, nie wiem, przez ludzi czy pobratymców. Dwie doby nie dawał się dotknąć, ale potem osłabł i mogłam go leczyć. Jest samodzielny i niezależny, co jakiś czas wpada do mnie zobaczyć, czy wszystko po staremu. Rządzi tym domem twardą łapą: kiedy zamurowałam dziurę i zostawiłam w zamian szeroko otwarte drzwi do piwnicy, siedział i darł się przez pół nocy. Musiałam zejść na dół z młotkiem, wybić z powrotem dziurę i uprzątnąć gruz. Wtedy on wczołgał się po swojej trasie i tak już zostało. – Nerwowo zerknęła na kocura, który przeszedł obok drzwi kuchni. – On nie życzy sobie żadnych zmian i nie zamierzam z nim dyskutować.

Michał również nigdy nie dyskutował z Puchalcem. Schodził mu z drogi, unikał prowokacji i więcej nie został zaatakowany. Kot ustąpił mu kawałek miejsca w domu Krystyny, ale Michał miał pewność, że gdyby przekroczył wyznaczoną granicę, straciłby co najmniej następną kurtkę. Kiedyś zapytał:

–Czy to nie jest zdziczały egzemplarz amerykańskiego kota nadrzewnego? Może by sprowadzić jakiegoś... jak im tam? Felinologa?

–Aha, pewnie uważasz, że mamy za dużo takich fachowców? Chcesz jednego poświęcić?

Musiał przyznać, że jej obawy nie są całkiem bezpodstawne.

Krystyna rozmawiała po niemiecku przez telefon, rzucając mu skruszony spojrzenia.

–Dobrze – burknęła do słuchawki. – Do zobaczenia pojutrze.

Michał zerknął spod oka na kobietę. Po raz kolejny zachwycił go jej profil – lekko zadarty nos, pełne czerwone usta, którym szminka mogła tylko zaszkodzić, gładkie czoło za gęstą firanką falujących włosów. Wyczuła, że na nią patrzy, prowokująco wysunęła wargi i posłała mu pocałunek.

–Mogę jeszcze podzwonić? – zapytała. – Załatwię to teraz i będę miała spokój.

Nie czekając na odpowiedź chwyciła telefon i zaczęła iktować, ale coś w centrali się posypało, więc wystukała wprawnie kilkanaście cyfr składających się na długi numer. – Hallo? Herr Satcher? Fein, hier spricht Krystyna bodziec. Ich telefoniere nach Vera.br edung... Ja. Ich bin eben gespannt, auf welche Weise Sie vermeiden wollen, dafi... Ah so? Na, wirklich, auf diese Weise... Ja, ich verstehe. – Kiwała głową z coraz szerszym uśmiechem. – Na klar. Gut, Solche Rolle geniigt mir, einuerstanden... iibermorgen: werde ich also, die ganze Equipe mobilisieren. Słuchała jeszcze chwilę. – Okay. Wir sind verabredet. Danke. Auf Wiedersehen.

Usatysfakcjonowana odłożyła słuchawkę.

–Co to za miejscowość minęliśmy?

–Wartenberg, jeszcze Oels i jesteśmy we Wrocławiu poinformował Michał i zachichotał, bo jakiś partyzant skreślił Wartenberg i napisał: „Syców”. – Z której strony jest osiedle?

–Osiedle, zaraz... – Krystyna zmarszczyła brwi. Chyba mówiła mi, że na wylocie na Kudowę, znaczy Bad Kudowa przez Frankenstein i Glatz, czyli całe miasto trzeba przejechać. Zresztą i tak muszę do nich zadzwonić. Ochrona osiedla nas nie wpuści, a jak ją znam, nie pomyślała jeszcze o zgłoszeniu listy gości do bramy.

–Mieszkają w chronionym osiedlu?

Z rykiem klaksonu wyprzedził ich żółty w czarne pasy fiat montevideo. Lalcegrubasowi przyklejonemu przyssawkami do tylnej szyby opadły spodnie, podniosły się i znowu opadły.

–Piękna maszyna – zauważyła Krystyna.

–Piękna – zgodził się Michał. – I fajnie mieści się w spodniach.

–Głupi.

–Co z tym osiedlem?

–No... strzeżone osiedle z własną ochroną, basenem, minigolfem, świetlicą, sto czterdzieści programów kablówki, studnia głębinowa aż do wody pliocońsko-mioceńskiej. Poza tym mają w domu, czego im zazdrozczę, instalację na wodę przemysłową do sanitariatów i małą oczyszczalnię, która kieruje zużytą wodę z łazienek do WC, podlewania zieleni, myjni samochodowej i spryskiwania jezdni przed domem. Osiedle wzbogacone jest o wiatraki pokrywające zapotrzebowanie na energię w czternastu procentach i...

–Kupuję! – własny burdel o nazwie „Chata z wuja Toma”.

–No wiesz, to chyba przesada. Ona naprawdę chce tam mieszkać? Krystyna wzruszyła ramionami:

–Skoro tam czuje się bezpieczna...

–Bzdura. Sama pakuje się do getta. To najlepiej widać w Stanach. Ci porządni pozamykali się w swoich dzielnicach, resztę kraju, całą resztę – podkreślił – zostawili w rękach tych, których się boją. Poruszają się po wyznaczonych trasach, spotykają się w wyznaczonych miejscach, żyją tylko odtąd dotąd. Rozumiesz? Wypuścili Murzynów z gett i sami zajęli ich miejsce. – Parsknął gorzkim śmiechem. – Pomijając wszystko inne, pod względem strategicznym to absurd, bo jeśli kiedyś dojdzie do wojny domowej, to biali będą musieli spacyfikować niemal cały kraj, a tamci tylko kilkaset niedużych ośrodków skoncentrowanej białości.

Za zakrętem pojawił się powolny ciągnik z doczepioną zieloną kanciastą maszyną rolniczą marki John Deer. Michał zawahał się, widząc nadjeżdżający z przeciwka samochód, mruknął coś z dezaprobatą i przez chwilę włókł się za ciągnikiem, zanim mógł go wyprzedzić.

–Nie trzeba tłumaczyć, komu łatwiej byłoby zniszczyć przeciwnika – dokończył już bez poprzedniego zapалу. Zresztą co kto lubi. Tylko dziwię się temu jej Hansowi, –wydawał się nowoczesny, a tu przegrał od razu na punkty...

Kilkanaście kilometrów przejechali w milczeniu. Michał zastanawiał się, czy w domu Marty będą mieli dla siebie kilka minut, czy nie pozostanie mu nic innego, tylko wziąć zimny prysznic. Właściwie powinienem cieszyć się z każdego wzvodu, pomyślał, w moim wieku... Z czasem okazuje się, że najważniejszy dla mężczyzny jest nie ten pierwszy, a ten ostatni raz.

Lekceważąc przepisy gwałtownie przyspieszył, wyprzedził kilku maruderów, wypadł na drogę do Wrocławia.

–Radzę ci uważać – ostrzegła Krystyna. – W tych koskach policja lubi zastawiać pułapki na rozpedzonych kierowców.

–Płaciłaś?

–Żeby raz! – parsknęła.

–Żyleta z ciebie – ocenił. Zastanawiał się chwilę. Chyba cię Kocham. Popatrzyła na niego, zacisnęła wargi.

–Świnia jesteś – powiedziała niespodziewanie. Chcesz, żebym się popłakała i rozmazała makijaż.

Chciał powiedzieć, że bez makijażu będzie wyglądała nie atrakcyjnie, że nikt na nią nawet nie spojrzy i wtedy będzie ją miał tylko dla siebie, ale nagle odeszła go ochota na błaznowanie.

–Dojechaliśmy! – przerwał milczenie.

Biała tablica obwieszczała obojętnie: „WROCŁAW”. Zdominował ją ustawiony z tyłu ogromny, kwadratowy, intensywnie błękitny billboard, na którym agresywnie żółte litery, każda większa od całej tablicy, układały się w tekst: „LIEBE, GEEHRTE TOURISTEN! HERZLICH WILLKOMMEN IN BRESLAU!”

–Oto przykład sprytu rajców, którzy uraczyli Niemców prawdziwą nazwą miasta, nie drażniąc psychopatycznych patriotów. – Zamilkł na chwilę i dodał: – Jeśli jeszcze tacy tu zostali.

–Możesz jechać obwodnicą, wreszcie ją skończyli mruknęła Krystyna, nie

reagując na jego ironię.

Pochyliła się do klawiaturki, wywołała system SAR, uruchomiła lokalizację samochodu i podyktowała adres siostry. Po chwili ekranik zaproponował optymalną trasę na obrzeżu Wrocławia. Krystyna zażądała innej, którą zaakceptowała. Głośnik natychmiast maszynowym, nieprzyjemnym tonem polecił skręcić w następną przecznicę w prawo.

Wjechali na czteropasmówkę. Z lewej strony przyciągał wzrok gigantyczny balon w kształcie lodówki z lat pięćdziesiątych, z napisem: „Beckman-Polar. Sprzęt kuchenny przyszłego wieku już dzisiaj!” Nadjeżdżające z podmiejskich osiedli samochody tłoczyły się na jezdni. W milczeniu pokonali kilka kilometrów opasującej miasto autostrady. Krystyna syknęła poprawiając się w fotelu, ale na pytające spojrzenie Michała warknęła, że wytrzyma aż do kulturalnego kibelka u swojej siostry. Pilot nakazał zjazd z obwodnicy, a potem jeszcze kilka razy odzywał się skrzekliwie: „Następna w prawo!”, „Następna w lewo!”

Podjechali do bramy oplecionej gęstym winem, nie wiadomo, sztucznym czy prawdziwym. Michał mruknął do Krystyny: „Ausweis, bitte!”, ale dowcip nie wywołał uśmiechu. Z zamaskowanej listowiem budki wartowniczej wyszedł młody wąsaty człowiek w służbowym mundurze, skrojonym jak garnitur. Idąc do samochodu, nie spuszczał z oka pasażerów. Powiedział coś do przycazonego w kąciiku ust mikrofonu, pewnie dyktował komuś – komputerowi dowódcy, dyżurnemu – numer rejestracyjny. Podeszedł bliżej, ni to uklonił się, ni to zasalutował. Michał wyciągnął palec wskazujący i poprowadził nim linię od strażnika do głowy Krystyny. Wartownik nie zareagował. Zresztą byłby marnym strażnikiem, gdyby pozwalał się sprowokować każdemu dowcipnisiowi.

Zawiedziony Michał wdusił klawisz i otworzył okno.

–Do pani Grodziec – rzucił, zanim wartownik się zatrzymał. – Michał Weiss i Krystyna Grodziec. Siostra pani Grodziec.

–Krystyna Grodziec, Michał Weiss – powtórzył wartownik, jakby chciał zapamiętać personalia gości. Sekundę później dostał odpowiedź, której nikt poza nim nie słyszał,

widocznie pomyślną dla pasażerów, bo odsunął się w bok i wskazując kierunek ręką, powiedział: – Proszę bardzo, przed domem jest jeszcze miejsce. Gdyby zabrakło, proszę skierować się na osiedlowy parking, bezpłatny, kilkadziesiąt metrów od domu pani Grodziec. Michał zerknął na zegarek, poprawił spodnie wciąż odstające w kroku.

–Mamy prawie dwie godziny... – powiedział w przestrzeń, wjeżdżając w bramę.

–No, dużo mniej, jeśli myślisz o tym samym co ja. Krystyna pochyliła się, wyłączyła SAR i mrugnęła do Michała. – Chyba że dom jest już pełen gości...

Michał pokonał łagodny zakręt, wprowadził forda w następny szeroki łuk. Osiedle rozplanowano w ten sposób, że gęste parawany drzew i wysokich krzewów rozdzielały grupki domów, co dawało poczucie intymności.

Mruknął z aprobatą, ponownie zakręcił kierownicą, syknęły pneumatyki zmuszone do wyężonej pracy.

–Możemy zostać w samochodzie – zauważył. Wyjechali na kolejny placyk z trzema domkami, nanizany na wstążkę drogi.

–Wyskoczę i zapytam o warunki mieszkaniowe, a gdyby nie pasowały, wrócę i zostaniemy w samochodzie przez godzinę – zaproponowała Krystyna.

–Dwie.

–Dobrze, dwie.

–Uwzględniając liczbę gości, mieliśmy jednak szczęście z tym pokojem!

Michał poderwał głowę. Szept Krystyny i delikatne skubnięcie ucha zębami wytrąciły go z chwilowej zadumy.

–Szczególnie ja. – Trzymanym w rękę kieliszkiem wolno zatoczył ćwierć koła, wskazując salon i gości. – Nie ma tu ani jednego faceta, który nie wgapiłby się w ciebie lepkiem wzrokiem. Niedługo zaczną się ślinić.

–Zawsze podobały mi się twoje subtelne komplementy. – Otoczyła jego szyję ramieniem, musnęła policzek przelotnym pocałunkiem. – Znasz już wszystkich?

–Tak – uśmiechnął się. – Większość znałem już wcześniej, kilka osób jest nowych. Sympatyczni ludzie – dodał, uprzedzając, jak mu się wydawało, następane pytanie Krystyny.

Ponad jej głową popatrzył na salon. Akustyczna mapa przyjęcia wyglądała typowo: polany śmiechu i hałasu, plamy ciszy i szczęku sztuców, oazy ważkich rozmów o interesach i tylko dwie zatoczki miłosnych pospiesznych uścisków. Z boku nadbiegła zaaferowana gospodyni, wyhamowała przy nich, pieszczotliwie przeciągnęła palcem po policzku siostry, uśmiechnęła się do niej i przeniosła ciepłe spojrzenie na Michała.

–Opiekuje się tobą czy sprowadzić ci jakąś energiczną dziewczynę?

–Jeszcze bardziej energiczną? Litości!

Objął Krystynę i przytulił mocno. Gdzieś za filarem kilka osób wybuchnęło homeryckim śmiechem. Marta drgnęła, zerknęła przez ramię i uśmiechnęła się przepaszająco. Kiedy wystartowała w kierunku rozbawionej grupki, Krystyna pociągnęła Michała do stołu. Po drodze jednak ktoś ją porwał. Michał skręcił za filar, a potem wymknął się na pusty taras. Przez chwilę słuchał muzyki, ale przeszkodził mu jakiś głośny brzęk w salonie. Zerknął na zegarek i syknął, widząc, że sporo jeszcze brakuje do północy.

–W morrdę i nożem! – mruknął do siebie. Wsunął się do salonu, chwycił dwie kanapki i wyskoczył z powrotem na świeże powietrze. – Znikamy...

–Sam do siebie? Znalazłeś odpowiedniego partnera?

Staął twarzą w twarz z uśmiechniętą blondynką, która z pewnością straciła sporo czasu i pieniędzy w siłowniach i salonach masażu. Nie zamierzała tego ukrywać, ostentacyjnie prezentowała muskularne ramiona i równie muskularne nogi. Uśmiech miała jednak sympatyczny, chociaż wyglądała na zalaną – oblizywała wargi, pewnie drętwiące po alkoholu.

–Poznajesz mnie, chłopcze z za Wisły? Co nowego w lepszej Polsce?

–Poznaję – powiedział, gorączkowo szukając w pamięci imienia muskularnej blondyny. – A nowa jest przede wszystkim moda: znowu krótkie spódniczki i buty na

koturnach.

Anna? Irena? Ola? O... Olga! Przypomniał sobie – pracowała w radiu, serwis miejski, pogaduszki z miejscowymi fiszami, cokolwiek, byle bez wysiłku, z zerowym nakładem pracy. Ale bystra, co natychmiast udowodniła.

–Już sobie przypomniałeś? Fajnie. – Chwyciła go za ramię, mocno ścisnęła i pociągnęła w kierunku baru. Bardzo się cieszę, że cię widzę, z kilku powodów. – Kokieteryjnie zmrużyła oczy. – Ale nie podam ci wszystkich, bo nie mam zamiaru zwiększać populacji próżnych samców. Taka ze mnie wstrętna babska szowinistka.

Michał jęknął w duchu i zaczął kombinować, jak ją splawić. Dostrzegł w tłumie przystojniaka z kruczoczną brodą, który wszem i wobec ogłaszał, że bawi go seks z żoną przyjaciela. „Bo to jak z drażnieniem tygrysa: i śmieszno, i straszno!” Olga uszczypnęła Michała w biceps i zatrzymała się nagle.

–Idiotka! Zupełnie zapomniałam. Posłuchaj, mam dla ciebie przesyłkę. Koperta od Marka Bazarewicza, kojarzysz? Tu go poznałeś, na pewno. – Zniecierpliwiła się. Marek-Bazarek! No?

Nie miała racji, dobrze pamiętał, że poznał Bazarewicza gdzie indziej. Spokojny, duży, brzuchaty facet, gadatliwy nieszkodliwie, choć czasem w irytującej konwencji „chłopskiego filozofa”, z ogoloną na łyso głową i rudawymi wąsami. Obracał się wśród dziennikarzy i artystów, bywał w klubach twórców, na wernisażach i festiwalach. Znał wszystkich i wszyscy go znali, chociaż nie wszyscy tego chcieli, wieczny bard bez zawodu i rodziny.

–Tak, kojarzę.

–Dobrze. Dla mnie krwawą – zdecydowała, gdy dotarli do baru. – Dwa miesiące temu dał mi jakąś kopertę, bo doszedł do wniosku, że lepiej znam Martę i szybciej cię wytropię, ale przyznaję bez bicia, że zapomniałam. Wzięła szklaneczkę z czerwonym płynem. – Jutro. Przysięgam: jutro skoro świt, jakiś taki rozsądny świt, rzecz jasna. Okay?

–Ale co ja mam dla niego zrobić?

Upiła łyk i wrzuciła ramionami, aż zachlupotała ciecz w szklaneczce.

–Ups! – Oblizwała wargi. – Nie wiem. Zanim gdzieś wsiąkł, dał mi tę kopertę i długo tłumaczył, dla kogo jest przeznaczona. – Zastanowiła się. – Miałam wrażenie, że chciał ją przekazać komuś innemu, ale w końcu zaadresował do ciebie.

Michał nie zamierzał już uciekać; zaintrygowała go mętna opowieść Olgi, a na przyjęciu i tak nie działo się nic ciekawszego.

–Co to za koperta? Gruba? Cienka? I dlaczego mówisz, że on wsiąkł?

–Koperta jak koperta: duża, foliowana, sztywna, dość gruba i zabezpieczona. – Uśmiechnęła się szeroko. – Nie da się otworzyć nad parą. Bazarek jakoś zaraz potem przestał się pojawiać u nas w radiu.

Wsunęła mu rękę pod ramię.

–Chciałam nawet wysłać kopertę do Krystyny, miałam jej adres – paplała. – Ale potem skojarzyłam, że do imienin Marty tylko kilka dni, przygotowałam ją sobie i w końcu zapomniałam wziąć! – zachichotała. – Ale to nic wyślę jutro, jak mówiłam, skoro świt.

Gwałtownie wlała w siebie resztę koktajlu i odstawiła szklankę.

–Tylko nie wiem – przysunęła się bliżej, jej kolano musnęło nogę Michała – co ciocia Olga będzie z tego miała?

–Głęboką wdzięczność Marka. – Przechwycił biegnące po jego rękawie palce Olgi, unieruchomił, podniósł do ust i ucałował. – Moją również, w końcu spodziewam się jakiegoś niezłego interesu po tej przesyłce.

–Skoro mowa o niezłym interesie... – Olga przeszła do bezpośredniego ataku. Obróciła się na pięcie, żeby podpatrzonym u filmowych wampów ruchem otrzeć się wdzięcznie o

Michała, ale pod wpływem alkoholu straciła równowagę i poczęstowała go dość mocną sójką w żołądek.

–Co to się dzieje? – zapytała z komiczną powagą.

–To ja, przepraszam, chyba muszę na powietrze – wymamrotał krztuszący się ze śmiechu Michał i wybiegł na taras, ignorując bełkotliwy protest rozmówczyni. Zerkając przez szybę, sprawdził, co porabia Olga. Z ulgą zobaczył, że dopadła jakiegoś innego samotnika i zawisła mu na ramieniu.

–Ostro było! – mruknął do siebie i spokojnie już podążył w kierunku stojaka ze słuchawkami.

Bez przeszkód odsłuchał połowę kultowej płyty The Dialogue With Universe grupy Milkmaker i wyszukał drugi album tej formacji. Nagle czyjaś chłodna dłoń dotknęła jego karku. Na ułamek sekundy zamarł ze strachu, ale zaraz przypomniał sobie, że Olga miała gorące dłonie.

–Myślałem, że już nie przyjdiesz. – Otworzył oczy i zrobił wystraszoną minę. – Ach, to ty?!

–Kiepski z ciebie aktor.

Krystyna usiadła obok i oparła głowę na ramieniu Michała. Zrzucił z uszu słuchawki.

–Nie poznałaś się na mnie: genialnie gram kiepskiego aktora.

–Ja się nie poznałam?

Objął ją i przytulił. Nie wiem, czym sobie zasłużyłem na taką kobietę, pomyślał. Może po prostu Stwórca coś przeoczył.

–Myślisz o mnie? – zapytała, a Michała przeszły ciarki jak zawsze, gdy popisywała się swoją przenikliwością.

–Tak – przyznał się.

–Dobrze. Bardzo dobrze. – Milczała chwilę. – O czym gadaliście z Olgą, kiedy ją obmacywałeś?

–Skoro widziałaś, to nie zarzucaj mi obmacywania. Znasz Bazarka? – Przytaknęła. – Dał Oldze jakiś list do mnie, a ona właśnie sobie o tym przypominała.

–A to larwa! – syknęła Krystyna. – Założę się, że umyślnie czekała na okazję, żeby cię dopaść.

Pogłaskał ją po dłoni i znowu mimowolnie zastanowił się nad kopertą od Bazarewicza.

–Ale nie dopadła. Idziemy zatańczyć?

–Będziesz tańczył tylko ze mną i nikomu mnie nie sprzedasz? – upewniła się, wstając.

–Nikt tutaj nie ma takiej kasy! – uspokoił ją.

–No to tańczymy do trzeciej. Potem drink i do łóżka. Tuż przed zaśnięciem zerknął na budzik pokazujący za dwie piątą i znowu powróciła natrętna myśl: Czego chciał Bazarewicz?

4.

–Znam cię już dobrze – oświadczyła Krystyna uwieszona na ramieniu Michała. – Nie ciągnij tak po tej alejce! Wiem, że cię denerwują te germańskie symbole, cała ta Hala Ludowa, betonowa pergola, Olympisches Stadion...-Nie tyle symbole, co ich kultywowanie, więc nie znasz mnie tak dobrze, panienko. Chodź, postawię ci loda, tylko nie mów, że dieta itepe, a potem będziesz się dobierać do mojej porcji.

–Chromolę dietę, mówiła mi Marta, że tu są dobre lody. podeszli do lady osłoniętej pstrą markizą. Michał zwrócił się do lodziarki:

–Więc tak, poproszę po jednej gałce: kiwi... – odczekał aż dziewczyna w stylizowanym ludowym stroju włoży do prostokątnych korytek dopasowane kawałki wafła i dyktował dalej: – Brzoskwinia, jagodowe, koniak... Tak... melba, gruszka...

–Przepraszam, ale wchodzi tylko pięć gałek – wykrztusiła dziewczyna. – Może państwo zjedzą, a ja za chwilę przygotuję drugą porcję. Zręcznie wygładziła lody w formie, przykryła drugim waflem i sprasowała. Po kilku sekundach obie porcje wylądowały na drewnianej tacce.

–E, to już nie to samo – westchnął Michał, podając pieniądze. – Nie wiedziałem, że pani ma tylko dziecinne porcje.

–Proszę pana – oburzyła się dziewczyna. – Większych porcji to nawet dzieci nie zjedzą. Pan musi mieć niesamowity apetyt.

–Owszem, niełatwo zaspokoić apetyt tego pana przyznała Krystyna i mrugnęła do lodziarki, która odpowiedziała porozumiewawczym uśmiechem.

Krystyna porwała swojego lodowego sandwicza, liznęła i rozejrzała się, szukając wolnych fotelików z widokiem na fosę z łabędziami. Starannie wybrała dwa miejsca i wskazała je Michałowi.

–Kiedyś trafiłem w barze na wątróbkę wieprzową z rusztu – powiedział siadając i polizał loda. – Poprosiłem o trzydzieści deko, dostałem czterdzieści kilka i zjadłem. Była znakomita, a wiesz, że dobrą wątróbkę przedkładam ponad wszystko. Chcę już wyjść, a ta wątróbka dalej pachnie i kusi... Poprosiłem o drugą porcję, dostałem trzydzieści sześć deko, pamiętam jak dziś, kobieta zawahała się, ja nie. Zjadłem. I po godzinie los rzucił mnie znowu w okolice tego baru. Pomyślałem sobie: taka wątróbka nie co dzień się zdarza, łap, Michał,

okazję. Idę więc do lady i ordynuję sobie wątrobę, dostaję nieśmiało trzydzieści deko, kobieta patrzy na mnie, ja płacę i zamierzam odejść, a ona z pewnym wahaniem: „Pan to chyba lubi wątróbkę?”

Krystyna stłumiła śmiech. Całe stado różnobarwnych kaczek, łabędzi i jakichś mniejszych ptaków podpłynęło bliżej. Czteroletnia dziewczynka wytrzepała opakowanie po karmie. Chwilę później Krystyna westchnęła z żalem:

–Jak powiadają stare ludzie: wszystko, co dobre, ma swój koniec, tylko kiełbasa ma dwa.

–No to wracajmy. Jaki dziś dzień? Niedziela? We wtorek muszę być w Bystrzynie. Ruszyli w stronę samochodu, zaparkowanego pod Halą. Wrześniowe słońce grzało mocno, ale pod pergolą obrośniętą bluszczem panował miły cień. Wokół fontanny bijącej na kilkanaście metrów krążyły pary i rodzinne grupki z dziećmi, trzy wycieczki

szkolne obsiadły płytki basen. Co pół minuty ktoś wpadał na oryginalny pomysł, żeby ochlapać jakąś dziewczynę, która donośnym piskiem informowała cały świat o głupocie jakiegoś Jacka, Petera czy Huberta...

–Co cię trzyma w tej Bystrzynie? Przecież to dziura!

–Ma dogodne położenie – bronił się Michał. – Blisko Lublin, Biała Podlaska, Siedlce, Brześć. – Spróbował zmienić temat. – Służby miejskie nie są tutaj zbyt sprawne.

Wskazał płot, na którym fachową ręką doświadczonego graffitera wypisano aforyzm: „Wolności łatwiej się pozbyć niż czkawki, nie trzeba jej nawet straszyć!”, a na kolejnym segmencie, już sprayem amatora: „Najwięcej witaminy mają wrocławskie dziewczyny! Najwięcej syfa – madchen z Kiingsdorfu!”, obok innym kolorem: „Się nie rymuje, chuju!”, a jeszcze niżej: „Tu masz, chuju, rym: wążaj z dupy dym!”

Krystyna niecierpliwie szarpnęła go za rękaw, więc dodał machinalnie:

–Do Warszawy niedaleko, do Lwowa.

–Do Kielc też, ale chodzi mi o to, że ta Bystrzyna to już zagranica!

–No to co? – Wrzucił do automatu cztery monety, wyciągnął pasek kodowy zdalnie uwalniający samochód z parkingowych kotw. – Przekraczam ją, kiedy chcę.

–Przedtem marnując czas i energię na tego ruskiego urzędasza.

Michał zmilczał. Takie dyskusje prowadzili już wielokrotnie, znali stare argumenty na pamięć, a nowych nie potrafili wymyślić.

–A może... – zaczął szybko i przerwał z braku pomysłu.

–Jedziemy pożegnać się z Martą, może już się obudziła i wracamy do siebie – ucieęła stanowczo Krystyna. Nie ma to jak w domu.

Razem weszli na parking. Michał pomógł wsiąść Krystynie, otwarcie taksując jej długie, niemal całkowicie odsłonięte nogi. Usiadła i obrzuciła go prowokującym, powłóczyстым spojrzeniem.

–Pasek ci się zsunął – powiedział, wskazując spódniczkę.

–Dziękuję.

Michał obszedł samochód i wsiadł od strony kierowcy. Puknął palcem w przycisk automatycznej sekretarki i zapalił silnik. Krystyna uruchomiła odczyt. Kiedy wyjeżdżali -parkingowy szeroko uśmiechnął się i pomachał im na pożegnanie – w automacie rozległ się zdenerwowany głos Marty:

–Krysiu, Matko Boska! Wiesz, co się stało? Boże, idiotka ze mnie, skąd masz wiedzieć...

Niespodziewanie chlipnęła. Krystyna przeniosła wystraszone spojrzenie na Michała. Szybko chwycił jej lewą dłoń i uścisnął.

–Posłuchaj, właśnie odłożyłam słuchawkę, dzwoniła Baśka, wspólna znajoma z radia. Matko... Olgę przejechał samochód, na rondzie przy Powstańców Śląskich, to znaczy teraz Kohla! Podobno wcześniej rano, na sporym gazie, wyszła dokądś i wpakowała się pod jakiś wóz, a kierowca uciekł. Tak powiedzieli ci z policji. – Nagle rozplakała się. – Ale wiesz, co jest najgorsze? Jak odłożyłam słuchawkę, zobaczyłam, że coś jest na sekretarce, włączyłam i tam była... – Jadąc wzdłuż płotu słynnego zoo, słuchali, jak Marta szlocha i pociąga nosem. – Olga dzwoni- ła do Michała, chyba tuż

przed śmiercią, wesola, zapruta w siwy dym! Powiedziała, że wysłała właśnie tę kopertę, o ma ochotę na spacer po świtującym Wrocławiu, że jest s^olidną firmą i coś tam jeszcze, wiesz, takiego wesołego...

Krystyna zdecydowanie wdusiła stop, podniosła słuchawkę i podyktowała numer Marty. Zabębniła palcami w kolano, spojrzała bezradnie na Michała.

–Zajęte...

–Może przekazuje dalej wiadomość? Może rozmawia z policją?

–Po co? Co Marta może wiedzieć o... – pokręciła bezradnie głową – o sprawcy, okolicznościach, o czymkolwiek? Znała Olgę tak, jak cała masa ludzi. Nic więcej... dokończyła cicho.

Wyglądała jak zabawka, w której wyczerpały się baterie. Michał chciał powiedzieć coś krzepiącego, ale nagle dotarło do niego całe znaczenie informacji Marty – ktoś znajomy umarł, umarł nagle, bezsensownie. Przyhamował i zjechał na bok. Przed oczami miał twarz rozweselonej alkoholem kobiety.

–Biedna Olga – powiedział cicho.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Potem Michał zerknął na monitor i włączył się do ruchu. Piętnaście minut później siostry padły sobie w objęcia. Marta pochlipała trochę, Krystyna uspokajająco poklepywała ją po plecach. Michał pokręcił się po domu, napił się piwa w kuchni i przypomniawszy sobie o nagraniu, poszedł do salonu. Telefon był o generację do tyłu w stosunku do najnowszej mody, ale miał dość poręczną słuchawkę z szorstką płytką sensora do wystukiwania numerów i sekretarkę doskonale nagrywającą dźwięk nawet z kiepskich wrocławskich łączy. Wyjął słuchaweczkę z gniazda i wysłuchał przez nią nagrania, żeby nie denerwować Marty.

–Micha-ale – rozległ się kokieteryjny głos Olgi. – Jestem firma solidna, więc wysyłałam ci obiecany list. Okeej? Słuchasz mnie? Masz tego Ba-azarka. – Najwyraźniej zastanawiała się, co jeszcze powiedzieć. – I pamiętaj, kto ci to załatwił. Oke-ej? – powtórzyła. – A ja-a... pójdę sobie jeszcze na jakiś soczek i spadam do łóżka. Do zimnego samotnego łóżeczka! No, żartuję. Pa!

Jeszcze przez chwilę rozbrzmiewały w słuchawce odgłosy ulicy, potem rozległ się nieprzyjemny stuk, jakby słuchawka nie trafiła od razu w gniazdo, i wreszcie połączenie zostało przerwane. Michał odłożył słuchawkę, dopił piwo, odwrócił się i napotkał pytające spojrzenia obu kobiet. Marta nie wytrzymała.

–O tym liście słyszałeś, tak? – Kiwnął głową. – Coś ważnego?

–Nie wiem. Powiedziała, że ma dla mnie list od Bazarewicza, że ciągle zapominała go wysłać, obiecywała, że teraz już na pewno wyśle. Tyle wiem. – Zastanawiał się chwilę – -Teraz to już w ogóle umarł w kapciach, zanim gliny go oddadzą! – Uświadomił sobie nietakt, poczuł, że się czerwieni. – Przepraszam, głupio mi się powiedziało.

–Niby dlaczego mają go zatrzymać? – zapytała Krystyna, nie zwracając uwagi na gafę ani na przeprosiny. Co to, dowód rzeczowy? Czego? Wypadku? Przecież nas przy tym nie było, każde możliwe alibi... Och, niech nas pocałują!

Marta rozszlochała się gwałtownie.

–Biedna dziewczyna... Ani w pracy się jej nie układało, bo nie miała drygu do niemieckiego... – Wyciągnęła chusteczkę i przyłożyła do zaczerwienionego nosa. – Za skarby nie mogła przebrnąć poza „ja”, „cumbajszpil”, „langzam-langzam”... I w życiu też jakoś nie mogła się ustawić. Zawsze o krok za wszystkimi... Gdzie mąż, gdzie dzieci?

–Uspokój się! – syknęła zniecierpliwiona Krystyna. A gdzie mój mąż, moje dzieci? To jeszcze nie powód... Zresztą co ty pleciesz? Czy to było samobójstwo?

–Nie, ale wiesz... nie pożyła nawet bidula, jeszcze wczoraj żywa, wesola, z planami, nadziejami, cholera... A dziś?

Długą chwilę nikt się nie odzywał, słyhać było tylko pochlipywanie Marty. Krystyna chwyciła paczkę cameronow, zaczęła nią postukiwać o oparcie kanapy. Po chwili odezwała się ledwie dosłyszalnie:

–Cholera... Tak już jest, nie znamy dnia ani godziny.

Papierosy wysypały się w końcu na dywan. Marta pochyliła się odruchowo, ale Michał powstrzymał ją i sam pozbierał papierosy. Delikatnie wyjął paczkę z dłoni Krystyny.

–Jedźmy już – poprosiła go, a potem zapytała siostrę:

–Możesz zostać sama?

–Jasne. – Marta westchnęła głęboko, spazmatycznie.

–Albo wiesz co, zabiorę się z wami do centrum, posiedzę w jakiejś kawiarni.

Jiirgen wraca za dwie godziny – nagle przypomniała sobie, na kim może się wyładować. – Cholera, jak jest potrzebny, to go nigdy nie ma!

Poderwała się i wybiegła z salonu. Krystyna również wstała i podeszła do otwartego okna.

–Jeszcze czuję tu zapach gości, a ty? – Nie czekając na odpowiedź, ciągnęła: – Zawsze mnie zastanawiał ten specyficzny zapach w każdej knajpie. Myślałam, że to jakieś przemysłowe środki czystości, ale dzisiaj odkryłam, że nie. To ludzie, goście; nie zapach ich ciał, ubrań ani kosmetyków, tylko ich długotrwała obecność...

Trzeba ją wyrwać z tego nastroju, pomyślał Michał. Egzystencjalne rozterki z kaczem w tle doprowadzą w najlepszym razie do klina, w najgorszym do kłótni, a tylko tego nam brakuje.

–Zniosę rzeczy na dół – zaproponował.

Z roztargnieniem kiwnęła głową. Michał wszedł na piętro. Skotłowana pościel beładnie zwisała z łóżka, natomiast w szafie panował idealny porządek. Michał popatrzył na starannie powieszzone sukienki i swój garnitur. W szafie bystrzyńskiego domu również panował porządek, ale tutaj w towarzystwie damskich fatalaszków garnitur prezentował się jakoś bardziej elegancko. Michał wyjął z torby kilkusegmentowy foliowy wieszak, przełożył do niego wieszaki z kobiecymi ubraniami, trochę mniej starannie poukładał w walizce swoje rzeczy.

Gdy zbiegł na dół taszcząc bagaże, siostry siedziały obok siebie na kanapie. Oczy miały jednakowo błyszczące, jakby dopiero teraz ujawniło się rodzinne podobieństwo. Nie zdradzały jednak żadnych objawów hysterii. Chyba tylko ja histeryzuję, pomyślał z ironią Michał.

Postawił bagaże z hukiem. Marta wstała, uśmiechnęła się przelotnie i ominąwszy Michała, poszła do garderoby po żakiet. Krystyna przyjrzała się dokładnie paczce cameronów i rzuciła ją niedbale na stolik.

–Szlag by to wszystko trafił! – powiedziała. – Od tysiecy lat ludzie kombinują, filozofują, ale wciąż nie wiadomo, po co żyjemy i dokąd zmierzamy.

Spojrzała z nadzieją na Michała, ale nie otrzymawszy odpowiedzi, z rezygnacją kiwnęła głową. Słyszając kroki siostry, wstała i pierwsza ruszyła do drzwi. W samochodzie usiadła z przodu, a Marta zajęła tylną kanapę i zarzuciła ramiona na oparcie.

–Gdybyście jechali koło Rynku... – Pojedziemy, co za problem?

Dwadzieścia minut później wysiedli wszyscy z samochodu. Krystyna i Marta objęły się i ucałowały serdecznie, wymieniły pożegnalne zdania, obietnice częstszego kontaktu. Marta nagle chlipnęła, ale oderwała się od siostry i szybko ucałowała Michała. Usłyszał: „Pilnuj jej, bo cię zabiję!”, ale zanim zdążył odpowiedzieć, smukłe obcasiki jej szpilek zastukały na betonowym parkingu.

Ledwie wyjechali za miasto, Krystyna poprosiła:

–Dasz mi poprowadzić?

Michał bez słowa zjechał na pobocze i zamienili się miejscami.

–Muszę się czymś zająć – wyjaśniła Krystyna. – Nie bój się, nie będę się wyładowywać.

–Rozumiem.

Nie miał żadnych pilnych spraw, ale żeby okazać jej zaufanie, zadzwonił do Jarka i sprawdził wykonanie poleceń, ignorując jego zdziwienie. Potem obdzwonił trzy rosyjskie hurtownie, chociaż mógł to zrobić jego partner w późniejszym terminie. Zajęło mu to prawie czterdzieści minut. W tym czasie Krystyna, wbrew obietnicy, wyprzedziła wszystkie samochody na szosie i gnała z prędkością nieosiągalną dla policyjnych radiowozów. Potem jakby uświadomiła sobie, że za bardzo igra z losem, zwolniła do przepisowych dziewięćdziesięciu i po niecałych dwu kilometrach natknęli się na kontrolę drogową.

–Wiedźma? – zapytał na głos Michał.

–Co, nie wiedziałeś? – rzuciła z zawziętym wyrazem twarzy i zaraz za punktem kontroli przyspieszyła do stu dwudziestu w zabudowanym terenie, wyprzedzając przy okazji zdziwionego kierowcę bordowego seata. – Jeśli w zmaskulinizowanym świecie napotkasz tak zwaną kobietę sukcesu, na pewno jest z mojego plemienia.

Odwróciła się i posłała mu dziwny uśmiech, jaki cztery wieki wcześniej mógł ją zaprowadzić na stos albo w przerębel. Chciał jej to powiedzieć, ale odezwała się pierwsza:

–Możesz zamknąć się ze mną w domu na kilka dni? Bez kontaktów z zewnętrznym światem? Bez telefonu, gazet, telewizji?

Nie zastanawiał się.

–Oczywiście.

–A twoje interesy? Miałeś...

–Nieważne!

Umilkła i trochę zwolniła. Po chwili Michał nieznacznie rozluźnił napięte mięśnie. Boże, żyje się tylko raz, pomyślał. Zresztą kobiety, nawet zdenerwowane, powodują mniej wypadków niż mężczyźni. Przyszło mu do głowy, że śmierć jest zjawiskiem, które zawsze zaskakuje swoim majestatem, wobec którego wszystkie słowa powinny zostać utworzone na nowo.

Krystyna znowu się odezwała:

–Wstąpimy gdzieś na kolację? Mam wprowadzić w domu masę żarcia, ale będzie z mikroweli... Przepraszam, z mikrofalówki – poprawiła się przypomniawszy sobie, że Michał nie znosi takiego „polnisze žargonen”.

–Zrobię ci swoje mastino napolitano – obiecał.

–Brzmi wspaniale, ale nie zjem tak dużego psa – zażartowała, ale bez zapału.

Kilka kilometrów za Bełchatowem wypadli na znakomicie zaprojektowaną, ale marnie utrzymaną obwodnicę, owoc aktywności władz miasta niegdyś wojewódzkiego, potem powiatowego i znowu wojewódzkiego. Przy drugiej nobilitacji rajcowie wydali masę pieniędzy na budowę szosy odciążającej komunikację miejską, ale niezbyt długo się z niej cieszyli – kolejna reorganizacja administracyjna spowodowała likwidację województwa i przyspieszyła degrengoladę miasta. Obwodnica stała się przysłowiowym gwoździem do trumny Bełchatowa: cały transport kołowy omijał centrum, więc hotele nie kusily gości, a sklepy klientów, nie napływały pieniądze na utrzymanie ulic i parków. Tylko nieliczne handlowe punkty szukały zysków przy obwodnicy. Michał znał dwa lokaliki z wygodnymi podjazdami, ale podłą kuchnią, gdzie serwowano flaki niemal bez majeranku, zimny barszcz, mdły żur, żylaste schabowe i ciepłą colę do chrzczonej wódki. Poprzysiągł sobie, że jego noga więcej tam nie postanie. Znał też barek z fatalnym dojazdem, ale miłą obsługą i starym, bezkonkurencyjnym kucharzem, który podobno terminował w warszawskim Bristolu, zaraz po jego otwarciu już w pokomunistycznej Polsce. Namyslał się przez chwilę, ale postanowił jechać do domu.

Na obwodnicy Krystyna zwolniła, bo policja zwykle czyhała tam na lekkomyślnych kierowców. Przed domem zatrzymała się łagodnie, jakby przeszło jej całe zdenerwowanie.

Michał wyskoczył pierwszy i otworzył bagażnik. Krystyna wzięła dwie mniejsze torby i otworzyła drzwi wejściowe. Po chwili w domu rozbłysło światło, z głośników wysnuła się cicha muzyka, a spoza obrośniętych pnączami drzwi doleciał sygnał meldujący gotowość kuchni.

–Home, sweet home – wyrecytował patetycznie Michał.

Obie torby wylądowały na podłodze. Krystyna ruszyła do kuchni, ale po drodze odruchowo skręciła do kasety pocztowej i wyjęła gruby plik kopert. Jedną ręką niczym sprawny krupier rozłożyła listy w wachlarzyk, przejrzała je i wyciągnęła usztywnioną kopertę dużego formatu. Podała ją Michałowi.

–To do ciebie.

Podszedł do niej i nie kryjąc wahania, wziął kopertę. Nie wiadomo dlaczego odniósł wrażenie, że muzyka przycichła i umilkły odgłosy z kuchni. Przesyłka zaadresowana była wyraźnym, energicznym pismem, litery zamasyte i nakreślone

mocno, nawet zbyt mocno -w jednym miejscu czubek pisaka zdarł warstwę folii. Po nazwisku Krystyny widniał podkreślony dopisek: „Do rąk własnych, wyłącznie Michał Weiss”. Michał zważył kopertę w ręku.

–To jest od Olgi – wykrztusił.

–Od kogo? – zapytała, jakby nie chciała uwierzyć.

–Od Olgi – powtórzył. – Mówiłem ci, że miała mi coś przekazać od Bazarewicza.

Widocznie najpierw wysłała list, a zaraz potem wpadła pod samochód.

–Rzeczywiście – wzdrygnęła się Krystyna. – Straszna historia.

Michał opadł na fotel i obrócił w palcach kopertę. Coś mu mówiło: zostaw, uciekaj, zniszcz!

–Nie otworzysz?

Zawahał się, co Krystyna fałszywie zinterpretowała:

–Idę do kuchni, możesz spokojnie przeczytać.

–Nie wygłupiaj się. Po prostu coś mi się tutaj nie podoba – burknął zły na siebie.

–Mnie też, dlatego chcę wiedzieć, co jest w środku ponagliła.

Michał chwycił za końcówkę plomby i szarpnął mocno. Zaterkotała pruta perforowana folia, odpadł brzeg odsłaniając drugą kopertę z czarnego, zbrojonego syntetyczną nicią trexoru. Wyjął ją ostrożnie. Na wierzchu przyklejona była kartka ze zwykłego notesiku.

Cześć! Wysyłam ci to, co obiecałam, od Bazarka. Wiesz, kto to jest, tak? Kręcił się koło radia, kręcił przy tiwi, sam jakiś taki zakręcony. Osobiście pójdę na pocztę, może to kiedyś docenisz? Pa!

Olga Sukiernicka

Tutaj też przy energicznym zakrętasie kończącym ostatnie „a” czubek pisaka zdarł podłoże. Michał podał kartkę Krystynie, tłumiąc westchnienie odplątał koniec plomby i pociągnął. Ta koperta zawierała kilkadziesiąt arkuszy zadrukowanej folii i jedną zwykłą kartkę, zapisaną ręcznie drobnym, kanciastym pismem. Przejrzał pobieżnie otrzymane dokumenty. Sporządzono je głównie w języku niemieckim, ale niektóre kartki wypełniono cyrylicą.

–Hm...

Michał wyciągnął rękę z dokumentami w stronę Krystyny, ale zanim zdążyła ich dosięgnąć, zadzwonił telefon. Zawahała się, chwyciła plik, położyła na stoliku i podniosła słuchawkę. Michał zaczął zmagać się z niewyraźnym pismem Marka. Jeszcze zanim przedarł się przez pierwsze zdanie, uderzyło go podobieństwo obu listów Olgi i Marka: nerwowo i pospiesznie kreślone litery, jakiś żar bijący od słów. Potrząsnął głową, odchrząknął.

Drogi Michale!

Mam nadzieję, że jeszcze mnie pamiętasz, chociażby z feralnej drogi z Niemiec do nas, Małych Niemiec. Pamiętasz cholerny samochód i zamknięty warsztat? Musisz pamiętać, bo właśnie wtedy spotkaliśmy jedyne pod słońcem uczynnego Niemca. Ale do rzeczy. Trafiłem w Vaterlandzie na ślad afery, która mnie osobiście przerasta. Boję się, że zanim zdążę coś zdziałać, mogą to wyciszyć. Dlatego chcę to przerzucić przez granicę do Starej Polski, gównu mnie obchodzi odmienna orientacja, inne

poglądy, inni władcy, ważne, żeby cały... – „cały” podkreślone dwa razy -...cały świat się dowiedział. Inaczej: świat tak naprawdę wie, znaczy określone sfery rządzące; nie wiedzą tylko wyborcy, a powinni się dowiedzieć, jak głęboko w dupie mają ich ich własne rządy. Polacy powinni wiedzieć, co naprawdę się kryje za podziałem Ojczyzny! Koniecznie trzeba otworzyć im oczy. Zresztą sam przeczytaj te dokumenty – to fragmenty stenogramów tajnych rozmów zaborców oraz protesty, ostrzeżenia i prognozy nielicznych uczciwych Niemców i Rosjan. Znajdziesz ich nazwiska na liście. To lista nieżyjących już ludzi, rozumiesz? Ja muszę na jakiś czas zapaść się pod ziemię. Przewieź to przez granicę, skopiuj w kilku egzemplarzach i dobrze schowaj. Jak przeczytasz, sam zrozumiesz, co robić, chyba że postanowisz nic nie robić. Ja zamierzałem przekazać to niezależnej amerykańskiej prasie i telewizji, o ile taka jeszcze istnieje. Pozostawiam ci ten pomysł do oceny i ewentualnej realizacji. Za jakiś czas spróbuję dyskretnie skontaktować się z tobą. Ty mnie nie szukaj. Nie pozwól, żeby cię wytropili, nie zostawiaj żadnego śladu! To śmiertelnie niebezpieczne! Pozdrawiam i życzę powodzenia.

Bazar

Michał słyszał jakiś dziwny odgłos – to krew łomotała mu w skroniach. Przełknął kilka razy ślinę, jakby znajdował się w startującym samolocie. Rzeczywiście, w uszach coś trzasnęło i zaczął słyszeć normalnie. Podniósł głowę. Krystyna stała w drzwiach i patrzyła na niego uważnie.

–Kto dzwonił? – zapytał i natychmiast uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie zadawał takich pytań Krystynie. Przepraszam.

–Nikt. Głuchy telefon.

Krystyna podeszła do stolika i stała skubiąc zębami dolną wargę, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

–Zobacz – podał jej list od Marka. – Palnik działa? zapytał.

–Jasne. Tylko licznik się spieprzył, nie przejmuj się, pokazuje coś durnego.

Michał zgarnął ze stolika zadrukowane arkusze folii i poszedł do gabinetu Krystyny. Włączył termodrukarkę, wsunął pierwszą stronę w szczelinę podajnika i niecierpliwie zabębnił palcami. Czekając na rozpoczęcie druku patrzył przez okno. Wychodziło na ogród Krystyny. Przez prześwit w krzakach jak przez teatralną scenę przebiegł Puchalec.

–Masz swojego pupilca! – krzyknął Michał. Nagle wydarzyło się kilka rzeczy na raz. Jakaś męska sylwetka mignęła wśród krzaków, u drzwi wejściowych niecierpliwie

zabełkotał gong, Krystyna rzuciła: „Kogo cholera niesie!?”, w termodrukarkę rozjarzył się bursztynowy sygnalizator pracy, a z podajnika wysunęła się kopia pierwszej strony. Michał przypomniał sobie przeczytane gdzieś zdanie: „Zimne ciarki sparzyły mu skórę” i zrozumiał, co autor miał na myśli. Odruchowo wyszarpnął włożoną do podajnika stronę, zmiął ją i wcisnął w kieszeń. Na palcach przebiegł do salonu. Syknął głośno i na migi pokazał Krystynie, żeby nie otwierała drzwi.

–Chodź do mnie! Szybko! – Gdy podeszła bliżej, wyszeptał: – Bierz najpotrzebniejsze rzeczy!

Chwycił wniesione przed kwadransem torby i rozejrzał się.

–Jak możemy stąd zniknąć?

–Przez ogród!

–Nie! Tam już ktoś jest. – Nie dodał, że ten ktoś trzyma w ręku broń. – Piwnica?

Kiwnęła głową i chwyciła torebkę. Michał pobiegł pierwszy – schody, drzwi, coś otarło mu się o nogi. Krystyna przystanęła, ale popędził ją bezlitośnie.

–Kot sobie poradzi! Nie przyszli tu po niego!

Po kilku krokach stanął bezradny. Na szczęście Krystyna nie straciła orientacji w ciemnościach i natychmiast ruszyła przodem, cicho i zdecydowanie. Przechodząc obok stosu szczap do kominka, chwyciła jedną, długą i ciężką. Doprowadziła Michała do drzwi, zatrzymała się, przysunęła bliżej i szepnęła:

–Gdybyśmy się rozdzielili, idź na ulicę Gajową, dom numer sześć. Tam mieszka przyjaciółka, która wyjechała na kilka dni. Nikt nie wie, że mam klucze do tej chałupy. Po wyjściu na ulicę w lewo i w lewo.

Pocałowała go w policzek i wróciła pod drzwi. Chwilę nasłuchiwała, potem wzruszyła ramionami, zrobiła minę: „Raz kozie śmierć!” i cicho przekręciwszy rygiel, uchyliła drzwi. Z góry dobiegł głośny trzask i brzęk tłuczonego szkła. Michał przymknął powieki i skinął głową. Krystyna wyjrzała i pociągnęła go za sobą. Przemknęli po kilku schodkach, pochyleni dopadli żywopłotu. Przy drucianej siatce Michał podsadził Krystynę, przerzucił torby i przelażł na drugą stronę. Ulica była pusta.

Boże, czyżby się udało?

Spiesznie pomaszerowali w kierunku najbliższego skrzyżowania i skręcili w lewo.

–Jeszcze tylko kilka kroków – syknęła Krystyna. Udało się, kurwa mać! W jej ustach zabrzmiało to jak zgrzyt – zdecydowanie, brutalnie, ohydnie.

Szybko weszła na podjazd domu pod numerem sześć, przygotowanym wcześniej kluczem dźgnęła szczelinę zamka. Drzwi usłużnie sapnęły pneumatykami. Oboje wpadli do środka i rzuciwszy bagaże, jednocześnie skoczyli w stronę okna.

–Ty stój tu, ja pójdę od tyłu – zreflektował się Michał. Kilka minut spędzili z nosami przyklepionymi do szyb: ona obserwowała pustą ulicę, on – równie senne podwórko. Wreszcie Michał na palcach podszedł do Krystyny.

–Kochanie, chyba będę się stąd związał, rozumiesz? Jak tylko...

–Ty podlec, bo cię kopnę! Teraz będziesz mi uciekał? Dokąd? Jak? Sam, ty głupku? – Chwyciła go za kłapy kurtki i szarpnęła mocno. – Razem, rozumiesz? I nie trać czasu na kłótnie.

Puściła go i potrząsnęła mu piąstkami przed twarzą.

–Co robimy? Zaszyjemy się tutaj? Sebiła powiedziała, że nie będzie jej przez sześć dni, mamy jeszcze cztery.

Gorączkowo myślał.

–Nie. Musimy stąd uciekać. Tylko jak?

–Zostawiła wóz. Jeśli napiszę, że pożyczyłam i żeby nie robiła rabanu...

Szeroko otworzyła oczy, czekając na odpowiedź Michała. Chwycił ją w ramiona i mocno przytulił.

–Jesteś genialna. Ge-nial-na! – Rozejrzał się ponad jej ramieniem. – Do garażu z domu czy z zewnątrz?

–Z domu. Chodź.

Dokumenty znaleźli w skrytce. Michał sypnął na tablice rejestracyjne wyschniętą ziemią ze starej doniczki sama właścicielka nie odczytałaby swojego numeru. Krystyna usiadła za kierownicą, wyciągnęła z torby chustkę i zręcznie omotała sobie głowę. Kamuflażu dopełniły ciemne okulary.

Uruchomiła silnik i otworzyła pilotem bramę. Wyjechali na ulicę. Pusto. Skrzyżowanie – pusto. Drugie – jeden samochód z dziewczyną za kierownicą. Wyjazd na przelotową ulicę – mikrobus i dwa auta z lokalną rejestracją.

Krystyna spokojnie skręciła w lewo i przyspieszyła. Michała korciło, by udzielić kilku cennych wskazówek, ale opanował się, widząc, że dziewczyna radzi sobie doskonale. Po kilku kilometrach odezwał się wreszcie i przedstawił jej plan dalszych działań. Zaakceptowała go bez dyskusji. Pomknęli w kierunku przejścia granicznego Lipsko.

5.

–Przepustkę proszę! – beznamiętnym tonem zażądał dyżurny. Hauptmann Najmowicz pochylił się do czytnika i przeciągnął po nim identyfikatorem. Nałana tłuszcem twarz dyżurnego nie zmieniła swego tępego służbowego wyrazu, ale Najmowicz obiecał sobie, że przy najbliższej wizycie u teściów tak opierdoli gówniarza, że ten z gatek wypadnie. To po to, myślał, szczyła od wojska wybronilem, do firmy wzięłem i gdzie mogę proteguję, żeby mi tu scenki odgrywał!? Niczym jednak nie zdradził buzującej wewnątrz wściekłości, tylko chłodno skinął głową i poszedł dalej. Wydaje się gnojowi, myślał, że ja oczekuję od niego właśnie takiej służbowej gorliwości i nie mam o to żadnych pretensji. Tymczasem wiem, jak traktuje innych, skurwensen jeden. Jeszcze tego pożałuje.

Wskoczył na ruchome schody i podjechał na drugie piętro. Korytarzem, który z powodu supergrubej wykładziny i wytłumionych ścian przypominał komorę ciszy, dotarł do szklanej zapory. Tutaj już bez oporów zerwał identyk i przytknął do czytnika, przykładając obok lewą dłoń. Chwilę później wkroczył do sekretariatu przez drzwi z tabliczką: „Sekcja Taktyczna. Zastępca szefa sztabu”. Wiedział, i nie on jeden, że nie ma żadnego sztabu, że pułkownik Krymarys jest faktycznym i jedynym dowódcą sekcji, a tę infantylną wizytówkę wymyślił pewnie jakiś dowcipniś w Berlinie, który specjalnie wysyłał durne dyrektywy do

polskich komend, żeby później w piwiarni wspólnie z tłustymi kolesiami naśmiewać się z naiwnych Polaczków.

Po przekroczeniu progu zatrzymał się i zmrużywszy oczy, łzawiące od jaskrawego światła, trzasnął obcasami wystarczająco głośno, żeby zwrócić uwagę sekretarki.

–Dzień dobry, pani Mirosłavo. Czy pułkownik już jest? Można wejść?

–Dzień dobry, kapitanie. Proszę, czeka na pana. Podszedł do drzwi z tabliczką: „Pułkownik dr hab. Feliks T. Krymarys”, poprawił identyfikator i nagle zupełnie bez sensu przypomniał sobie, jak na którymś szkoleniu kadry w odgrywanym zwyczajowo na zakończenie skeczu amatorskiego kabareciku padło pytanie: „Co to za literka «T» przy nazwisku pułkownika Krymarysa?” „Nie wiadomo”, przyznał się pytany. „I to jest właściwa odpowiedź!” – brzmiała pointa skeczu. Bardzo się podobała. Szczególnie pułkownikowi.

Zastukał do drzwi i wszedł, nie czekając na zaproszenie. W gabinecie jak zwykle panował półmrok. Najmowicz wyprężył się służbiście.

–Herr Oberst, Hauptmann Najmowicz meldet sein Ankommen.

–Danke, kapitanie – rzucił pułkownik gdzieś z ciemności. Wszedł w prostokąt światła obejmujący dokładnie biurko i fotel. Dotknął jakiegoś przycisku z całej baterii, przypominającej strategiczne pulpity dawnych władców USA czy ZSRR. Po prawej, nad stolikiem w kształcie bumerangu zapłonęło światło. Najmowicz znał swoje miejsce, ale nie ruszył się, zanim pułkownik nie wskazał mu fotela.

–Słucham, co się popieprzyło?

–Przepraszam? Ciągle coś się pieprzy, panie pułkowniku. Nie wiem, za co dziś ma pan ochotę mnie skrócić. Uśmiechnął się bezradnie.

–Facet o nazwisku Bazarek! – warknął pułkownik przez zęby. – I nie testuj mnie,

chyba że masz takie polecenia z góry. Masz?

–Mam polecenie nie przyznawać się aż do tortur czwartego stopnia. – Najmowicz zaryzykował odpowiedź w lekkim tonie, który mógł albo wywołać opierdol, albo rozchmurzyć zwierzchnika. – Co do sprawy... – dyskretnie ominął nazwisko, chcąc pokazać, że nawet żartując, pozostaje profesjonalny. – Nie udało się przejąć dokumentu. Podmiot wysłał kopertę, zanim do niego...

–Mów normalnie, gabinet dzisiaj był skanowany.

–Bazarewicz przekazał dokument Oldze Sukiernickiej, miejscowej dziennikarce Radia Breslau. Nie mieliśmy o tym pojęcia. Sukiernicka miała oddać dokument niejakiemu Michałowi Weissowi, polskiemu biznesmenowi zza wschodniej granicy. Z jakiegoś powodu trzymała to kilka tygodni i w końcu wysłała.

Dlaczego nie przejęliśmy przesyłki?

–Komputer sieci telefonicznej” analizujący rozmowy w celu wykrycia jednego z pięciuset słów kluczowych, natychmiast zaalarmował nas, gdy pojawiło się jedno z nich. Sukiernicka zadzwoniła do koleżanki, u której przebywał ten Weiss, i użyła w rozmowie słowa „Bazarek”. Natychmiast uruchomiłem zespół interwencyjny, Sukiernicka została wyeliminowana, ale dokumentu przy niej nie znaleziono. Ekipa udała się więc do jej mieszkania, żeby tam go poszukać.

–A tymczasem koperta spokojnie leżała w skrzynce?!

–Niezupełnie tak, panie pułkowniku. Sukiernicka była wlana jak zawiadowca, bełkotała niezbornie do słuchawki, więc wyciągnięto całkiem poprawny wniosek, że wyszła wysłać list, ale zapomniała go wziąć. Tymczasem ona list wysłała, a dopiero potem, po godzinnym spacerze przypomniała sobie, że nie zadzwoniła. W tym czasie korespondencja wyjechała poza nasz dystrykt. Wiemy już, dokąd poszedł list, i mamy tam ekipę. Lada moment spodziewam się meldunku, pozwoliłem sobie przełączyć tele na pana.

–Dobrze – wycedził pułkownik, rysując palcem kółka na biurku. – Musieliście eliminować tę Sukiernicka? Wiesz, że nie lubię nadużywania przywilejów.

–Nie mieliśmy wyboru – zapewnił pospiesznie Najmowicz. – To była nieodpowiedzialna baba, mogła coś chlapnąć w radiu.

–No dobrze, wierzę – westchnął Krymarys. – A temu Weissowi można coś przyszyć?

–Oczywiście. – Kapitan pozwolił sobie na lekceważące wzruszenie ramionami. – Ale nie przewiduję potrzeby.

–Przewidz!

–Tak jest.

Zapadło milczenie. Pułkownik wyrysował kółko dwa razy szybciej niż poprzednie. Najmowiczowi włosy zjeżyły się na karku. Uratował go dyskretny brzęczyk telefonu. Z interkomu rozległ się głos sekretarki:

–Panie pułkowniku, pilna rozmowa do kapitana.

–Przełącz – polecił pułkownik.

Kapitan podziękował i skoczył do biurka, ale nie zdążył podnieść słuchawki, połączenie poszło przez głośniki.

–Panie kapitanie? Tu Olczak.

–Tak, słucham?

–Mamy dokument... – Olczak zawiesił głos, jakby niechętnie przekazywał złe wiadomości.

–Dalej!

–Dokument przyszedł na adres przyjaciółki faceta, dotarliśmy tam dosłownie chwilę po ich powrocie do domu. Coś ich spłoszyło i zwiali...

–Coś?!

–No... Pewnie my. Mamy cały dokument – w głosie Olczaka zabrzmiały wahanie i skrucha.

–Mów – polecił kapitan, czując na sobie zimny wzrok Krymarysa, nie wróżący nic dobrego.

–Powielali dokument. Licznik wskazuje, że skopiowali ponad sto stron, a dokument ma osiemdziesiąt kilka. Walizki stoją nie ruszone – bąknął.

–Gdzie oni są?

–Muszą siedzieć gdzieś we wsi. – Olczak westchnął. Na razie uruchomiliśmy miejscowy komisariat, że niby ta babka rozwaliła kogoś na szosie. Szukają ich pilnie, że wsi nie zwieją, tu jest tylko wlot i wylot.

–Na pewno?

–Panie kapitanie, jej wóz stoi w garażu, jego z ciepłym silnikiem przed domem. Zobaczyli kogoś z nas i zwiali przez piwnicę, musieli się pilnować czy co?

–„Czy co”? Kurwa twoja mać! Gały wam tłuszczem zarosły, ot co! – Przypomniał sobie szwagra i przełknął cisnący się na usta ciąg inwektyw. – Przydałby się wam jakiś poligon. – Odetchnął głośno. – Odpowiadasz własnymi jajami za utrzymanie ich w tej wsi, ja już tam lecę. Jarowid gania z miejscowymi?

–Właśnie go opatrują, za chwilę włączy się do akcji.

–Co mu się stało, buzię sobie podrapał sikając w krzakach, wywiadowca w dupę jebany...

–Herr Hauptmann! – oburzył się Olczak. – Jarowida zaatakował jakiś piekielny kocur w domu tej baby. Czegoś takiego w życiu nie widziałem, mało mu oka nie wydrapał! Kurtka pocięta w strzępy, ma chłop szczęście, że skórzana. Na szyi brakowało dwa milimetry do tętnicy...

–Pięknie! Koty was tną na plasterki! – Najmowicz sapnął wściekle, przed oczami fruwały mu krwawe strzępy czegoś, pewnie tych pociętych wywiadowców. – Zabiję was, ale na razie jeszcze pracujcie. I pokażecie mi tego kota.

–Nie da rady, uciekł, chyba postrzelony.

Kapitan zmełł w ustach przekleństwo tak, żeby Olczak usłyszał. Przerwał połączenie, odwrócił się do pułkownika i chciał się odmeldować.

–Siadajcie, kapitanie – burknął Krymarys. Odczekał, aż Najmowicz na palcach dotrze do fotela. – Zastanówmy się. Przeciek? Nie, nie sądzę. Ale proszę dokładnie sprawdzić Weissa i tę Grodziec.

Najmowicz próbował sobie przypomnieć, czy wymienił nazwisko „Grodziec” w obecności pułkownika, ale ten nie dał mu czasu do namysłu.

–Na wszelki wypadek: czy mamy kogoś zaufanego w Rosji, gdyby trzeba było zadziałać z tamtej strony? To dwa. Trzy: sprawa ma najwyższą klauzulę tajności, żadnych sił powiatowych w to nie wciągać ani w ogóle nikogo innego. Jasne? – Hauptmann pokiwał energicznie głową. – Wszystkie-wszyścusięńkie detale spływają do mnie, o każdej porze dnia i nocy. Wszystkie, jasne? I tylko do mnie!

Najmowicz uznał, że rozmowa się kończy, więc się poderwał i stuknął obcasami.

–Herr Oberst, proszę o pozwolenie...

–Czekaj, Najmowicz – pułkownik zastanawiał się przez chwilę. – Gdyby coś poszło nie tak, masz moje zezwolenie na zero-osiem, ustne zezwolenie. – Mogę sprzątnąć, kogo uznam za stosowne, przetłumaczył sobie Najmowicz, ale gdyby sprawa się wydała, każdy radzi sobie sam. – Ale to nie znaczy, że chcę pozbyć się tej pary, wręcz przeciwnie: bardzo chcę ich mieć żywych. Bardzo. Jeszcze bardziej chcę dostać wszystkie kopie dokumentu, a najlepiej jedno i drugie. Wszystko.

Sapnął wściekle i wykonał zamaszysty gest.

–Do roboty. Aha! Zapamiętaj, dokument jest z gatunku tych „Zniszczyć przed przeczytaniem.”.

Najmowicz skinął głową, trzasnął obcasami i pognał do drzwi. Chwycił dłonią klamkę i usłyszał z tyłu psyknięcie. Zaskoczony odwrócił się i pytająco spojrzął na przełożonego. Ten uniósł wskazujący palec, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale tylko pokiwał palcem. W końcu Najmowicz zrozumiał, że nie padnie więcej żadne słowo. Energicznie zasalutował i wyszedł z gabinetu.

Dopiero na korytarzu uświadomił sobie, co go tak przestraszyło w ostatnich sekundach pobytu u pułkownika.

Ten wskazujący palec drżał.

6.

–Naprawdę nie odnotowali nas na granicy? Michał chciał już oburzyć się i zapewnić o swoich znakomitych koneksjach z Tiszenką, ale zawahał się i w końcu przyznał:

–Nie wiem. Widziałaś, ruch jak diabli, końcówka weekendu i sezonu na runo leśne. Wiesz, Lubelszczyzna to zagłębienie grzybowe, jagodowe, miodowe, ziołowe i tak dalej. Gęsie pierze, co tylko chcesz. Prawie wszystko opłaca się tutaj kupować, bo podatki są znacznie niższe i okrojone do trzech podstawowych. Na pewno możemy zgubić się w tym tłumie. Z drugiej strony nieraz się przekonałem, że Rosjanie bywają nieobliczalni. W dodatku niektórzy mają jakieś stare zadry, jeszcze z czasów upadku komunizmu.

–Więc po co tu siedzą?

–No, to jednak jest granica na zachód, tu jest ciepło, tędy płynie rzeka pieniędzy. Czasem udaje się wsadzić palec i zebrać kilka kropel dla siebie.

–Czyli chłodne wyrachowanie? Ale wciąż nie wiemy, czy nas odnotowali. W hotelu nie?

–Tu na pewno nie – zaśmiał się cicho. – Tutaj królują pieniądze!

–A myślałam... – przeciągnęła się leniwie – myślałam, że tu królują panienki lekkich obyczajów?

–Owszem, ale za ciężkie pieniądze. – Poszukał lewą ręką na stoliku, brzęknął potrącony kieliszek. – Szampana?

Przez chwilę czekał z ręką na kieliszku, zanim Krystyna odpowiedziała z westchnieniem:

–Chyba nie powinniśmy tyle jeść, bo w każdym filmie kryminalnym mówią, że rana postrzałowa na pełny żołądek to mogiła. Zresztą co tam, nalewaj.

–Szampan nie wypełnia ci żołądka, tylko kawior, a jak wiadomo z pamiętników cesarza Xian Wei, kawior najlepiej zaciąga rany postrzałowe.

Oboje usiedli prosto, wsparci o miękkie wezgi. Michał po ciemku nalał szampana, wysuwając przed siebie rękę z kieliszkiem, żeby cokolwiek zobaczyć w nikłym odbłasku kilku jarzących się laseczek zapachowych. Podał kieliszek Krystynie, nalał sobie.

–Będzie mnie paliła zgaga – mruknął. – To rodzinne: ojca paliła, dziadka paliła, stryja, stryjenkę...

Krystyna opróżniła duszkiem swój kieliszek i nagle cisnęła nim w ciemność. Brzęknął żałościwie, gdy zakończył kruchy żywot na wykwinnym parkiecie.

–Jak szaleć, to szaleć – podsumowała.

Po chwili milczenia Michał zsunął się niżej na poduszki i przyznał:

–Też mam pietra. Wytrzymuję tylko dlatego, że jestem z tobą.

Przysunęła się do niego, przerzuciła rękę przez jego tors, oparła kolano lewej nogi na jego udzie i ułożyła głowę w zagłębieniu między głową i ramieniem.

–Kto był u mnie? – mruknęła. – W tej chwili to mnie najbardziej interesuje. Może to nie ma żadnego związku z Bazarkiem? Może jakaś obława na terrorystów, jakieś porwanie, może ktoś ważny zaginął w okolicy? A my od razu w długą!

–Może, ale nie liczyłbym na to. Za dużo dziwnych zbiegów okoliczności... Zamilkł, nie chcąc roztrząsać kolejny raz całej historii.

–Jeśli masz rację, to Olga została zabita – stwierdziła.

–Tak – musiał przyznać.

–A Marta?

–Myślę, że jeśli ją jakoś niezręcznie ostrzeżemy, to tylko narazimy ją na niebezpieczeństwo. Zresztą ci ludzie chyba nie likwidują wszystkich jak leci – spróbował zbagatelizować sprawę i został natychmiast ukarany:

–Dwa morderstwa to jeszcze mało?

–Dwa? – zapytał, żeby zyskać na czasie.

–Nie wygłupiaj się. Przecież zniknięcie Marka nie może znaczyć nic innego, prawda? Milczał. Wyciągnęła rękę, chwyciła go za włosy i potarmosiła.

–Słuchaj, skoro na nas polują, to może ustalimy, że nie będziemy bawili się w ciuciubabkę ze sobą, tylko z tymi od pistoletów, dobrze? – Szarpnęła go jeszcze raz za włosy. – Dobrze? Dobrze? – nie ustępowała, aż skapitulował.

–Dobrze. Masz rację.

–No to teraz odkrywaj swoje plany.

–Nie mam żadnych planów. – Zamilkł na chwilę; słyszała bicie jego serca z jakimś rezonującym pogłosem. Dużo zależy od tego, kto to był. Jeśli jakieś państwowe agendy, to porozumieją się ze sobą i będziemy ścigani po obu stronach.

–Nasze policje chyba niechętnie ze sobą współpracują? Czy to nie jest dla nas szansa?

–Ta niechęć to bardziej mit niż prawda, a jeśli to sprawa wagi państwowej, jak sugeruje Marek w liście, gardłowa dla trzech zainteresowanych państw, to wtedy dogadają się na wyższych szczeblach.

Milczeli oboje, słuchając własnych oddechów.

–Lepiej, żeby to byli jacyś reketierzy albo wysłannicy któregoś z moich niezadowolonych klientów – westchnęła Krystyna.

–No. O wiele lepiej. Ale nastawmy się na gorzej.

–Dobrze. Więc ścigają nas specjalne komórki służb policyjnych Niemiec, Wspólnoty Autonomicznych Republik i czegoś tam polskiego. A gdyby tak wysłać do Marty list, że niby próbowali nas obrabować, że wystraszyliśmy się i zwialiśmy gdzie pieprz rośnie, że nic nie

rozumiemy i żeby zawiadomiła policję... Co? Dwie pieczenie: ostrzeżemy Martę i może zmylimy policję?

–Nie ostrzeżemy Marty, tylko nastraszymy. A policja wpadnie na nasz trop, bo jakoś trzeba ten list wysłać, najlepiej pocztą.

–Rozumiem.

–Zresztą wszyscy już znają ten numer z filmu Maj, czerwiec, Londyn.

Zachichotała, fala ciepłego oddechu uderzyła go w ucho. Poczł nagłe podniecenie.

–Skąd niby mam się znać na szpiegowskich metodach?

–Szpiegowskich? – powtórzył. – Szpiegowskich nie braliśmy pod uwagę, prawda? Tylko... Jak to przyczepić do szpiegowskiej afery? Zastanówmy się... Aj!

–Ty się zastanawiaj, a ja będę...

–Akurat dam radę się zastanawiać!

–No to się nie zastanawiaj.

–Poczekaj, coś mi się przypomniało... Hej?! Czytałem kiedyś taką powieść, gdzie każdy rozdział kończył się słowami: „Wzięła mnie w...” Krycha! A-aj!

–Nie jesteśmy w powieści.

–Umm... 7.

Najmowicz doskonale zdawał sobie sprawę, że swoim zachowaniem naśladuje pułkownika Krymarysa. Pułkownik lubił, żeby podwładni wpatrywali się w niego z napięciem i łowili każde słowo, kapitan Najmowicz zaś lubił straszyć swoich ludzi. Siedział wygodnie rozparty w salonie Krystyny Grodziec i milcząc wpatrywał się w dwóch nieszczęśników, Olczaka i Jarowida. Ten drugi zwłaszcza zasługiwał na współczucie – spod koszuli prześwitywały bandażę opasujące całą klatkę piersiową, na lewym oku tkwił spory opatrunek osłonięty perforowaną miseczką z błyszczącego metalu, przez co wywiadowca wyglądał jak niedocharakteryzowany bohater tasiemcowego serialu Star Trek. Opuchniętą górną wargę przekreślały czarne szwy, których końce sterczały we wszystkie strony. Obrazu dopełniały dwa plastry na jednym policzku i cztery cienkie, długie szramy na drugim. Jarowid miał na sobie cudze spodnie od lekarskiego kompletu, bo własne, zakrwawione i sztywne, musiał wyrzucić. Stracił trochę krwi, był niewyspany i skacowany, lekko otumaniony od przeciwbólowych zastrzyków. Bardzo się starał nie zemdleć.

–Powiem tylko trzy słowa, a wy dośpiewajcie sobie resztę: kurwa wasza mać! – rzucił Najmowicz. Odczekał chwilę, dając podwładnym czas na przetrawienie epitetu. Chwila przeciągała się niemiłosiernie. Pierwszy nie wytrzymał Olczak, poruszył się nerwowo.

–Już skończyliście rachunek sumienia? – warknął kapitan. – Coś krótko, do chuja pana! Nic nie spierdoliliście? A może to mnie się popieprzyło? – Trzasnął z całej siły otwartą dłońią w blat stolika, odetchnął głęboko. Meldować w porządku chronologicznym.

Jarowid, starszy stażem wywiadowca, poruszył się i delikatnie odchrząknął.

–Jarowid, wy mnie pod sius nie bierzcie! – rzucił z przyganą kapitan. – Co, mam się wzruszyć, że was kotek podrapał? – Przeniósł spojrzenie na drugiego wywiadowcę. – Olczak?

–Przyjechaliśmy tutaj najwyżej czterdzieści minut po poszukiwanym – zaczął energicznie Olczak. – Ja podszedłem do drzwi frontowych, Jarowid od tyłu, od ogrodu, znaczy. Zadzwoiłem, drugi raz, ale nie otwierali. Jurek wskazał brodą kolegę – wszedł tylnymi drzwiami i wpuścił mnie. Zaczęliśmy przeszukiwać dom, ale nagle gdzieś z piwnicy wylazło takie pier... – Zmeł końcówkę słowa, sapnął. – Potwornej wielkości kocur. Rzucił się na Jurka i dawaj mu gębę obrabiać. Dskoczyłem i walnąłem bydlaka kolbą, ale nawet nie pisnął, a jak drugi raz walnąłem, to trafiłem go w rękę. – Wskazał ruchem głowy kolegę i wzruszył ramionami. – No, nie było jak go utłuc. Strzelać się bałem, bo oni się kręcili jak gówna w przeręblu i wszystko fruwało...

Najmowicz ostentacyjnie rozejrzał się po pomieszczeniu. Na podłodze leżały strzępy tkaniny, jakieś skórzane skrawki. Na ścianie rzucał się w oczy wyraźny otwór po kuli.

–W końcu Jurek wyjął gandiego i sypnął w kota. Na pewno go macnął, ale i tak to jeszcze trochę potrwało, zanim kot się nagle zwinął i tyle go widzieliśmy.

Najmowicz siedział patrząc w podłogę i kiwając nieznacznie głową.

–Gdzie nosisz tego swojego pacyfistę? – zapytał po chwili Jarowida. Ten bez słowa klepnął się pod lewą pachą.

–No to dalej tak noś, kutafonie jeden! Następnym razem pogryzie cię mrożony kurczak. – Plasnął znowu dłonią w stolik. – Szlag by was, takie fajne gnaty wam załatwiłem, a wy, chujki głupie, nosicie je tak, że byle kmiot ze sztachetą was załatwi.

Poderwał się i przespacerował po pokoju, mocno wbijając pięty w dywan.

–Nie mogę, jak pragnę biegunki, no nie mogę! – Przystanął i pogroził podwładnym zaciśniętą pięścią. – Ale, kurwa, jeśli ja przez was popłynę, to mnie popamiętacie!

Poszedł do okna i stanął odwrócony plecami do pokoju, ale obaj podwładni czuli, że słuchał uważnie. Nie ośmielili się poruszyć. Najmowicz wytrzymał ich przez cztery minuty.

–Co dalej?

–No więc uciekli przez piwnicę, na razie nie wiemy, w jakim kierunku, żadnych świadków. Wszyscy przed telewizorami, niedzielne popołudnie.

–Nie widzieli czy nie chcą mówić?

–Ona nie cieszyła się tu specjalnym szacunkiem, taka nowoczesna baba, nie była swoja – pośpieszył z wyjaśnieniem Olczak. – Powiedzieliby, gdyby co. Natomiast w domu grzał się palnik, tam – pokazał ruchem głowy. – Obok leżał dokument, ani jednej strony kopii, widocznie zdążył zgarnąć. Mówię, że on, bo Jarowid widział męską sylwetkę przy oknie, kiedy podchodził do tylnych drzwi. – A tobie nie chce się mówić? – rzucił do Jarowida kapitan, bo wezbrała w nim kolejna fala złości. – Wynająłeś sobie papugę?

–Hie, anie afichanie – wymamrotał wywiadowca, prawie nie poruszając pokiereszowanymi wargami. – Hoge uwić...

–A zamknij się, Jarowid, bo mnie wkurwiasz! Gadaj dalej, Olczak, przyda ci się ćwiczenie wymowy, jak przejdiesz na chleb komiwojażera.

–Zawiadomiliśmy miejscowy posterunek, zaraz założyliśmy obławę, na piechotę nie mogli wyjść ze wsi, to raz! Wykluczone. – Uniósł dłoń i wyprostował kciuk. Dwa: już po dwudziestu minutach wszystkich przejeżdżających tędy kierowców zatrzymywano na blokadach i sprawdzano.

–Blokady w jakiej odległości?

–Pierwsze poza wsią, dwadzieścia kilometrów, drugie: trzydzieści pięć. Naprawdę nie widzę szans, żeby czmychnęli obcym wozem, a swoje tutaj zostawili. Więc albo zasuważą na piechotę przez pola i lasy, to ich wkrótce złapiemy, albo przyczaili się gdzieś we wsi. Wiemy o sześciu domach, w których chwilowo nie ma właścicieli, byliśmy we wszystkich, sprawdziliśmy zamki. Założyliśmy mikrofony reagujące na najmniejszy hałas wewnątrz. Na razie w jednym poderwał nas zegar z kukułką, w

pozostałych cisza absolutna. Jeden dom szczególnie podejrzany: Sebila Korfhauer, znajoma Grodziec. Ten dom otworzyliśmy. Nic. Wszystko wyłączone, suche krany, garaż pusty, wyschnięte błoto na podłodze... Oni tu gdzieś są, czuje moje serce – odważył się na odrobinę luzu. – To by było tyle, Herr Hauptmann. – To jest gówno – warknął Najmowicz, ale już ochłonął. Od początku podejrzewał, że tylko cholerny splot okoliczności albo piekielny spryt tego Weissa udaremniły pościg. Spryt można wykluczyć, pomyślał, zostaje niefart. A żaden niefart nie trwa wiecznie. W końcu dopadną zbiegów.

–Daj mi ten dokument – zażądał.

Olczak poderwał się i podał plik kartek. Kapitan, ostentacyjnie nie patrząc nawet na pierwszą stronę, włożył druk do pancерnej teczki. Automatycznie uruchomił się zegar, którego wskazania mógł skasować tylko pułkownik.

–Mam nadzieję, że nie próbowaliście tego czytać? Wiem! – zgasił ruchem ręki protest podwładnego. – Nie mieliście czasu. Ja tylko tak, na wszelki wypadek. Bo w tej sprawie broń

Boże wiedzieć za dużo. I pamiętajcie, jeśli go nie złapiemy albo zdąży opublikować dokument, to wam urwę jaja. Mnie też urwę i założymy trio cienkopisów, okay?

Jarowid zachwiał się i przewrócił oczami. Najmowicz poderwał się i pomógł dowlec na poły omdlałego policjanta do kanapy.

Polecił Olczakowi sprawdzić, co na posterunku, a sam pomyszkował w lodówce i skomponował dla siebie oraz podwładnych wspaniałą kolację z kanapek i kilku gatunków piwa. Jednak w miarę upływu czasu cała trójka odczuwała coraz silniejszy niepokój, a wykwintne kanapki zaczynały smakować jak poligonowy razowiec.

Najmowicz zerknął na zegarek, sięgnął do lodówki i wyjął po jeszcze jednym piwie.

–Możemy się spokojnie napić. Olczak odmownie pokręcił głową.

Najmowicz nagle stracił ochotę na piwo. Otworzył swoją butelkę, zatkał kciukiem i mocno uderzył denkiem o wierzch uda. Potem uniósł lekko kciuk i skierował do zlewozmywaka spienioną strugę piwa. Starannie opróżnił butelkę i oblizał kciuk.

–Umoczyliśmy – powiedział. – Kurwa, chyba umoczyliśmy. Nikt nie zaprotestował.

8.

Pojawiły się pierwsze domki sygnalizujące przedmieścia Puław. Michał prowadził, Krystyna siedziała wygodnie z nogą założoną na nogę, manifestując całkowite zaufanie do kierowcy. Nagle poderwała głowę i rzuciła niecierpliwie: -Zjedź gdzieś na pobocze, szybko!

Akurat zbliżali się do pomalowanej na pomarańczowo kawiarenki, gdzie rozłożono nad stolikami tylko połowę parasoli. Michał zjechał na parking.

-Proszę cię, o nic nie pytaj, przynieś kawy, dobrze?

Wyskoczyła pierwsza i nerwowo szarpnęła zameczek torebki. Zdziwiony Michał wszedł do kawiarni, obejrzał się, potknął i zakławszy pod nosem skoncentrował na zamówieniu. Zbył machnięciem dłoni barmankę dopytującą się o cukier, śmietankę i ciastka, położył na ladzie dwa złote i wrócił do Krystyny. Siedziała przy stoliku i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w kartkę trzymaną obiema rękami.

Michał postawił filiżanki i termos na stoliku. Powstrzymał się od pytań, choć czuł, że za chwilę eksploduje.

-Jestem idiotka - powiedziała Krystyna i machnęła mu kartką przed nosem. - Zabrałam tę kartkę z mieszkania, dałeś mi, pamiętasz, pierwsza strona...

Michał gwałtownie zaczerpnął powietrza. Wyciągnął rękę i wziął kartkę. Dwie trzecie jej powierzchni zajmował tekst w języku niemieckim, u góry strony dostrzegł imię i

nazwisko, najprawdopodobnie autora: Dietlef Hegelsdorfer. Daremnie szukał tego nazwiska w pamięci. Popatrzył bezradnie na Krystynę, która siedziała przygryzając wargi, ze spojrzeniem utkwionym w kartce.

-Streścić ci czy dokładnie przetłumaczyć?

-Streść.

-Zrobili nas, Polaków, w wała. Niemcy i Rosjanie. Zwłaszcza ci pierwsi, cholerni faryzeusze.

Niecierpliwie podał jej kartkę.

-To już wynikało z listu Bazarka, co tu jeszcze jest? Zaczęła czytać, tłumacząc od razu na polski:

Powoduje mną wstyd za mój naród, mój rząd, który sam wybierałem, który okłamał mnie i kilkanaście milionów moich rodaków oraz kilkaset milionów ludzi w Europie. Przypadkowo, co wyjaśnię potem, wpadł w moje ręce dokument, który poruszył mnie do głębi i spowodował, że zacząłem szukać innych śladów tej przerażającej manipulacji. Osiem lat temu, kiedy oficjalnie twierdzono, że lada moment Polska zostanie przyjęta do struktur NATO, Wspólnota Autonomicznych Republik, jak to ujęto w rządowym komunikacie, „strzegąc swoich istotnych państwowych interesów” zajęła cztery polskie województwa, a wówczas Niemcy, ratując Polaków od całkowitego zaboru, wmontowały” resztę Polski w strukturę zjednoczonych „Niemiec, od dawna należących do Sojuszu Północnego. Udało mi się niezbitnie udowodnić, że całą tę ponurą dla Polaków aferę opracowano na najwyższych szczeblach władz obu zainteresowanych zaborców, zresztą nie tylko. Jednakże sprawa jest tak ohydna, że nawet wśród ludzi wywodzących się z

najbardziej nawet zaufanych kręgów znaleźli się tacy, którymi wstrząsnęła ta potworna manipulacja. Oni właśnie doprowadzili do skompletowania niniejszej dokumentacji, niezbitcie świadczącej o tym, że od kilkunastu lat, od chwili upadku komunizmu w Polsce i pierwszej zgłoszonej jeszcze przez rząd Mazowieckiego propozycji aliansu, rząd Niemiec i cały Parlament Europejski w supertajnych głosowaniach opowiadali się przeciwko wprowadzeniu Polski do struktur UE i NATO. Oczywiście oficjalne stanowisko było diametralnie inne, dlatego zwlekano, przeciągano, udawano uległość wobec nacisków Rosji, która z kolei, widząc taką postawę, coraz bardziej zdecydowanie sprzeciwiała się wejściu Polski do Zjednoczonej Europy. Nacisk ten wzmógł się zwłaszcza po przyjęciu Polski do NATO. Tymczasem upór polskich elit przywódczych żądających pełnego i jak najszybszego zintegrowania Polski z Europą wzbudzał coraz wyraźniejszą niechęć kół rządowych Zachodu. Coraz głośniej pytano: tyA co też ma do zaoferowania ta cała Polska, że tak się wciska pomiędzy kraje, od ponad pół wieku z

poświęceniem pracujące nad ekonomiczną i polityczną integracją Europy?”

Załączona dokumentacja pokazuje, jak rządy Niemiec i Rosji przeszły od wymiany poufnych not do wysunięcia konkretnych propozycji wobec dzielącego ich kraju. Tak doszło do opracowania planu, który miał przekonać świat o niereformowalności Polski...

Powoli odłożyła kartkę na stolik i przykryła ją dłonią. – Koniec.

Milczeli ponad minutę, przetrawiając informacje o tym, kto i dlaczego wydał wyrok na Polskę.

–Boże... – szepnęła Krystyna. – Nam powciskali racje stanu, geograficzne uwarunkowania, struktury polityczne i ideologiczne, a w gruncie rzeczy załatwili własne interesy!

Michał chwycił kartkę, popatrzył na nią, ostrożnie złożył i schował do wewnętrznej kieszeni kurtki. Odruchowo przyglądził materiał na piersi, jakby obawiał się, że cenny dokument zdradzi swoją obecność.

–Kur-r-rcze! Wolałbym więcej konkretnych informacji zamiast tej rozbiegówki na początku – wykrztusił.

–Autor nie spodziewał się, że ktoś będzie dysponował tylko pierwszą stroną. Zresztą i tak sporo wiemy.

Oboje zamilkli uświadomiwszy sobie zagrożenie, jakie niesie ta wiedza. Michał potrząsnął głową, zdjął nakrętkę termosu i nalał do filiżanek świeżej kawy. Mocny aromat rozszedł się w powietrzu.

–To wyjaśnia, kto był u ciebie w domu – powiedział w końcu.

–Tak?

–To nie złodzieje ani włamywacze, żadna kryminalna sprawa. To ludzie, którzy wypełniają służbowe obowiązki. Ludzie, którzy uciszyli już sporo świadków.

–Inaczej mówiąc: mordercy w majestacie prawa! Mam rację? Przytaknął niechętnie.

–Więc wcale nie jesteśmy tutaj bezpieczni. Wpadliśmy z deszczu pod rynnę.

–Niekoniecznie – odparł. – Pomyśl, jeśli komuś wypsnęła się z rąk śmierdząca

sprawa, woli się nie przyznawać, tylko załatwić to samodzielnie. Te służby nie robią prezentów innym, przynajmniej tak się dzieje w kryminałach. Nikt dobrowolnie nie podkłada się przeciwnikowi.

–Pocieszasz mnie. Więc ściga nas tylko polskojęzyczna policja niemiecka? – Nagle parsknęła śmiechem ku zaskoczeniu Michała. – Wiesz co, mam ich gdzieś! Musimy tylko podjąć decyzję, co robimy i jak.

Spróbowała kawy i uniosła brwi ze zdziwioną aprobatą.

–Na pewno nie możemy po prostu zwrócić dokumentu. Musimy się zabezpieczyć, jak radził Bazarek. – Dużo mu to pomogło – burknęła.

–Nie wiadomo. Przecież wiemy tylko, że zniknął. Może zaszył się gdzieś i siedzi cicho.

–A ty masz za niego nadstawiać karku. – Odstawiła filiżankę. – Spadajmy stąd. Podobno węższą za nami jakies organa ścigania, a my siedzimy sobie i prowadzimy konwersację. Zużywamy swój przydział szczęścia czy jak? Popatrzył na nią z podziwem. Pomimo szaleństw w nocy, pomimo stresu, jej brązowe oczy błyszczały, a policzki były kusząco zaróżowione.

–Jesteś piękna – powiedział szczerze. – Uwielbiam każdy atom twojego ciała. Na dodatek jesteś mądrzejsza ode mnie. – Powstrzymał gestem jej protest. – Chociaż ja też nie jestem głupi, skoro to widzę. Jedziemy.

–Nie, dopijmy kawę, wyjątkowo dobra i szkoda, żeby się zmarnowała. W Lublinie mają dobrą kawę?

–Jest tam największa w tej części kraju palarnia najlepszej kawy i taka kawiarenka, że hej!

Nie dodał, że sam należy do najważniejszych udziałowców spółki sprowadzającej tę kawę. Wątpił, czy odważy się pojawić w siedzibie firmy. W milczeniu dopił kawę. Przyłapał się na odruchowym porównywaniu gatunków; w normalnej sytuacji obowiązek handlowca kazałby mu zareklamować tutaj, w dobrym punkcie, kawę ze swojej palarni, ale dziś uznał, że nie powinien się wychylać. Pomógł wstać Krystynie, objął ją i poprowadził do samochodu. Wyjeżdżając z parkingu, włączył wybierak płyt, ale gusta Sebili nie odpowiadały ani jemu, ani pasażerce. Radio zaprogramowane na automatyczne wyszukiwanie najbliższej rozgłośni włączyło lubelski program.

–...śli ktoś miał wątpliwości co do istnienia oficjalnej lub nieoficjalnej cenzury - powiedział z pasją mężczyzna – przy czym tę drugą uważam za bardziej niebezpieczną, to ostatecznym i dla mnie niepodważalnym dowodem jest zdjęcie z programu audycji „Z historii kabaretu”, ponieważ zacytowała wiersz Andrzeja Waligórskiego pt. „Oda na otwarcie we Wrocławiu kasyna gry o nazwie «Cassino»„. Ten niewygodny dla „demokratycznych” władz fragment przypomnę. W głośnikach zasyczało, trzasnęło, niewątpliwie nagranie pochodziło z czasów wczesnej stereofonii. Rozległ się charakterystyczny, lekko chrapliwy głos zająkującego się autora:

Cassino też już kiedyś było,

Zdobyliśmy je bagnetami. I proszę – nic się nie zmieniło, Nawet obrońcy tacy sami. Tyle że nie ma tyle huku...

Syk ustał, powrócił afektowany głos komentatora:

–Czy można kwestionować trafność tych słów? Przecież to historia sprzed czterdziestu z górą lat! A jednak komuś nie spodobało się przypomnienie, że był taki czas, kiedy Wrocław należał do Polski i Niemcy dopiero nieśmiało tam się wkradali. Nie spodobało się szydzenie z postawy kosmopolitycznego obszczymura, który...

Michał trącił palcem klawisz searchera. Oderwał wzrok od jezdni.

–To taka lokalna pralnia dusz. Gość siecze na prawo i na lewo z takim zapalem, że trochę mnie irytuje.

–Trudno mieć do niego pretensje.

–Owszem, ale nie podoba mi się facet, który znajdzie haka na każdego.

Przyspieszył do stu trzydziestu. Na pytające spojrzenie Krystyny wyjaśnił, że już dawno minęli Kurów, gdzie policja zazwyczaj ustawiała pułapki, a w dodatku nad prostym odcinkiem szosy prawie codziennie testowano śmigłowce przed odbiorem z fabryki w Kraśniku. Do Lublina dojechali w piętnaście minut. Na rogatkach Michał zadzwonił do Jarka i bez żadnych wyjaśnień kazał mu przyjechać. Potem zameldowali się w pensjonacie, gdzie nikt nie pytał o narodowość, nazwisko ani preferencje polityczne.

Po półtorej godzinie Michał wyszedł i przyprowadził zdenerwowanego Jarka, któremu opowiedział tyle, ile uznał za bezpieczne. Wręczył mu kluczyki do hondy Sebili i podał adres, pod jaki miał odstawić wóz. Krystyna nagrała dla przyjaciółki wiadomość i przeprosiny. Potem, kiedy nieco nadąsany Jarek wyszedł, przeliczyli swój kapitał, mocno podreperowany przez gościa. Pół godziny później Jarek zadzwonił i oznajmił, że kupił dla nich dwuletniego opla walkirię z masą turystycznego wyposażenia w komorze kombi.

Niezbyt rozsądnie wypili dla odprężenia kawę w „Zorzy” gdzie nowa kelnerka nie poznała współwłaściciela, ale obsłużyła ich kompetentnie i miło. Kawa była rzeczywiście wyśmienita, lecz zdenerwowani goście nie potrafili w pełni napawać się jej aromatem i smakiem.

Potem wsiedli do opla i wyjechali z miasta. Michał prowadził zamyślony i milczący, więc Krystyna przelazła na tylne siedzenie i wychylona do tyłu zaczęła przeglądać sprzęt, pomrukując z aprobatą lub zdziwieniem. Przerwała dopiero na pytanie partnera:

–A gdybym zadzwonił do jakiejś redakcji i zaproponował przekazanie informacji? Na przykład: nazywam się tak i tak, mam interesujący materiał dla waszej gazety.

Krystyna podskoczyła na siedzeniu, zobaczył iskry w jej oczach.

–Tak! – powiedziała z mściwym wyrazem twarzy. Dzwonimy do kilku gazet, rozumiesz! Trzeba zapytać, czy gazeta zapewni ochronę informatora. W ten sposób dodatkowo zabezpieczymy się przed tamtymi. Nie widzę przeciwwskazań, genialny pomysł.

–Dziękuję.

Michał rozejrzał się po okolicy. Koncha automatu przyciągnęła jego wzrok agresywną czerwienią. Zahamował, wyskoczył z samochodu i przeszedł przez plac. Krystyna zakończyła przegląd ekwipunku, zerkając nerwowo na rozmawiającego

mężczyznę. Wrócił z takim wyrazem twarzy, że nie musiała nawet pytać, jak poszło.

–Wiesz co? Dodzwoniłem się do dwóch dużych dzienników i „Spiegla”, i za każdym razem, kiedy się przedstawiłem, coś zgrzytało w słuchawce, a potem automat prosił, żebym kontynuował nagranie. Za trzecim razem specjalnie najpierw gadałem tak sobie, a dopiero po chwili podałem nazwisko i znów zgrzytnęło. Przypomniałem sobie coś: podobno w sieci tele komputer może wyłapywać jakieś słowa-klucze, na przykład jeśli usłyszy „Grodziec”, sam włączy nagrywanie i powiadomianie. Rozumiesz?

Po chwili namysłu Krystyna stwierdziła:

–Ale cel osiągnęliśmy.

–Oczywiście. Tylko że już nic więcej nie zdołaliśmy.

–Możesz zredagować rozmowę tak, żeby nie padło... zamilkła z otwartymi ustami.

– Och! Częstotliwość głosu!

–Tak, mogą gdzieś wygrzebać nagranie i wyłapać sam wykres głosu. Gdybym poprosił kogoś obcego... ale to już mnożenie bytów ponad potrzebę.

Przez chwilę zastanawiali się intensywnie. W końcu Michał mruknął coś pod nosem i uruchomił silnik. Skręcił na lokalną drogę prowadzącą do Biłgoraja. Zamierzał jechać wzdłuż południowej granicy i za Rzeszowem do Niemiec.

Zapowiedział w dwóch redakcjach, że za kilka godzin zadzwoni z Łodzi. Teraz zastanawiał się, czy próbując przechytrzyć myśliwych, nie przechytrzył sam siebie. Zawiadomił ich o powrocie do Polski, licząc, że mu nie uwierzą. A jeśli uwierzą? Na samą myśl poczuł idiotyczne dławienie w gardle.

Przez taras hotelu przeleciał leciutki wietrzyk, potarł skraj firanki. Na stoliku leżała zapieczętowana paczka marlboro strong i nowiutka zapalniczka. Dłoń kilkakrotnie już trąciła paczkę, ale wciąż się cofała. Michał usiłował myśleć o czymkolwiek, byle nie o piekielnym głodzie nikotyny. Ale myślał tylko, że to głupie: najpierw miał nawrót nałogu i kupił papierosy, a teraz prowadzi ze sobą gierki. No to po cholerę je kupowałem? Wyrzucić? Nie. Spokojnie. Panuję nad sytuacją. Zapalę, ale bez pośpiechu.

Powoli, wciąż powtarzając sobie, że kontroluje sytuację, sięgnął do paczki, chwycił koniuszek czerwonego paska i pociągnął. Wiedział już, że przegrał bitwę z nałogiem, ale ta świadomość przyniosła mu ulgę. Walczył ze sobą od dwóch godzin, odkąd Krystyna zasnęła. Teraz wyjął papierosa, powąchał i wreszcie zapalił. Ile jeszcze życia mi zostało? – pocieszył się w duchu.

Zaciągnął się głęboko. Dym w płucach nie sprawił mu takiej przyjemności, jakiej się spodziewał. Nagle ogarnęła go złość. No właśnie, kurwa mać, pomyślał wściekły, wcale nie smakuje, jak powinno! Nie zgasił jednak papierosa, wypalił go do końca, ćwicząc opanowaną kiedyś do perfekcji technikę puszczania kółek w kółka. Spłukał gorycz szklanką zimnego, pysznego soku brzoskwiniowego. I zapalił ponownie.

–Hej! Zwariowałaś? Przecież nie paliłeś od... Odwrócił się do drzwi, w których stała Krystyna, zasłaniając się na wszelki wypadek firanką.

–Co to za argument, kochanie? – rzucił filozoficznie Michał. – Ścigany nie byłem od trzydziestu czterech lat i co?

–Piłeś? Beze mnie?

Wyszła na taras. Naga, szczupła, zgrabna, długonoga. Ziewnęła i przeciągnęła się, podeszła bliżej. Bliżej. Przysunęła piersi do jego twarzy. Objął ją jedną ręką i przytulił. Pocałował sutkę, posmakował. Poczuł jej dreszcz jak własny.

–Wiesz co? – Odsunęła się delikatnie, pocałowała go w usta i usiadła, nie przejmując się swoją nagością. Obudziłam się i uświadomiłam sobie, że nawet nie bardzo wiem, jak doszło do podziału Polski. Przecież to tak niedawno było... Za naszego życia. Jakaś dziwna skleroza?

Zaciągnął się i wypuścił dym.

–Ojciec przeżył wszystkie burzliwe lata w PRL-u, potem upadek komuny, zjednoczenie Niemiec, rozpad ZSRR – powiedział wolno, nie odrywając wzroku od efemerycznej smugi dymu. – I mówił mi, że wystarczyło zaledwie kilkanaście miesięcy, żeby zapomnieć prawie o wszystkim. On sam ze zdziwieniem przy jakiejś okazji odkrył, że jeszcze ma na półce podręcznik, w którym podaje się fakty obecnie postrzegane inaczej. Podobno zapomniał nawet, jak „realizował” kartki na mięso. Po roku wspominał tylko jak zabawną anegdotę, że stu dwudziestu sześciu pracowników wydziału fabryki rozlosowało pomiędzy siebie przydzielone im trzy piętnastodekowe kawałki żółtego sera. I on, wyobraź sobie, wygrał jeden! Jak głosi domowa legenda, powiedziałem: „O, ziółty selek! Lubię selek!” i

zjadłem go natychmiast! – Roześmiał się cicho. – Jako szczęściarz został wykluczony z następnego losowania, gdzie szło o dwie pary rajstop. Wyobrażasz

sobie? I to wszystko odeszło w zapomnienie. Życie stało się lepsze, więc niedobre wspomnienia pospiesznie wyrzucono na śmietnik.

Strząsnął popiół paznokciem wskazującego palca.

–Adaptacja. Dobroczynna selektywna socjalna skleroza. Zasłanianie brzydkich widoków.

–Ale poważnie...

–Mówię poważnie. Coś niecoś sobie przypominałem. Wejdziemy do pokoju?

–Nie – zdecydowała. – Ubiorę się i przyniosę drinki.

Kiwnął głową, a kiedy zniknęła w drzwiach, przeplukał usta sokiem i natychmiast zapalił nowego papierosa. Pomyślał, że dopiero teraz się rozkręci, żeby nadrobić kilka lat bez nałogu.

–Przynieść konsolę? – zapytała z pokoju niewidoczna Krystyna, ale odkrzyknął, że nie trzeba.

–Szczegóły są nieważne – oświadczył, gdy weszła na taras w granatowo-białym pasiastym szlafrocuku. – Zwłaszcza że pewnie są zafałszowane, jak się okazuje. Zaraz, skąd masz ten szlafrok?

–Zadzwoiłam i pokojówka mi przyniosła. – Do wszystkich twoich zalet dochodzi jeszcze ta, której zawsze innym zazdrościłem: umiejętność korzystania z room servisu. – Przyjął szklanekę do połowy wypełnioną ciemnobursztynowym aromatycznym płynem. – Ja umiem najwyżej wyczarować wodę mineralną.

Oboje łyknęli ze szklaneczek. Ponagliła go ruchem brwi.

–No więc to było tak. Do końca roku mieli nas przyjąć do NATO i kilku innych agend Unii Europejskiej. Rosjanie zawsze się temu sprzeciwiali, zresztą u nas też nie wszyscy byli przekonani, że tak dobrze na tym wyjdziemy: plantatorzy, rolnicy, hodowcy... I w połowie sierpnia, w szczycie kanikuły, w Bundestagu nagle ktoś zaproponował, żeby Polska weszła do ich Protektoratu, bo Rosjanie coś kombinują, co jednoznacznie potwierdza kilka sekcji wywiadu, nie tylko niemieckiego. A gdy wybuchła wrzawa i Polacy się podzielili na patriotów i kosmopolitów, Rosjanie oznajmili, że wobec zagrożenia ich żywotnych interesów muszą podjąć i tak dalej, a Niemcy zapytali triumfalnie: „A nie ostrzegaliśmy?!” W rezultacie dwudziestego szóstego sierpnia obudziliśmy się w dwu krajach. Granica nagle przesunęła się na linię Węgorzewo-Pisz-Kolno-Ostrów Mazowiecki-Garwolin-Mielec-Jasło, a była to granica niemiecko-rosyjska. Każda ze stron, które zajęły część terytorium Rzeczypospolitej,

zwałała winę na drugą. Niemcy twierdzili, że zaczęli Rosjanie, a oni tylko uchronili resztę Polski przed rosyjskim zaborem. Rosjanie rzecz jasna twierdzili, że ich interesy zostały zagrożone, gdy nawała niemiecka runęła na wschód, dlatego stworzyli swój bufor. Obie strony usiłowały wymusić na nas oświadczenie, że im właśnie zawdzięczamy wolność i jesteśmy za aneksję wdzięczni. Chwiejny rząd Zatyry, mocny tylko w pysku, memlał coś i wszystko się rozmywało, rozmywało... Czas uciekał, dowódcy wojskowi symulowali warianty działań na brytyjskich komputerach, świat zaczekał trochę, a potem machnął ręką. Zaciągnął się i łyknął, smakowało.

–Trochę młodzieży ciskało butelkami w czołgi i sprajowało bramy koszar. Generalnie jednak zachowywaliśmy się jak człowiek na przystanku: czeka i myśli, że mógł pójść na piechotę, byłoby szybciej, ale tyle już czekał i może za chwilę nadjedzie autobus, więc czeka jeszcze godzinę, wściekły, ale coraz bardziej głupio mu odejść.

Zgasił papierosa, kolistym ruchem zakołysał szklanką.

–Jeśli dobrze pamiętam, to pierwsze zaakceptowały Protektorat tak zwane Euroregiony. A potem zwyczajna sprawa, wszystko się poplątało, firmy weszły w gorące spółki z Niemcami, Rosjanie obniżyli do absurdu podatki w polskiej strefie, coś tam podpisano, coś wyjaśniono i już. Obie strony pozwalały na swobodną emigrację i okazało się, że wcale nie tak mało ludzi woli słowiańską siermiężność od krzykliwej cywilizacji kapitalistycznej. Patriotyczni krzykacze wrzeszczeli już tylko na siebie. Kropka. Wszystkie strony nagle uznały, że mają ważniejsze sprawy na głowie, u nas zbliżały się wybory prezydenckie, a kandydaci nawet nie bardzo się ciskali i pobrzękiwali szabelkami. Pamiętam, wtedy uznałem, że wewnętrzna emigracja nie jest złą rzeczą. Nawróciłem się na wiarę w „3K”: Konfabularny Kościół Kosmopolityczny.

–Poczekaj, a nasze wojsko? Zasnęło na jedną noc? zdziwiła się.

–To też podejrzana historia. Akurat tamtej nocy mieliśmy przejść na inny system obrony przeciwlotniczej, a nasze szefostwo bawiło, to dobre słowo, w Strasburgu na jakiejś niezmiernie ważnej naradzie agend Unii Europejskiej. Podobno zaszły jeszcze inne niekorzystne zbiegi okoliczności. Rzecz jasna po fakcie brukowa prasa, zwłaszcza niemiecka, używała sobie na całego: przeniknięcie Rosjan do struktur NATO, nieudolność polskiego żołnierza, nawet UFO wciągnięto w bezkrwawą klęskę Rzeczypospolitej. A z drugiej strony opozycyjne ugrupowania oskarżały rząd o kolaborację, zdradę, świadomą indolencję, ple, ple, ple! – machnął ręką. – Ale na pewno dowództwo armii było skłócone, przez cały czas trwały przepychanki w ministerstwie, sztabie i wszędzie.

Milczeli przez chwilę.

–Gdzie byłeś przed podziałem?

–W Pile – odpowiedział po ledwo uchwytej chwili wahania.

Zrozumiała, że bał się usłyszeć: „Więc świadomie wyjechałeś do Kundellandu?” Poczwała gorąco rozlewające się po policzkach.

–Posłuchaj, żeby nie było nieporozumień: kocham cię i jesteś dobrym człowiekiem, nieważne, gdzie mieszkasz. Nie oceniam twoich poglądów, z wyjątkiem poglądów na niejaką Krysię Grodziec. Okay?

Widziała, że odetchnął. Pochylił się i położył sobie na kolanie jej stopę.

–Nie zasługuję na ciebie – powiedział cicho. Czubkiem palca rysował kółka na podbiciu jej stopy, a ona spazmatycznie zginała palce.

–Chodźmy się kochać – zaproponował.

–Za chwilę, podoba mi się to łaskotanie... Za chwilę.

–No, wreszcie. Już myślałem, że będę musiał wysłać do ciebie sekretarkę z powiadomieniem! – warknął Krymarys, nie kryjąc niezadowolenia.

–Przepraszam... Są razem. Oboje – zameldował Najmowicz.

–A jak mieli być razem i nie oboje? – fuknął pułkownik. – Masz coś do powiedzenia czy nie?

–Tak – pospiesznie zapewnił kapitan. – Przekroczyli granicę do AR, byli w Lublinie. Z jednego z otrzymanych przeze mnie meldunków wynika, że wrócili do nas po kilku godzinach, ale to niepewne, ponieważ późniejsze doniesienie podaje, że on sam pojawił się w okolicach Kraśnika. Jeśli tam był, to z nią. Dlatego sądzę, że wcześniejszy raport można odrzucić. Uaktywniliśmy naszych śpiochów w AR, ale nie możemy wszystkich skierować na południe, zwłaszcza że nie znamy dokładnego miejsca ich pobytu. Większość naszych sił pilnuje jednak Bystrzyny i tamtejszych jego kontaktów. Tutaj oczywiście założyliśmy pułapki u siostry i w domu poszukiwanej. Aktywnie pilnujemy wszystkich tropów.

–Tak, aktywnie. Właśnie widzę, szkoda tylko, że nie ma wyników.

–Na razie sami nie możemy działać więcej – powiedział spokojnie kapitan. – Z tamtej strony możemy narazić swoich na...

–Możemy! – uciął Krymarys. – To rozkaz: wszyscy do roboty, spalonych... trudno, wycofujemy. Ci, co ocaleją: hura!

–Czy mam rozumieć... – wolno, ostrożnie zaczął Najmowicz.

–Tak. Wszystkie siły.

–A czy nie dałoby się jakoś zapewnić sobie wspomagania Rosjan? Możemy im sprzedać jakąś wersję, taką bezpieczną, rozumie pan, panie pułkowniku: do takich podstawowych, rutynowych działań... Miejscowe śledzie są lepsze i jest ich więcej, Herr Oberst.

Krymarys milczał długą chwilę.

–Dobrze. Zajmę się tą sprawą. Mam jakiś kontakt z tym... – Zamilkł. – Nieważne, coś ruszę. Ale licz raczej na swoje siły, kontakty z Ruskimi tylko przeze mnie, jasne? Zakazuję własnych kontaktów, działaj, jakbyś był sam.

–Takjes...

Pułkownik wstał i bez słowa skierował się do drzwi.

–No to się ruszaj, Najmowicz. Bądź skuteczny. Postaraj się.

Drzwi zamknęły się, cicho szcękając rygielkiem. Najmowicz otarł spocone czoło. Chyba się wykąpię, pomyślał.

–Babie lato, patrz! Krystyna wskazała palcem zaczepioną o drut parasola delikatną, połyskującą srebrem nitkę pajęczyny. Michał z trudem oderwał się od ponurych rozmyślań i podniósł zaczerwienione oczy znad stolika. Od chwili powrotu z AR nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Ziewał z niewyspania, ale kiedy położył się do łóżka, dziki kołowrót myśli kazał mu rzucać się na pościeli i zaciskać pięści. Nie zmrużył oka przez całą noc. Daremnie próbował zdrzemnąć się po obiedzie. Zbliżał się wieczór powitany kuflem piwa, które dotychczas zawsze wywoływało u Michała przemożną senność. Dzisiaj odezwał się tylko pęcherz, co spotęgowało złość i frustrację.

Michał po raz setny przetarł piekące oczy i energicznie rozmasował przewężenie nosa. Jeśli spodziewał się ulgi, spotkało go rozczarowanie.

–Biedny jesteś – powiedziała Krystyna. – Ale jeśli nie chcesz współczucia, to już milczę.

Ziewnął nie otwierając ust, z taką miną, jakby miał eksplodować złością.

–Cholera, sam nie wiem, czego chcę. Znaczący wiem, przespać się. Zaczynam rozumieć, dlaczego ludzie sięgają po narkotyki.

–Chcesz mojej rady czy rzucisz we mnie szklanką? Nakrył jej dłoń swoją, uściśnął.

–Mów.

–Zjedz coś, to raz. Zostaw w spokoju papierosy, dwa. Zejdź do siłowni i daj sobie w kość na cyklopie, cztery. Jeśli nie pomoże, to obiecuję, że uśpię cię skarpetką wypełnioną marmurowym grysem.

Wyobraził sobie Krystynę ze skarpetką w dłoni i uśmiechnął się.

–Zacznę od jedzenia.

Pochwyił spojrzenie kelnera, który podszedł natychmiast.

–Jakieś pszenne pieczywo, rogalik, bułeczka? Coś chrupiącego w każdym razie. Masło, niesione, i jakieś dżemy niskosłodzone. Dziękuję... Aha, sok. Jabłkowy, śliwkowy? Byle nie cytrusowy.

–Brzoskwiński, morelowy, jabłkowy, gruszkowy, śliwkowy, pomodoro...

–Gruszkowy!

Ober skłonił głowę i odszedł. Michał wrzucił do kieszeni papierosy, rozsiadł się wygodnie. Krystyna coś sobie przypomniała.

–Przepraszam cię na chwilę.

Odeszła. Przy stoliku obok usiadł uśmiechnięty życzliwie pastor i para z minami gospodarzy oprowadzających gościa. Ich gościnność, co dobrze maskowali, była już nieco zmęczona.

–Pi-jenkne! – zapał pastor i przeszedł na niemiecki, jakby zadowolony ze złożonego Polsce hołdu: – Herrlich... Wieliczka und frtiher sellbst Krakau. Ausgerechnet. So uiele prdchtige Baudenkmdler, der unermefiliche Wert. Ihr habt Glick gehabt, dafi das alles auf unserer Seite geblieben ist.

–Tak, mieliśmy szczęście – bąknął mężczyzna i nagle ożywił się, dostrzegając możliwość zadośćuczynienia za męczące bawienie gościa. – Że zostało po naszej

stronie.

Pastor pokiwał głową. Pstryknął palcami na kelnera i zawołał:

–Dreimal Bier, bitte! Bayerisches!

Odwrócił się do gospodarzy, zanim żona przestała piorunować męża wzrokiem.

–Aber das Leben in der Maahe der Grenze... – pokręcił głową. – Kiedyś

przebiegała w pobliżu linia Curzona, prawda? Ciągłe tu wyznaczają jakieś granice.

Widocznie to naturalne dążenie do odgrodzenia się od dziczy ze wschodu. A z doświadczenia wiem, że taka bliskość granic jest deprymująca. Nie lubię – wyznał. –

Kiedyś mieszkałem w Gottingen, dla mnie to było stanowczo za blisko granicy, naprawdę. Kilka lat męczyłem się, nie potrafiłem się ustabilizować, ciągle czekałem, że czerwoni zrobią coś okropnego.

Promiennie uśmiechnął się do podającego piwo kelnera.

–Dann nach der Vereinigung Deutschlands bin ich nach Cottbus geschickt worden. Welch eine Ironie des Schicksals, nun? Wirklich! Und wieder ein paar Schritte bis zur Grenze... – Czyżbyśmy byli zagrożeniem dla Niemiec? – zdziwił się teatralnie mężczyzna.

Wyglądał na podchmielonego, może niewyspanego po wczorajszym balu. Michał zrozumiał, że ma wyraźnie dość gościa, wyraźniej niż żona, która chciała dyskretnie kopnąć

męża w kostkę, ale natknęła się na nogę stołu. Dopiero kiedy w nią stuknęła, zorientowała się w pomyłce.

Pastor zamarł z otwartymi ustami, jakby nie zrozumiał, o co chodzi mężczyźnie. Potem kąciki jego ust podjechały w górę jak na sznurku. Uśmiechnął się szeroko. – Herr Jaskowiak... Sie wissen doch, nein!

–A pod francuską granicą nie bałby się pan?

Mężczyzna starannie oblizał wargi i wbił poważne spojrzenie w pastora. Żona trafiła w końcu na but i nadepnęła mocno, ale jej mąż chyba tego nie poczuł. Chwycił swoje piwo i duszkiem wypił połowę.

–Nein, seltsam, aber nein. Ich habe dort auch einige Zeit fewohnt und habe mich gut gefiihlt. – Pastor spróbował piwa i z zadowoleniem pokiwał głową. – Vielleicht liegt das am Klima – dodał jakby dla złagodzenia poprzednich słów. – Dort habe ich mich wirklich wie zu Hause. Ubrigens, das sind schon die Greuzen, die derjenigen vor dem II Weltkrieg dhnlich sind, nicht war? Alle kónen sich schon wohl fiihlen, wie im alten guten Haus.

Przewodnik poczerwieniał i spazmatycznie przełknął ślinę. Żona zaczerpnęła powietrza, ale nie zdążyła z interwencją. Mąż odezwał się, wolno wymawiając słowa:

–A skoro już mowa o domu... Wie pastor, co łączy seks oralny z homarami? Ani tego, ani tego nie dostanie się w domu!

Zaśmiał się przez nos. Potem popatrzył na czerwieniejącą twarz pastora i napadła go druga fala śmiechu. Żona rozpaczliwie deptała mu po stopie. Krystyna podeszła i usiadła, zasłaniając częściowo widok na sąsiedni stolik. Przyjrzała się uważnie twarzy Michała.

–Widzę, że już się rozluźniłeś?

Pokiwał głową. Kelner podszedł i sprawnie rozłożył przyniesioną zastawę. Naciśnięta bułeczka chrupnęła cichutko. Niespodziewanie Michał poczuł przyływ apetytu. Rzucił się do smarowania bułeczki, szukając wzrokiem kelnera. Od stolika obok dobiegał coraz głośniejszy chichot mężczyzny oraz głos usiłującej zagłuszyć go żony.

–Zadyma – oznajmił Michał, wskazując brwią stolik za plecami Krystyny. – Nieporozumienie polityczno-towarzyskie. Zawsze tak się kończą próby połączenia tych dwu rzeczy.

–Herr Jaskowiak, hier dilrfen Sie aber sogar scherzen, dort, gibt es keine Scherze. Jeden Tag riskieren Polen viel, sogar ihr Leben, wenn nicht Verschickung.

–A czy wie pastor, że... – zaczęła kobieta, ale najwyraźniej nie miała żadnego pomysłu, jak powstrzymać rozmowę przed stoczeniem się do towarzyskiego piekła. – My możemy... My...

–Przepraszam! – wykrztusił mąż. – Muszę zadzwonić. Wstał i niemal odbiegł od stolika. Michał zerknął ponad ramieniem nic nie rozumiejącej Krystyny. Pastor dopijał piwo i szukał zastępczego tematu. W końcu odstawił szklankę i dość niezgrabnie bąknął, że w takim razie pójdzie się spakować. Kelner dojrzał alarmujące spojrzenie kończącego bułeczkę klienta, podszedł i odebrał zamówienie na jeszcze jedną porcję wspaniałego pszennego pieczywa. Sok był chłodny, ale nie zimny. Michał pokiwał z uznaniem głową.

–Coś się ruszyło, a nie tak dawno jeszcze trzeba było specjalnie prosić o schłodzenie soku – skomentował cicho. Pochylił się do Krystyny. – Podśluchiwanie... ma swoje...

Zamilkł i pograżył się w myślach. Krystyna z wysiłkiem oderwała wzrok od jego zmartwionej twarzy. Zrobiła niedbałą minę i rozejrzała się dokoła. Akurat przy moim doświadczeniu wypatrzę tego, kto nas śledzi!, skonstatował z goryczą. No, zastanówmy się logicznie: starzy goście się nie liczą, przynajmniej w pierwszej selekcji, bo przyjechali przed nami. Więc tamci nie, i ten, chyba i ci dwaj, i tamta para. Właściwie tylko ten pastor i jego przewodnicy są nowi, ale czy agenci wszczynaliby awanturę? Żeby się zamaskować hałasem? Diabli! Trzeba inaczej: wyjdę i popatrzę, kto się ruszy!

Wstała i bez słowa, szybko ruszyła do holu, ominąwszy trochę zdziwionego kelnera. Dopadła szklanego kiosku i rzuciwszy: „Paczkę antynikotynowej gumy strong”, obejrzała się na taras. Nikt mnie nie śledzi, stwierdziła.

–Słucham? – pochyliła się do okienka. – Ach, już! Wyjęła największy nominał i podała zafrasowanej ekspedientce.

–Ojej, proszę iść do stolika, przyniosę pani za chwilę resztę.

–Nie szkodzi, poczekam, proszę spokojnie rozmienić.

Przesunęła się trochę i ukryła za dwoma donicami z gęstym drobnolistnym fikusem i wielopienną juką. Spomiędzy liści miała niezły widok na taras. Ci dwaj się wdzięczą do siebie jak nie wiem co, ale kto powiedział, że agenci nie mogą być homo? Samotny mężczyzna, który wczoraj miał za towarzyszkę jakąś spłoszoną dziewczynę, nerwowo przywoływał kelnera. Pochylony ober wysłuchał cichych

instrukcji, wyprostował się i rozejrzał. Zerknąwszy w taflę przydymionego szkła, skinął głową i skierował się w stronę Krystyny. Poczula falę ukropu rozlewającą się po policzkach. Zrobiła dwa kroki i zniknęła w WC, gdzie wpatrując się niewidzącym wzrokiem w swoje odbicie, policzyła do pięćdziesięciu, zanim wyszła. Ekspedientka odliczała jej resztę, kelner krzątał się przy innym stoliku, a podejrzany mężczyzna szybkim krokiem przemierzał taras w kierunku holu. Krystyna spokojnie ruszyła na jego spotkanie, ale twarz mężczyzny nie zdradziła ani ulgi, ani zaskoczenia. W końcu, uświadomiła sobie, agenci nie mogą radośnie kiwać głową na widok

zgubionego przed chwilą obiektu ani zawracać w miejscu i chować twarzy pod kapeluszem. Podeszła do stolika i usiadła, powstrzymując się od sprawdzenia, co robi „agent”. Michał, wciąż usiłujący coś sobie przypomnieć, cmoknął w końcu z niezadowoleniem i skubnął bułkę.

–Coś mi zakłówało w głowie i zwało, cholera – poskarżył się. Musnęła palcami jego dłoń.

–Przypomni ci się, przecież wiesz.

Kiwnął głową, obrzucił obojętnym spojrzeniem taras i towarzystwo. „Agent” wrócił do swojego stolika i rozsiadł się wygodnie. Krystyna z trudem opanowała podniecenie. Przez chwilę zastanawiała się, czy przekazać swoje spostrzeżenia Michałowi. Przypomniła sobie, w ilu sensacyjnych filmach takie drobiazgi odgrywały kluczową rolę, i nabrała powietrza. W tej samej chwili kelner, nie kryjąc zdziwienia, podszedł do „agenta” i odebrał krótkie zamówienie. Paradoksalnie ta wyraźna niezręczność sprawiła, że Krystyna postanowiła jeszcze zaczekać. Teraz, gdy rozszyfrowała agenta, nie musieli się go obawiać.

Jarowid wdusił przycisk zamka skrytki i powiedział niezbyt głośno: -Osiemnasta pięćdziesiąt. Wszedł do domu numer siedemnaście przy ulicy Jedności Narodu. Wniósł paczki z zakupami, chyba się nie zorientował.

Cofnął palec i zastanawiał się przez chwilę, ale uznał, że na razie nie może nic więcej dodać do meldunku. Rozsiadł się wygodnie w fotelu kierowcy. Wygodnie, pomyślał ponuro, to było sześć godzin temu.

-Naprawdę nie rozumiem, jak ci Amerykańcy potrafią jechać dziesięć, dwanaście godzin – rzucił do tyłu. Olczak drzemał rozparty na kanapie i Jarowida irytowało, że tamtemu jest wygodniej. Zasypiający wywiadowca uniósł powieki i odruchowo poprawił się na siedzeniu.

-Widać mają inne wozy – mruknął na odczepnego.

-Akurat! – Olczak trzepnął ręką w kierownicę. – Co temu brakuje? Osiemnaście regulacji w fotelu, masaż pleców i karku na życzenie, podglówki w każdym położeniu i co? Dupa się wścieka od tego siedzenia!

-Może masz świad odbytu?

-Idź się walić! – poradził zły Jarowid. – Amerykance mają inne plecy i inne dupy. Cywilizacja zmieniła im anatomię.

Olczak z powrotem ułożył się skosem na kanapie, przymknął oczy.

-Pieprzenie – odparł. – Co kilka mil motel, bracie, zimne napoje, panieny... Strzelisz sobie kawę, zimnego sprite'a, kurwa zrobi ci wafla i zasuwasz następne czterysta mil, zanim ci kapa opadnie.

-No ześ chyba z wałem się na łby pozamieniał! Wafla u zasyfiałej dziwki w motelu? Chyba jest jakaś granica?!

-Tak, między Chinami i Ruskimi! – ubawił go własny refleks, pochichotał chwilę i wrócił do tematu: – Co ci, bracie, za różnica? Skąd wiesz, że żona od ostatniego bolcowania nie strzeliła sobie paru ruchów z kominiarzem?

-Idiota – niemrawo odszczeknął się Jarowid.

Przez chwilę w samochodzie panowała cisza. Delikatnie pstryknął regulator klimatyzacji.

-Co on tak cmyka i cmyka?! – warknął zaniepokojony Jarowid. – Jeszcze się spieprzy, nie daj Boże, i dopiero będziemy mieli warunki, zupełnie jak te ruskie kamfartabielnije usłowija, żeby ich połamało!

Olczak poruszył się, jęknął cicho. Chyba zrozumiał, że nici z relaksu na tylnym siedzeniu.

-A znasz ten numer, jak po drugiej wojnie Francuz i Rusek złapali Niemkę i postanowili ją wydymać za zwycięstwo? – Jarowid pokręcił głową. – Więc pociągnęli losy i Francuz poszedł pierwszy z nią do stajni, a Rusek czeka. I czeka, i czeka... Godzinę bez mała, w końcu wkurzony otwiera drzwi, wpatruje się w mrok, odwraca się i spluwa na ziemię. Nic z tego nie będzie, mówi. Francuz, sobaka, już całą cipkę wyjadł!

-Dobre – mruknął Jarowid tonem, jakim chwali się nieudany wypiek nielubianej teściowej.

–Jak ci się nie podoba, idź w pizdu i wróć w piątek! – zdenerwował się Olczak. – Nie odzywaj się do mnie przez następną godzinę.

Ułożył się znowu wygodnie i przymknął oczy. Jarowid wymruczał kilka taktów jakiejś melodii, niewykluczone, że własnej, odwrócił się do tyłu.

–Kto załatwił tę dziewczuchę we Wrocławiu? – zapytał.

–Hopfer – mruknął po chwili Olczak. Nie miał wątpliwości, o co pytał Jarowid. – To pierdoła ostatnia.

–Robi u pułkownika za egzekutora – stwierdził Jarowid.

–E tam, gównie nie egzekutor! Akurat dwa razy tak wyszło, na dodatek to ostatnie spierdolił, że hej.

–No, też byś spierdolił. Skąd niby miał wiedzieć, że pijanej babie się popieprzył czas przeszły z terażniejszym?

–Pewnie bym spierdolił i nie siedziałbym tu z tobą, tylko wypoczywał nad morzem.

–Pieprzysz? – ożywił się Jarowid. – Ma wczasy?

–Długie. Jako intendent w ośrodku wczasowym dla południowych landów. I tak mu się upiekło, bo szykowali dla niego emeryturę z naturalnych, tylko cywilnych składników.

–O Jezu?! Kto z tego wyżyje?

–Kto? Cywile! – Zamilkł na chwilę. – Tak, bracie. Hopfer zaważył nie byle jaką sprawę!

Obaj pomyśleli o tym samym i chwilę milczeli. Pierwszy nie wytrzymał Olczak:

–My też w tym siedzimy, nie?

–Ehe.

–Kurwa. A są jeszcze jakieś ośrodki wczasowe nad morzem? Jarowid wyciągnął palec i wycelował nim w lustro.

–Tak, nad morzem. Ale Martwym. – I dodał poważnie: – Cha! Cha!

–Przestań, jak Boga kocham! Masz takie popieprzone dowcipy, że się człowiekowi odechciewa żyć.

Znowu obaj pomilczeli przez chwilę.

–Rzuciłeś okiem na te cholerne dokumenty? – zapytał nagle Jarowid.

Odpowiedziało mu kpiące spojrzenie w lustro.

–A ty?

–Gdzie tam, kurwa! Akurat miałem czas, przecież pochłastał mnie ten wściekły kot! Olczak przerzucił ramię przez oparcie przedniego fotela.

–Najpierw znalazłeś papiery, kot się pojawił chwilę potem. I miałeś całkiem sporo czasu, kiedy ja ganiałem po miejscową polewę. Pomijam możliwość zrobienia kopii na palniku tej Grodziec.

–Ociptałeś – spokojnie stwierdził Jarowid. – Nawet nie myślałem o dokumentach. Zwłaszcza że stary zapowiedział: „Nie czytałeś – nie czytaj, przeczytałeś – idź się powieść”. Ja wiem, co to znaczy, i ty też. Nie kolekcjonuję tajemnic na starość. Pierdołę. Chcę dożyć do emerytury.

Olczak zmrużył na chwilę oczy i nagle zupełnie innym tonem rzucił:

–No jasne. Komu to potrzebne! Przejdę się po kawę.

–Dobra.

Olczak stęknął, zrzucił nogi na podłogę, wsunął stopy w kamasze. Miętko mlasnęły drzwi i ponownie „cmyknął” sterownik klimatyzacji, zwiększając wymianę powietrza. Jarowid uważnie obejrzał otoczenie w panoramicznym lusterku, przeciągnął się. Śledzenie Cieszewicza, przyjaciela i współnika tego Weissa, uważałby w normalnych warunkach za fuchę – Cieszewicz jeździł do pracy, do kontrahentów, do hurtowni, sklepów i do domu. Nie wyczytniał żadnych numerów, nie uciekał tylnymi drzwiami, nie zmieniał samochodów. Dwie doby przyjemnego wypoczynku. Tyle że nie u siebie, a w Kundellandzie. Tutaj być policjantem to żadna przyjemność – nawet nie można podejść niedbale i patrząc gdzieś w przestrzeń, rzucić przyciszonym głosem: „Służba bezpieczeństwa. Proszę pokazać dokumenty”. Albo torebkę, lodówkę, bagażnik. Klient się trzęsie, a ty niedbale zerkasz do bagażnika. „Co tu było?” Pacjent przełyka ślinę: „Tu? Nic. Może zapasowe koło...” „Pan sobie ze mnie kpi?”

Ech...

Olczak wyłonił się z kawiarenki, gdzie kolorowe parasole kręciły się napędzane silniczkami na baterie słoneczne. Jarowid wychylił się i otworzył drzwi, ale Olczak nie wsiadał, tylko rzucił mu znaczące spojrzenie. Jarowid wyskoczył z wozu, przeciągnął się ostentacyjnie i zawołał:

–Nie, poczekaj, wolę tu, już mi nogi scierpiły. Obszedł samochód i odbierając kubek z kawą usłyszał: – W kawiarni siedzi baba, którą widziałem tu już cztery razy. Drugi stolik z prawej od wejścia.

Zaczęli popijać kawę, pozornie niedbale omiatając spojrzeniem samochody i przechodniów.

–Błękitna honda – mruknął Olczak. – Chyba też nie pierwszy raz tu parkuje. Kierowca nowy.

Jarowid nawet nie drgnął. Przepatrywał inny fragment otoczenia, informacja kolegi wystarczyła, nie musiał sam patrzeć w tamtym kierunku.

–W takim razie wozi tę babuszkę – stwierdził wskazując brodą wieżę pobliskiego kościoła. Olczak odwrócił się w tamtym kierunku i pokiwał głową z aprobatą. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi przysięgłoby, że ci dwaj mężczyźni rozmawiają o strzelistym fragmencie świątyni, dla wywiadowców liczył się jednak pozostały jeden procent. – Nic więcej nie widzę.

–Ja też. Zmywamy się.

–Okay. Poczekaj, jest szansa, że ta ciężarówka zasłoni nas na chwilę.

Odczekali, aż dwupiętrowy truck z biegnącym na ukos przez kratę chłodnicy dumnym napisem: „KRAZ” zasłoni ich przed kierowcą hondy. Olczak czterema krokami obszedł maskę fordą, wsunął się za kierownicę i uruchomił silnik. Jarowid postawił pusty kubek na dachu i wsiadł, a Olczak łagodnie i stanowczo wdusił akcelerator. Ford skoczył do przodu. Jarowid dwoma ruchami ustawił swoje lusterko tak, by widzieć parasole. Olczak obserwował hondę.

–U mnie spokój – rzucił Jarowid, widząc, że nikt nie wybiega przed kawiarnię machając rękami, a podejrzana kobieta chyba nawet nie zauważyła odjazdu fordą.

–Honda się nie rusza.

Skręcili dwukrotnie i objechali kolisty skwer, żeby sprawdzić, czy ktoś ich nie goni.

–Albo nas zgubili, albo wpadliśmy w paranoję – podsumował w końcu Olczak.

–Albo mają na nas kilka grup – uzupełnił pedantycznie Jarowid. Olczak znał ten ton aż za dobrze. Minutę później warknął:

–Żeby ci, kurwa, język skręciło jak korkociąg!

Z przodu zajechał im drogę zielony mikrobus. Za nimi z szeregu zaparkowanych samochodów wystartowały jednocześnie dwa i zajęły całą szerokość ulicy. Z każdego pojazdu wysypały się po cztery osoby, które trzymały ręce pod połami kurtek, marynarek i żakietów. Z mikrobusa wyszła wysoka kobieta w krótkiej spódnicy odsłaniającej strzeliste nogi. Chociaż obcasy jej szpilek miały ponad cztery cale wysokości, poruszała się pewnie i z groźnym wdziękiem. Dynamicznie. Żmijowato. Gdy na sekundę odwróciła głowę, by rzucić jakiś rozkaz kierowcy, ukazała profil zarysowany liniami prostymi: pionową i ukośną. Pomiedzy pionowym czołem i podbródkiem sterczał nos pod kątem czterdziestu dwóch stopni. Linie poziomą tworzyła podstawa nosa.

–O Boziu! – jęknął Jarowid. – Jakby ją wczesny Picasso malował!

–Będzie biła i będzie bolało – Olczak przełknął ślinę.

–Popatrz na jej szpilki!

–Matko! Myślisz?

–A po chuj pani komisarz je nosi? Czy jej nogi mają metr pięćdziesiąt dwa, czy metr sześćdziesiąt, to chyba wszystko jedno.

Kobieta podeszła do forda i trzymaną w ręku ciemną saszetką wykonała gest, który tylko ktoś z chorą wyobraźnią mógłby nazwać uprzejmym.

–Widziałem kiedyś taki pistolet-torebeczkę, ale może ona nie wie, co ma w ręku? Olczak prychnął, rzucił okiem na kolegę.

–Już drugi raz udał ci się dowcip.

Z westchnieniem wysiadł i stanął przed megierą, która patrząc ponad jego ramieniem, powiedziała:

–Służba bezpieczeństwa. Praszę w maszynę. U nas jest' o czom pogoworif. 12.

Atmosfera w pokoju była tak gęsta, że po raz pierwszy od ubiegłorocznej przeprowadzki do nowego gmachu Najmowicz miał ochotę otworzyć okno. Architekt scedował jednak nawilżanie, podgrzewanie i oziębianie powietrza na produkty firmy Koch Pavlicka, wykluczając prymitywne wietrzenie.

A klimatyzacja nie wystarczała.

W sytuacjach takich jak dzisiejsza niezastąpione było zwykłe okno, które można otworzyć na całą szerokość, żeby odetchnąć gorącym, przesiąkniętym spalinami wielkomiejskim powietrzem; można stanąć opierając się zaciśniętymi pięściami o parapet, splunąć w dół, na dach jakiegoś merca, można wreszcie zawołać do okna głępszego z tych dwóch, pomyślał Najmowicz, i wypchnąć skurwego syna, żeby gruchnął pyskiem o położone niedawno sporym kosztem kocie łby na Alpenstrasse, dawniej ulicy marszałka Piłsudskiego, dawniej ulicy generała Karola

Świerczewskiego, dawniej Alpenstrasse.

Odsunął się od szyby i zobaczył, że zostawił na niej ślad po spoconym czole. A niech to stare kurwisko nie wyczyści do przerwy obiadowej, zagroził w myślach Bogu ducha winnej sprzątaczkę, to ją tak kopnę w dupę, że zgubi figi w locie.

Popatrzył na wywiadowców. Jarowid miał oczy zapuchnięte tak gigantycznym kacem, że aż wzbudzał niedowierzanie, a zaraz potem męskie współczucie. Opuchlizna spod oczu rozpełzła się dokoła i dlatego guz na lewej skroni dawał się rozpoznać tylko po ciemnoniebieskiej barwie. Z górnej wargi sterczały jeszcze końce szwów, lewą rękę miał na temblaku i – Najmowicz zauważył to natychmiast – ciągle wystawiał ją do przodu, usiłując wzbudzić litość przełożonego. Jego przyjaciel i współpracownik jak pensjonarka położył na kolanach obie dłonie, zabandażowane szczelnie i wysoko aż do łokci. Z prawego nozdrza sterczał zwitek wyjałowionej gazy, który miał nie dopuścić do wytworzenia skrzepu w złamanej przegrodzie nosowej.

–Więc co powiedziała? – rzucił Najmowicz.

–Mnie niedużo – szybko odezwał się Jarowid. – Zapytała, co miałem tam do roboty, a potem przyłożyli mi kilka razy i od razu przeszli do medycyny. – Wzruszył ramionami. – Nawet powiedziała mi, co dostanę: detromiterapal, czyli koktajl Kuzniecowa.

–A łapa?

–Nie, to drobiazg: trzymałem szklankę w ręku, a ona zaszła mnie od tyłu i walnęła. To na samym początku dorzucił usprawiedliwiającym tonem. – Jemu gorzej...

–Jego zapytam sam! – przerwał Najmowicz, z trudem powstrzymując się, żeby nie palnąć podwładnego w ucho. Odczekał pół minuty i sapnął: – No? Wyplącz się i ty!

–Ja? Nie bardzo wiem. Najpierw czekałem, potem przyszli i Caryca powiedziała mi, że zaraz dołączę do kumpla. Długo się nie cackali... przeszła mi po łapach tymi swoimi szpilkami, następnie kilka kopów w punkt, pan kapitan wie – zerknął na swoje podbrzusze. – No i na zakończenie książka adresowa, duży kraj, dużo adresów... Raz w łeb wytrzymałem, drugi raz to już tylko huknęło mi pod kopułą jak cholera. Oczywiście coś mi dali... Ślady na żyłach, no i tak się czułem...

–Kuzniecowa nie zostawia kaca – poinformował Najmowicz. – Ofiara nawet nie wie, że coś miała w instalacji, kapujecie? – Skinęli jednocześnie głowami. – No. Ona chciała, żebyście wiedzieli o obróbce... Aach!

Machnął ręką i wrócił do biurka. Z rozperdem usiadł w fotelu. Mebel kliknął oparciem, po czym kliknął drugi raz zamykając blokadę. Brzmi, pomyślał nagle absurdalnie rozweselony Olczak, jakby kapitan miał pod ubraniem gibsonowski egzoszkielet, z którym nie zdążył na przegląd.

–Mówiła coś jeszcze? – Podwójne przeczenie głowami. – Nic nie kazała przekazać? Najmowicz nie potrafił się powstrzymać od zadawania głupich pytań, chociaż

wiedział, że wywiadowcy zrelacjonowali z dokładnością do sylaby wszystko, co zapamiętali. Usiłował znaleźć jakąś wskazówkę, która wyjaśniłaby tak szybką i precyzyjną lokalizację jego ludzi i takie ostentacyjne zachowanie kobiety zwanej Carycą.

–Nie mam co przekazać pułkownikowi – warknął w przestrzeń.

–Może, Herr Hauptmann, to tylko taka pokazówka? Że mamy się nie wpierdalać na ich teren? – odważył się podsunąć Olczak.

–Na razie to ty mi się nie wpierdaj z tym Hauptmannem! – syknął Najmowicz. – Myślisz, że jak mi wysmarujesz dupę...

Sapnął wściekle, chwycił pisak i cisnął w kąt. Zdezorientowany fotel znowu kliknął, gotów zmienić ustawienie oparcia.

–Panie kapitanie – spróbował Jarowid. Najmowicz posłał mu mordercze spojrzenie. – Przecież tam jest od jasnego ch... jasnej cholery różnych flików: KGB, KWD, GKPB, milicja i jeszcze coś... Może zwyczajnie wpieprzyliśmy im się w zasiadkę? Może ten wspólnik Weissa, Cieszewicz, coś kombinuje, jakaś afera, przerzut, łapówki, cokolwiek. I nagle my

pakujemy się w to wszystko, to nas zdjęła jako wspólników czy nasłanych yakuzów. A jak się zorientowała w pomyłce, podrzuciła nas na granicę i otrzepała rączki.

–Oby! – Najmowicz nie przyznał się, że taki wariant przyszedł mu do głowy, jako najlepszy z możliwych. W każdym razie taką wersję zamierzał sprzedać pułkownikowi. – Wysłałem oficjalny net z pytaniem, o co im właściwie chodziło, czekam na odpowiedź. Oczywiście najpierw mnie zjebią jak burą sukę za to, że wysyłamy wywiadowców bez powiadomienia, i będą głądzić godzinami, jak to strona rosyjska przestrzega, a my nie i tak dalej. Całe gówno wyleje się na mnie!

Zatrzymał wzrok na zabandażowanych, drżących rękach Olczaka i nagle poczuł lekkie ukłucie wstydu.

–A to babsko? – zapytał.

Obaj poszkodowani poczuli nagłą ulgę.

–Taka, Herr Hauptmann, kosa! Ani grama tłuszczu, suchar z cycem. Żyje chyba tylko na kawie i papierosach.

–No! – potwierdził Olczak. – Wypala paczkę fajek na godzinę, Kopciuszek jeden.

–Suka! A ocierała się o ciebie? – Jarowid jakby zapomniał o przełożonym, niecierpliwie trącał kolegę łokciem. – Myślałem, że w końcu siądzie mi na kolanie i się wy...

–No, no! Wystarczy! – Najmowicz klasnął dłonią w stół. – Co mnie wasze życie płciowe obchodzi? Nie pytałem, jak wam się podobało u przyjaciół Słowian, tylko jak ona się nazywa.

Jarowid pokręcił głową, Olczak bezradnie uniósł brwi.

–No to zróbcie portret pamięciowy tej pizdy.

–Nic trudnego – wyrwał się Olczak. – Wyglądała tak, jakby ktoś poskładał z powrotem któryś z żeńskich portretów Picassa.

–Żeńskie to są organa, portrety są kobiece – poprawił go Jarowid.

–Organia to są ścigania, w których jeszcze obaj pracujecie. – Najmowicz z przyjemnością odnotował nagłą bladość obu podwładnych. – No, obaj do izby chorych -powiedział, zaskakując ich kompletnie. – Niech wam tam zrobią płukanie instalacji i zasilą czymś... mam na myśli glukozę, witaminy, sól fizjologiczną czy inne

gównu, a nie browar. Przygotujcie się, bo niedługo wracacie do roboty.

Podawali się obaj, wypadli na korytarz. Jarowid z zaciętym wyrazem twarzy od razu pchnął kolegę w lewo, zatrzymał się przy windzie.

–Izba chorych? – zapytał niewinnie Olczak.

–Ja ci dam izbę chorych! – zagroził Jarowid bez uśmiechu.

W milczeniu zjechali do garażu, wsiedli do najbliższego wozu. Kierowca zerknął w lusterko.

–Jedź na plac Bema! – warknął Jarowid. – Bez zapisu! – powstrzymał kierowcę sięgającego do konsoli.

Kierowca zerknął na mikrofon przy lusterku wstecznym, uruchomił silnik i wyjechał z garażu. Olczak rzucił koledze pytające spojrzenie. Tamten klepnął się po kieszeni, w której schował małego „grabarza zapisu”. Zdrową ręką poprawił lewą, tę na temblaku, zmrużył oczy, dopóki nie opadła fala bólu.

–Wszystko to, kurwa, gówno – oświadczył sztucznie wesołym tonem. – Oprócz moczu, ma się rozumieć.

–Odpuść sobie. Nie mam na nic ochoty, nawet na lewatywę, a co dopiero na twoje dowcipy.

–Zaraz ci przejdzie – obiecał Jarowid znaczącym tonem.

–Dokąd jedziemy?

–Jedziemy, chłopie, do piwiarni. Najstarsza i najgorsze piwo mają. A na chandrę, w dupę jej dyszel, nie ma jak kac piwny. – Odchylił się do tyłu, żeby z dystansu przyjrzeć się koledze. – Miałeś kiedy kaca po piwie? Nie? No to się ciesz. Na kacu piwnym zapomnisz o kochance, o zdradzie, o problemach w pracy albo że nie masz pracy. Będziesz marzył tylko, żeby przeżyć albo szybko umrzeć. Na kacu piwnym sam wydasz komendę plutonowi egzekucyjnemu, żeby cię rozwalili. Nie będziesz miał wrogów i przyjaciół, a piekło wyda ci się rajem pod warunkiem, że dadzą ci tam klina!

Olczak uśmiechnął się z niedowierzaniem i nagle zgasił uśmiech. Ten idiota naprawdę zamierza nawalić się podłym piwem, zrozumiał. W brzuchu mu zaburczało, a Jarowid z aprobatą pokiwał głową.

–Tak jest, na czczo nawet lepiej.

Trzaski w centralce zagłuszyły cichy jęk Olczaka. Samochód przechylił się na zakręcie, wyprostował i przechylił łagodnie w drugą stronę, kiedy wjeżdżali na Wiedeński Most. W milczeniu dojechali na miejsce i wysiedli. Jarowid na pożegnanie zrobił minę do kierowcy i chwycił kolegę pod ramię.

–Nachochlujemy się! – obiecał.

–Kapitan kazał do izby chorych – zaprotestował Olczak.

–Kapitan musiał coś powiedzieć na pożegnanie – pouczył go kolega wprowadzając do pustego o tej porze baru, śmierdzącego kwaśnym piwem i zastarzałym potem. Na razie nas

nie potrzebuje, najwyżej pisze raport z umorzenia śledztwa w sprawie przypadkowego wzajemnego postrzelenia się dwu funkcjonariuszy na alejce parku Beera.

–Ja ci chyba w końcu jebnę! Co ty, kurwa, siejesz? Olczak wyrwał ramię z

uścisku kolegi i zatrzymał się. Ja nawet nie mam broni przy sobie!

–Jesteś pewien? – cynicznie zadrwił Jarowid. – Założysz się, że znajdą przy zwłokach? Przez długą chwilę piorunowali się wzrokiem. Pojedynek na spojrzenia przerwał

dopiero okrzyk barmana:

–Meine Herren, keinen Streit, bitte. Bitte sehr!

Jarowid prychnął, odwrócił się na pięcie i skierował do stolika pod oknem.

Usiadłszy pokazał blat barmanowi:

–Wytrzyj ten syf i podaj piwo.

–Tu nie ma obsługi – odparł barman przechodząc na polski.

–Gównu wiesz, od tej chwili jest.

Barman zmierzył gościa kosym spojrzeniem, lewa ręka powędrowała wolno pod blat. Wywiadowca uśmiechnął się zachęcająco i od niechcienia odchylił połę marynarki. Barman skamieniał na chwilę, a potem szybko wyrecytował:

–Grolsch? Karbinger? Prokop? Jaegermeister? Abding...

–Piast! – przerwał Jarowid. – Razy dwa i gazem.

Olczak westchnął, podszedł do stolika i usiadł. Za plecami zasyczał dystrybutor, a właściwie cyfrowy zapis odgłosu nalewania pianistego piwa. Miało to wywoływać pragnienie i ochotę na następny kufelek. Olczak ze zdziwieniem uświadomił sobie, że niecierpliwie czeka na realizację zamówienia. Oblizął wargi i kiwnął głową:

–Okay, poddaję się. Miałeś rację.

–Dopiero jutro przekonasz się, jaką miałem rację. Wtedy, bracie, poznasz życie w jego wszawym aspekcie!

Podszedł barman i położył na stoliku dwa tekturowe krążki, na których ustawił kufle. Jarowid uśmiechnął się i wyciągnął rękę po swój kufel, ale w połowie ruchu błyskawicznie sięgnął pod marynarkę. Barman poczuł nagle, że coś twardego wbija mu się w brzuch.

–Po pierwsze miałeś wytrzeć stół, po drugie dałeś nam stare bierplatchen, po trzecie i najgorsze: te kufle są brudne, wszarzu. – Wbił głębiej lufę pistoletu w brzuch pobladłego mężczyzny. – Wciągnij brzuch i wlej tam piwo. No już!

Przerażony barman wciągnął brzuch i wlał sobie za spodnie najpierw jeden, potem drugi kufel piwa. Stał nieruchomo w rosnącej kałuży. Jarowid uniósł brew. Wbrew sobie Olczak poczuł, że za chwilę ryknie śmiechem.

–Hm? Ja chciałem, żebyś je wypił, ale skoro tak się brzydzisz, chłopie, to powinieneś mnie zrozumieć. Kufle naprawdę były brudne, sam wiesz najlepiej. – Płynnym ruchem schował broń i uśmiechnął się promiennie do sterroryzowanego mężczyzny. – Masz dodatkową robotę, ale trudno. Powtórzmy: dwa piwa w czystych kufkach, na czystym stole, stojącym na czystej podłodze.

Przestał się uśmiechać i powiedział cicho tonem, który barman odebrał jak uderzenie mokrej ścierki na karku:

–I żeby to było ostatnie nieporozumienie. Chcę się napić piwa, więc mi tego nie utrudniaj.

Podeszwy butów barmana mlasnęły w kałuży. Uderzył biodrem o sąsiedni stolik i

pognał na zaplecze. Zanim nie wrócił najpierw z obrusem, a potem z dwoma perlącymi się od wody kuflami i nowiutkimi „wafelkami”, przy stole panowała głęboka cisza. Dopiero kiedy skończył zmywać podłogę, stanął za barem i uruchomiwszy klimatyzację zamarł w oczekiwaniu na następne zamówienie, Jarowid zapalił papierosa i zapytał:

–Może ci rurkę przynieść? Bolał łapy, kurwa ich mać?

–Przestań się wydurniać – poprosił Olczak. – Naprawdę nie jestem w humorze.

Huknęły drzwi i do piwiarni wtoczył się średniego wzrostu mężczyzna z krótką hiszpańską bródką. Rozejrzał się po sali, skrzywił się z niezadowoleniem i ruszył w kierunku stolika wywiadowców.

–Szanowni panowie – zaczął natchnionym głosem. Czy raczylibyście poświęcić mi kilkanaście sekund...

–Spierdalaj! – wypalili jednocześnie Jarowid i Olczak. Mężczyzna zawahał się, ale nie odszedł.

–Zgodność imponująca – powiedział w końcu. – Ale nie wiecie jeszcze...

–Nie dam pieniędzy – rzucił Olczak.

–Dlaczego?

–Bo nie popieram zebrania.

–To wolałby pan, żebym nocą obrabiał rodaków? Olczak ocenił wzrokiem jego szczupłą sylwetkę. Pokiwał głową.

–Nie nadajesz się do rozboju. Nie nadajesz się do roboty – skonstatował.

–No właśnie! – ucieszył się mężczyzna. – To do czego się nadaję?

–Do eksterminacji! Do piachu, jeśli nie rozumiesz słowa „eksterminacja”.

–Ja...

–Won!!!

Bródka czmychnął za drzwi, które pożegnały go podwójnym uderzeniem o framugę.

–To jest to, kurwa: barman wita cię po niemiecku, żebrak po polsku. Fajnie aż do bólu.

–Co ci zależy? Przecież sam wybrałeś Niemcy. Może wolałeś Ruskich? Jarowid zacisnął palce na kuflu, aż paznokcie mu zbieleły.

–Ja wolałem Polskę, ale mnie się nikt nie pytał...

–Jaką Polskę? Jaką? Przecież chcieliśmy Europy, a nie Polski! Mieliśmy być zjednoczeni, wspólni, jednomyślni...

–Pierdolę!

Chwycił kufel i wypił duszkiem.

–Dawaj! – ryknął do barmana. Popatrzył na Olczaka. – Na co czekasz? Tu nie miejsce na zwierzenia i łzawe patriotyczne wspominki. Tu się mamy napompować piwem i tak zrobimy, kurwa. Dawaj!!!

13.

–Szto znaczyt: ni chriena nie panimajem?! Chuda szyja ze zwisającą na kołnierzyk fałdą poruszyła się, skóra niczym wole indora wydeła się i zafalowała. Inna Poniedziałnik po raz kolejny wyobraziła sobie, jak układa majora Byszowca na stole, bierze dziurkacz i robi mu w szyi dwa szeregi dziurek, a potem przewleka przez nie tasiemkę, sznuruje i końce tasiemki zawiązuje na karku. Wtedy fałdy na szyi Indora rozciągają się i ten fragment jego ciała wygląda wreszcie jak należy.

–Gaspadin major – powiedziała lekko obrażonym tonem. – Ja skazała „niczewo”, a nie „ni chriena”.

–Me pizdi! – polecił Byszowiec. – Me budiem w koszki-myszhi igrat’. Ni chriena, tak ni chriena i niczewo prikrywat’ żopu nosowym płatkom, żopa wielikowata!

Byszowcowi zabrakło w karierze ćwierć kroczk, co tam ćwierć, jedną szesnastą kroczk do pułkownika, ale o dwa dni za wcześniej zaczął opijać awans. Dacza, ogóreczki małosolne, wódka schłodzona w lodowatej studziennej wodzie, czosnek i pomidory. W piątej godzinie zabawy poczłapał do domu i wyciągnął rzadki okaz czterolufowej strzelby, żeby pokazać przyjaciółom uierling. Potem chciał zademonstrować, jak się strzela z dubeltówki zintegrowanej ze sztuczerem i małokalibrówką, a na uwagę zwróconą przez dziwnie mało wystraszonego młodego sąsiada odpowiedział niecelnym ogniem w jego kierunku. Młodzian pognął do swojej chaty, wyjął kałasza i polał po obejściu pułkownika in spe. Po rozliczeniu strat okazało się, że młodzieniec zastrzelił generała w stanie spoczynku Gubarienkę i poważnie zranił majora Kożeduba. Byszowiec zaś dokonał rzeczy znacznie gorszej – trafił

śruciną w czoło żonę tegoż młodziana, bo napawała się przez okno sceną, w której jej odważny mąż uspokaja pijaną kagiebowską swołocz. Młodzian był synem marszałka Skripki, a jego synowa – córką jednego z wicepremierów. Porucznik Wafiel relacjonując wtedy Innie wydarzenie, zakończył słowami: Pizdiec kationku, bolsze scat’ nie budiet! Inna pokiwała głową, spokojnie pożegnała się i pojechała do domu wyrzycić gorycz – Indor zostaje w wydziale na stałe, czyli do końca zasranego życia. Ona zaś nigdy nie awansuje i nie przeprowadzi się na wyższe piętro. Płakała pół godziny, później zerknęła na zegarek i uznała, że to wystarczy. Wzięła prysznic, po czym spokojna i zimna wróciła do pracy.

I teraz ten stary grzyb przemawia do niej, prymuski WSDiGB, jakby była zwykłym sierżanciną popijającym samogon pod gruboziarnistą sól i wachaną po kolei skórkę cziornowo chleba,

Byszowiec trącił paznokciem sterczące z uchwytu pióro i przesunął telefon.

–Poka pridiot etot jobanyj paliak, szto ja jeszczio dołžen znat’? – podniósł na nią wyblakłe oczy.

–Ja wam wsio pieriedała. – Inna Poniedziałnik nieznacznie wzruszyła ramionami. Bardzo bym chciała mieć coś na ciebie, pomyślała. Trochę już mam, przyznała, ale nie za dużo. Właściwie za mało, ale nie szkodzi, znajdę więcej. – Nikakoj podopleiki nie wižu.

Jakby wyczekawszy na stosowną chwilę, ktoś zastukał w drzwi i wszedł nie

czekając na zezwolenie. Inna odepchnęła się stopami od grubej wykładziny podłogowej i odjechała z fotelem w bok, ustępując miejsca Gładyszowi. Byszowiec przywitał go wystudiowanym spojrzeniem. Jednym z głębszych poleceń Kremla było stosowanie języka polskiego jako urzędowego, dlatego Byszowiec wolał się nie odzywać. Gestem polecił Innie złożyć raport z wczorajszego incydentu.

Nakryliśmy przypadkiem dwóch wywiadowców wrocławskiej komendy wojewódzkiej. – Mówiła po polsku bezbłędnie, zdradzały ją tylko głębokie samogłoski, ale wyłącznie wtedy, kiedy sama tego chciała. Ćwiczyła w domu codziennie różne warianty wymowy, naśladowała rozmaite regionalne akcenty: Górny Śląsk, Wielkopolska, Wybrzeże, Warszawka i Falenica. – Zachowali się dość niesprawnie. – Lubiła wtrącać takie drobne błędy, które u naiwnych Polaków wywoływały poczucie wyższości, sygnalizowane przez nieznaczne skrzywienie warg. Wzięliśmy ich więc pod nadzór i okazało się, że śledzili niejakiego Jarosława Cieszewicza. Dlaczego? Cieszewicz jest przyjacielem i współnikiem Michała Weissa, razem prowadzą firmę importowo-eksportową, branża: artykuły biurowe, książki i tak dalej. Dwa dni temu Weiss zniknął z pola widzenia Sekcji Taktycznej.

–A do czego oni go potrzebują? – wykorzystał minimalną pauzę Gładysz, przez cały czas zerkający w podsunięty protokół.

–Otóż to! Wiemy tyle, ile wyciągnęliśmy z wywiadowców. Szukają go, bo ma jakiś związek z ważnymi dokumentami, ale co to za dokumenty, nie wiadomo. Weiss dostał je od zaginionego dwa miesiące temu Bazarewicza na adres swojej przyjaciółki Krystyny Grodziec. W przekazywaniu pośredniczyła niejaka Sukiernicka. Agent Komendy Wojewódzkiej zabił ją, ale dokument wyfrunął i objawił się dopiero u Grodziec. Oboje zaczęli powielać dokument, nie wiadomo, ile zdążyli odbić, a na widok wywiadowców uciekli i jak dotąd skutecznie się ukrywają. Ci dwaj więc przyjechali tutaj, żeby sprawdzić kontakt z Cieszewiczem.

Umilkła. Gładysz popatrzył na Byszowca, który odpowiedział spojrzeniem bez wyrazu. Porucznik zrozumiał, że major czeka na komentarz.

–Po pierwsze: co to za dokument? Bo jest ważny, skoro tak szybko zdecydowali się na akcję zero-siedem. Dwa: oczywiście Weiss i pozostali, czyli Bazarewicz, Grodziec, Cieszewicz. Trzy: nawiązać kontakt z... – zmarszczył czoło i zastanawiał się przez chwilę.

Udaje, bydlak, pomyślała Inna. Przecież wiadomo, że ma łeb, którego zawartość nie mieści się na dysku komputera.

–Tam jest pułkownik Krymarys, tak, Krymarys! – ostentacyjnie ucieszył się z „odnalezionego” w pamięci nazwiska. – Skoro ich zwinęliśmy, należy o tym powiadomić oficjalnie. Jeśli będziemy milczeć, zrozumieją, że zainteresowaliśmy się sprawą, więc trzeba jak zwykle ponarzekać na nieufność, niechęć do współpracy i tak dalej. Możemy zaproponować pomoc.

–Wątpię, czy skorzystają – stwierdziła Inna.

–W ten sposób potwierdzą nasze podejrzenia. – Coś mu przyszło do głowy. – Wyśpiewali wszystko dobrowolnie?

–Tak. Nawet dużo detromiterapalu nie poszło – odpowiedziała niedbale Inna.

–Aha. No to trzeba powiedzieć, że wpakowali się w jakąś naszą operację i nie chcieli mówić, więc wzięliśmy ich za współwinnych i wladowaliśmy porcję lodu. Nikt się nie będzie tym przejmował – machnął niedbale ręką.

Popatrzył na majora. Stary ścierwojad z szyją wyliniałą od wypatrywania łupu, pomyślał. Gdybym coś na ciebie miał, to po jednej udanej operacji przeskakuję dwa oczka wyżej. Może to właśnie ta operacja?

–Da. Zwani. – Major spojrzął na telefon.

Gładysz skinął głową, podszedł do telefonu i udał, że przypomina sobie numer. Oczywiście mógł go wyrecytować w dowolnej chwili, ale już dawno przekonał się, że kiedy nie akcentuje posiadania fenomenalnej pamięci, nikt tego nie docenia – ot, po prostu „facet wszystko pamięta”. Natomiast kiedy sobie „przypomina”, wszyscy z podziwem kiwają głowami: „Patrzcie! Przypomniał sobie!” Wystukał numer i przełączył rozmowę na głośnik. Major milcząco wyraził zgodę.

–Halo? Tu porucznik Gładysz, Komenda Miejska Milicji Państwowej Bystrzyna, kod MF5782-90de – powiedział po polsku, zrobił przerwę i czekał na potwierdzenie identyfikacji. „Przyjęte”, jęknął po dwóch sekundach głośnik. – Poproszę z pułkownikiem Krymarysem, Sekcja Taktyczna.

Dwukrotny sygnał stłumionego Japońskiego” gongu.

–Dzień dobry, Alicja Gross.

–Dzień dobry, porucznik Gładysz. Oficer dyżurny Komendy Miejskiej w Bystrzynie. Chciałbym mówić z pułkownikiem Krymarysem.

Zabębnił palcami po stole. Po chwili w głośniku odezwał się męski głos: – Krymarys.

–Panie pułkowniku, porucznik Gładysz – opuścił dalsze elementy identyfikacji, ponieważ po dwóch minutach łączności z komendą Krymarys musiał wiedzieć, z kim rozmawia. – Major Byszowiec chwilowo jest nieobecny, więc jako oficer dyżurny dzwonię wyjaśnić pewną sprawę.

–A to dobrze, bo czekałem właśnie na wasz telefon!

–Przepraszam, że spóźniony o dobę, ale cóż, natłok spraw i brak kadr. W każdym razie pana wywiadowcy wpakowali się, że tak brutalnie powiem, w finał prawie rocznej inwigilacji grupy przestępczej o wyraźnie mafijnym charakterze. Stąd nie patyczkowaliśmy się specjalnie, zwłaszcza że przestępcy mają znakomicie podrobione dokumenty. Musieliśmy szybko i dokładnie sprawdzić, kim są panowie Olczak i Jarowid. Trzeba podkreślić, że obaj zachowali się dzielnie.

–Tyle że dali się złapać! – warknął głośnik.

–No tak, ale to zwykły przypadek i niefart.

–Dobrze, przyjąłem do wiadomości. Dziękuję. Coś jeszcze, poruczniku?

Gładysz popatrzył na majora, potem mrugnął porozumiewawczo do Inny. Krymarys kiepsko odgrywał brak zainteresowania.

–Właściwie nic, tylko... – zawiesił głos. – Robię to na własną odpowiedzialność, niestety jeszcze bez akceptacji przełożonych, ale moim zdaniem to gorąca sprawa. Panie pułkowniku, pana ludzie powiedzieli za dużo pod wpływem lodu.

–Nie bawmy się w grę wstępną jak para jeży, poruczniku. Albo ma pan coś do

powiedzenia, albo kończymy. Ta rozmowa kosztuje naszych podatników.

Gładysz skrzywił się i pokazał słuchawce wyprostowany środkowy palec.

–Wiem, dlaczego pana ludzie znaleźli się u nas i czego szukali. Moglibyśmy pomóc, ale tylko znając całą sprawę i jej znaczenie dla WAR.

–Nie ma żadnego znaczenia – uciął Krymarys.

–Ma, panie pułkowniku, chociażby dlatego, że poszukiwani przebywają na naszym terenie – miękko zaoponował Gładysz.

–Skąd to wiecie?

–Wnioskujemy z obecności waszych ludzi. Trudno was posądzić o takie wyrafinowanie, że prowadząc operację w Paryżu żonglujecie ludźmi w Astrachaniu tylko dla odwrócenia naszej uwagi.

–Może to taka gra, żeby ukryć jeszcze bardziej wyrafinowaną grę? – sarkastycznie rzucił Krymarys.

–Może – powiedział porucznik z wyraźnym niedowierzaniem.

Zapadło milczenie. Inna uśmiechnęła się do Gładysza i wskazała ekran. Porucznik wzruszył ramionami. On też wolałby włączyć wizję, ale starsi stopniem i stażem „koledzy” woleli ukrywać się za wyłączonym ekranem jak za weneckim lustrem.

–No dobrze, wiecie, co wiecie. Na razie jednak nie mogę powiedzieć nic więcej. Gdybyście trafili na jakiś ślad, z przyjemnością udzielę dalszych informacji. Sprawa rzeczywiście ma zasięg międzynarodowy, więc współpraca byłaby wskazana. Proszę naradzić się z majorem Byszowcem i zadzwonić. Przy okazji pozdrawiam, panie majorze. Do widzenia.

Trzasnął cicho przerywacz. Znowu podwójny japoński gong.

–Więc nie uwierzył, że zadzwoniłem z własnej inicjatywy. – Odpowiedziało mu kiwnięcie dwóch głów. – Trzeba znaleźć tych dwoje, Weissa i Grodziec. Jeśli wyprzedzimy Polaków, możemy się targować.

–Nu dobrze – odezwał się w końcu Byszowiec. – Prowadzcie dzieło, wy oba. Do widzenia.

Gładysz poderwał się, strzelił obcasami. Inna wstała, ustawiła się frontem do majora i zamarła na sekundę. Przełożony niedbałym ruchem ręki odprawił oboje z gabinetu. Na korytarzu kapitan Poniedziałnik stanęła przed Gładyszem i tknęła go palcem w pierś:

–Weźmiesz na siebie Cieszewicza i wszystkie inne możliwe kontakty Weissa. Sprawdzisz, czy po cichu nie wrócił do domu. Przejścia graniczne, motele, hotele, pomoc

drogowa, sam wiesz. I powiedz mi wreszcie, za co tak nienawidzisz swoich rodaków po tamtej stronie?

–Jasne. Lotniska i tak dalej. Oczywiście – skinął głową, nie dając po sobie poznać, że usłyszał ostatnie słowa.

–Nie odpowiedziałeś na moje pytanie!

–Tak jest. Za kilka godzin będziesz miała meldunek na biurku.

–Czy dlatego, że zostawili cię po tej stronie, a sami żyją znowu na Zachodzie?

–Sprawdzę też prywatne lotniska.

–Jestem pewna, że tak.

–I proponuję włączenie komputerowego szperacza w telefonach.

–Jak chłopczyk obrażony na kolegów, bo nie chcieli się z nim bawić.

–Myślę, że najpierw trzeba poszukać tej kobiety.

Udał, że się zastanawia, więc Inna odruchowo powstrzymała się od kolejnej zjadliwości, w końcu dzieło przede wszystkim. Gładysz natychmiast to wykorzystał.

–Kobiety masturbują się rzadziej niż mężczyźni, ale ty przecież nie poddajesz się standardom. Odmeldowuję się. Kurwa jedna, pomyślał maszerując do swojego gabinetu. Przenikliwa kurwa.

Za każdym razem, kiedy lekki wietrzyk poruszał firanką, cętki światła i cienia na skórze Krystyny przesuwają się jak u Księżycowej Kobiety Jaguara, kiedy przeciąga się leniwie. -Sam nie wiem, czy wolę cię w słońcu, czy w takiej poświacie.

Wolno podniosła powieki, obdarzyła go sennym spojrzeniem. Pochylił się i pocałował ją w kącik ust.

-W kawiarni zwróciłam uwagę na jednego mężczyznę – szepnęła. – Wypisz-wymaluj: śledź!

Zajrzał jej w oczy, szukając tam potwierdzenia słów, chociaż wiedział, że Krystyna nie ma zwyczaju żartować w taki sposób.

-Co robił?

-Siedział tak długo jak my. Pamiętasz, jak wyskoczyłam do kiosku? Pobiegł za mną, ale kiedy wróciłam, on też wrócił i znowu usiadł. Nawet kelner się zdziwił, bo już sprzątnął jego stolik. Potem, kiedy pojechaliśmy nad Rabę, też go widziałam. Mignął mi tylko raz, ale to był on.

Michał zamyślił się, głaszcząc w roztargnieniu jej ramię. Chciała mu powiedzieć, że nie lubi takich zdawkowych pieszczot, ale zmilczała. Po minucie westchnęła.

-Chyba uciekniemy, co? Skinęła potakująco głową i usiadła.

-Pakować czy zostawiamy wszystko? Zastanawiali się przez chwilę.

-Mamy zapłacone jeszcze za trzy doby – przypomniała Krystyna. – Jeśli zostawimy wszystko i znikniemy, zyskamy na czasie, bo nie będą mieli pewności, czy nie wrócimy. Może wybraliśmy się na wycieczkę w góry?

-Ale musimy zrobić zakupy, duże zakupy – powiedział wolno, zastanawiając się nad propozycją.

-No tak – mruknęła i pograżyła się w myślach. Nagle poderwała głowę: – Wiem! Przecież mogę zrobić zakupy przez Internet, na przykład w Singapurze. Odbiór w każdym... -Przerwała widząc minę Michała. – Co? Coś głupiego?

-Głupiego nie – uśmiechnął się. – Niebezpiecznego tak. Myślisz, że w Internecie nie siedzą policyjni „czuwacze”?

-Och?

Przyciągnął ją do siebie, przytulił i pocałował w szyję.

-Jestem głupia, prawda?

-Nie. Wybije zęby każdemu, kto tak myśli.

-Tylko nie mnie – poprosiła Krystyna

-Okay, ale zamiast tego... – zamruczał, starając się, żeby to zabrzmiało wieloznacznie. Zabrzmiało całkiem jednoznacznie.

Siedział obok niej z ponurą miną. Nie zwracał uwagi na drogę i przelatujące obok tablice z nazwami miejscowości. Wreszcie stwierdził rzeczowo:

-Nie poradzimy sobie sami. Zobacz, już nas osaczyli. Zakupy na karty wykluczone, zmiana samochodu odpada, hotel, motel, lotnisko to pułapki. Potrzebujemy lewych papierów, ale nie wiem, jak je zdobyć.

-Więc co proponujesz? – zapytała Krystyna.

-No właśnie, jeszcze nie wiem – wyznał. Krystyna nie naciskała. Zbliżali się do

Częstochowy.

Nieuniknione billboardy okleiły pobocza drogi, zasłaniając niemal widok na okolicę. Krystyna zwolniła, bo w takich miejscach policja lubiła czatować na kierowców. Z bram i podjazdów wysuwały się krzykliwe japońskie samochody i szacowne niemieckie i brytyjskie limuzyny. Ruch wyraźnie się nasilił. Minęła szósta rano, ludzie wyruszali do pracy.

–Mam pomysł – powiedział z wahaniem Michał. Cieniutki, cholera, ale nic lepszego nie wymyślę. Potrzebujemy współnika. Kompetentnego, bystrego i chętnego do pomocy.

–Znasz takiego?

–Cmoknął z wahaniem, pokręcił głową.

Niezbyt dobrze. Były policjant. Zrezygnował, kiedy w policji i wojsku rozpoczęto ostrą indoktrynację religijną. Tak często podpadał, że wysłali go na emeryturę.

Pochylił się i wyciągnął ze szczeliny klawiaturę kompa. Pogwizdując pod nosem, zaczął w nią stukać.

–Znalazłem – pochwalił się dwie minuty później. Mieszka teraz w Gnieźnie. Nawet niedaleko stąd. Nie wjeżdżaj do miasta, tylko od razu skręcaj na Wieluń, Sieradz...

–Już wjechaliśmy do miasta!

Michał zastygł z otwartymi ustami. Krystyna zerknęła na niego przelotnie i nie zdołała powstrzymać śmiechu.

–Ja też mam pomysł – pocieszyła go. Wychwyciła wzrokiem gigantyczną strzałę, kierującą klientów na parking przed olbrzymim marketem sieci Aldi. Znalazła miejsce, zaparkowała z dużą wprawą. – Nie bój się, niczego nie kupię. Najlepiej zostań, posłuchaj sobie muzyki.

Chwyciła torebkę i wyskoczyła z wozu. Pomachała zdenerwowanemu Michałowi, ruszyła w stronę sklepu, ale zawróciła i podeszła do okna. Pochyliła się i pogłaskała go po policzku.

–Nie zrobię niczego głupiego. Nie zostawię śladów. Zobaczysz, będziesz ze mnie dumny.

Odeszła zdecydowanym krokiem. Michał posłuchał jej rady, włączył radio i nastawił cichą muzykę. Spróbował myśleć jak ścigający ich policjanci. Na pewno sprawdzili wszystkie oczywiste miejsca – lotniska, porty, przejścia graniczne, hotele, banki, sklepy. Na pewno rozesłali listy gończe za Michałem Weissem. Na pewno zrobili jeszcze masę rzeczy, o jakich nie miał pojęcia. A jednak, stwierdził z dumą, gonią nas od trzech dni i nie mogą złapać. Albo policja jest do dupy, albo my jesteśmy wyjątkowi.

Odchylił oparcie fotela, założył ręce za głowę. Przeanalizował swoje postępowanie od chwili, kiedy przez okno do ogrodu zobaczył skradającego się mężczyznę. Nie mogłem zrobić nic innego. Gdybym się poddał, zagrał lojalnego obywatela, czułbym do siebie wstręt. Nie, dobrze postąpiłem. Trzeba było.

Nawet nie zauważył, kiedy zapadł w drzemkę. Ucieczka z hotelu o trzeciej w nocy i jazda do Częstochowy dały mu się we znaki. Zasnął i spał mocno ponad godzinę. Zbudziło go dopiero trzaśnięcie drzwi.

Poderwał głowę. Krystyna ostrożnie przekładała na tylną kanapę cztery olbrzymie torby wyładowane szeleszczącymi paczkami. Miała na głowie kwiecistą chustkę, duże słoneczne okulary zasłaniały pół twarzy, pociągnięte jaskrawą szminką wargi układały się w nadąsany grymas. Michał otrzeźwiał natychmiast.

–Co...?

–Spokojnie – powiedziała ustawiając ostatnią torbę. Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Uruchomiła silnik i skierowała się do wyjazdu z parkingu. Michał zerknął do tyłu, zobaczył w jednej torbie finnpaka z mrożoną kawą, oderwał wentyl i wypił kilka łyków aromatycznego napoju. Spojrzał na Krystynę i parsknął cichym śmiechem.

–Nie poznałbym cię z dwu metrów – przyznał. – Ale to nie wystarczy...

–Wiem – wzruszyła lekceważąco ramionami.

–Coś ty właściwie zrobiła?

–Poszłam po prostu do damskiej toalety i czekałam. Czekałam na kobietę zamożną, już po zakupach. Wtedy wyszłam z kabiny, ustawiłam torebkę obok jej torebki i oczywiście zrzuciłam obie!

–O rany, już wiem.

Krystyna rzuciła mu kpiące spojrzenie.

–Pozbierałam rzeczy i oddałam jej własność...

–Buchnęłaś jej kartę kredytową – jęknął Michał. Krysiu! To był błąd, ciężki błąd, kochanie.

–Nie jestem taka głupia. Nie ukradłam jej karty. Zresztą ona też nie była taka głupia, zaraz sprawdziła, czy karta jest na miejscu. – Przyspieszyła na prostym odcinku i posłała mu kolejne kpiące spojrzenie. – Ja po prostu zamieniłam nasze karty, rozumiesz? Ona przez kilka dni nie powinna robić zakupów, sądząc po ilości tobołów, a jeśli nawet, to kto patrzy na nazwisko na swojej karcie? Grunt, żeby nie było debetu. A my tymczasem dawno już ucieknijemy z zakupami.

Michał westchnął przeciągle.

–Będziemy co kilka godzin kradli karty? – zapytał ironicznie.

–Nie, nie trzeba. – Wdusiła pedał gazu. – Zaraz po zakupach znowu poszłam do toalety i wykonałam jeszcze jedną podmianę. Teraz ta pierwsza baba jedzie z moją kartą do Tarnowa,

tam jej użyje, może za kilka dni. Wtedy policja ją capnie i wyjaśni się, że teraz muszą szukać karty Janiny Sadowskiej.

–A tymczasem – wpadł jej w słowo Michał – Janina Sadowska objawi się... gdzie?

–Chyba we Włocławku? – zawahała się, usiłując przypomnieć tablicę rejestracyjną samochodu, do którego wsiadła druga ofiara. – Stamtąd przyjechała... – zerknęła na kartę -Brigide Shoeneberg.

Michał odchylił się do tyłu i głęboko odetchnął. Pokręcił głową.

–Jesteś genialna!

Zerknęła na niego spod okularów, jakby chciała sprawdzić, czy nie kpi.

–Absolutnie i niepodważalnie! – zapewnił ją. – Ja bym na to nigdy nie wpadł. Dałaś nam tyle czasu, ile chcemy. Teraz tylko musimy co jakiś czas podbierać komuś kartę. Oczywiście nie można tego robić w nieskończoność, ale na razie zyskaliśmy

swobodę manewru. Bomba! – Uderzył pięścią w dłoń.

Przejechali w milczeniu kilkaset metrów.

–A ile tam jest marek? – zapytał Michał.

–Ona ma konto w erosach.

–Erosach?

–No, eurosach, ale tak się nazywały kiedyś prezerwatywy.

–Wiem.

Zaśmiała się głośno. Popatrzyła na skonfundowanego Michała i znowu parsknęła.

–A jak na nie mówią za Wisłą?

–Jurki.

Zmarszczyła brwi i chwilę myślała.

–United Europe?

–Tak.

–Jurki – powtórzyła. – Ładnie.

Ostatnie domy podmiejskiej zabudowy zostały z tyłu. Drogowskazy podawały kierunek na Wieluń, Sieradz, Kalisch, jeden trochę na wyrost pokazywał Thorn i Danzig.

–Pamiętasz taki film o porwaniu dziecka? – Krystyna zabębniła palcami w kierownicę, szukając w pamięci szczegółów. – Grał tam Bromer, ale ojciec, nie ten mydłek syn.

–Coś mi świta – skłamał Michał.

–No, nieważne. Tam pokazali taką pułapkę na kidnaperów, wiesz, te nitki w banknotach. Policja zapisała na tych nitkach jakieś dane identyfikujące i od tej pory każdy banknot z tej puli po włożeniu do kasy natychmiast demaskował porywacza. Czy to możliwe,

że te nitki służą do śledzenia ludzi? Ze każda kasa sklepowa ma wbudowany system odczytu tych danych?

–Nie mam pojęcia – odparł. – Moje kryminalne doświadczenia ograniczają się do lektur i filmów, czasem jakiś procesik w prasie weekendowej. Ale właściwie czemu nie?

–Przecież to niedemokratyczne!

–Powiedzą ci, że to służy demokracji. Że dzięki temu można wyłapać terrorystów, szantażystów, porywaczy, reketierów, że można wytropić brudne pieniądze i tak dalej.

–Można też zaszczyć niewygodnego faceta, wmawiając mu w każdym sklepie, że ma fałszywe pieniądze prychnęła.

Coś podobnego przyszło jednocześnie do głowy Michałowi, ale postanowił nie rozwijać tematu. Odchylił się do tyłu na oparcie fotela i wpatrywał się w drogę. Dogonili opla winchestera z dwiema naklejkami na tylnej szybie, jedna głosiła po niemiecku: „Jeśli wierzysz w życie pozagrobowe, wciśnij pedał gazu!”, druga po polsku: „Lubię koty. I dlatego nie żałuję do nich majeranku!” Krystyna pokręciła głową, dodała gazu i wyprzedziła opla. Teraz przed nimi jechał ciemnozielony furgon, którego tylną szybę ozdabiały realistyczne kocie portrety. Michał wskazał je brodą:

–Podobne do twojego Puchalca. Czy to jest ta rasa? Krystyna milczała przez chwilę, ale nie wytrzymała:

–To jest main coon, amerykański kot. – Przyspieszyła trochę, zafiksowała prędkość i zdjęła nogę z pedału. W sąsiedztwie był kilka lat temu taki właśnie okaz, dziki jak cholera, podobno skatował kilka pudelków.

–Pudelków? – zdziwił się Michał. – Dlaczego akurat pudelków?

–Nie wiem – wzruszyła ramionami. – Może nie lubił ich wygolonych tyłeczków? Właśnie po tym potworze w okolicy pojawiło się kilka dziwacznych kotów. Ich protoplasta zniknął z widoku, może ktoś go zwał, może wpadł pod samochód. Podobno lubił czasem atakować z drzewa przejeżdżające samochody – roześmiała się. Nawet spowodował wypadek: skoczył na przednią szybę i wystraszona dziewczyna zjechała do rowu.

–Był większy od Puchalca? – zapytał Michał z powątpiewaniem. Rzuciła mu przekorne spojrzenie.

–Nie. Puchalec jest największy. – Milczała przez chwilę – Ale może też być mieszańcem żbika i kota.

–Jesteś z niego dumna?

–Sama nie wiem, chyba tak.

Nagle posmutniała, ale zanim Michał zdążył otworzyć usta, strząsnęła z siebie zły humor.

–Kto to jest ten gość? Ten potencjalny współnik? – zapytała, znowu ustawiając nogę na gazie i przyspieszając jeszcze odrobinę.

–Andrzej Wasielewski, policjant, miał ksywkę „Rzykant”, bo lubił mawiać: „Chętnie zaryzykuję, bylebym miał sto procent pewności”. W 1999 albo w 2000 roku wynaleźli mu furę chorób: alergię, egzemy, zaburzenia błędnika i coś tam jeszcze, i wysłali na rentę. A on po prostu chlastał się z nadgorliwymi przełożonymi. Na przykład kazali mu iść z sześcioma aresztantami do kościoła, bo podobno tacy wierzący, ich kolesie dopadli go, pobili do nieprzytomności i uwolnili więźniów, rzecz jasna. Połowa z nich powinna była dostać dożywocie, jeden czapę, jak się potem okazało. Na szczęście dla Andrzeja lekkomyślny przełożony dał mu rozkaz na piśmie. Zrobiła się chryja. Tak dokładnie nie wiem, nie byliśmy przyjaciółmi. Spędziliśmy kiedyś wędkarsko-pijacki tydzień nad jeziorem Pupla Duża – uniósł palec: – Nie mylić z Puplą Małą!

–Jasne! Kto by mylił takie dwie Pupie?!

Wychylił się, cmoknął policzek kierowcy. Zamruczała i jeszcze raz nadstawiła policzek.

–Do poprawki – zażądała.

Wykonał poprawkę i poprawkę poprawki.

–No, dosyć. Rowy tu głębokie. – Opadł w swój fotel. Tyle mniej więcej wiem. Mam nadzieję, że facet nie zmienił zapatrywań. Wpieniał go dziki pęd do Europy. On zawsze patrzył trzeźwo na rzeczywistość i widział, że skrzeczy od różnych przegięć pały...

–I był agnostykiem jak ty, co cię cieszy.

–Nie, mylisz się. To znaczy ja tak, Andrzej nie. On tylko nie lubił ostentacji, hucpy i zadęcia w żadnej sprawie. Nazywał to witryniarstwem. Bo zawsze to śmierdzi albo forszą, albo stołkiem, z wyjątkiem tych wyjątków, kiedy jednym i drugim.

Zobaczył minę Krystyny i umilkł. Na drodze pojawiało się coraz więcej samochodów, prędkość spadała.

–Do diabła – odezwała się Krystyna. – Zawsze na podjazdach do autostrady robi się taki młyn.

Zaraz za tablicą z napisem: „Autostraden Norden-Westen”, po uiszczeniu opłaty, bez słowa zamienili się miejscami. Michał ruszył ostro na północ, nieco przekraczając dozwoloną prędkość.

Kwadrans później Krystyna przerwała milczenie.

–Byłeś żonaty?

–Co?

–Pytam, czy miałaś żonę – powtórzyła cierpliwie, ale tonem nie pozwalającym ludzić się, że zrezygnuje z odpowiedzi.

Chwilę milczał ze wzrokiem utkwionym w trzy pasma drogi. Mruknął coś jakby z dezaprobatą

–Ciekaw byłem, kiedy mnie o to zapytasz.

–Nie zapytałabym – zaczęła się tłumaczyć – ale...

–W tak poważnej sytuacji postanowiłaś dowiedzieć się czegoś więcej? – i zanim Krystyna zdążyła zareagować, kontynuował: – Nie, nie byłem żonaty. Żyłem cztery lata z pewną kobietą, wydawało mi się, że ją kocham. Potem zacząłem zastanawiać się, jak długo można się wahać... No i rozstaliśmy się.

Krystyna poprosiła:

–Opowiedz o niej.

Zamrugnął, milczał przez chwilę. Nagle roześmiał się cicho.

–Mnóstwo razy słyszałem od niej, że miała ojca pedanta. Wszystko trzymał w futerałach i pochewkach, każda rzecz miała swoje miejsce. Prowadził tak uporządkowany tryb życia, że nawet kukurydzę jadł zawsze trzymając grubszy koniec w prawej ręce. Jeśli trafiał na równy kaczan, najpierw przeprowadzał dochodzenie, żeby ustalić, gdzie jest cieńszy, a gdzie grubszy koniec. – Zachichotał znowu.

–Przebiła tatusia? – Wręcz przeciwnie. – Zerknął na zegarek i na prędkościomierz, przyspieszył. – Nie wiem, czy pamiętasz, jak po rządach postkomuminków nastąpiła nagła reakcja. Ci sami, którzy ich wybierali, nagle zaczęli narzekać i domagać się rozliczenia. Pamiętasz?

–Nie bardzo. Miałam wtedy dwadzieścia lat i mieszkałam w Tarragonie, tropiłam dzieła Gaudiego i usiłowałam nucić do Święta wiosny. Pamiętam, że każdy komentator wygłaszał inne opinie: jedni pochwalali rozbiór, inni krzyczeli, że zamach na wolność kraju. A ja zadzwoniłam do domu i okazało się, że telefony działają! Nie wiem dlaczego, ale to dla mnie znaczyło, że nie jest tak źle... – dokończyła bezradnie.

Michał skinął głową na znak, że ją rozumie.

–No więc odkąd pamiętam, szlajał się po obrzeżach polityki niejaki Zatyra, trybun

ludowy, obrońca rolników i w ogóle Polaków. Co jakiś czas trafiał na drugie albo i pierwsze strony dzienników, taki cwaniura z czerwonym kinolem. Otóż po klęsce komuminków on nagle się objawił i niespodziewanie wskoczył na szczyty list rankingowych. Kilkanaście lat

przed nim był taki numer z Tymińskim, nieznanym nikomu facetem, co to doszedł do finału rozgrywki o fotel prezydenta z Wałęsą, który dzięki temu prezydentem został. No, nieważne. Otóż ten Zatyra wygrał i zaczął obsrywać Unię Europejską. Rosjanie tylko zacierali ręce, niektórzy Polacy też, innym było wstyd, ale prezydent to prezydent, nie można go wykopać. Zatyra tak się rozbestwił, że otwarcie występował przeciwko Unii, wypowiedział jej wojnę, a w końcu pojechał do Strasburga i tam nazwał Radę Europejską bandą pieczeniarczy, śmierdzących biurokratów, łapówkarzy i reketierów. Zrobiła się afera na dwieście osiem, nasze wejście do struktur Unii odłożono na czas nieokreślony. „Podanie zawisło w WC”, napisał jakiś dziennikarz. – Pokiwał głową. – Kto wie, czy ten cholerny Zatyra nie był częściowo odpowiedzialny za późniejsze wypadki. W końcu przez niego nie weszliśmy do Unii wtedy, kiedy było to zaplanowane. – Nie mów mi tylko, że ta twoja dziewczyna była jego córką.

Parsknął serdecznym śmiechem:

–Nie przesadzaj. Ale rzeczywiście uważała, że należy wspierać nasze rolnictwo i nasz przemysł za wszelką cenę. Kupować gorsze i droższe pralki, bo nasze, jeść syropowaty dżem, bo polski i tak dalej. Nawet nie byłem temu przeciwny, też starałem się wybierać polskie produkty, ale bez przesady. Pokłóciła się ze wszystkimi znajomymi, przepędziła wszystkich moich przyjaciół, przestaliśmy bywać i zapraszać. Siedziała nad prasą patriotyczną, odpalała jednego od drugiego, syreny, oczywiście, i pomstowała na cały świat, który wziął się na Polskę. No i wiesz, raz usłyszałem coś takiego, w telewizji mówią: „Polskie krowy dają przeciętnie trzy tysiące litrów mleka rocznie, a holenderskie sześć”, a Jola na to: „Pewnie, a co jeszcze, kurwa, mają do roboty!” Wtedy wstałem z fotela, zabrałem swoje dokumenty i cicho wyszedłem.

Krystyna nabrała powietrza, ale nie odważyła się na komentarz. Michał nie patrząc wyciągnął rękę, chwycił jej dłoń i pocałował.

–No, ulżyj sobie i powiedz, że dobrze mi tak – zaproponował.

–Pewnie! – wybuchnęła, teatralnie wymachując rękami. – Jeśli ktoś wiąże się z córką pedanta, która w dodatku ma na imię Jola!

Mruknął: „Uhu” i odczekał chwilę, ale Krystyna milczała. Potem przechyliła głowę.

–A ten Zatyra jak skończył? – zapytała.

–Dość głupio, przyłapano go na trzech aferach jednocześnie. Myślę, że wcześniej ktoś go krył, ale w końcu facet przesadził. – wzruszył ramionami. – Brał grube łapówki od Chińczyków za przepychanie ich kapitału, wykorzystywał UOP do zbierania materiałów na

opozycję, w dodatku dał się przyłapać pijany z nieletnimi prostytutkami. Pogrzeb był szybki i nikt po nim nie płakał.

Trącił „Search” i znalazł stację nadającą muzykę z końca ubiegłego wieku. Oboje

z zadowoleniem porzucili osobiste wspomnienia. Michał cicho pomrukiwał do wtóru archiwalnych przebojów The Beatles, ostatnich hitów Jaggera i rodzimych grup: starych Czerwonych Gitar, nowego Dryfu, Kotłowni na Walickiej czy Plomby. Po godzinie coś sobie przypomniał.

–Połącz się z Andrzejem, ale tylko połącz, nic nie mów.

Krystyna wyjęła klawiaturę, wyszukała numer i zawiesiła palec nad klawiszem „Mute”. Telefon sumiennie usiłował wykonać zadanie, ale po kilku sygnałach na ekraniku pojawił się tekst: „Przepraszam. Będę w domu jutro po południu. Zadzwoń”.

–No masz! – Michał plasnął dłonią w kierownicę. Jak nie urok, to przemarsz Bundeswehry.

–Oj, chcesz się pokłócić – stwierdziła.

–Przepraszam, głupi dowcip. Nawet mnie się zdarzają. Zwolnił, nie mieli już dokąd się śpieszyć.

–Pokaż mi tę drogę – poprosił po kwadransie jazdy. Zerknął na mapę kilka razy.

–Najlepiej zrobimy tak: dojedziemy do Inowrocławia, patrz, dziwnie się dzisiaj nazywa: Hohenzalza. – Wzruszył ramionami. – Gdyby ktoś za nami jechał, pomyśli, że jedziemy nad morze, my tymczasem przenocujemy tam tylko i jutro cofniemy się do Gniezna...

–Ale pan jest chytry, panie Sułku najdroższy, prawda? Roześmiał się.

–To też znasz?

–No pewnie!

–Wiesz co, przed Inowrocławiem jest miejscowość Tupadły. Trochę z boku nad Notecią stoi taki nieduży pensjonat, bardzo dyskretny, bo obsługujący klinikę jakiegoś plastycznego cudotwórcy. Tam się zatrzymamy, przenocujemy i rano wrócimy po własnych śladach.

–Nie dajesz szans naszym przeciwnikom. A co będziemy robili przez resztę dnia i całą noc w tym cichym dyskretnym pensjonacie?

–Nie wiesz 15.

–Jak ja to lubię! – zwierzył się Najmowicz prowadzącemu samochód Olczakowi. – Świeży trop, dobry wóz, naoliwiony gnat.

Odwrócił się i zmierzył wzrokiem bladego Jarowida. Poruszył wargami, jakby zamierzał splunąć na podłogę.

–I para najlepszych wywiadowców. Co to się najebali piwem jak szczeniaki na pierwszej szkolnej wycieczce. Co wam odbiło, do kurwy łaciatej?!

Jarowid stęknął i zwinął się w kłębek na tylnym siedzeniu. Lewą dłoń z obandażowanymi trzema palcami przycisnął do brzucha. Poczł pieczenie w gardle i natychmiast wyprostował się, odetchnął kilka razy przez szeroko otwarte usta.

–Nie wiem, jak Dankę kocham, nie wiem, dlaczego ja się jeszcze z wami pieprzę?! – zapytał kapitan, marszcząc czoło i kręcąc głową.

Może nie masz z kim?, pomyślał złośliwie Olczak, chociaż nigdy w życiu nie ośmieliłby się powiedzieć tego głośno, nie po znanych w komendzie fikołach żoneczki kapitana.

–Panie kapitanie, wszak byliśmy po służbie! – zaprotestował.

–Wszak? – Najmowicz bez wahania chwycił haczyk podsunięty przez Olczaka. – Jak się tu mówiło po polsku, to naród uczył się tylko języków obcych, a teraz każdy się zaczyna wypindzać: azaliż, albowiem, wszelako-śmako-

–srako!

–To normalny odruch obronny – zaproponował wywiadowca i nagle zrozumiał, że niechcący zastawił genialną pułapkę na kapitana, który nie wytrzyma i powie: „Bronić to, kurwa, trzeba było kiedy indziej, i nie tylko języka, ale ziemi!”

Wstrzymał oddech, niemal przestał kontrolować sytuację na szosie. Usłyszał, jak Najmowicz wciąga powietrze... i nagle z tyłu rozległ się głośny jęk Jarowida:

–Zatrzymaj...

–A żeby cię szlag trafił! – ryknął wściekły. Siedzący obok kapitan drgnął i popatrzył na niego ze zdumieniem. Olczak omal nie rozplakał się ze złości.

–Chyba jest robota, nie? – dokończył, niezbyt zręcznie tłumacząc się z wybuchu.

–Dobra, robota robotą, ale nie będziemy jechali w zarzyganym wozie – ugodowo odezwał się zdziwiony jego reakcją Najmowicz. – Zatrzymaj.

Olczak zwolnił, włączył awaryjne światła i zjechał na pobocze. Jarowid szarpnął klamkę, szarpnął drugi raz, zabełkotał i dopiero wtedy wściekły Olczak przypomniał sobie o blokadzie. Zwolnił zamki i pomyślał, że najchętniej zwolniłby teraz zapadkę szafotu. Już go

miałem, jęknął w duchu, gdyby sypnął coś o zdradzie, konieczności obrony ziemi, już byłbym pół pietra wyżej, już bym się nie martwił...

Przez kłębowisko bezładnych myśli przedarło się jakieś pytanie Najmowicza.

–Słucham, kapitanie?

Najmowicz machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

–Pytam, czy przejrzałeś raport tego faćka z Bochni? Pokręcił głową.

–Nie, przepraszam, ale tak nas pan zaskoczył, Herr Hauptmann, że ledwo zdążyłem wyklócić się o lepszą brykę, bo mi te skur...

–No to słuchaj. Byli razem, ten Weiss i Grodziec w hotelu Słona Ściana w Bochni. Ten nasz ciul obserwował tylko lokal, bo coś często w pobliżu łupili turystów, i nie miał aktualnych raportów. Dopiero kiedy wrócił do Krakowa, zobaczył list gończy i przypomniał sobie tych dwoje. Pognał z powrotem, ale oni w nocy rozplynie się, pokój jest jeszcze opłacony, bambetle w środku... Przynajmniej znamy ich wóz, więc przeszukaliśmy banki z kamer drogowych i jedna ich namierzyła przy wjeździe na krakowską obwodnicę. Potem trafiliśmy tego opla przy kasie autostrady. Jadą zatem – z ukosa zerknął na podwładnego, czy zauważył akcent na słowie „zatem” – na północ, a tam już czeka na nich kilku bystrych chłopaków. Odetchnął głęboko. Samochód zakołysał się, gdy zbolący Jarowid wpełzł na tylne siedzenie. Kapitan odwrócił się i zmierzył go wzrokiem.

–Wygląda jak szop pracz z tymi podkrążonymi oczami, nie? – zagadnął Olczaka. – Poczekaj.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął piersiówkę.

–No to w ryło, jak mówią góralki. – Łyknął pierwszy i podał Olczakowi. – Ten z tyłu niech to potraktuje jak polecenie służbowe, swego rodzaju akupunkturę. Żeby mógł

pracować.

–Czyli – Olczak oderwał się od szyjki i podał naczynie koledze – po szklanie i na rusztowanie!

Uruchomił silnik i włączył się do ruchu. Długą chwilę jechali w milczeniu. Potem z tyłu rozległo się spamatyczne sapnięcie. Olczak zobaczył w lusterku, jak Jarowid wytrzeszczając oczy wlewa w siebie kilka łyków alkoholu.

–Herr Hauptmann, czy Ruscy uczestniczą w akcji? odważył się zapytać.

–A na cholere nam oni? Na razie to ich nie dotyczy. Obejrzał się do tyłu. – Oddajesz czy przykleiła ci się do łapek?

Chwycił podaną pospiesznie piersiówkę, łyknął już nie częstując podwładnych, schował do kieszeni.

–Chyba że coś im wypapłaliście. Na waszym miejscu przyznałbym się ukochanemu kapitanowi – zawiesił głos.

Odpowiedziała mu cisza. Odczekał chwilę, potem wyszarpnął z gniazda konsolę kompa i niedbale przerzucił do tyłu.

–Sprawdź no, czy gdzieś ich mają.

Jarowid ułożył na kolanach konsolę, odchylił ekran i zaczął pracowicie sprawdzać meldunki z poszczególnych komend. Potem obliczał coś konsultując się z mapą, wreszcie podał ekran kapitanowi.

–Brak meldunków o wykryciu. Prędkość jazdy pozwala przypuszczać, że są gdzieś w tym rejonie. – Na ekranie widniał fragment mapy, w centrum zaznaczonego okręgu znajdował się Inowrocław. – Chyba że gdzieś zboczyli z trasy, zapadli w jakiejś dziurze, przesiedli się do innego wozu czy wykonali jeszcze inną chytrą woltę.

–A to by już znaczyło, że czują smród koło tyłków mruknął Najmowicz.

–A jaka jest taktyka? – zadał z tyłu pytanie Jarowid. – Mamy ich złapać żywych czy niekoniecznie?

–Widzę, że wracasz do formy, skoro zadajesz idiotyczne pytania, Jurek – warknął Najmowicz. – Udało ci się kiedy pogadać z martwym? Jeśli tak, to możesz strzelać. Przedtem tylko naucz i mnie, żebym sobie z tobą pogadał.

–Ale, Herr Hauptmann, musimy coś wiedzieć – wtrącił Olczak. – Na razie nie wiemy, co mamy robić...

–Cisza! – Kapitan uniósł rękę. – Po pierwsze, nie myśl, że puszcza mi zwieracz, jak słyszę Herr Hauptmann. Po drugie, ta para weszła w posiadanie pewnego dokumentu. Nie wiemy, ile przeczytali, a chcemy to wiedzieć. Dokument odzyskaliśmy, ale chcemy też wiedzieć, czy istnieją kopie. No i chcemy wiedzieć dokładnie, skąd go dostali. Rozumiecie? Im więcej wiedzy tym lepiej. To już nawet Lenin powiedział.

Dojeżdżali do Kluczborka. Najmowicz pokazał palcem w górę, Olczak włączył syrenę i przebili się przez miasto jak nóż przez kiesel. Dwa razy w lusterku wstecznym widział skutki swojej jazdy – stłuczki i machających rękami wściekłych kierowców – ale nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby zwolnić. Kapitan przez cały czas milczał, dopiero za miastem uzupełnił:

–Ten dokument nie może wypłynąć! Nie ma nic ważniejszego!

Obaj podwładni gorliwie pokiwali głowami. Znali swojego przełożonego i wiedzieli, gdzie kończą się żarty. Jarowid dodatkowo kiwnął dwa razy mocniej, już na własny użytek, żeby sprawdzić, jak zachowuje się głowa po kuracji: kilkanaście tabletek, kilka szklanek

różnych naparów i soków oraz klin kapitana. Nie bolała. Posłał bezgłośnie, ale szczere podziękowanie niebiosom. Poluzował pasy i usiadł na tradycyjnie niewygodnym środku kanapy.

–Nie pojedziemy do Częstochowy? – zagaił. Kapitan powoli pokręcił głową.

–Nie. Nie po to wjeżdżali na autobanę, żeby zaraz zjeżdżać. Raczej zasuwać gdzieś na północ. Tylko, cholera, nie mają chyba żadnych kontaktów w tym regionie kraju. Właściwie ona ma tylko siostrę i znajomych z pracy i miejsca zamieszkania. On jeszcze gorzej, sierota z bratem we Francji i kolegami z firmy. Ma tylko ją. Para samotników.

–Siostra? – bąknął Jarowid.

–Nie – włączył się Olczak. – Przeglądałem raporty. Wprowadziła się niedawno do tego domu na Jagodnie. Siedzi w ogrodzie, kopie, sieje, sadi, a ten jej szkop przekłada ciągle swoją kolekcję książek, podkleja, dzwoni do antykwariatów...

Wzruszył ramionami. Skurwysyn!, wyrzeszczał w duchu Jarowid. Wykorzystał mojego kaca i szybko popisał się profesjonalną gorliwością. Chce mnie przeskoczyć, bydlak.

–Jurek, miałeś przejrzeć meldunki od Ruskich, nie ma tam czegoś dla nas? – przerwał mu paniczne myśli Najmowicz.

–Nie, ani śladu! – zaprzeczył Jarowid. – Wie pan, jak oni wybierają to, co puszczają do nas: tylko zachodnie gangi i nasze krajowe sprawy. Nic naprawdę ważnego.

–A wiecie, ilu trzeba Ruskich do wkręcenia żarówki? – zapytał Olczak.

–No?

–Jednego, ale cierpliwego. Ponieważ są inteligentni, to wiedzą, że Ziemia się kręci. Trzeba tylko włożyć do oprawki żarówkę i przeczekać kilka ziemskich obrotów. Odpowiedziała mu pełna uznania salwa śmiechu.

–A ile majtek ma Francuzka? – wyrwał się Jarowid. Zagłuszyły go dwa pogardliwe jęki.

–A wiecie, dlaczego te ich moskwicze mają ogrzewane tylne szyby? – zaserwował szybko poprawkę. – Nie? Żeby pasażerom nie marzły ręce, jak go pchają!

Spodobało się.

–Jakie są najtrudniejsze trzy lata w życiu ruskiego dziecka? – zapytał Olczak, przecierając oczy wierzchem dłoni. – Nie wiecie? Pierwsze trzy lata w pierwszej klasie!

–Dobre! – ryknął Najmowicz. Zacerpnął powietrza, podwładni czekali grzecznie na jego dowcip. – A słyszeliście, jak Ruski otworzył lodówkę i natychmiast dał w pysk żonie? Kobita gdzieś z podłogi pyta: „Za szto!?”, a on jej mówi: „Bo znowu nie wyłączyłaś światła w lodówce!”

–Nie-e! – ryknął Olczak. – Nie mogę!

Lizus podły, pomyślał Jarowid, śmiejąc się „serdecznie”. Ja sam dwa tygodnie temu opowiadałem mu ten witz.

–A co robi Ruski, kiedy chce mieć sześć zdjęć do pasa? – zapytał szybko. – Kopie sześć dołów!

–Ta. Dobrze – rzucił przez ramię Olczak. Nabrał powietrza, żeby opowiedzieć lepszy dowcip, ale Najmowicz podniósł rękę.

–Do bezpośredniej akcji wchodzę ja i Olczak – niespodziewanie zmienił temat. – Ty zostajesz na asekuracji i starasz się nie rzucać w oczy. Podbierasz to, co nam umknie z saka.

Przez chwilę myślał intensywnie.

–Na razie nie potrzebujemy Rosjan do niczego – dodał. – Może oni by chętnie pomogli, ale w dupę tam! Poradzimy sobie sami.

Pułkownik Krymarys siedział w fotelu nieruchomo, jakby pozował do rzeźbionego w granicie pomnika. Co pół minuty powieki leniwie opadały, nieruchomiały na sekundę i znowu unosiły się odsłaniając skupione piwne oczy. Dwanaście lat temu pułkownikowi wpadła w ręce broszurka, w której wytłumaczono działanie pamięci płytkiej, pamięci głębokiej, krótkiej, trwałej i tak dalej. Pewien Koreańczyk tłumaczył, jak wywołać niekontrolowany przyływ wspomnień, wymieszać je i posegregować, zęby z tego chaosu wyciągnąć cenne wnioski. Sceptycznie nastawiony pułkownik już przy pierwszym podejściu znalazł rozwiązanie trudnego problemu i uznał się za dłużnika dra Kio Sane. Teraz znajdował się w takim transie od dwudziestu minut. Umysł pułkownika dryfował na oceanie umyślnie wzbudzanych swobodnych skojarzeń. „Takie sobie luźne przeglądanie faktów, szczegółów, osób i sytuacji”, jak z fałszywą skromnością tłumaczył kiedyś pułkownikowi Jaremce, zachwyconemu skutecznością jego dedukcji. Dwa lata później wyekspediował Jaremkę na tłustą emeryturę, po kilku efektywnych seansach transu, które z sekretarką, jedyną zaufaną osobą, nazywali „lewatywami”.

Choraży Gross wiedziała, że dopóki sam pułkownik nie odwoła zakazu, nie wolno łączyć nawet jego żony, a tym bardziej prezydenta USA. Zanotowała kolejny pilny telefon do szefa, zerknęła na zegarek. Czwarty raz w ciągu dwu dni, pomyślała. Nigdy tak często nie odrywał się od świata. Czyżby coś poważnego? I co na tym można zyskać, ile stracić? Nerwowo przewertowała kilka ekranów, z westchnieniem odchyliła się w fotelu, postukała zwyczajnym drewnianym ołówkiem w krawędź biurka. Wolałaby, żeby przełożony już się odezwał. Zawsze po transie ogarniała go gorączkowa potrzeba działania, sypały się pomysły,

dyrektywy, rozkazy, zwoływano burze mózgów. Gross czuła się wtedy w swoim żywiole -wiedziała znacznie więcej niż inni podwładni Krymarysa i lubiła patrzeć na nich z góry.

Dwadzieścia trzy minuty. Blisko rekordu. Czyżby jakiś kryzys? Matko, żeby już mieć za sobą ten piekielny dzień, zaparzyć ulubioną black yunan i wdychając jej aromat zapalić jednego, niezmiennie jedyne wieczornego camela. Ta pieprzona praca, te pieprzone chłopy z ich pieprzonymi problemami! Żeby wreszcie zapomnieć o intrygach, podchodach, śledztwach! Idiotka, zrugala samą siebie. A ta władza, ta

moc, ta znajomość spraw dla innych niedostępnych, niebezpiecznych, nieznanych?

Westchnęła i jak na zawołanie odezwał się biper. Z ulgą wcisnęła taster łączności i pochyliła się nad mikrofonem:

–Panie pułkowniku?

–Mireczko, za godzinę dobrego niemego kierowcę w czymś dyskretnym, ale sprawnym. Wyszukaj mi jakieś zajęcie maskujące wyjazd na dzień, dwa.

–Tak jest, panie pułkowniku.

Rozłączyła się, wywołała listę spraw do załatwienia i wybrała kilka takich, które mogły dać Krymarysowi alibi. Potem połączyła się z garażem.

Pułkownik wyjął z szuflady okrągłe blaszane pudełeczko z małymi landrynkami, wsunął kilka do ust, ułożył je za policzkami i uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze. Gdyby ktoś mnie zobaczył z wypchanymi chomiczymi policzkami!, pomyślał wesoło, odprężony po transie. Przemierzył kilka razy pokój, zadowolony, bo wiedział już, co ma zrobić. Usiadł przed trzydziestocalowym monitorem, zainicjował standardowe procedury testujące sieć i po pomyślnej kontroli wprowadził hasło. Chwilę potem wszedł do swojego prywatnego archiwum, wynotował kilka nazwisk i adresów w różnych częściach Protektoratu i ułożył w grupy. Bazarewicz, Sukiernicka, Weiss, Cieszewicz, Grodziec, Marta Grodziec i jej konkubin Altmann tworzyli jeden zbiór, drugi to Najmowicz, Olczak, Jarowid, Gross, Byszowiec... Wygrzebał z pamięci dwa nazwiska najbliższych współpracowników Byszowca: Gładysz i Poniedziałnik. Z banku danych wyciągnął jeszcze trzy: Fietisow, Piatnych i Kudriawcew. Po namyśle dodał do pierwszej grupy nazwiska kilku gości z imienin Marty oraz Sebilę Korfhauser, która wprawdzie świadomie nie uczestniczyła w sprawie, ale to jej samochodem zwiali Weiss i Grodziec z Sulejowa. Policzył: jedenaście nazwisk pierwszorzędnych, pięć drugorzędnych.

Ja jestem dwunasty pierwszoliczowy, pomyślał, ale tak naprawdę kto mógł ten elaborat przeczytać? Weiss i Grodziec nie zdążyli, jeśli wierzyć Najmowiczowi, ale pewnie mają

kopie, więc treść znają. Najmowicz mógł skłamać, tak samo Jarowid i Olczak – przeczytali, wystraszyli się i lżą, cenzurują się nawzajem. Kto jeszcze? Ja sam.

No i Bazarewicz! Jak to się stało, że ten facet, początek i przyczyna całego zamieszania, zniknął bez śladu? Przecież tylko on może wyjaśnić, skąd się wziął dokument i ile jeszcze kopii krąży, niczym bomba z mechanizmem zegarowym.

Pułkownik odchylił się do tyłu, oparcie posłusznie załamało się u podstawy. Gdzie i kiedy zniknął Bazarewicz? Ja go szukać nie mogę i nie będę, myślał. My go nie załatwiliśmy, chyba że za moimi plecami. Zaraz przeszukam fajle, ale to nazwisko nie może wyjść z mojego kompa. Kto? Jedyne, co mi przychodzi do głowy: Niemcy. Niewątpliwie zainteresowani dokumentem i każdym, kto go rozpowszechnia. Mogli wcześniej wymacać autora i pośredników, przez nich dotrzeć do Bazarewicza, a skoro nas nie powiadomili, to znaczy, że nam nie ufają i wolą załatwić to sami. W takim razie jak mam zareagować: pójść do komendanta i zagrać głupa, wszystko ujawnić i zdać się na jego decyzje czy też spróbować grać samemu w nadziei, że dokupię asa?

Wyrównał oddech, spróbował się skupić, ale w głowie miał kompletny zamęt. Myśli rozbiegły się jak niesforne dzieciaki, przekrzykując się jedna przez drugą: Rosjanie! Niemcy! Nasz kontrwywiad! Szybko zdecyduj i podejmij działanie! Sam? A jak się nie uda? Emerytura czy gorzej? Układ, ale z kim? Z Rosjanami czy Niemcami?

Zgrzytnął zębami, energicznie poderwał się z fotela i pochylił nad pulpitem.

–Proszę do mnie – rzucił do mikrofonu.

Kilka sekund później Gross przekroczyła próg gabinetu.

–Proszę pójść do hali maszyn i pogrzebać w raportach o zatrzymanych, zaginionych oraz zwłokach płci męskiej, zwłaszcza niezidentyfikowanych. Od... – policzył w pamięci -dwóch miesięcy. Przyjmijmy, że od połowy sierpnia.

–Protektorat czy całe Niemcy? – zapytała chorąży, nie doczekawszy się dyrektywy przełożonego.

Co się ze mną dzieje? Starość? Już?

–Najpierw Protektorat, potem zwiększysz zasięg. Przywołał z pamięci zdjęcie Bazarewicza. – Marek Bazarewicz. Czterdzieści dwa lata, brunet z tonsurowatą łysinką. Na górnej wardze blizna po nieudolnym zlikwidowaniu zajęczej wargi. Blizna po usunięciu wyrostka, dwie równoległe blizny po pięć-sześć centymetrów nad lewym kolaniem, po zewnętrznej stronie. To wszystko. – Gross kiwnęła głową. – Nie muszę dodawać, że nie podajesz tych danych, tylko dopasowujesz je do zwłok?

–Oczywiście, panie pułkowniku.

Usłyszał w jej głosie urazę, ale nie skomentował. Zawsze uważał, że nadmierna ostrożność rzadko szkodzi, mniej niż poleganie na innych. Dlatego dodał:

–Mnie w tej sprawie nie ma, choćby się paliło i waliło!

Gross odczekała chwilę i wyszła. Krymarys odetchnął głęboko, popatrzył na swoje biurko, jakby chciał ocenić, czy długo jeszcze będzie mu służyło, potem podszedł do barku i nalał sobie pół kieliszka koniaku. Strużka ciemnobursztynowej cieczy gładko spływała na dno naczynia, ręka nie drżała.

A to znaczyło, że pułkownik już podjął decyzję.

–Ja z nim w jednym pokoju nie wytrzymam, będę spał w holu na kanapie, Herr... - zakaszlał Olczak, przypominawszy sobie reprimendę -...panie kapitanie. Chrapie, skubany, że mógłby występować w chińskim cyrku.

–Puknij się, Olczak, i nie wpieniaj mnie, bo...

Najmowicz był zdenerwowany. Od czterech godzin siedzieli w Grudziądzu w podłym hotelu. Kelner zde gustowany zamówieniem w dwu rzutach sześciu bezalkoholowych piw rzucał im pełne pogardy spojrzenia, aż Jarowid podniósł się i obiecawszy, że nie zabije skurwysyna, podszedł i cicho coś mu powiedział. Pogardliwa mina kelnera znikła, grdyka poruszyła się gwałtownie. Jarowid sięgnął do półki, wziął wąską tubę z tabasco, wyłamał zakrętkę i włożywszy do kieszonki białej kelnerskiej marynarki, klepnął w nią płasko dłonią. Powoli wrócił do stolika i usiadł.

–Jak byłem na studiach – zaczął, patrząc gdzieś ponad głową Olczaka – siedziałem kiedyś w Forum z dziewczyną. Podchodzi do nas taki gnój, kładzie mi na stoliku dwadzieścia złotych, pochyla się i mówi: „Proszę iść sobie na kawkę naprzeciwko, tu mi państwo od godziny blokuje stolik, dajęcy w tym czasie dwie

stówki”.

–Ile odsiedziałeś za pobicie? – zainteresował się Olczak.

–Czterdzieści osiem. Ale dostałem od dyrekcji roczny abonament na podwieczorki. – Uśmiechnął się do wspomnień. – Podarłem go przy pierwszej kawie i zapłaciłem za nią.

–Miało się, kurwa, trochę honoru, co? – jakimś dziwnym tonem zapytał kapitan. Jarowid nabrał powietrza, ale wyraz oczu Najmowicza podpowiedział mu, że nie jest to najlepszy moment na dyskusje z przełożonym. Nie najlepszy moment i nie najlepszy temat. Odchrząknął niezręcznie. Nad stolikiem zawisła ciężka cisza. Leżący pod gazetą telefon również milczał.

Olczak postukał palcem w stolik. Najgorzej z całej trójki znosił oczekiwanie. Zerknął na towarzyszy. Przełożony siedział wygodnie rozparty w fotelu, ale drgały mu mięśnie policzków, a w oczach widniało znużenie. Takie oczy, pomyślał Olczak, mógłby mieć sędzia

sądu wojennego po dziesiątym skazanym na szafot. Nagle, zupełnie bez związku z sytuacją, poczuł zimny dreszcz. Jezu, coś mi się stanie w tej pieprzonej robocie! – pomyślał przerażony jak jeszcze nigdy w życiu. Lodowaty pot wystąpił mu na czoło. Co to jest, co mnie...

Spod gazety rozległ się cichy świergot udającego cywilny telefon „wuczeta”. Poderwali się wszyscy, Najmowicz sięgnął po aparat, Jarowid też wyciągnął rękę, ale szybko wyhamował. Kapitan przyłożył słuchawkę do ucha i mruknął:

–Tak? Słucham!

Wpatrzony w sufit, skinął lekko głową, jeszcze raz. Zerknął w szeroko otwarte oczy Jarowida i wskazał kciukiem drzwi. Obaj wywiadowcy pognali do wyjścia. Po drodze Olczak rzucił na kontuar baru pięć marek. Najmowicz słuchał jeszcze przez chwilę.

–Dobrze, bardzo dziękuję. Świetna robota, nie zapomnę tego. Czy... – Obejrzał się, czy ktoś nie podsłuchuje. czy możecie jeszcze pomóc i obstawić drogi? Już? No, genialnie. Schönen Dank. Auf Wiedersehen. Ich bin Ihnen einen grossen Schnaps schuldig. Tsch!

Inna Poniedziałnik, hamując cisnący się na usta uśmiech, przemaszerowała korytarzem bloku. Wystukała kod na atrapie zamku szyfrowego, w rzeczywistości reagującego na odczyt linii papilarnych. Weszła do standardowego przedpokoju, powiesiła wilgotny prochowiec na wieszaku, przesunęła się w bok i stanęła przed lustrem. Wolno zmierzyła wzrokiem swoje odbicie od czubka głowy do niebotycznych obcasów szpilek. Po chwili ułożyła usta do uśmiechu, kontrastującego z lodowatym spojrzeniem. Potem zmiękczyła układ rysów i długo trenowała różne grymasy.- Jeszcio... – Urwała niezadowolona z siebie. Poruszyła kilka razy wargami i zaczęła jeszcze raz, ale po polsku: – Jeszcze trochę w tej zakichanej pracy... robocie poprawiła się – i można zapomnieć, jak się człowiek uśmiecha.

Przechyliła głowę na bok jak zaciekawiona papuga, do której – z ostrym wydatnym nosem i małymi oczkami była w tej chwili podobna, i powtórzyła zdanie jeszcze raz, wsłuchując się w wymowę i intonację.

–Dobrze – powiedziała na koniec i odeszła od lustra, zostawiając szpilki na podłodze. Pomaszerowała bosą do kuchni, z lodówki wyjęła butelkę gazowanej wody mineralnej, z barku gruziński koniak. Nalała porcję do niskiej, szerokiej koniakówki, posmakowała i trzymając alkohol w ustach, wciągnęła odrobinę wody mineralnej. Przymknęła oczy i przełknęła. Rozkoszne pieczenie ogarnęło całe usta, szczypało w język, przyjemnie chłodziło przełyk.

Rozsiadła się na krześle. Godzinę temu udało się jej przekonać Indora, że jej obecność w Protektoracie jest na tym etapie konieczna. Dostała placet na bezpośredni udział w pogoni za Weissem. Wyprawa została całkowicie utajniona, nawet Gładysz nie mógł wiedzieć, pod jakim nazwiskiem będzie działać Inna i w jakim regionie kraju. Informator z Komendy Wojewódzkiej miał odtąd pracować dla niej i kontaktować się tylko z nią. Teraz nawet zmuszała się do formułowania myśli po polsku, ponieważ z doświadczenia wiedziała, że nie ma dla niej lepszej metody, żeby szybko i w miarę bezboleśnie przejść na obcy język.

Odetchnęła głęboko, przysunęła nogą drugie krzesło i wygodnie ułożyła na miękkim siedzisku nogi. Pokręciła zmęczonymi stopami we wszystkie strony, syknęła i napiła się koniaku.

Wkrótce ruszyła z kieliszkiem do łazienki, po drodze rozpinając mankiety bluzki. Napełniła wodą niestandardową kwadratową wannę, z kilku flakonów wlała po parę kropel różnych ziołowych koncentratów, głównie esencji pichtowej. Porządnie poukładała zdjęte ubranie na dwa stosy – oddzielnie bieliznę i rajstopy, oddzielnie bluzkę i spódnicę – i włożyła do odpowiednich komór kosza na brudy. Wsunęła się do bulgoczącej wody, ułożyła się w specjalnie wymodelowanych wgłębieniach, przymknęła oczy, zamarła w bezruchu. Przez kilka minut wyglądała jak pogrążona w drzemce. Potem leniwie uniosła powieki, zerknęła na wiszący nad lustrem zegar.

Mam jeszcze trochę czasu, pomyślała. Przyda mi się chwila odprężenia.

Usiadła i wyjęła z szufladki wodoodporny wibrator. Zielony prążek informował o gotowości urządzenia do pracy. Dopiła koniak, odstawiła pusty kieliszek i ponownie zanurzyła się w aromatycznej wodzie. Bąbelki powietrza przyjemnie muskały skórę

rozchylonych ud. Inna uruchomiła wibrator i zaczęła gładzić końcówką z prążkowanej gumy brzuch w okolicach pępka. Po omacku sięgnęła do regulatora, zwiększyła ilość wydmuchiwanego przez otworki powietrza, a drugą rękę przesunęła niżej, powodując krótki spazm rozkoszy. Wyprężyła się w wannie, aż jej biodra wynurzyły się z wody, wygięła się w łuk i niskim przeciągłym pomrukiem skwitowała orgazm. Wyłączyła wibrator i upuściła na dno. Teraz nie miała ochoty nic robić. Pozwalała, żeby stopniowo w jej ciele opadało napięcie, wygasały rozkoszne drżenia. W końcu po trzech minutach, kiedy ustało mrowienie w koniuszkach palców, osunęła się do wody i zanurzyła aż po szyję.

Kilka lat wcześniej przeczytała, że mężczyźni chętnie masturbują się przed podjęciem ważnej decyzji lub przed jakąś przełomową chwilą, ponieważ to odpręża, splukuje osad z duszy, ładuje energią. W głębi duszy uważała się za mężczyznę, więc po przeczytaniu artykułu starannie złożyła pismo i wrzuciła do kosza, a po pracy pojechała do Siedlec i kupiła

najdroższy, najlepszy model wibratora. Od tej pory używała go zawsze, gdy dochodziło do sytuacji opisanych w artykule. Zastanawiała się kiedyś, czy nie zastąpić wibratora Gładyszem, ale w końcu uznała, że za dużo z tym zachodu – gra wstępna, wybór pozycji, oczekiwanie na równoczesne spełnienie, które może wcale nie nastąpić. I – jak duża wizytówka – zmięta, zabrudzona, pachnąca kimś obcym pościel. Nie.

Wyszła z wanny, uruchomiła prysznic i długo stała pod mocnym biczem zmieniając temperaturę wody. Wreszcie, nasycona i przyjemnie odprężona, z leciutkim zawrotem głowy, który za chwile minie, owinęła się ręcznikiem i wyszła z łazienki. Kiedyś w podobnej chwili pomyślała, że tak właśnie czułaby się po przeprowadzce do większego gabinetu na ważniejszym piętrze: rozłożyłaby na biurku swoje drobiazgi i zaczęła rozważać, kogo i po co najpierw wezwać.

W garderobie usiadła przed ogromnym lustrem, zsunęła rękawiczkę i naga zajęła się zmianą swojego wyglądu. Najdłużej trwała zmiana fryzury. Inna rozjaśniła włosy kremem i nawinęła na kilkadziesiąt wałków, które znakomicie utrwały loki. Wtarała w biust specjalną maść i odczekała chwilę, aż poczuła lekkie pieczenie skóry. Potem tą samą maścią wywołującą opuchliznę posmarowała boki nosa. Nałożyła na głowę elektryczny turban, włączyła nawiew i widząc, że nos poszerzył się, dodała jeszcze trochę maści na kości policzkowe. Po chwili z lustra spojrzała na nią całkiem obca twarz. Inna posłała jej uśmiech wiedząc, że działanie specyfiku wystarczy niemal na dobę. Następnie zajęła się makijażem: podgoliła i zmieniła kształt brwi, wydłużyła rzęsy, do uszu przypięła duże klipsy, zakrywające połowę małżowiny. Zdjęła turban i rozpuściła włosy. Dokończyła makijażu: większe usta przy pomocy agresywnego konturu i szminki, zielone szkła kontaktowe na gałki oczne, fragmenty podbródka pokryte jaśniejszym i ciemniejszym trwałym pudrem, który zmiękczył jego ostre kontury. Nie musiała patrzeć na zdjęcie Teresy Zauber, żeby wiedzieć, co zmienić we własnej twarzy. Po siedemdziesięciu minutach wciąż naga wstała i krytycznie obejrzała szczupłe ciało młodej, biuściatej, raczej tępawej blondynki z szopą wijących się włosów.

Podeszła do szafy, wyjęła małą walizeczkę z grubej nierdzewnej blachy i ustawiła na stole. Po wprowadzeniu szyfru wyjęła i błyskawicznie rozebrała, posługując się właściwie jedną ręką, oksydowany pistolet jegier.45, dalekiego udanego potomka glocka. Oceniała zapas amunicji i zatrzasnęła walizkę. Otworzyła płaską torebkę, sprawdziła, czy ma w niej paszport na nazwisko Zauber, przetasowała karty kredytowe, prawo jazdy i jeszcze kilka dokumentów potrzebnych do stworzenia nowej postaci. Uspokojona zerknęła na zegarek. Zważyła w rękach cięższe, obrzmiałe piersi, które przez jakiś czas będą bolały przy zdecydowanych

ruchach. Przypomniała sobie, jak kiedyś ojciec przyciszonym głosem opowiadał matce o pracownicy, która czytała schowany w szufladzie biurka kryminał, a kiedy wszedł przełożony, gwałtownie zamknęła szufladę i przycięła sobie obfity biust. „Najśmieszniejsze chichotał ojciec – że teraz jest problem z odszkodowaniem: czy to był wypadek w pracy, czy przejaw niezdyscyplinowania”. Teraz i ja mogłabym wkładać cycki do szuflad, pomyślała Inna.

Podtrzymując biust dłońmi, podeszła do szafy i zajęła się ubieraniem. Najwięcej kłopotu, zgodnie z przewidywaniem, sprawił jej biustonosz, ale w końcu z bogatej kolekcji wybrała taki, który dobrze podtrzymywał i znakomicie eksponował nowe piersi. Reszta nie odbiegała od standardowych strojów Inny: bluzka-golf z kaszmiru, wąska bursztynowa spódnica, o ton ciemniejszy żakiet i takie same pończochy. Zawahała się przy obuwiu, ale w końcu wybrała to, w czym czuła się najlepiej – wysokie, bardzo wysokie szpilki, w których większość kobiet czułaby się spętana, zniewolona i narażona na upadek. Inna natomiast mogłaby w pięciocalowych szpilkach zagrać mecz piłki nożnej i nawet nie byłaby najgorszym graczem na boisku. We wczesnej młodości, kiedy rodzice wyjechali na dwa dni, Inna nazłopała się likieru z ojcowskiego barku, rozebrała się do naga i przed lustrem szczegółowo przeanalizowała własny wygląd. Z pijacką szczerością oceniła spiczasty nos, płaskie czoło, kwadratowy podbródek. I długie piękne nogi. Na nich postanowiła budować swój image. Kiedy obudziła się w nocy, z wyschniętymi ustami i kołkowatym językiem, zobaczyła na swoich stopach stare szpilki matki. Napiała się wody mineralnej i znowu stanęła przed lustrem. Zobaczyła dziewczynę o wspaniałych, długich, kształtnych nogach, które nieodparcie przyciągały wzrok, dopóki Inna na próbę nie zdjęła szpilek. Wtedy znowu na pierwszy plan wysunął się podbródek, nos i cała brzydka reszta. Inna odwróciła się od lustra, mruknęła: „Wsio paniatno” i wykreśliła ze swojego życia obuwiu na płaskim obcasie.

Przyjrzała się sobie uważnie i z zadowoleniem. Weszła jeszcze na chwilę do łazienki, skąd zabrała buteleczkę nie gorszych od oryginału, ale znacznie tańszych polskich perfum Sivon. Z płaskiego sejfu wyjęła odliczoną kwotę gotówki w euro i markach. Chwilę później siedziała w taksówce, a po dziesięciu minutach w dwuletnim subaru blue laser z podrasowanym silnikiem i dostosowanymi do szpilek pedałami. Sięgnęła po telefon, podobnie jak samochód zarejestrowany na Teresę Zauber, wystukała numer i wysłuchała szybkiego meldunku; zdenerwowany informator podkreślał wagę wiadomości i własną niepewną sytuację. Uspokoila go, kładąc nacisk na przewidywaną gratyfikację. Przyspieszyła i pognała w kierunku granicy.

Nawet nie przyszło jej do głowy skorzystać z „korytarza” dla swojego wozu; jeśli Inna zrywała ze swoim nazwiskiem, robiła to dokładnie i konsekwentnie.

Uważała, że zamaskowany agent, który z lenistwa każe oczyścić dla swojego „cywilnego” wozu szosę, zasługuje na potężnego kopa i stanowisko strażnika na miejskim wysypisku śmieci. Skupiona, czujnie obserwując wskazania zamaskowanego antyradaru, przekroczyła dozwoloną prędkość co najmniej dwukrotnie. Zwolniła dopiero przed granicą, nieco wcześniej niż zamierzała, zmuszona do tego ćwierkaniem antyradaru sygnalizującym harce rosyjskiej drogówki. Przekroczyła kordon bez kłopotów. „Tak, powrót z biznes tripu. Dziękuję, do widzenia”.

Minęła szesnasta, gdy Inna już w Protektoracie zjechała do pierwszego zajazdu, który wyglądał na cywilizowany. Wypiła mocną kawę, której parzenia dopilnowała paplając z barmanką po polsku, żeby sprawdzić opanowanie języka. Nie zauważyła u rozmówcy żadnego wahania czy zdziwienia. Jestem okay, pomyślała. Wypiła swoją Irish coffee, sprawdziła w toalecie makijaż, pogłaskała się po piersiach, które przestały już piec, ale wciąż przypominały o sobie zwiększonym ciężarem z przodu. Poprawiła ramiączka stanika i wyszła na parking. Przy drzwiach subaru wyjęła z torebki lusterko, dokładnie przejrzała w jego panoramicznej tafli cały parking za sobą.

Trudno, nie ma nikogo. Wolalaby, żeby już tutaj zaczęły się kłopoty. Oczywiście poradziłyby sobie śpiewając, zdobywając kolejny plus do swojego dossier. A przy pierwszej okazji... Przecież ten cholerny Indor musi kiedyś odejść albo zejść?

Na odcinku Radom-Kutno jeszcze dwukrotnie łączyła się z informatorem w komendzie, żądając najświeższych komunikatów. Po drugiej owocnej rozmowie skorygowała trasę i przyspieszyła. Zerknęła do lusterka, skąd patrzyła na nią pociągnęła twarz atrakcyjnej kobiety z błyszczącymi oczami, kobiety sukcesu, której – nabrała do tego pewności po rozmowie z donosicielem – sprzyjają bogowie.

Tuż po dziewiętnastej Inna wynegocjowała u cwanej recepcjonistki miejsce w przepelnionym podobno pensjonacie Tupadły. Zamówiła do pokoju szklaneczkę seagrama z dwiema – podkreśliła to – dwiema kostkami lodu, a gdy dostała trzy, przez długą jak minuta sekundę walczyła ze sobą, żeby nie wylać whiskey na głowę kelnerowi. Wygrała, nawet dała mu napiwek. Potem ustawiła naprzeciwko siebie dwa fotele, wygodnie usiadła ze szklaneczką aromatycznego alkoholu, z którego zaraz po wyjściu kelnera wyrzuciła dwie kostki lodu, zrzuciła szpilki i ułożyła pięty na oparciu drugiego fotela. Przymknęła powieki i oddała się rozmyślaniom.

Zastanawiała się, jak poradzić sobie z pięcioma osobami, w tym trzema co najmniej kompetentnymi. W pierwszym wariantcie postanowiła przejąć Weissa i Grodziec prośbą,

groźbą czy kłamstwem. Teraz, kiedy wiedziała, że do pensjonatu jedzie kapitan Najmowicz z Olczakiem i Jarowidem, postanowiła nieco zmienić plan.

Nie ma sensu, myślała leniwie, włamywać się do ich pokoju, wdawać się w rozmowy czy szamotaninę, skoro nie wiadomo, kiedy pojawi się capitano i jego ragazzi. Wyobrażam sobie, pomyślała po polsku, jak wlokę do samochodu dwa

bezwładne ciała, a tu nagle zza krzaka wyskakują ci dwaj. Parsknęła śmiechem. Lepiej poczekać, aż zjawi się kapitan i wykona pierwszy ruch. Wtedy wkroczy Inna Poniedziałnik, zabierze im zdobycz, policjantów uciszy na kilka godzin, w ciągu których dojedzie do granicy. Pociągnęła whiskey, pottrzymała alkohol w ustach i przełknęła. Poczowała lekkie pieczenie w przelyku i falę ciepła wędrującą od żołądka do głowy. Przemknęło jej przez myśl, że mogła zapakować do walizki Williego, ale zaraz zrugowała samą siebie – co innego w domu, w wannie, dla relaksu, co innego zabawianie się tuż przed akcją. Dziwię ci się, Inna, pomyślała. Dziwię ci się, Dziwna Dziwko! Posłała w przestrzeń uśmiech, wstała i podeszła do lustra. Uświadomiła sobie, że po zmianie twarzy zaczęła przeglądać się w lustrze, czego niemal nie robiła w swojej zwykłej postaci. Psychoanalityk powiedziałby, że nie lubisz samej siebie, Poniedziałnik, że te inne postacie stanowią ucieczkę przed sobą. Poprawiła włosy, potrząsnęła głową. Zważyła w ręku torebkę, zawahała się na chwilę, ale nie włożyła do niej pistoletu. Powoli podeszła do drzwi, rozważając jeszcze raz wszystkie ewentualności – spotkanie Najmowicza, Weissa, obu...

Nie. Jeszcze nie. Wsunęła stopy w szpilki, po raz ostatni rzuciła wzrokiem na pokój, zęby zapamiętać ułożenie rzeczy, i wyszła na korytarz. Była dwudziesta trzydzieści cztery.

W ciągu czterdziestu minut od rozstania z Krystyną Michał zdążył spenetrować otoczenie pensjonatu. Pomyszkował wśród drzew, zszedł nad brzeg rzeki, a potem na przelaj wrócił do opla schowanego na leśnej przecince, żeby sprawdzić własną orientację w terenie. Spojrzał na zegarek i uznał, że pora wracać do pensjonatu. Na miejscu przycałił się w krzewach obok parkingu. Wzdrygnął się z zimna. Zapadał zmierzch, niemal we wszystkich oknach zapaliły się światła. Na parking wjechała taksówka i zatrzymała się z boku budynku. Kierowca wyskoczył i wsuwając do kieszeni zwitek banknotów, pocwałował do bagażnika. Wyjęte walizki ustawił porządnie w szeregu, po czym na wyraźne życzenie pasażerki wsiadł do samochodu i odjechał. Michał swobodnym krokiem wyszedł zza krzaków, chwycił dwie świeżo zakupione w Hohenzalza walizki i pomaszerował do głównego wejścia. Wcześniej ustalili z Krystyną, że taksówkarz powinien widzieć tylko jedną osobę, ponieważ policja rutynowo zaczynała poszukiwania od taryfiarzy.

Dziesięć minut później znaleźli się w swoim pokoju, opłaconym kartą Brygidę Shoeneberg. Michał zamknął drzwi na klucz i dopiero wtedy odetchnął z ulgą. Ruszył prosto do barku.

–Co powiesz na coś mocniejszego?

–Jeśli dają jakiś koniaczek...

Wyprostowała się i przeciągnęła z rozkoszą. Michał obserwował ją w lustrze nad barkiem, po raz tysięczny zastanawiając, co taka piękna kobieta w nim widzi. Oderwał wzrok od lustra i chwycił butelkę starki. Krystyna podeszła i wyjęła mu z ręki kieliszek. Nalał również sobie i przyjemnie zdziwił się po pierwszym małym, nieufnym łyżku.

Umm? – uniósł brwi. – Całkiem niezłe.

Krystyna wlała do ust połowę kieliszka, posmakowała, przełknęła i natychmiast wypła drugą porcję.

Idę do wanny, jeśli będziesz miał wejściówkę – wskazała brodą butelkę – możesz dołączyć.

Podniecająco kręcąc biodrami przeszła przez pokój. Przed drzwiami łazienki rzuciła pantofle i posłała Michałowi przeciągłe spojrzenie przez ramię. Po chwili pierwsze litry wody uderzyły w dno wanny, syknęły spieniacze. Michał podszedł do okna i wyjrzał, nie dotykając firanki. Dokładnie zlustrował opustoszały parking. Potem wyjął z walizek nową bieliznę, skarpety i koszulę. Chwycił butelkę starki i swój kieliszek. Przed otwartymi drzwiami do łazienki zawahał się, ale w końcu uznał, że teraz nic nie jest ważniejsze od kąpieli.

Gdy pochylony całował leżącą w wannie Krystynę, lepki trunek chlusnął przez krawędź kieliszka na jego dłoń. Z pomrukiem niezadowolenia splukał zegarek i bransoletę pod bieżącą wodą. Chronometr wskazywał osiemnastą czterdzieści jeden.

Kawiarnia była pusta. Podając kawę, kelner przechwycił spojrzenie Inny ślizgające się po całym pomieszczeniu. Odchrząknął i pozwolił sobie na porozumiewawczy uśmiech.

–Za kilkanaście minut będzie tu pełno. W tej chwili pan profesor ma wieczorny

paternoster.

Zręcznie trącił cukierniczkę, która posłusznie ustawiła się łyżeczką do Inny, wykonał ukłon i odszedł w stronę baru. Inna również trąciła cukierniczkę, ponieważ nie używała cukru, ale osadzony na ruchomym trzonku kryształowy pojemnik okręcił się wokół osi niemal jak ruletka i znowu wycelował w nią łyżeczkę.

Ani Weissa, ani Grodziec nie było w kawiarni. Inna wiedziała, że mieszkają w pensjonacie, więc nie miała powodów do niepokoju. Zorientowała się już, że nie przyjechali

samochodem, którym uciekali. Na parkingu nie stał żaden opel, a standardowo gadatliwa recepcjonistka zdradziła, że niektórzy goście – „Na przykład ci państwo, co się dziś zameldowali” – przyjechali taksówkami. Po nich nie pojawił się nikt oprócz Inny, która zajęła ostatnie wolne miejsce w osiemnastopokojowym pensjonacie. Ten cały Najmowicz jakoś się spóźnia, pomyślała. Tym lepiej dla mnie. Co robić – porwać kobietę licząc, że Weiss ruszy za ukochaną? Może po prostu ogłuszyć oboje i jechać do granicy? A może wezwać posiłki?

Sapnęła ze złością, skosztowała kawy i chociaż sama myśl o dzieleniu się zasługami wywoływała niesmak, musiała przyznać, że kawa była wyśmienita. Łyknęła ponownie i pomyślała z satysfakcją, że Najmowicz pewnie teraz siedzi w samochodzie. Wzruszyła ramionami, oparła się wygodnie. Nikt by nie odgadł, że ta niespełna trzydziestoletnia kobieta, popijająca drobnymi łyżkami aromatyczny napar, z zimną krwią planuje porwanie i wywiezienie do sąsiedniego kraju ludzi, których jeszcze nie widziała na oczy.

Gdy do kawiarni zaczęli napływać ludzie, odchyliła się w fotelu, wyjęła lusterko i starannie sprawdziła makijaż. Nie dziwiło to nikogo w pensjonacie, gdzie odpoczywały po upiększających zabiegach kobiety i nieliczni mężczyźni. Michała i Krystyny nie zobaczyła jednak w lusterku – minęli ją i zniknęli na chwilę za ścianą zieleni. Usiedli przy stoliku widocznym przez lukę w liściach. Inna zdecydowała się w pół sekundy – wstała i gdy obserwowani zamawiali kawę i drinki, przesiadła się pod sam kwietnik. Nie widziała ich teraz, ale słyszała każde słowo. Niestety znacznie wyraźniej dochodził do niej głos mężczyzny przy sąsiednim stoliku.

–Tak, tak, tam u nich to nie takie proste – perorował facet z opatrunkiem na szyi, pewnie po naciąganiu wiotkiej skóry. – Byłem kiedyś w Petersburgu, znajomy powiada: „Chodź ze mną, kupuję telewizor”, ja mu mówię: „Po co się masz męczyć? Zadzwoń, niech przywiozą!”, a on mi na to, że jestem idiota. Więc poszliśmy. A w sklepie ten zaczyna oglądać nie telewizory, tylko ich metryczki, aż mnie to wpieniło, biorę go na bok i pytam, czy kupuje telewizor, czy lekturę na wieczór. I wiecie państwo co? On mi wszystko wytłumaczył i to ma ręce i nogi, u nich, rzecz jasna. Otóż nie wolno kupować sprzętu z początku miesiąca, bo w wytwórni panuje luz po gonitwie z końca poprzedniego miesiąca, no i broń Boże z końca miesiąca, bo wszyscy się śpieszą, żeby plan wykonać. Ale to nie koniec. Nie wolno kupować z początku tygodnia, bo monterów męczy kac, nie z końca tygodnia, bo już się śpieszą na weekend, nie wolno kupować niczego wyprodukowanego tuż przed jakimś ważnym świętem, a tym bardziej zaraz po nim.

Wzięłabym cię do piwnicy i urządziła święto, ty gnoju, pomyślała wściekła Inna. Odwróciła się, skinęła na kelnera i przy okazji obejrzała sobie gadatliwego faceta.

Zdziwisz

się, zagroziła mu w myślach, jak wpadniesz do nas szukać telewizora ze środka tygodnia, bydlaku!

–Małą kawę i campari z naparstką seltzera i ćwiartką cytryny! – powiedziała do kelnera.

Kelner minął sunące do baru babsko z purpurowymi policzkami i niebotycznym biustem. Boże, pomyślała Inna, ta to już nie ma wstydu. Pewnie przez takie zamknęli ten słynny cmentarz w Hollywood, bo silikon wypływający z implantów zwarzył całą zieleni.

Zapłaciła kelnerowi za kawę i campari, przesunęła się trochę. Dopóki słyszała głosy przez ścianę liści, mogła obserwować resztę sali i kawałek parkingu widoczny za ogromnym oknem. Dziesięć minut później dziękowała niebiosom za ich przychylność.

Część kawiarni, oddzielona od reszty ścianą zieleni, tworzyła mały pięciostolikowy barek. Krystyna zdecydowała, że zajmą miejsca właśnie tutaj, żeby nie rzucać się w oczy. Pozwoliła Michałowi zająć miejsce, z którego najlepiej było widać resztę pomieszczenia, sama usiadła bokiem do sali. Nie mogąc znieść milczenia, zaczęła opowieść o tym, jak Marta poznała Jirgena.

–...i wtedy ona... – zawiesiła głos i odczekała chwilę. Michał usiłował przebić spojrzeniem parawan z liści i kwiatów. Krystyna na sekundę zacisnęła szczęki. – A on jej na to odpowiada, że trombocyty wyrastają z uszu, ale tylko niegrzecznym słoniom, natomiast hiperrolki kielkują dopiero w temperaturze dwóch zer absolutnych.

Michał mruknął coś twierdząco. Krystyna przygryzła wargę tłumiąc śmiech.

–Nic mi o tym nie mówiłeś! – powiedziała z wyrzutem w głosie, nakrywając jego dłoń swoją.

–Nie mówiłem? – otrząsnął się z zamyślenia i gorączkowo szukał w pamięci ostatnich usłyszanych słów, ale znalazł tylko pustkę. – Wiesz, akurat teraz sytuacja nie sprzyja takim zwierzeniom.

Zamilkł, widząc kpiącą minę Krystyny.

–Przepraszam, nie słuchałem zbyt uważnie.

–Zbyt uważnie! – prychnęła. – Zapytałam, czy lubisz skakać na głowę z siódmego piętra, czy wolisz ósme.

–Nie?! – roześmiał się niepewnie. – Jeszcze raz przepraszam. Mówiłaś, jak Marta wywaliła Jurgenowi stertę książek...

–Dajmy spokój – zaproponowała wspaniałomyślnie. Nie czas na opowiadanie rodzinnych dykteryjek.

Za liściastego parawanu wyłoniły się dwie pary i pospiesznie rzuciły się do wolnych stolików. Zaraz za nimi weszły trzy kobiety, rozejrzały się z minami pełnymi powątpiewania i uszczęśliwione zajęły ostatni wolny stolik.

Michał pochylił się do Krystyny.

–Jakby skończył się seans w kinie albo mecz – podzielił się spostrzeżeniem.

Od sąsiednich stolików dobiegały wybuchy śmiechu i niemieckojęzyczne okrzyki.

Krystyna westchnęła.

–Czasem trudno mi uwierzyć, że teraz tu są Niemcy – wyznała pochylając się nad stolikiem.

–Geograficznie i historycznie jesteśmy w Polsce – odparł Michał. – Pobliskie Hohenzalza to przecież Inowrocław.

–Oficjalna wykładnia...

–Co to jest oficjalna wykładnia? Kto ją wyklada? Rada Europy! – Michał zapalił się do tematu, przestał rozglądać się po kawiarni. – Ledwie Polacy odzyskali wolność, zaczęli walczyć o jej utratę. – Przechwycił zdumione spojrzenie Krystyny. – Tak! Na czym polega uczestnictwo w unii kilku krajów? Silny kraj dominuje, a słabszy musi się podporządkować. Nikt nie liczy się z jego potrzebami. To jasne: interes grupy to interes najsilniejszego członka. – W innych blokach też jest nie inaczej – wtrąciła cicho Krystyna.

–Oczywiście, dlatego nie wszyscy się tam pchają. Na przykład Łotwa i Estonia najpierw pukały do drzwi Unii, ale tak długo borykały się same ze swoimi kłopotami, że w końcu się okazało, że nie potrzebują tej sławetnej integracji. Może pomogło im stałe zagrożenie ze strony Rosji? Nie wiem. Podobnie Czechy...

–Nad nami też wisiała Rosja – zaprotestowała Krystyna.

–Owszem, ale chwytałyśmy się każdej możliwości, żeby się zintegrować z Europą Zachodnią. Euroregiony, strefy wolnego handlu, wszelkie możliwe sposoby... I w końcu okazało się, że właśnie Euroregiony pierwsze uznały tę totalną integrację.

–No nie, bez przesady, uważasz je za piątą kolumnę? – obruszyła się Krystyna. Zrobił kpiącą minę.

–Fakty – stwierdził. – Rano 26 sierpnia nikt nie wiedział, co robić. Gdyby ktoś rzucił hasło: „Do boju!”, można było wszystko odkręcić, ale hasło brzmiało: „Lepiej w Europie niż na Kołymie”. I nie zmienił sytuacji tydzień modłów o Ojczyznę, skoro duchowieństwo wcześniej skompromitowało się kilkakrotnie, jak chociażby w Oświęcimiu. Ani samospalenie tego wspaniałego franciszkanina.

–Przecież...

–Wiem, co chcesz powiedzieć – przerwał Krystynie. Ze ci zza Wisły też się nie poderwali. Owszem, tam były najlepsze interesy z Rosją, tam ludzie chcieli się odgrodzić od usilnej „europeizacji”, tam się zgromadzili niezadowoleni z rządów Zatyry i resztki miłośników komuny. Ale tam również nie było hasła. Jak w Weselu: wezwanie poszło, ale nie dotarło do ludzi. I nikt z zewnątrz nie chciał nam pomóc. Czesi pewnie pamiętali nam Zaolzie i sześćdziesiąty ósmy, może nawet chichotali, kiedy skończył się ten fatalny tydzień.

Nawet już nie przypominał, że kilka godzin po anszlusie największe magazyny ogłosiły „sezonową” wyprzedaż wszystkiego i większość rodaków rzuciła się najpierw na przecenę, barykady zostawiając sobie na deser. A potem w nowych dżinsach i adidasach, z brzuchami pełnymi pilsnera – jak mieliśmy wojować, żeby potłuc nowiutkie ray-bany?

–Nigdy – po długiej chwili powiedziała cicho Krystyna – nie dokonałam takiej analizy całego tego świństwa. To przerażające!

–Trochę tak. Ale pamiętaj, że dowolny obywatel dowolnego państwa oczekuje działania przede wszystkim od swojego rządu. Mało komu przyjdzie do głowy, żeby samodzielnie czegoś dokonać. Dlatego kiedy rząd nie zareagował, niezadowoleni tylko zazgrzytali zębami i rozeszli się do domów. „Co, ja mam robić powstanie? A kto ja jestem? Kto mnie posłucha!”

Zamilkł na chwilę, pogrążony we wspomnieniach. Parsknął z goryczą.

–Pamiętam tylko jeden ruch: Akcja Polska, z siedzibą gdzieś pod Krakowem. Ale szybko ukręcili temu łeb.

–Jakieś zarzuty moralno-kryminalne – przypomniała sobie Krystyna.

–Aha, wiadomo: gwałcili niewidome staruszki na nieoznakowanych przejściach, przewracali dziwkami krzyże na cmentarzach i palili kokainą w piecach, zęby zatruć miasto. – Machnął ręką. – Szkoda gadać!

Uśmiechnął się z przymusem do siedzącej naprzeciwko kobiety. Odwzajemniła uśmiech i chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła. Zza kurtyny zieleni wyłoniła się wysoka blondyna o figurze lalki Barbie. Pochyliła się nad nim i powiedziała cicho, ale tonem, którego się nie kwestionuje:

–Za chwilę będzie tu kapitan Najmowicz z dwoma pomocnikami. Ścigają was, panie Weiss i pani Grodziec. Zajadle, wytrwale i fachowo. Jeszcze możecie im uciec. Zabierzcie niezbędne rzeczy i odszukajcie na parkingu subaru blue laser, pomogę wam.

Odwróciła się i zniknęła za parawanem równie błyskawicznie, jak się pojawiła. Oszołomiona Krystyna zacisnęła palce na serwetce, zaczerpnęła spazmatycznie powietrza.

Usłyszeli jeszcze tłumione przez grubą wykładzinę, głuche postukiwanie niebotycznych szpilek nieznanym. Zamarli oboje, niepewni, które powinno podjąć decyzję. Przez twarz Michała przebiegł nerwowy skurcz.

–Nie! – wyprzedziła go Krystyna. – Cokolwiek robimy, robimy razem. Zmięła serwetkę i cisnęła do popielniczki.

–Ja bym jej zaufała. Jeśli to policjantka, i tak już nas mają, jeśli nie, może znowu uciekniemy. – Poderwała się na równe nogi. – Chodź! Nie ma na co czekać!

Zaraz za drogowskazem z dwujęzyczną nazwą miejscowości Najmowicz odchylił głowę do tyłu i polecił Jarowidowi: -Poszukaj w tym mądrali dokładnej mapy okolicy. Wywiadowca przesunął się na siedzeniu, pociągnął do przodu oparcie drugiej części kanapy i odsłonił panel komputera. Oparłszy się plecami o przedni fotel, rozpoczął dialog z Netem. Olczak zwolnił trochę z obawy, że przegapi zjazd do pensjonatu. Z tyłu panowała cisza. Wreszcie Najmowicz warknął:

-No co tam?

-Nie wiem, coś się pieprzy, ikona „Ready” zanika bąknął zdenerwowany Jarowid.

- Jakby skończył się zasięg anteny.

-Kurwa! - Kapitan sapnął wściekle i wskazał idącą chodnikiem kobietę. - Stań przy tej babie.

Wdusił taster opuszczania szyby, wychylił się.

-Przepraszam panią, którędy do pensjonatu Złote Tupadły?

-A to jeszcze musi pan kawałek pojechać i za bankiem pierwsza... nie, druga w lewo, tam zresztą będzie drogowskaz i potem cały czas lasem.

-Dziękuję serdecznie!

Opadł na fotel, gdy samochód nabierając prędkości, skoczył do przodu. Z tyłu Jarowid wściekle grzmotnął oparciem siedzenia, zakrywając nieszczęsny komputer.

Przemknęli przez miejscinę, znaleźli drogowskaz i zjechali z kiepskiego asfaltu na nowszy, znacznie lepszy. Pomknęli przez las. Zapadał zmrok, drzewa wpadające w zimne światło enkryptonowych reflektorów umykały do tyłu jak spłoszone.

-Zajeżdżamy? - rzucił pytanie kierowca. - Czy zasadzimy się w lesie? Po chwili namysłu Najmowicz mruknął:

-Zasuważ na parking, co się będziemy czaić jak jeże w noc poślubną!

Ostentacyjnie wyjął pistolet i niepotrzebnie sprawdził magazynek. Z tyłu Jarowid klepnął się po prawej stronie piersi, chociaż ciężar broni w kaburze pod pachą nie pozwalał o niej zapomnieć.

Pomiędzy dwoma strzelistymi sosnami wjechali na parking. Olczak wykręcił i stanął przodem do alejki wyjazdowej tuż przed bramą, którą w razie potrzeby mógł szybko zablokować. Zerknął na kapitana, wyłączył reflektory. Najmowicz zerknął na zegarek i kiwnął na Jarowida:

-Wyjdz i poszukaj ich wozu, na wszelki wypadek zrób mu „kuku”.

Cicho mlasnął zamek, Jarowid bezgłośnie rozpląnął się pomiędzy samochodami. Olczak wyjął swoją berettę, z cyrkową zręcznością sprawdził i błyskawicznie schował do kabury. Kątem oka zerknął na przełożonego, ale Najmowicz siedział z zaciętym wyrazem twarzy, napięty jak struna. W milczeniu upłynęło pięć minut. Potem przy oknie kapitana wyrósł cień. Najmowicz opuścił szybę.

-Nie ma, panie kapitanie. Żadnego opla na parkingu - poinformował szeptem Jarowid. - Dwa razy sprawdziłem, a w ogóle tylko dwa wozy są z Protektoratu, cała reszta z Dojczlandu.

-Olczak, zostajesz w wozie - zdecydował po namyśle kapitan. - Idziemy do recepcji. Trącił klamkę i wyskoczył z samochodu. Nie kryjąc się, szybko

pomaszerowali do

drzwi. Przez kilka sekund Olczak siedział nieruchomo. Potem wyjął ze skrytki paczkę chusteczek nasączonych przeciwpotowym preparatem, starannie przetarł dłonie i kierownicę. Powęszył, pomachał rękami, poprawił ustawienie fotela. Oświetlone okna pensjonatu świadczyły o obecności lokatorów. Miejmy nadzieję, że oni tam są, pomyślał Olczak. Dobry Boże, niech tam będą!

Inna nieuważnie słuchała przefiltrowanych przez zieleń głosów Michała i Krystyny. Nie starała się zrozumieć treści, czekała tylko na zmianę tonu, stanowiącą sygnał do wyjścia. Jednocześnie obserwowała otoczenie po tej stronie roślinnej kurtyny: ruchy kelnerów i gości, kawałek parkingu widoczny za szklaną ścianą. Właśnie tam działo się coś, co wzbudziło jej czujność.

Na parking wolno wtoczył się samochód, zawrócił i przed samą bramą zaparkował w poprzecznej zatoczce, przodem do jezdni. Kierowca zgasił reflektory, ale z rury wydechowej nadal ulatywała w chłodne powietrze biała smużka spalin. Chce mieć możliwość natychmiastowego manewru, pomyślała, czyli witam, kapitanie Najmowicz.

Wstała spokojnie i weszła za kurtynę zieleni. Jeszcze nie wiedziała, co powie, ale musiała wyrwać tych dwoje z łap niemieckiej policji. Jestem jak Stirlitz, pomyślała nagle i stłumiła śmiech. Podeszła do nich, pochyliła się nad stolikiem i powiedziała:

–Za chwilę będzie tu kapitan Najmowicz z dwoma pomocnikami. Ścigają was, panie Weiss i pani Grodziec. Zajadle, wytrwale i fachowo. Jeszcze możecie im uciec. Zabierzcie niezbędne rzeczy i poszukajcie na parkingu subaru blue laser, pomogę wam.

Spojrzała wymownie w oczy kobiecie, odwróciła się i pospieszyła do swojego pokoju. Dwie minuty później wyszła na parking i nie kryjąc się, dotarła do subaru. Otworzyła drzwi, potem bagażnik i zaczęła udawać, że czegoś szuka, strzelając na wszystkie strony szybkimi spojrzeniami. Była pewna, że za chwilę pojawi się zdenerwowany Weiss i szeptem zażąda wyjaśnień. Lepiej, żeby pierwsza przyszła Grodziec. Wtedy nie będę się patyczkować, zdecydowała, lufa do skroni i koniec dyskusji. Minutę później jej pewność zaczęła więdnąć. Inna oderwała się od bagażnika, wzięła się pod boki i zawołała:

–Janka! No, idziesz czy mam tu spać?

Krzesząc iskry stalowymi flekami, przesunęła się do drzwi, wsiadła i nawet włączyła radio. Poprawiła w lusterku makijaż i zauważyła, że za jej plecami przemknął jakiś ciemny kształt. Wrzuciła szminkę do torebki, namacała kolbę broni. Wreszcie zerknęła na zegarek, wyskoczyła z samochodu i ostentacyjnie zła pomaszerowała do holu. Skręciła na schody i popędziła na górę.

Drzwi do pokoju Weissa były zamknięte, ale Inna otworzyła je w cztery sekundy. Walizki stały otwarte i niemal puste, ich zawartość zniknęła razem z właścicielami. Podejrzenie zmieniło się w pewność.

–Job waszu mat’! – syknęła Inna przez zęby, ale zaraz opanowała się pod wpływem pewnej myśli. – Ty Weissie-chytrusie! Masz gdzie samochód, nie pozbyłeś się go, tylko schowałeś w lesie!

Wyszła z pokoju i zbiegła po schodach. Spokojnie przemierzyła parking, wsiadła do samochodu i powoli przejechała obok forda z dwoma mężczyznami na przednich siedzeniach. Trzeci opierał łokcie na dachu i rozglądał się po źle oświetlonym parkingu. W lusterku zobaczyła, że pasażer wysiada i razem z tym drugim maszeruje do pensjonatu. Inna przypomniała sobie, gdzie wcześniej widziała ten profil – ci dwaj, których zgarnęła, jak oni się nazywali? Aha, Jarowid i Olczak! Tak, utrzymali się przy sprawie, zuchy, pochwaliła w myślach.

Księżyc zalewał szosę srebrnym blaskiem, więc Inna wyłączyła światła. Jechała wolniutko, z otwartymi oknami, nadsłuchując warkotu silnika, trzasku gałęzi, szcękę zamków. Rozglądała się za błyskiem świateł. Do cholery, ci amatorzy nie mogli przewidzieć wszystkiego, uspokajała się w duchu. Cztery minuty później doszła do wniosku, że pozostało jej już tylko jedno. Przyspieszyła i nadal bez świateł pognąła w kierunku szosy. Nie mogli przewidzieć wszystkiego, powtarzała w duchu jak zaklęcie, nie mogli zmienić samochodu, nie mogli nauczyć się mapy okolicy, żeby uciec inną drogą. Przecież to zwykli ludzie, nie wyszkoleni szpiedzy! Muszą gdzieś tu być!

Dojechała do szosy, zaparkowała na poboczu, zsunęła się w dół w fotelu, przestawiła wszystkie lusterka i zamarła. Zanim zdążyła pomodlić się do bogów, z podporządkowanej drogi za jej plecami wysunął się ciemny opel walkiria i przemknął obok, dopiero po dwustu metrach włączając światła.

Dzięki! Dzięki i jeszcze raz dzięki, pomyślała Inna. Dopiero kiedy czerwone kropki tylnych świateł opla zniknęły za pierwszym zakrętem, włączyła swoje reflektory i powoli ruszyła za nimi. Ci dwoje uciekają przed policją, myślała, więc pewnie zgodzą się z nami współpracować. Przeciętny człowiek w sytuacji zagrożenia chętnie chwyci pomocną dłoń. Zwykle jednak stawia pewne warunki – żąda pieniędzy, bezpieczeństwa, dyskrecji. Czego zażąda Weiss? Czasem ci Polacy zachowują się nielogicznie, nieładnie, nie po słowiańsku. A czasem normalnie: kablują, donoszą, podpisują i tak dalej. O co w ogóle chodzi w tej sprawie? O jakiś dokument? Jeśli to kryminalna afera, ta para pójdzie na współpracę, chociaż na razie zachowują się, jakby zamierzali walczyć z całym światem. Natomiast jeśli rzecz ma wymiar międzynarodowy... Zanuciła pod nosem. Czy cokolwiek wskazuje na polityczny charakter sprawy? Owszem, natychmiastowa decyzja policji o zero-osiem świadka i zaciekłość w ściganiu tej pary.

W światła wozu wpadł znak uprzedzający o serii zakrętów. Inna przyspieszyła kierując się zasadą ojca: „Jeśli ścigasz kogoś, doganiaj na zakrętach, zwalniaj na prostej”. Pod wpływem nagłej myśli odruchowo nacisnęła na hamulec. A jeśli... jeśli to sprawa o znaczeniu międzynarodowym, mówić Byszowcowi czy nie? W podnieceniu zapomniała o narzuconej sobie dyscyplinie językowej i przeszła na rosyjski. Boh ty moj, jeśli eto waniajet cziem-to takim miezdunarodnym, to Byszowca motnienosno poszliom na chuj, Innoczka. Paletit kak iz pulemiota! Skurwysyn stary, dokończyła po polsku. W żaden sposób nie wymaże swoich fatalnych strzałów z breneki, a ja wreszcie go przeskoczę.

Zauważyła, że graficzny wskaźnik doszedł do stu trzydziestu. Na szosie pojawiły się światła, ale już na pierwszy rzut oka widać było, że to ciężarowy furgon z dwoma

pionowymi kolumnami reflektorów na bocznych kryzach kontenera. Inna przyspieszyła gwałtownie, korzystając z osłony. Gdybym tu miała jeszcze ze dwa wozy, pomyślała tęsknie i natychmiast

skarciła samą siebie: Głupia, miałabyś więcej dowódców i więcej chętnych do podziału łupów! Wysunęła się z za furgonu, rzuciła okiem na szosę i wyprzedziła ciężarówkę. Nie chciała tracić kontaktu ze ściganymi. Sto czterdzieści, sto czterdzieści pięć... No, gdzie oni są? O!

Przed nią pojawiły się ukośne światła opla. Niemal jednocześnie pisnął zamaskowany w radioodbiorniku wykrywacz radarowego echa. Serce Inny uderzyło mocniej i szybciej. Dysponując dobrym radarem, sprawny operator mógł dość dokładnie określić markę samochodu, dystans i prędkość. Przy odpowiednim wyposażeniu mógł też skorzystać z kierunkowego mikrofonu i podsłuchiwać rozmowy w kontrolowanym wiązce samochodzie. Inna wyciągnęła rękę i włączyła radio. Huknęła ostra bluegrassowa muzyczka, wokalista z nieco kozią modulacją głosu zaczął opiewać uroki bystrej rzeczki Huervado, nad którą urodziło się tylu znakomitych ludzi, a najznakomitszy nawet w niej utonął. Inna odpięła pasy, po omacku otworzyła torebkę i wyjęła pistolet. Prowadząc lewą ręką, trzymała broń w prawej, kołysała lekko, oswajała się z ciężarem, z groźbą, z absolutem.

Przyspieszyła i ponownie złapała kontakt wzrokowy z oplem Weissa. Rubinowe oczko wykrywacza wciąż się jarzyło. Wyobraźnia Inny narysowała znaną i wyrazistą scenkę: trzech mężczyzn w ścigającym samochodzie, kierowca wyęcza wzrok, dwaj pozostali trzaskają magazynkami, odciągają kurki, poprawiają się na fotelach. Ostatnie instrukcje: „Najpierw dwa strzały nad dachem, jeśli się nie zatrzyma, dwa w bagażnik, potem wal w kobietę, chyba że ona prowadzi, wtedy rozwalamy opony. No, gazu!”

Inna włożyła pistolet lufą w dół między uda i zaczęła wypatrywać bocznej drogi. Cztery kilometry dalej reflektory oświetliły znak ostrzegający o skrzyżowaniu z drogą podporządkowaną. Dopiero kiedy zobaczyła skrzyżowanie, zahamowała gwałtownie i skręciła z kontrolowanym poślizgiem – Po pięćdziesięciu metrach równie efektownie zawróciła, niemal wpadając tylnymi kołami do rowu. Wyłączyła silnik, światła i wdusiła z całej siły pedał hamulca parkingowego. Zanim jeszcze samochód całkowicie się zatrzymał, wyskoczyła i pognąła do skrzyżowania z jegierem w ręku. Dobiegła do słupka kilometrowego, rzuciła się za nim w wysoką, dawno niekoszoną trawę, wyciągnęła rękę z bronią w stronę szosy.

Po minucie pojawiły się światła. Na zakręcie liznęły leżącego na brzuchu strzelca. Inna prowadziła samochód lufą, ale nie patrzyła na reflektory, żeby jej nie oślepiły.

Siedzący za kierownicą Olczak wyęczał wzrok. Już wiedział, że w pensjonacie coś poszło źle. Za długo ich nie ma. Tamci znowu zwiali? Jakim cudem, do cholery? Widocznie ktoś im pomaga, nie ma siły!

Jakiś cień przemknął po prawej. Olczak wyskoczył z samochodu. Jarowid wskazywał ręką krzewy po lewej stronie parkingu.

–Pięć minut na szukanie! – wysyczał.

Sam rzucił się w prawo. Olczak wsunął się niemal bezgłośnie w gęstwinę, ale tam

już było gorzej. Księżyc niemal nie pomagał, wszędzie zalegała ciemność. Olczak przykucnął i wyteżył słuch. Potem zerwał się, przeszedł z hałasem kilka kroków i zamarł w identycznej pozycji. Powtórzył to kilka razy, ale nikogo nie spłoszył. Obsypał cichy nocny las wiązką przemyślnie powiązanych wyzwisk i wrócił do wozu.

Kapitan siedział już w samochodzie i po niemiecku wydawał polecenia dyżurnym służbom województwa. Wskazał Olczakowi tylny fotel. Jarowid wskoczył za kierownicę, trzasnęły drzwi, wypadli na szosę.

–Nie zatrzymywać, powtarzam, nie zatrzymywać! Odnotowywać wszystkie samochody marki opel walkiria, natychmiast meldować. Obłożyć salony samochodowe, wypożyczalnie, komisy. Ale nie zatrzymywać! Bez odbioru.

Najmowicz włożył mikrofon w sprężyste chwytaczki. Pochylił się i wpatrywał w cięty mocnymi światłami mrok. Przed skrzyżowaniem Jarowid popatrzył na kapitana.

–W lewo, kapitanie? W prawo?

–W prawo! – warknął natychmiast Najmowicz. – I gazu. Czas kończyć tę zabawę. Gnali przez noc, zerkając co chwila na licznik. Wskaźnik wychylał się i niemal doganiał dwusetkę, ale zawsze wtedy szosa jakby na złość skręcała w lewo lub prawo i dwusetka odpychała od siebie strzałkę, która mozolnie zaczynała kolejne podejście. Po dwudziestu minutach zobaczyli przed sobą światła. Najmowicz wychylił się, odsłonił panel sterowania kompem i włączył radar. Po chwili mieli na ekranie seledynowy obraz tyłu furgonu i dane w rogu ekranu: „Fiat finestra, ładowność – 2.2 t., wysokość...”

Kapitan skasował odczyt, dogonili i wyprzedzili furgon. Szosa była ciemna, ale ekran radaru rozjarzył się na ćwierć sekundy. Komputer wychwycił ten nikły odczyt, miał jednak za mało danych. Samochód osobowy. Sedan. Jednostka napędowa benzynowa. Prawdopodobne marki... Wpatrzyli się w ekran, ale kiedy komputer pominął opla, Najmowicz ponownie skasował odczyt.

–Nie zajeżdżaj ich – polecił Jarowidowi. – Nie strzelamy. Może nawiążą jakiś kontakt. Podwładni pokiwali głowami. Wóz pochylił się na długim, łagodnym, ale źle wyprofilowanym zakręcie. Zaczęło ich znosić do rowu. Olczak odruchowo syknął i wdusił prawą nogą podłogę w miejscu, gdzie powinien mieć pedał gazu. Jarowid z trudem, piszcząc oponami wyprowadził samochód na prostą. W światłach pokazało się skrzyżowanie z

pasmami rozjeżdżonego błota na asfalcie. Jarowid otworzył usta, ale zdążył tylko pomyśleć: Takie błoto może spowodować poślizg...

To był ford. Inna nie miała czasu na dokładniejszą obserwację. To mógł być inny, nie związany ze sprawą samochód, mogli nim jechać niewinni ludzie... Nie: palec już nacisnął spust i pocisk ruszył na spotkanie celu, kiedy w okienku mignęła znajoma twarz. Inna poczuła ulgę, że strzela do właściwego człowieka. Spokojnie posłała drugą kulę, chociaż wiedziała, że nie chybiła. Nie w takich warunkach. Po pierwszym strzale w gładkiej powierzchni szyby pojawił się okrągły otwór, niemal identyczny jak w skroni kierowcy. Drugi strzał wybił dziurę kilka centymetrów dalej na tej samej wysokości. Pocisk wbił się w głowę, muskając małżowinę ucha. Mózg zdążył jeszcze

wysłać sygnał w kierunku nogi, stopa poderwała się, ale nie dotarła do hamulca. Ręce szarpnęły spazmatycznie zatopionym w jędrnej gumie kołem kierownicy, samochód zakołysał się na boki, skręcił gwałtownie i kapotował. Wykonał półtora obrotu w powietrzu, przeleciał nad rowem i spodnią częścią karoserii uderzył w trzy rosnące obok siebie drzewa. Wylądował na boku, zachwiał się i powoli, niechętnie opadł na koła.

Inna już biegła do swojego wozu. Wskoczyła za kierownicę, rzuciła jegiera na drugi fotel. Silnik ożył. Wdusiła do podłogi pedał gazu, na skrzyżowaniu skręciła w lewo i popędziła za uciekinierami.

Po pięciu minutach minęła tablicę z napisem: „Gnesen”. Gniezno, przetłumaczyła sobie. Gniezno? Nic nie łączyło Weissa z tym miastem. Nieważne – muszę ich dogonić przed tym cholernym Gnesen, bo się zgubią, a ten mój śpioch w komendzie coraz niechętniej się odzywa. Trzeba będzie gnidzie przypomnieć, gdzie rośnie kapucha i kto się nią pasie przez trzy ostatnie lata.

Przyspieszyła do stu sześćdziesięciu. Ciekawe, czy ci dwaj wyszli cało z wypadku? Mogli, oceniła. Samochód tylko się przeturlał i huknął podłogą w drzewa. Mogli, cholera, wyjść cało. Pieprzone fordys są trwałe.

W jej rozważaniach nie znalazło się miejsca dla kierowcy.

Znała jego los.

–Zygmunt... Zygmunt, do cholery! Wywiadowca siedział na brzegu rowu, z łokciami wbitymi w kolana, obejmując głowę rękami. Kiwał się w sposób dobrze znany psychiatrom i grabarzom. Najmowiczowi zrobiło się go żal, ale gdy się pochylił, rana na karku zapiekła od środka dezynfekującego. Syknął rozeźlony, nie czując już żadnego współczucia.

–Zyga... – Przykucnął przy Olczaku, odruchowo podciągając nogawki spodni. – Chodź, jedziemy.

Poklepał go po ramieniu. Oczy miał załzawione, mokre włosy zbiły się w kozacki czub nad czołem. Zaraz po przyjeździe karetki lekarz obejrzał jego głowę i doskonałą szkolną niemczyzną wyjaśnił: „Pierwszy pocisk uderzył nieco z dołu w lewą skroń denata, następnie prześliznął się po wewnętrznym sklepieniu czaszki i wypadł na zewnątrz, wyrwijąc kawał drugiej skroni. Ten pocisk musnął tył pana czaszki, zgolił włosy i obtarł skórę”. Wtedy kapitan stęknął i odskoczył na kilka kroków, po czym zwrócił cały obiad w trawę. Później pobiegł do karetki i zażądał wiadra wody, którą zlał sobie starannie głowę, usiłując z niej zmyć strzępy mózgu Jarowida. Włosy wytarł kilkoma papierowymi ręcznikami, ale ich nie uczesał.

–Wie pan co? – Olczak podniósł głowę i popatrzył z dołu na kapitana. – Przez cały czas wiedziałem, że coś się stanie.

Wstał i omijając wzrokiem wóz z napisem „Leichenbefrderung”, poprosił modnie ostrzyżonego, starannie ogolonego młodego człowieka z papierosem w ustach:

–Możesz mnie poczęstować?

Tamten dopiero po chwili odwrócił się do niego z pytaniem w oczach. Olczak machnął ręką, ale inny powiedział do palacza coś po niemiecku. Mężczyzna rozjaśnił się, zrobił dwa kroki i wyciągnął do Olczaka paczkę DB.

–Bitte! Ich habe nicht verstanden, wonach du mich gefragt hast. Nimm dir eine.
Olczak wyjął papierosa i pochylił się nad zapalniczką.

–Es ist eine peinliche Angelegenheit, wenn ein Kollege so ums Leben kommt? –
zapytał Niemiec.

Olczak poderwał głowę, ale kapitan szarpnął wywiadowcę w bok, odciągnął.

–Pies mu kumplem – wymamrotał Olczak. – Kolega się znalazł, derdidas jeden, w
dupę cara Mikołaja!

Zacisnął wargi i odwrócił się, mruganiem powstrzymując łzy nabrzmiewające pod
powiekami. Usłyszał niski warkot, podniósł głowę. Pomruk wzrastał się, przechodził
w wizgiły odgłos pracy turbin śmigłowca. Maszyna wyskoczyła z drzew,
przechyliła się ostro i opadła w dół z tak karkołomną szybkością, że trawa niemal nie
zdążyła się położyć pod podmuchem przeciwbieżnego wirnika. Po chwili oblała płyta
drzwi drgnęła, wysunęła się na kilka centymetrów do przodu i półtora metra w bok.
W jasno oświetlonym otworze pojawiła się sylwetka mężczyzny.

–Ja cię kręcę! – syknął Najmowicz.

Pułkownik Krymarys pominął pierwszy stopień, musnął stopą drugi i zeskoczył na
trawę. Większość pasażerów śmigłowców odruchowo pochyła głowy przy
wysiadaniu, ale

pułkownik szedł godnie wyprostowany pod falami wzburzonego powietrza,
szarpiącego poły jego marynarki i nogawki spodni. Najmowicz zrobił dwa kroki, ale
pułkownik wykonał nieznaczny ruch dłonią i skręcił w bok. Kapitan ruchem głowy
przywołał Olczaka. Razem podeszli do pułkownika, który odwrócił się i zmierzył ich
nieprzyjemnym spojrzeniem.

–No? – Zanim Najmowicz zdążył wyartykułować pierwszy wyraz, uzupełnił: –
Ponad to, co już wiem.

–Nic – natychmiast odpowiedział kapitan. – Nie strzelał Weiss, w każdym razie
jego wóz widziano tuż przed Gnieznem. Pewnie niedługo gdzieś ich zlokalizujemy, z
miasta już nie wyjadą.

Wizg silników helikoptera rozdzierał nocną ciszę. Pułkownik wpatrywał się w
trawę przy stopach podwładnego.

–Co to za wspólnik? Najmowicz o mało się nie zakrztusił.

–Dotąd nic nie wskazywało na istnienie wspólnika. Weiss nie ma znajomych w
kręgach, gdzie posiada się broń legalnie lub nielegalnie. W każdym razie nikogo
takiego nie wykryliśmy. Poszukiwani nie mają zezwolenia. Jednocześnie wykluczam
przypadek.

–Jaki w dupie znowu przypadek? – warknął Krymarys. – Dwa trafienia z krótkiej
broni w głowę przy prędkości sto czterdzieści? Przypadek? Nie kompromituj się,
Najmowicz.

Złajany kapitan chrząknął i spuścił głowę. Znowu pękł strup na skaleczeniu, które
zapięło dotkliwie.

Milczący dotychczas Olczak nagle zaczerpnął powietrza.

–Matko! Panie pułkowniku, to ta ruska kurwa! Podniósł obie ręce na wysokość
klatki piersiowej i wykonał okrągły ruch wyprostowanymi dłońmi. – Już wiem!

Odwrócił się do kapitana i wbił w niego niemal błagalne spojrzenie.

–Pamięta pan na parkingu? Wsiadła do subaru taka cycata szprycha. To była ta baba, która nas przesłuchiwała!

–Poniedziałek? – poderwał głowę Krymarys.

–Nie wiem, nie przedstawiała się.

–Tak, Byszowiec ma taką podwładną. – Pułkownik ze świstem wciągnął powietrze.

– To nabiera sensu: złapali was, coś wiedzą i zaczęli swoją rozgrywkę.

Grymas na jego twarzy wyglądał jak przedobiedni uśmiech pająka. Kapitan miał nadzieję, że nie jemu przypadnie rola posiłku.

–No, ładnie. Ich ludzie szlajają się po naszym terytorium, strzelają... A my?

–Teraz wiemy, kogo jeszcze należy szukać – energicznie oświadczył Najmowicz.

–To dobrze. Dopóki zostawili nam jeszcze kilku wywiadowców! – warknął Krymarys. Zmarszczył brwi. Czy możemy zakładać świadomą współpracę Poniedziałek i Weissa?

Zastanawiał się przez chwilę, pokręcił głową.

–Na razie przenosimy się do Gniezna.

Ruszył pierwszy. Olczak zrobił dwa kroki, przypomniał sobie o kapitanie i odskoczył, zęby go przepuścić. Ten przechodząc, syknął:

–Nie mogłeś sobie tej pizdy przypomnieć na parkingu!?

Olczak zacisnął pięści. Gdybym ją wcześniej rozpoznał, ja albo Jurek... Pewnie by żył. Matko, godzinę temu siedziałem obok niego! Zgrzytnął zębami. Zabiję ją. Nie będę się kierował żadnymi „względami śledztwa”, pierdołę. Zabiję sukę!

–Mogła strzelić w oponę! – Ostatnią myśl wyrzucił z siebie na głos, ale idący krok przed nim Najmowicz nie zareagował; pewnie nie usłyszał w nasilającym się wizgu rotora. – Ale nie, zabiła. Kurwa mać!

Powlókł się za kapitanem, wsiadł pochylając głowę i opadł na najbliższy fotel. Krymarys nałożył słuchawki i niecierpliwym gestem ponaglił podwładnych, żeby zrobili to samo.

–Do Gniezna, Marcus – powiedział pułkownik. Silniki zwiększyły obroty, hałas wzmógł się i nagle ucichł, kiedy włączył się system wytłumiania.

–Ona chce wymusić na swoich wsparcie – usłyszeli w słuchawkach. – Teraz to się zrobiła dla nich ambicjonalna sprawa, my albo oni. Muszą ją poprzeć.

–A my mamy wsparcie? – odważył się zapytać Najmowicz. Krymarys posłał mu drugie pajęcze spojrzenie, poruszył żuchwą.

–Potrzebujesz pomocy takich gładko wygolonych niemieckojęzycznych fachowców? – syknął jadowicie.

Popatrzył na Najmowicza, potem na Olczaka. Żaden nie odpowiedział.

Tuż przed wsią odchodziła w prawo droga oznakowana tablicą z napisem: „Jezioro Wierzbiczańskie”. Michał tknięty nagłą myślą zahamował gwałtownie i rzucił okiem na pasażerkę.

–Pomyślałem, że o tej porze będziemy w mieście widoczni jak łabędzie na parkowym stawie.

–Aleś się metaforą popisał – zakpiła i ziewnęła. Półtora kilometra dalej droga

skręciła w bok. Michał zatrzymał się, ale nie gasił silnika. Wyskoczył, rozejrzał się i pokiwał głową.

–Poszukamy jakiegoś osłoniętego miejsca. Znaleźli takie po kilkudziesięciu metrach. Zjechali z asfaltu w odcisnięte na trawie podłużne łysiny i zahamowali nad brzegiem jeziora.

Strome gliniaste zejście, kolisty ślad po palonym od pokoleń w tym samym miejscu ognisku, kilka petów, osmalone puszki po farbach, kilka niedopalonych kłód. Michał wyłączył silnik, wysiadł i przeciągnął się.

–Chciałoby się coś romantycznego, księżyc, gwiazdy, pasma mgieł – roześmiał się cicho.

–Zimna woda?

Ostrożnie zszedł po skarpie i pochylił się nad lustrem wody, zabełtał dłonią. Wrócił i powiedział zdziwiony:

–Wiesz, że nawet nie? Jak Boga kocham, wykąpię się. Obszedł wóz dokoła, sięgnął do kolumny kierownicy i wyłączył światła. Nagle znaleźli się w królestwie mroku. Krystyna słyszała szelest zrzuconego ubrania. Znalazła klamkę, otworzyła drzwi i zaczęła się rozbierać. Dwie minuty później na palcach przekradła się na drugą stronę samochodu, ale tam już Michała nie było. Pomyślała, że pewnie poszedł po nią, i w tej samej chwili coś dotknęło jej karku. Pisnęła.

A potem ciepłe wargi mężczyzny odnalazły jej usta, chłodne dłonie objęły ją w talii. Zarzuciła mu ręce na szyję i całowali się przez długą chwilę. Księżyc wysunął się zza chmur jakby dla podkreślenia nastroju, jezioro rozbliśło, wstęgi księżycowego blasku zafalowały na wodzie. Oni jednak tego nie widzieli.

Kapitan Poniedziałnik nigdy nie rozstrzygał problemu w kilku słowach, przynajmniej w domu. Na przykład Innoczka przychodziła ze szkoły i mówiła: „Warwara Stiepanowna zapytała, kto rozlał atrament na jej krzesło, a ja powiedziałam, że Aloszka, i klasa ma mi to za złe. Kto ma rację?” Ojciec chrząkał, sadzał ją na kolana albo gdy podrosła – na krzesło naprzeciwko i zaczynał: „Otóż żyła sobie na dnie morza pewna ciekawska ostryga. Wszystkie ostrygi przyczepiały się do skał, a ona jedyna uwielbiała...” Przypowieść, na pozór nie związana z pytaniem, zawsze zawierała morał stosowny do sytuacji. Kapitan Poniedziałnik miał odpowiedzi na wszystkie pytania. Przekonywał córkę, że jeśli chce pracować w policji – „A przecież chcesz?” – musi po pierwsze dbać o kondycję, po drugie nauczyć się strzelać z każdej broni, po trzecie opanować sztukę kamuflażu. Do domowych legend przeszedł jego wyczyn, kiedy przebrany i ucharakteryzowany kręcił się po własnym mieszkaniu jako kontroler szczelności instalacji gazowych i nie zdemaskowała go ani żona, ani córka, ani syn, ani teściowa. „Musisz strzelać jak mistrz świata, wiesz po co? Żeby jakiś brudny, podpity, tępny cham nie zrobił krzywdy tobie – cudownej, wyjątkowej, pięknej i zdolnej. A wysportowana? Ciało to twoje narzędzie, nie chciałabyś piłować drewna tępą piłą i jeść wyszczerbioną łyżką, prawda?”

Inna wiele skorzystała z tych pogawędek z ojcem. Wierzyła, że miał rację, chociaż sam, taki mądry, taki przekonujący, taki efektywny w swojej pracy, nigdy nie

przeskoczył stopnia kapitana. Kiedy Inna podrosła, podczas jednej z rzadkich kłótni zarzuciła ojcu nieruchawość i inercję. Wtedy kazał jej usiąść.

– Nie znałaś dziadka, mojego ojca – zaczął. – Ja też prawie go nie znałem, tylko z opowieści mamy. Wiedziałem, że służył w czeka, podczas wojny ojczyźnianej polował na niemieckich szpiegów. W pierwszych dniach maja czterdziestego piątego trafił w zdobytym już Berlinie do mieszkania jakiejś hitlerowskiej fiszy. W kilku przeszukiwali dom, jeden z nich zszedł do biblioteki, otworzył drzwi i zobaczył ojca siadającego w głębokim fotelu. Była w nim zamontowana mina. Ów kolega opowiedział, co widział, mama dostała medale po mężu, baretki, zawartość plecaka pozostawionego w koszarach. Po kilkunastu latach wyszła drugi raz za męża, ja odbywałem praktykę w Tomsku, nagle mama zadzwoniła i powiedziała, że znalazł się ojciec. Nie mogłem pojąć, jak rozszarpany na strzępy człowiek może się nagle odnaleźć. Pojechałem do niego do Moskwy. To był już starszy pan, miał drugą żonę, rozumiesz? Miałabyś trzy babcie i trzech dziadków! Niewiele mi powiedział. Służył w formacji SMIERSZ, trzyosobowe komórki, które tradycyjnie co jakiś czas szły do rozwałki, z założenia. Wierchuszka uważała, że każdy, kto ma do czynienia ze szpionami, musi sam się zeszponić. Jaczejka ojca dostała cynk: „Teraz wy idziecie do rozwałki”. Cała trójka prysnęła, gdzie kto mógł, ojcu się udało. Jako patriotyczny obywatel nie powiedział tego wyraźnie, ale z jego opowieści wynikało, że miał przygotowane jakieś papiery, jakieś legendy... Oczywiście nie mógł zawiadomić żony, bo wiedział, że ją obserwują. A mama ze mną wyruszyła w wędrowkę po kraju. Ojciec też „zwiedzał” ojczyznę, zmieniał zawody, miasta, nazwiska, w końcu, kiedy zostali masowo zrehabilitowani, oficjalnie poszukał żony i znalazł. Przez kilka lat żyli oddzielnie, potem, kiedy zmarł mój ojczym, a po dwóch latach macocha, ojciec i matka znowu się zeszli i nawet po raz drugi pożenili. Ale jakie to ma dla mnie konsekwencje? – Podniósł palec na wysokość czoła. – Po prostu: jestem synem człowieka, który sprzeciwił się woli państwa. Nieważne podniósł głos zagłuszając protest Inny – że miał rację, że państwo chciało go zabić dla jakiegoś widzimi się, dla nadmiernej podejrzliwości. Okazał się nielojalny. Zwątpił w nieomylność Państwa. Dlatego ja automatycznie jestem na liście podejrzanych. Rozumiesz, Innoczka?

Skinęła głową. Zamrugnęła, żeby rozpędzić łyzy piekące pod powiekami.

– Ty natomiast należysz już do całkowicie zrehabilitowanego pokolenia, twój awans nie pożółknie w szufladzie. Uwierz mi.

Uwierzyła. Ojciec zakończył czynną służbę w stopniu kapitana, choć emeryturę dostał niemal pułkownikowską, jakby w ramach zadośćuczynienia za odmowę awansu.

Inna zapamiętała nauki ojca i realizowała je z żelazną konsekwencją. Polubiła ćwiczenia – sambo, judo, karate, jogging terenowy, pływanie, a zwłaszcza strzelanie. Uwielbiała trafiać w żywy cel, patrzeć, jak wali się na ziemię. Zając, lis, sarna, dzik, o, dzik! Polowała z powodzeniem, ale grubo poniżej swoich prawdziwych ambicji i możliwości. Ojciec mógł się mylić w tym, że jego córce zostaną wybaczone błędy dziadka. Przełożeni nie przeszkadzali jej w awansach, ale na pewno trzymali pod lupą całe jej życie. Dlatego powinna unikać wszelkiej ostentacji, żeby nie posądzili jej o

sadystyczne skłonności.

A przecież kiedy strzeliła do kierowcy forda, poczuła aż bolesną przyjemność, zimne gniotące mrowienie w podbrzuszu. Żałowała tylko, że nie załatwiła dwóch pasażerów. Jeśli wyszli cało, zaraz powiadomią całą sforę i kordon się zamknie. Inna gnała na złamanie karku, żeby dojechać do miasta, zanim policja rozpocznie obławę.

Przemknęła przez uśpioną wieś, przez garbaty mostek nad kanałem. Za wsią gwałtownie zahamowała. Z kasety wyjęła graniasty pojemnik i wyskoczyła na jezdnię z rolką ręczników papierowych i pojemnikiem w ręku. Przykucnęła przed maską i obficie trysnęła pachnącym lawendą obłokiem na tablicę rejestracyjną. To samo powtórzyła z tylną tablicą. Gdy wróciła do przodu, z prostokąta odrywały się złuszczone nieregularne płyty brązowej folii. Energicznie przetarła obie tablice, z samochodu przyniosła dowód rejestracyjny, położyła na zużyтым papierowym ręczniku, trysnęła jeszcze raz aerozolem i podpaliła. Zanim na brzegu rowu buchnął wesoły płomień, Inna siedziała już w samochodzie. Teraz jej samochód miał tablice i dowód rejestracyjny z wypożyczalni największej w tej części Europy sieci „Fordon und vorwärts!” Nie powinna wzbudzić podejrzeń, ponieważ ten wóz zwróci Teresa Zauber, a zupełnie inny wypożyczy Annelohre Anke. Prowadząc jedną ręką, wystukała siedmiocyfrowy numer, który uruchomił procedurę wpisywania danych tworzących legendę A.A. Wiedziała, że za chwilę komputer na granicy zarejestruje wjazd Frdulein Anke i powrót Teresy Zauber do Autonomicznej Republiki.

Widząc zbliżające się światła miasta, skręciła w pierwszą odnogę szosy, żeby dotrzeć do centrum bocznymi wlotami. Nie wiedziała, że Olczak już odgadł jej tożsamość i poprzysiągł zemstę, ale nawet gdyby wiedziała, co najwyżej wzruszyłaby ramionami. Wbrew opinii pułkownika nie zamierzała wywołać wojny służb policyjnych dwu krajów. Inna zastrzeliła wywiadowcę, ponieważ chciała skierować na siebie energię policji i odciągnąć ich od pościgu za Weissem i Grodziec. Woląa złapać ich sama.

Potrzebowała spektakularnego sukcesu, żeby wyrwać się spod władzy Byszowca i wreszcie naprawdę pójść do góry. Żeby prowadzić takie operacje, o jakich zawsze marzyła, na skalę europejską czy nawet globalną – destrukcja, kamuflaż, dezinformacja, sabotaż. Akcje na skalę możliwości Inny.

Bez przeszkód, nie napotykając żadnego wozu patrolowego, dotarła do centrum i na Goldschmiedegasse zwróciła samochód. Wyszła z parkingu na piechotę, rozejrzała się i widząc neon WC, weszła tam z dwoma torbami. W dużej, przeznaczonej dla niepełnosprawnych kabinie stanęła przed lustrem.

– Witaj, Anke – powiedziała bezgłośnie. – Masz coś dziwnego na głowie.

Wyjęła z torby platynową, mocno postrzępioną perukę i wciągnęła na głowę. Zmyła makijaż, natrysnęła twarz pudrem w niemal mahoniowym kolorze, dołożyła dwa pieprzyki obok siebie, większy i mniejszy. Znalazła mały flakonik z pędzelkiem w zakrętce i bezbarwnym żelem pomalowała zęby. Sprawdziła efekt i zadowolona z olśniewającej bieli uzębienia wypłukała usta. Zapięła torbę, oblizała umalowane wargi – powoli, drapieźnie, wyzywająco.

Wyszła i ruszyła do pobliskiego hotelu z krwawoczerwonym neonem: „Reichshof.

Ekspres do kawy wyrzucił z siebie perlistą kaskadę dźwięków, które rozbiegły się po kuchni, układając się we wdzięczną melodyjkę, znany aż do bólu fragmencik reklamowego dżingla koncernu Siemens-Tchibo. Andrzej wstał, przeciągnął się i ruszył do kuchni. Wciągnął w nozdrza zapach kawy, napełnił dużą filiżankę, resztę przelał do dzbanka-termosu. Kierował się do pokoju, gdzie zamierzał zapaść w wygodny fotel ustawiony pod oknem i pod lampą – kiedy zabrzączał ostry dzwonek u drzwi. Andrzej odstawił dzbanek i spojrzał z żalem na otwartą książkę, z okładki której niemal spływała fala krzepnącej krwi. Podszedł do drzwi i przyłożył oko do szerokokątnego judasza. Na klatce schodowej stał mężczyzna wyglądający jakoś znajomo. Gospodarz zawahał się, w końcu szczęknął dwoma zamkami, otworzył drzwi. Gość uśmiechnął się lekko.

–Jeśli mnie nie pamiętasz...

–Michał? – Gospodarz wyskoczył na klatkę schodową, jedną ręką chwycił dłoń Weissa, drugą klepnął go po ramieniu. – Michał!

–Nie da się ukryć. – Uśmiech pojawił się znowu, teraz nieco szerszy. – Mogę wejść?

–Jasne!

–Ale nie jestem sam.

–No to dlaczego nie mówisz?

Michał cofnął się o dwa kroki, spojrzał w dół schodów i kiwnął głową. Rozległy się szybkie, lekkie kroki. Andrzej pomyślał: kobieta. Kiedy weszła na piętro, odruchowo ocenił jej zgrabne nogi, smukłą talię i twarz o regularnych rysach ozdobioną pięknymi, teraz zaciekawionymi oczami. Szybko cofnął się do mieszkania i energicznym gestem zaprosił gości. Dopiero w obszernym przedpokoju wyciągnął rękę do kobiety.

–Andrzej Wasielewski.

–Krystyna Grodziec.

Obserwując ich z boku Michał zauważył, że oboje próbowali ocenić się nawzajem. Gospodarz zaprosił gości do pokoju.

–Trochę się nie widzieliśmy – bąknął, gdy rozsiedli się w fotelach. – Mam akurat świeżo zaparzoną kawę.

–Z przyjemnością wypiję – ucieszyła się Krystyna. Michał kiwnął głową.

–Gdybyś jeszcze znalazł trochę zimnej mineralnej...

–Moment! – Gospodarz wyskoczył do kuchni i stamtąd zawołał: – Właśnie wróciłem z dwudniowego wędkowania!

Pojawił się w pokoju, niosąc zastawioną tacę.

–Niestety nie mogę was poczęstować świeżą rybką. Nie miałem szczęścia - dokończył.

Napełnił dwie filiżanki, podał jedną Krystynie, przysunął cukierniczkę i dzbanek ze śmietanką. Michał z przyjemnością skosztował kawy.

–Wciąż jesteś emerytem? – zapytał.

Andrzej kiwnął głową i podniósł do ust swoją olbrzymią filiżankę.

–Wiesz, zastanawiałem się mnóstwo razy, jak zacząć z tobą rozmowę, ale nic sensownego nie wymyśliłem wyznał gość. Zerknął na Krystynę, która lekkim uśmiechem dodała mu odwagi. – Zacznę od tego, że mamy kłopoty. Z policją. Nie dlatego, że oszukałem urząd podatkowy. Wdepnęliśmy w jakąś aferę, którą policja chyba usiłuje wyciszyć. Za wszelką cenę, rozumiesz?

–Na razie rozumiem, że chcesz mnie w to wciągnąć skrzywił się. – Co ja ci mogę powiedzieć? Wiesz, jak mnie wyrolowali w mojej kochanej firmie. Chciałbym się odegrać, przyznaję. Ale czy to wystarczy?

Michał westchnął przeciągle.

–Posłuchaj: dostałem dokument, z którego wynika jednoznacznie, że ten jakoby przypadkowy, oparty na nieporozumieniu rozbiór Polski był w rzeczywistości

zaplanowany. Dokument zawiera stenogramy narad, raporty, protokoły stanowiące dowód na istnienie spisku kilku rządów. Facet, który wysłał dokument do mnie, zniknął bez śladu, kobieta pośrednicząca w przekazaniu koperty zginęła w wypadku. Na pewno ściga nas policja, polska czy niemiecka, bez różnicy. Na razie im uciekliśmy. Dzisiaj rano utopiliśmy w jeziorze nasz ostatni samochód, ale obawiam się, że Gniezno jest szczelnie otoczone. Skończyły nam się pomysły.

Nalał sobie wody mineralnej, chłodny płyn spienił się i zasyczał. Andrzej milczał przez chwilę, w końcu zapytał:

–Więc jakie macie zamiary? Uciec z kraju czy rozpętać burzę? Goście wymienili bezradne spojrzenia.

–Nie wiem. Z jednej strony przede wszystkim chcielibyśmy żyć spokojnie, ucieczka nie jest naszym żywiołem. Ale zdajemy sobie sprawę, że nie możemy tak po prostu wrócić do domu, włączyć telewizora i zapomnieć o wszystkim, bo stanowimy zagrożenie dla potężnych sił. Dlatego jedynym wyjściem jest opublikowanie tego dokumentu albo uzyskanie gwarancji bezpieczeństwa. – Zakołysał szklanką, chmara bąbelków oderwała się od dna z perlistym szeptem. – Ale nie wyobrażam sobie takich gwarancji, jeśli mam być szczery.

Andrzej zmarszczył brwi i zapatrzył się na dyskretny wzór wykładziny.

–Ten dokument... – zaczął w końcu. – To absolutnie pewna rzecz? Wykluczasz jakąś mistyfikację? Prowokację? Falszerstwo?

–Najpoważniejszym dowodem na jego prawdziwość jest ten pościg za nami.

Zaczął opowiadać od początku. Od chwili, kiedy w domu Krystyny zobaczył za oknem sylwetkę nieznanego mężczyzny.

Inna ułożyła się na łóżku w ulubionej pozycji – z prawą ręką pod głową, blisko schowanego pod poduszką pistoletu. Lewą dłonią masowała po kolei stopy opierane na ugiętych kolanach.

Zastanawiała się, czy powinna załatwić sprawę samodzielnie, czy prosić o wsparcie. Co na tym zyskam? Więcej ludzi będzie się pętało pod nogami, któryś może podpaść, coś chlapnąć, zdradzić się akcentem. Największa wada takiego rozwiązania jest oczywista: przypadnie jej mniejsza zasługa. Z drugiej strony ryzyko też będzie mniejsze.

Wyprostowała nogi i zaczęła delikatnie masować sobie brzuch. Dłoń zsuwała się coraz niżej, pomiędzy uda. Przydałby się ktoś pilnujący tego Najmowicza. Na pewno będą jej szukali jak wściekli. Gliniarze nie lubią, kiedy giną ich koledzy. Tak zajadle ścigają sprawców, jakby chcieli wytępić wszystkich potencjalnych zabójców policjantów, zanim na

nich samych przyjdzie kolej. Głupcy! Trzeba przeczytać Fatalistę Lermontowa, wtedy wszystko można traktować z dystansem.

Wszystko można traktować z dystansem, tylko nie mnie, pomyślała zwiększając nacisk palców i przeciągając się jak kotka.

–Nie wiem, co powiedzieć – mruknął Andrzej i potarł dłonią kolano. – Macie tę pierwszą stronę?

Krystyna sięgnęła do torebki, wyłowiła złożoną na cztery kartkę.

–Oczywiście zrobiliśmy kilka kopii i umieściliśmy w schowkach na hasło - poinformowała.

Gospodarz kiwnął głową. Nie zauważył szybkiego spojrzenia, jakie Michał rzucił Krystynie. Czytał uważnie, marszcząc brwi. Skończył i ostrożnie odłożył kartkę na stolik. Powoli potoczył wzrokiem po ich wyczekujących twarzach.

–Albo to jest jakaś bujda na resorach... – zaczął.

–Albo? – ponaglił Michał.

–Albo bomba najgrubszego kalibru.

Krystyna podniosła kartkę, złożyła i schowała do torebki.

–Pamiętasz, jak mnie wywalili? – zapytał nagle Andrzej.

–Niezbyt dokładnie.

–Pół roku przed moim „odejściem” do komisariatów przyszedł okólnik o takiej treści: „Niniejszym informuję, że zamiast graficznych save screenów zezwala się na wygaszacze ekranów w postaci modlitw z dyskietki rozprowadzanej przez Biuro Głównego Kapelana Ministerstwa Sprawiedliwości”. Podpisane, zatwierdzone. Każdy nadgorliwiec i głupek uznał, zresztą całkiem słusznie, że to zawołany rozkaz, no i niedługo potem, gdy tylko wszedłeś do komendy i powiedziales: „Cholera, ale leje!”, ktoś sykał i pokazywał na ekran, gdzie przewijało się „Ojciec nasz”. Niektórzy się wściekali, ale siedzieli cicho, tylko ja narzekałem. Wiedziałem, że za jakiś czas sprawy się unormują, ale straciłem serce do pracy w instytucji, gdzie najpierw każdy szef popisuje się głupotą, a potem musi nastąpić solidna czystka, żeby firma zaczęła działać jak należy. Przygotowałem sobie kilka spadochronów, między innymi pisemne polecenie wyprowadzenia aresztantów na mszę, w trakcie której jakiś ich kumpel dał mi w łeb i spokojnie wywiózł grupę. Więc kiedy zaczęli mnie naciskać, żebym się poszedł leczyć, poszedłem.

Splótł palce i wykręcił dłonie na zewnątrz. Trzasnął staw. Andrzej westchnął i posłał słuchaczom lekki uśmiech.

–Czy mam rozumieć, że nie czujesz się specjalnie zobowiązany względem byłej ojczyzny, która cię tak nieelegancko potraktowała? – zapytał miękko Michał.

–No, to nie takie proste – pokręcił głową gospodarz. Pewnie, jeśli nic nie zrobimy, zemszczę się na starej Polsce. Bo ta obecna przecież nie jest moją ojczyzną. Tamta

też nie. Owszem, mogłem wyjechać za granicę, ale nie uważałem za słuszne wynosić się z własnego kraju tylko dlatego, że do władzy dochodzą porąbańcy niby z różnych skrzydeł, ale jednakowo chciwi, załgani i żądni władzy.

Zasapał ze złością i łyknął kawy. Popatrzył ponuro na Michała.

–A ty? Też chyba nie czułeś się szczęśliwy w byłej Polsce. Inaczej nie zostałbyś po tamtej stronie granicy. Wiesz, co o was mówią tak zwani patrioci.

Machnął ręką.

–Mam pewien pomysł. Chcesz zaryzykować?

Michał nagle przypomniał sobie legendarne: „Zaryzykuję, jeśli będę miał sto procent pewności”. Uśmiechnął się i kiwnął głową.

Andrzej wybiegł z pokoju. Zgrzytnęła jakaś szuflada, druga, coś szcęknęło. Zaniepokojona Krystyna popatrzyła pytająco na Michała. Andrzej wrócił niosąc magnetofon.

–Sprawdzimy, czy cię szukają przez podsłuch w sieci telefonicznej! Podłączył magnetofon, przewinał taśmę, ustawił mikrofon przed Michałem.

–To jest Nagra 10, najlepszy magnetofon wszechczasów. Przeniesie dokładnie twój głos. Powiedz, że zamawiasz dwie taksówki pod sklep Birbacha za piętnaście minut... nie, jak najszybciej. Już?

Na skinienie głową Michała wdusił przycisk „Start”. Po nagraniu spakował sprzęt do torby, przyniósł kamerę i kilka kaset.

–Odjadę kilka kilometrów stąd, ale w oknie strychu zostawię kamerę z dwugodzinną kasetą. Zadzwoń i zaraz wracam. Obejrzymy sobie, czy ktoś się pojawi pod biednym „Birbachem”.

Posłał im szeroki uśmiech i wyszedł. Krystyna poruszyła się niespokojnie.

–A jeśli poszedł po policję? – zapytała.

–Na pewno chce nas sprawdzić. Jeśli pod sklepem pojawią się policjanci, to znaczy, że nie jesteśmy parą świrów. Co do reszty nie wiem.

–Założmy, że wszystko się zgadza: ścigają nas, jest taki dokument i nawet do niego dotrzemy. Co dalej? Myślisz, że da się odkręcić kawałek historii politycznej? Nie patrzyła na niego, ale miała pewność, że uważnie jej słucha. – Wierzysz, że nagle Polska się sklei? Nie

będzie tego Kundellandu i Nowego Vaterlandu, nie będziesz musiał przekraczać granicy jadąc do mnie?

–Na pewno. Przeprowadzę się do ciebie, jeśli ty nie zechcesz zamieszkać u mnie! Skinęła głową, wpatrując się w jakiś punkt na podłodze.

–Albo ty będziesz nieszczęśliwy, albo ja. Ja nigdy nie mogłabym się pogodzić ze wschodnim stylem życia. Ty zawsze miałbyś wyrzuty sumienia, że porzuciłeś Polskę. Podniosła na niego wzrok. – Wiem, dlaczego tam siedzisz: uważasz, że jeśli wyjedziesz, jeśli zostawisz ten kawałek Ojczyzny, to jakbyś ją oddał, jakbyś się pogodził ze stratą, jakbyś umył ręce.

–Wystarczy – pogłaskał ją po przedramieniu – Rozumiem, co chcesz powiedzieć...

–Przyznaj się! – zażądała.

–Zgoda. Chyba masz rację. Jeśli wyjadę, to już tam nie wrócę i ja, Michał Weiss,

rezygnuję z tego kawałka Polski.

–Będiesz nieszczęśliwy – stwierdziła. Wzruszył ramionami.

–Będę z tobą – powiedział w końcu.

–I nie będziesz ze mną szczęśliwy. Dopiero po długiej chwili odpowiedział:

–Będę.

Pokój wypożyczono im aż nazbyt chętnie. Siedzieli tam od godziny, a za drzwiami snuł się miejscowy komendant, co prawda niemiecki, ale tylko w randze kapitana, nie śmiejąc zapukać. Krymarys, wiedząc o jego rozterkach, złośliwie myślał: „A niech się pomęczy, haupt-tuman jeden, dobrze mu tak”. Zgarbił się nad biurkiem i gryzmolił zawzięcie na arkuszu papieru. Tylko raz podniósł wzrok, gdy pchnięte przez Olczaka drzwi wydały irytujący odgłos. Wywiadowca w usztywniającym kołnierzu usiadł przy stole i poczuł nieprzepartą ochotę na drzemkę. Niestety kiedy głowa mu opadała, broda wpijała się w kryzę kołnierza, więc budził się nie zdążywszy nawet odpłynąć z jawy. Musiał patrzeć, jak spod pułkownikowego pisaka wyłaniają się kiczowate, ale czytelne rysunki: nabój, sztylet, kosa, grobowiec.

Uważał, że zupełnie niepotrzebnie tkwią w Gnesen. Wystarczyłoby pogonić miejscowych policajów, żeby siedzieli na nasłuchu, patrolowali ulice, sprawdzali hotele, motele, pensjonaty, kina. Szukać, węszyć, dopaść! Gniezno obstawione, jeśli nie wymknęli się jakimiś bocznymi drogami, to siedzą tutaj w mieście i zdychają ze strachu.

Usłyszał jakieś pytanie i ocknął się gwałtownie. Rzucił spłoszone spojrzenie na kapitana, który właśnie kręcił przecząco głową.

–Nie, starałem się wszystko załatwić w rękawiczkach.

–Dzwoń do Gross – polecił Krymarys. – Miała dyskretnie sprawdzić Bazarewicza, ale jeśli nic nie znalazła, uruchamiamy maszynię. Co o nim wiecie?

–Jakieś dwa miesiące temu urwały się wszystkie tropy. Sprawdziłem jego niemieckie kontakty. Rok temu odnotowany w protokole policyjnym jako świadek niedużego karambolu na autostradzie. Lokalna stłuczka na pięć wozów, nawet go nie wzywali na świadka w postępowaniu ubezpieczeniowym.

–Gdzie?

–Gdzieś na południu Vaterlandu, dokładnie... – przymknął powieki i przywołał z pamięci widok monitora...w Salzwedel.

Pułkownik odłożył ołówek i oparł dłonie na stole. Zafascynowany Olczak wpatrywał się w spłaszczone palce ze zbielejącymi paznokciami.

–Przeczesać dokładnie tamte okolice, przepytac wszystkich uczestników kraksy, wszystkich policjantów. Może Bazarewicz powiedział, dokąd jedzie.

–Skąd – odważył się poprawić kapitan. – On wracał. Palce pułkownika drgnęły.

–Więc skąd wracał, od kogo, to byłby jakiś niemiecki trop. Sprawdźcie sklepy, banki, tankstelle, hotele, motele, pensjonaty. Musiał gdzieś zostawić ślad. Dalej szukamy kontaktów Weissa i Bazarewicza. Przesłuchać siostrę Grodziec i tego jej Szwaba, przepytac wszystkich w radiu, może ktoś coś pamięta w związku z Olgą Sukiernicką i tymi dwoma. Idziemy na całość.

Najmowiczpoderwał się i wypadł za drzwi. Nie było go przez trzy minuty. Obaj

mężczyźni spędzili ten czas w bezruchu. Dopiero gdy kolejne skrzyknięcie drzwi zaanonsowało kapitana, pułkownik wyprostował się i odetchnął głęboko. Za kapitanem wszedł jakiś cywil i strzelił obcasami.

–Panie pułkowniku, namierzyliśmy Weissa. Zamówił dwie taksówki pod sklep Birbacha, słynne w okolicy ciasta.

Odskoczył, żeby uniknąć zderzenia z Najmowiczem. Olczak przepuścił pułkownika i pobiegł za nim. Na dziedzińcu komendant wysunął się z grupki policjantów w cywilu i strzelił obcasami. Pułkownik zatrzymał się przed nim i wyciągnął rękę.

–Świetna robota, majorze! – pochwalił, zanim gospodarz zdążył się przedstawić. – Bardzo proszę o dwa wozy, cywilne, dwaj kierowcy obeznani z miastem. Priorytet w łączności i gotowość do założenia blokady, ale nie na ulicach przylegających do sklepu. Tam ma nie być nikogo oprócz nas! Dziękuję.

Komendant zdążył tylko kiwnąć głową i zakręcił ręką w powietrzu. Spod garażu wystartowała bordowa malaetta, zahamowała przed pułkownikiem. Zaraz za roadmasterem żwawo wyskoczył z garażu upstrzony kropkami korozji fiat optiva, do którego wsiedli Najmowicz i Olczak. Komendant podbiegł do wsiadającego pułkownika i szybko wyrzucił z siebie chropawym polskim:

–Podejrzany Weiss usiłował trochę zmienić głos, może nawet korzystał z jakiegoś amatorskiego sprzętu, ale to był on. Dwie taksówki zamówił... – bąknął do zatraskiwanych już drzwi.

Samochody wystartowały niemal jednocześnie, bez hałasu, bez widowiskowych czarnych smug i efektownego pisku opon. Przechylone na bok zniknęły za bramą. Brama niemal bezgłośnie przesunęła się na szynach, odcinając mniej lub bardziej praworządny świat od stróżów prawa.

Gospodarz wrócił dopiero po dwunastej. W zgięciu lewej ręki ulokował wypchaną zakupami papierową torbę, w prawej taszczył kamerę i magnetofon firmy Kudelski Son. Niespokojnym spojrzeniem obrzucił gości i odetchnął z ulgą widząc oboje. Michał zapamiętał ten moment – Andrzejowi chyba zaczęło zależeć na udziale w sprawie.

–Nie jestem dobrym kucharzem. Zwykle gotuję coś, co nazywam pierwszym albo drugim daniem, zależy, ile mi się wleje wody do garnka. Ale mam furę mrożonek.

–Powiedz, czego się dowiedziałeś?

–A! Nie wiem. Zadzwoń, pojechałem po kamerę, zaraz obejrzymy...

Szybko podłączył kamerę do odbiornika TV, chwycił pilota i włączył przewijanie. Po minucie cichy szmer ustał, licznik zapulsował zerem. Andrzej uruchomił odtwarzanie na podwójnej, po chwili na potrójnej prędkości. Na ekranie miały się samochody, przemykały stroboskopowo migające sylwetki ludzi. W rogu pojawił się zegar, przez jego prostokątik przeleciały cyfry „11:23”. Andrzej zwolnił przeglądanie. Z ekranu zniknął dziwaczny, poszarpany, kanciasty świat, pojawiła się zwyczajna ulica, szereg sklepów, niemrawy strumyk ludzi przemierzających chodnik.

–Dokładnie o jedenastej dwadzieścia pięć włączyłem magnetofon. Mamy kilka minut. – Na chwilę przyspieszył podgląd. – Jeśli dali się nabrać, to już powinni tam być.

Na ekranie jakaś furgonetka przyhamowała i wstrzymała ruch, ktoś użył klaksonu. Z płynącego chodnikiem strumienia ludzi nie odrywały się żadne postacie, nie zamierały pod murem, nie rozglądały się czujnie.

–Ja nic nie widzę – oświadczyła Krystyna.

–Ja też – dodał Michał.

–To jest ten sklep – Andrzej wychylił się i dźgnął palcem róg ekranu, gdzie nad oknami obramowanym fioletowym wzorkiem w stylu art nouveau grube litery z szeryfami na podstawach głosiły dumnie: „BIRBACH. Ciastka, kremy, bakalie”.

Z natężeniem wpatrywał się w ekran, palec wskazujący drżał mu na klawiszu „Stop”. Co kilka sekund poruszał nerwowo ramionami i kręcił głową, jakby włożył koszulę z przyciasnym kołnierzykiem. Po siedmiu minutach od telefonu mruknął coś pod nosem i wychylił jeszcze bardziej, aż uniósł się z krzesła.

–Patrz! – wskazał palcem pięćdziesięcioletniego mężczyznę niespiesznie idącego chodnikiem. – Ja go znam! To jest... Mam! Krymarys! Podpułkownik, może już cały pułkownik. Fisza z jakiejś komórki specjalnej dawnego Dolnego Śląska.

Opadł na krzesło i już spokojnie obserwował mężczyznę. Pułkownik minął sklep Birbacha, zatrzymał się i obojętnie zlustrował ulicę.

–O! Widzieliście? – Andrzej cofnął taśmę. – Patrzcie!

Pstryknął palcem w miejsce na ekranie, gdzie zatrzymał się jakiś mały biały samochodzik. Kierowca nie patrzył na pułkownika, ale nagle wyraźnie pokręcił głową.

–Nie mają zamiaru – zachichotał Andrzej. – Czyli już wiemy, co chcieliśmy wiedzieć. Człowiek nazwany Krymarysem przeszedł jeszcze kawałek i zniknął z pola widzenia

kamery, ale kilka sekund później ponownie wszedł w ekran. Zdecydowanym krokiem podszedł do witryny, przez chwilę wpatrywał się w stopy kuszących słodczy, obejrzał się pytająco na fiata. Kierowca ponownie pokręcił głową. Mężczyzna oderwał się od witryny, wszedł na jezdnię i machnął rozkazująco ręką. Z szeregu zaparkowanych wozów wysunęła się malaetta w kolorze burgunda. Obaj obserwatorzy gwizdnęli i wymienili spojrzenia.

–To ci bryka pułkownika! – skwitował Andrzej. Przewinął taśmę, jeszcze raz obejrzał przemarsz Krymarysa i oba samochody. Mruczał do siebie: „Tego nie znam. A w tym małym gównie to kto? Też nie znam... Pewnie zabrał ze sobą swoich mołojców...” Po kilku manipulacjach wyostrzył obraz, powiększył twarze osób siedzących w samochodach. Dobrze widać było obu kierowców, natomiast siedzący w fiacie drugi mężczyzna tylko przez ułamek sekundy pojawił się na ekranie, z połową twarzy ukrytą w cieniu. Andrzej syknął, usiadł wygodniej.

–Jak widać, komputer niewątpliwie jest uczulony na twój głos. Kichniesz do słuchawki i zaraz policaj powie ci: „Na zdrowie!” Po drugie to nie jest rutynowa łapanka, ściga cię wysoki oficer sekcji specjalnej komendy wojewódzkiej albo i wyżej.

Odchylił się do tyłu, oparł głowę na zagłówek.

–Widzę tylko jedno wyjście – oznajmił. – Musimy zdobyć kopię tego dokumentu. Wtedy możemy negocjować z policją. Zgłosisz się do Krymarysa i powiesz: „Mam to, więc odczepcie się ode mnie, bo inaczej...” Rozumiesz?

Michał potaknął niepewnie.

–Może po kieliszku koniaku? – zaproponował Andrzej.

Wyjął z kredensu butelkę i trzy koniakówki, nalał i zapominając o dobrych manierach, z wyraźną przyjemnością powąchał zawartość swojego kieliszka.

–Tylko skąd wziąć duplikat dokumentu? – mruknął. Nie wiem. Ale musimy go wytropić. To jest nic, po której można dojść do kłębka, do autora i kolportera. Jeśli jeszcze nie straciliście zapachu.

–Jak mamy stracić, skoro od tego zależy nasze życie? – warknął Michał.

Jakiś zabłąkany, przelotny błysk słońca wdarł się do pokoju, załśnił w złocistym trunku. Michał wstał z fotela, sięgnął po kieliszki, podał jeden Krystynie i łapczywie łyknął ze swojego. Milczeli, pogrążeni w niewesołych myślach.

–Zajmę się obiadem – powiedziała wreszcie Krystyna. – Przynajmniej zrobię coś konstruktywnego.

Dopiła koniak, wstała i wyszła do kuchni. Mężczyźni wymienili spojrzenia.

–Zacznijmy od początku – powiedział powoli Andrzej – Opowiedz mi jeszcze raz, co wiesz o Bazarewiczu. Skąd wy się znacie? Co dokładnie wam powiedziała ta biedaczka, którą załatwili? Wszystko po kolei.

–Jeśli po kolei... – Michał zastanawiał się przez chwilę. – Poznałem Bazarewicza w Niemczech, tych właściwych. Spotkałem go przypadkowo na parkingu, gdzie psioczył na swój popsuty wóz. Krótko się decydował, zostawił grata do przetransportowania i przerzucił bagaże do mnie. Po drodze zgadaliśmy się, że studiowaliśmy w tym samym czasie we Wrocławiu, tyle że na różnych kierunkach. Ale mieliśmy pecha, bo ledwo dojechaliśmy pod Salzwedel, trzasnął mi pasek rozrządu. Miałem wtedy poloneza pokera, trafna nazwa, bo stale toczyła się między nami rozgrywka. Warsztaty były już pozamykane, jakiś gnój w pomocy drogowej, słysząc mój angielski, rzucił słuchawkę. Czekala nas noc w samochodzie, ale zatrzymał się jakiś Niemiec, wysiadł i zaczął bardzo przyzwoitą polszczyzną wypytywać, co i jak. Poskarżyłem się na jego ziomków, zrobiło mu się głupio, zwłaszcza że sam miał żonę Polkę, i w końcu wylądowaliśmy w jego domu. Wypaliliśmy się w normalnych łóżkach, po ucziwej kolacji. Rano załatwił serwis i mogliśmy ruszać. – Przerwał i zapytał z namysłem: -Myślisz, że to był ten Niemiec?

Andrzej odpowiedział potakującym ruchem głowy.

–Po co by wspominał wspólną podróż po Germanii? dodał.

Michał podniósł się i podszedł do okna. Ciągłe wydaje mi się, że to jakiś idiotyczny koszmar sen, pomyślał. Jak się obudzić? Jak wrócić do normalnego życia? Za oknem po chodniku maszerowali mieszkańcy Gniezna, załatwiali jakieś swoje sprawy, smutne, wesole, głupie, męczące... Ale nikt nie uciekał przed dwujęzyczną policją. Zaraz, skoro list Bazarewicza mówi o dwu zaborcach, o zмовie dwu państw, Rosjanie też powinni interweniować. Widocznie jeszcze nie wiedzą o aferze, a niemiecka policja nie śpieszy się z donosem.

–Tak, chyba tylko ten Niemiec nas łączył – stwierdził. – Nic więcej nie pamiętam. W Polsce też nie mieliśmy wspólnych znajomych, nawet nie wiedziałem, że Olga zna nas obu. Ciekawe tylko, skąd Bazar wiedział, że znam Olgę?

–Mogli rozmawiać o znajomych zza kordonu – podsunął Andrzej. Michał wzruszył ramionami.

–Dobra, mamy jakiś ślad. Czy ktoś wiedział o waszej przygodzie w Vaterlandzie?

–Och... Nie mam pojęcia. Chyba nie, w końcu nic wielkiego się nie stało.

–A Bazarewicz utrzymywał kontakt z tym Niemcem? Jak mu było?

–Hans Biirger, żartowaliśmy głupio, że HamBurger.

–No więc?

–Nie wiem – przyznał Michał. – Nie spotykałem się z Bazarewiczem. Myślę, że on po prostu szukał w pośpiechu kogoś za granicą i przypomniał sobie o mnie.

–Pewnie tak. – Andrzej z namysłem podrapał się w ucho. – Teraz powtórz dokładnie, co mówiła Sukiernicka. Jeszcze nie wiemy, co jest ważne, więc wszystko traktujemy poważnie.

Nagle nachylił się do Michała.

–Gdybyśmy wyjeżdżali do Niemiec – szepnął – Krystynę chcesz brać ze sobą? Michał gwałtownie pokręcił głową.

Powiedzieli jej dopiero po obiedzie. Andrzej cmokał z uznaniem i poprosił o dokładkę. Kawę zrobił sam i stawiając tacę na stole, powiedział:

–Podjęliśmy decyzję: załatwimy dla Michała lewe papiery i pojedziemy do Salzwedel. Panią tu ukryjemy, nawet wiem gdzie.

Krystyna już chciała protestować, więc Michał pospiesznie wtrącił:

–Przypominam ci umowę! Teraz musisz dotrzymać obietnicy. Nie utrudniaj, proszę. Podniósł do ust jej dłoń.

–To potrwa najwyżej kilka dni – zapewnił Andrzej. Szkoda, że nie ma jak w filmach: glina idzie do znajomego hakera, który włamuje się do odpowiedniej bazy i między jednym pączkiem a drugim z drukarki wysuwa się komplet dokumentów. Ale tutaj w Gnieźnie niewiele zdziałamy.

Nalał kawy, podsunął im filiżanki.

–Mam do pilnowania jeszcze przez siedemnaście dni domek znajomego znajomego. Najlepsza kryjówka, skoro gliny szukają was w hotelach i pensjonatach. Oczywiście w końcu zaczną łązić po peryferyjnych dzielnicach willowych i rozpytywać o dwoje obcych. Ale my ich zmylimy. Wrócimy za kilka dni.

Kawa miała mocny goryczkawy smak i pełny, szlachetny zapach. Krystyna pokiwała z uznaniem głową. Michał pomrukiwał łykając niemal wrzący płyn.

–Pojedziemy do tego domku, gdzie przedstawię panią... – zawahał się Andrzej. Krystyna błyskawicznie zrozumiała przyczynę wahania.

–Myślę, że powinniśmy przejść na ty – oświadczyła.

–Właśnie, bo chciałbym cię przedstawić jako swoją siostrę czy kuzynkę. Tam jest taka wścibska sąsiadka, której nie zostawiono kluczy, bo zrobiłaby szczegółowy remanent. Ale nie dała za wygraną, zawsze mnie sprawdza: kiedy przyjeżdżam, jak długo zostaję w domu, czy podlewam kwiatki.

–Będzie mnie nachodziła we dnie i w nocy – mruknęła Krystyna. – Znam takie typy. Trzeba jej powiedzieć, że... że jestem na odwyku i nie wolno w ogóle ze mną rozmawiać. I jeszcze poproszę ją o dyskretny nadzór, wiesz, gdyby zauważyła

samochód dostawczy z browaru...

Wasielewski poderwał się z fotela i zatarł dłonie.

–Doskonały pomysł. No to ruszamy.

Przez Breitgasse jechali wolno, żeby Krystyna mogła rozejrzeć się po okolicy.

Andrzej przez cały czas udzielał wskazówek:

–W prawo duży market – rzucił spojrzenie na pasażerkę i dodał: – Tam względnie łatwo można zgubić „ogon”. Tu jest postój taksówek, ale unikaj ich, co drugi to kapusta.

Mijali dom z dwiema idiotycznie grubymi kolumnami na malutkim ganku, pomiędzy którymi mógł się swobodnie zmieścić chyba tylko wąż.

–Pomiędzy tymi domami jest wąziutkie przejście na równoległą ulicę, nie wszyscy o nim wiedzą.

Podjechali pod domek wpasowany w szereg podobnych. Andrzej wyskoczył na podjazd i otworzył ręcznie furtę przed podjazdem do garażu. Wrócił do samochodu i skręcając pod kątem prostym, przypomniał:

–Wsiądź przed garażem i pozwól się obejrzeć. Ugryzła się w język, żeby nie burknąć: „Jeszcze nie mam sklerozy”. Kiedy zatrzymał samochód przed garażem i uruchomił pilotem drzwi, wysiadła i zgodnie z instrukcją zaczęła pozować do przeglądu. Andrzej wprowadził wóz i wyszedł – tylko ze względu na sąsiadkę, bo garaż miał wewnętrzne drzwi.

–Zaraz ta zołza wylezie – mruknął do Krystyny, jednocześnie szerokim gestem pokazując więdnący ogródek. Spojrzał ponad jej ramieniem i niby zaskoczony wykrzyknął: -Dzień dobry, panie Sterczyńska! Wprowadzam do dzielnicy nowego czasowego lokatora.

Odwracając się Krystyna została zaskoczona chyżością, z jaką starsza pani przebyła kilkanaście metrów dzielących podjazd od jej domu – znajdowała się tuż za jej plecami. Wymieniły uśmiechy i uściski dłoni, rzuciły w przestrzeń nazwiska. Krystyna wymówiła swoje na tyle niewyraźnie, że sąsiadka przekrzywiła głowę i czekała na powtórkę, ale daremnie.

–Wyjeżdżam na kilka dni – poinformował babę Andrzej. – A tu zamieszka moja siostra, pewnie przez jakiś tydzień. – Odwrócił się do Krystyny i podał jej klucze. Wejdź i poszukaj herbaty.

Począł, aż „siostra” otworzyła drzwi, westchnął, pochylił się do Sterczyńskiej i ściszył głos.

–Widzi pani... to delikatna sprawa. Ona jest świeżo po kuracji odwykowej, wódeczka, pani rozumie. Teraz powinno być w porządku, ale nie chciałem, żeby od razu wpadła w stare towarzystwo. Te koleżanki, były mąż i tak dalej.

Sąsiadka pokiwała głową z całkowitym zrozumieniem. Andrzej pospiesznie ciągnął, zanim zdążyła zaproponować własne towarzystwo:

–Nauczyli ją kilku wschodnich technik kontemplacji. Będzie niemal cały czas w transie, to jej pozwoli zagłuszyć głód nałogu, ale mam do pani prośbę: gdyby pani zauważyła u niej jakichś gości, bardzo proszę o telefon. To jest niemal wykluczone, ale nigdy nie wiadomo.

Uśmiechnął się prosząco. Sąsiadka ochoczo zaofiarowała swoją pomoc. Andrzej podziękował jej i wszedł do domu. Tam otworzył drzwi do garażu i wpuścił Michała, który na czworakach przemknął do salonu, gdzie Krystyna starannie zaciągnęła już żaluzje.

W kuchni trzasnęły drzwi lodówki i zamrażarki. Andrzej wszedł do salonu z portfelem w ręku.

–Zapomnieliśmy o jednej kwestii. Zostawię wam...

–Na razie mamy – uspokoił go Michał. – Prawie cztery tysiące euro. – Strzelił palcami. – A na papiery wystarczy?

–Ja też na razie mam. – Portfel powędrował do kieszeni. – Lecę. Nie odbierajcie telefonów. Jeśli po dwóch sygnałach telefon odezwie się znowu, to uciekajcie natychmiast i przez kolejne dwie parzyste godziny czekajcie na mnie albo posłańca na... Niech pomyślę...

–Na pogotowiu – podpowiedziała Krystyna. – Można się okutać bandażem.

–Doskonale! Na pogotowiu. Jeśli zamiast mnie przyjdzie posłaniec, to będzie trzymał w ręku bierplatchen.

–Co to jest?

–No, reklamowy wafelek do piwa.

Sięgnął do kieszeni, położył na półeczce obok drzwi klucze i klamerkę kodową.

–Zadzwoń codziennie wieczorem, około dwudziestej. Gdybym nie zadzwonił do dwudziestej czwartej, uciekajcie. Przed każdą rozmową stuknijcie trzy razy w mikrofon, bo inaczej przerwę połączenie. Pamiętajcie, trzy razy.

Po jego wyjściu w salonie zapanowała ponura cisza. Oboje myśleli o ostatnich słowach Andrzeja.

–Miał na myśli aresztowanie? – zapytała Krystyna.

–Chyba tak.

Wstała energicznie, pocałowała Michała w usta i wyszła z pokoju. Pozostawiony sam sobie natychmiast oklapnął, zapadł się w poduchy kanapy. Poczł się straszliwie zmęczony.

Niespodziewany promień słońca przedarł się przez zakurzone szyby. Trochę brudno jak na gabinet oficera, pomyślał Gładysz. Zresztą niech się cieszy, że po tej ogorodnej palbie w ogóle jeszcze ma gabinet, głupi Indor. Umyślnie zasłonił swoim ciałem klawiaturę, żeby Byszowiec nie widział, jakim kodem wywoływał Inne. Przynajmniej w sprawach technicznych Indor był zależny od niego. Gładysz wystukał dwie litery i trzy cyfry. Po chwili usłyszał w mikrofonie narastający świergot – sygnał testujący szczelność linii – a potem jakiś głos wypowiedział standardową formułkę, żeby sprawdzić jakość połączenia.

–Żył-li Citrus w czaszcie juga.

Modulator zmieniał całkowicie parametry głosu, dlatego na wszelki wypadek kilka minut wcześniej wymienili hasła, pozwalające ustalić tożsamość rozmówcy. Gładysz spojrział

na majora. Byszowiec niecierpliwie machnął ręką. Porucznik mruknął: „Czekać” i wrócił na swoje miejsce, ale nie siadał.

Chwilę później ktoś zdecydowanie zapukał do drzwi. Gładysz otworzył. Stał przez nim nieznamy mężczyzna, nieco niższy od porucznika, ale zbudowany masywnie jak zapaśnik, chociaż w wieku nie sprzyjającym uprawianiu sportu.

Ciemnokasztanowe włosy ze śladami siwizny przycięte były krótko, najwyżej na długość półtora centymetra, ale jakimś cudem utrzymywały równiutki przedziałek z lewej strony czaszki. Ciemne oczy patrzyły spokojnie, ale taksująco i władczo. Wargi pod gęstym ciemnym wąsem drgnęły i wymówiły:

–Do Igora Rodionowicza.

–Dawaj, zachadi, miłok.

Gładysz usunął się z drogi. Gość wszedł, zaraz za progiem zatrzymał się, postawił szeroki uśmiech wstającemu z fotela Byszowcowi i wyciągnął rękę do porucznika:

–Robert Diegowicz Zadornyj.

–Porucznik Gładysz – bąknął zaskoczony oficer. Mateusz Gładysz.

Zaczął nabierać powietrza, żeby wykrztusić idiotyczny patronimik, ale Zadornyj ruszył do biurka. Porucznik nie musiał więc dodawać tego „Matfiej Leszkowicz”, które niczym koszarne towarzyskie faux pas męczyło go przy każdym przedstawianiu się co bardziej zapiekłym w swojej rosyjskości Rosjanom. Od razu poczuł sympatię do przybyłego. Odchrząknął i zamknął drzwi. Indor zapytał po polsku:

–Czego się napijesz?

–Zimnej wódeczki poproszę – oznajmił gość. – Jeden po podróży nie zaszkodzi, a potem mocnej herbaty, jeśli macie.

–Dilmah Double Leaf – przytaknął Byszowiec i trzasnął dłonią w taster przywołania dyżurnego. – Zaraz przyniosą.

Gładysz podszedł do barku, ukrytego za dwoma półkami woluminów. Encyklopedia Techniki Obrony, przeczytał odruchowo, obłuda czy wysoka specjalizacja? W chłodzących gniazdach tkwiły dwie butelki – 0,7 litra stolicznej i wytrawny szampan. Porucznik wyjął tackę z kieliszkami i wódkę, postawił na biurku,

a sam podszedł do konsoli. Mała seledynowa spiralka wirowała jak reklama motelu dla ślimaków. Z tyłu usłyszał brzęk kieliszków i po chwili charakterystyczne podwójne chuchnięcie. Na szczęście mnie nie poczęstowali, pomyślał z ulgą, bo nie lubił pić w gabinetach przełożonych.

–Nu dobrze – mlasnął Byszowiec. – Wiesz, że poprosiłem cię o konsultację. Dawaj siuda etu naszą kaziawku – polecił Gładyszowi.

Kaziawku?, prychnął w myślach porucznik. Mogłaby cię ogolić trzymając brzytwę w palcach stóp, zanim zdążyłbyś się wystraszyć, pijaczyno. Wdusił taster łączności i na wszelki wypadek jeszcze raz „przedmuchał” linię. Wyobraził sobie, jak zdenerwowana Inna siedzi gdzieś na peryferiach w samochodzie. Podszedł do drzwi, wyjrzał na korytarz i wrócił do pokoju, gdzie Byszowiec już zaczął wtajemniczać konsultanta w sedno sprawy.

–Na naszym terenie pojawili się dwaj pracownicy Bezirkspolizeiamtes. Namierzyła ich Inna Poniedziałnik skinął głową w stronę wciąż jeszcze milczącego głośnika.

–Złapała chłopców i przesłuchiwała. Okazało się, że szukają pewnego Polaka, który ma jakiś dokument, właściwie kopię, bo zaraz po skopiowaniu tego dokumentu prawie go złapali. Trzeba wyjaśnić dwie sprawy: po pierwsze, kto to jest ten Michał Weiss?

Popatrzył wyczekująco na gościa, który spokojnie odwzajemnił spojrzenie i nawet powieka mu nie drgnęła. Byszowiec podjął:

–Po drugie, co to za dokument? Całą sprawą kręci pułkownik Krymarys z Wrocławia. Dokument jest po niemiecku. Co jeszcze wiemy? – spojrzał na Gładysza.

–Nie cały po niemiecku, część jest po rosyjsku – sprostował porucznik. – Polacy nie zawiadomili Niemców o śledztwie.

Po raz pierwszy Zadornyj okazał zainteresowanie, ale zanim zdążył zrobić coś więcej niż unieść brew, odezwał się głośnik.

–Niemcy już chyba wiedzą – powiedziała Inna. Wczoraj musiałam zlikwidować jednego z tych przepytywanych wywiadowców.

–Job twoju mat’! – syknął Byszowiec. – Musiałaś?

–Tak. Inaczej złapaliby te nasze gołąbki, a tak siedzimy wszyscy w Gnieźnie.

–Jasne.

–Za żadne skarby nie wolno nam utracić wtyczki w komendzie we Wrocławiu. Ja zostanę tutaj i będę szukała tych dwojga. Ale ta wtyczka to nasza jedyna szansa, gdyby oni ich znaleźli wcześniej. – Zamilkła na chwilę. – Oj, muszę kończyć. Jeszcze jedno: na hasło numer siedem proszę o natychmiastowe kompetentne wsparcie. Bez odbioru.

Konsola skwitowała rozłączenie cichym gongiem. Trzej mężczyźni poruszyli się. Zadornyj cmoknął.

–Ostra, zaraza. I pewna siebie. Maładiec! Byszowiec przytaknął i z namysłem popatrzył na gościa.

–Ty znasz tego Weissa. Co to za jeden?

Zadornyj milczał chwilę, poruszył nieznacznie wargami.

–Eto opasnyj Poliak – powiedział w końcu. – Ideowiec, nie podlizuje się ani nie

robi głupich min zza węgła, kiedy nikt go nie widzi. Ale jeden z tych, co kiedy trzeba, idą na barykady. Został na tych ziemiach nie dla interesów, nie z nienawiści do Zachodu. O nie! Eto takoj diekabrist, jeśli chcesz kakowo-to srawnienija. Tacy są najgorsi.

Odwrócił głowę i posłał Gładyszowi ostrzegawcze spojrzenie.

–Znaczy konspirator? – upewnił się Byszowiec.

–A czort wie! – machnął teatralnie ręką konsultant. Może i nie. P jot, kažetsa, kak sapożnik... Tacy nie konspirują. Chyba że udaje – wzruszył ramionami.

Byszowiec pokiwał głową i zaczął wyliczać:

–Kompetentne wsparcie, czyli odbicie tej pary Polaków i przerzut. Co jeszcze?

–Jeszcze? To może jakaś legenda? – z ironią w głosie podpowiedział Zadornyj.

–No tak. Zwalimy to... – Poszukał spojrzeniem Gładysza. – Na kogo?

–Komandosi jakiegoś ortodoksyjnego odłamu muzułmańskiego – natychmiast odpowiedział porucznik.

–O! Widziałeś?

Chudy palec Byszowca wskazał na porucznika. Robert Diegowicz pokiwał głową z uznaniem dla kwalifikacji podwładnego.

Igor Rodionowicz klasnął w dłonie.

–Dawaj wypjem i po koniam. Pabattajem doma, tam i czaj wyp jesz. Lejtienant prarobotajet legiendu, Inna poiszcziet diekabristow. A my abдумajem, kak wsio eto powiernut' na nasze błogo. Naliwaj!M

Zadornyj sięgnął do butelki, z namysłem odkręcił kapsel i napełnił kieliszek gospodarza, zacierającego kościste łapska.

–Myślisz – zapytał powoli – że coś na tym skorzystamy?

–Niemiaszki z Polakami szarpią się za kudły, a my, jeśli przejmujemy inicjatywę, będziemy mogli wynieść się stąd.

Popatrzył nagle przenikliwie na porucznika, Zadornyj zrobił to samo. Przez dwie czy trzy sekundy mierzyli go uważnymi, zimnymi spojrzeniami.

–Wynieść się z tej przekłętej i przeklinanej strefy dokończył z jakąś dziwną mściwością w głosie Byszowiec.

Ale się urządziłem, pomyślał Mateusz Gładysz z goryczą, żalem i złością. Zachciało mi się być po tej stronie granicy, bliżej mamy!

Od dłuższej chwili wpatrywał się w dekolt pochylonej, siedzącej na niskim taboreciku dziewczyny. Wiedział, że ona zdaje sobie z tego sprawę, ale zupełnie się tym nie przejmował.

Naumyślnie i niejako służbowo nie nałożyła biustonosza, udając się na ostatnie piętro budynku. Gdyby chodziło o manicure, włożyłaby nawet inny fartuszek, w którym rozchyłały się poły, ponieważ jednak ten klient zawsze żądał pedicure, wkładała strój ułatwiający wgląd od góry.

Śliczne, myślał mężczyzna. Przymknął na chwilę głęboko osadzone oczy, poruszył nozdrzami długiego cienkiego nosa, nadającego mu wygląd ponurego charta. Skóra na nosie miała duże pory, dlatego jego właściciel spędzał rano i wieczorem po pięć minut z parującym ręcznikiem na twarzy i kolejne trzy przed lustrem, wyszukując

formujące się wągry. I wrywając włosy wyrastające z małej brodawki na linii włosów. Poza tym codziennie przepływał trzydzieści basenów, siedział kwadrans w saunie, z której – co mu schlebialo -uciekali wszyscy inni użytkownicy, i wypijał koktajl mleczny z dużą ilością żywych, ale przyjaznych bakterii. Kiedy pierwszy raz przeczytał na opakowaniu o „przyjaznych bakteriach”, roześmiał się i powiedział głośno: „No, wreszcie masz przyjaciela, Werner!” Od tamtej pory na zawsze zaprzyjaźnił się z tym gatunkiem jogurtu.

Teraz sączył zdrową zimną herbatę i w myślach muskał koniuszkiem języka brodawkę piersi dziewczyny. Śliczne, spore i pewnie twarde, sądząc z kołysania przy gwałtownych ruchach. Kształtne i pięknie ubarwione sutki, jasne jak świeżutka cielęcina, delikatne, czasem – chyba pod jego spojrzeniem – marszczące się, twardniejące. Jeśli trwało to dłużej, to mężczyzna czuł wzbierającą męskość i wiedział, że kiedyś rozchyli po prostu poły białego frotowego szlafrocza. Jeśli Uschi nie okaże się idiotką spędzą miło, on spędzi miło kilka chwil. Jeśli jednak się zaczerwieni, pomyślał, w co wątpię, to dopiero wtedy naprawdę tryśnie ze mnie energia. Ale wątpię, zbyt fachowo pokazuje mi cycuszki. Zresztą pedicure też robi fachowo. W tym budynku pracują wyłącznie zawodowcy o najwyższych kwalifikacjach. Nawet ta Uschi... Mięciusięńko oplata swoimi paluszkami moje palce i...

Poczuł mrowienie w podbrzuszu i leciutką falę ciepła rodzącą się gdzieś za uszami. Czyżby dziś? A czemu nie? Napiął mięśnie pośladków...

Niemal absolutną ciszę, zakłócaną tylko odgłosem piłowania paznokci, przerwał dyskretny akord. Na umieszczonym nad głową dziewczyny monitorze pojawiła się aktualna data, po dwóch sekundach zmieniła się na godzinę: data-godzina, data-godzina. Werner Bodendieke spokojnie sięgnął do klawiatury i ustawił ją sobie na brzuchu. Wystukał dwa znaki zapytania i „Enter”. Priorytet?

Bodendieke sam ustalił priorytety, bynajmniej nie w porządku arytmetycznym. Najwyższa była siódemka, wyprzedzająca o stopień trójkę, która stała wyżej od jedenastki, a

ta od dziewiątki. Nieupoważnieni obcy nie powinni nawet wiedzieć, jakiej wagi informację pobiera Werner, a co dopiero – jakiej treści!

?? – powtórzył pytanie-potwierdzenie odbioru.

priorytet 7-7

Poczuł na karku zimny powiew. Sam nadał najwyższy i indywidualny priorytet tej jednej jedynej sprawie, więc wiedział, że zaczęło się coś niedobrego. Odetchnął głęboko, żeby przełamać lęk gniotący klatkę piersiową. Ponownie zaczerpnął powietrza i chrząknął.

–Ich danke dir, Uschi, bis morgen.

Nie okazując zdziwienia ani rozczarowania, dziewczyna dwoma ruchami zgarnęła swój warsztat pracy i dygnawszy pospieszyła do drzwi. Bodendieke odczekał, aż opadnie pancerna płyta drzwi i zaświeci się uruchomiona z pulpitu blokada. Dopiero wtedy wrócił do dialogu z kompem. Wystukał dwie cyfry, dwie litery i jeszcze jedną cyfrę – ciąg, który miał uruchomić najtajniejszy z przekazów.

**W” systemie wykryto dwukrotny ąesting dotyczący oznaczonego obiektu.
??**

Inicjator: Komenda Wojewódzka Policji Wrocław, chorąży Mirosława Gross. Sekretariat Sekcji Taktycznej, oznaczony obiekt: Mark Bazareuitch (Marek Bazarewicz) poszukiwany przy pierwszym auestingu za wykroczenia drogowe. Powtórny q.: bez oznaczania powodu, domyślny kontynuacja ql. rzeczywisty wykaz wykroczeń obiektu t/n?

–Nein! – warknął na głos i nagle, rozzłoszczony okazaną słabością, zerwał się i trzepnął z całej siły pulpitem o podłogę. Przypominająca penis jamnika antenka wzięła na siebie pierwszy impet uderzenia, cichutko stuknęła o podłogę. Mężczyzna w ostatniej chwili powstrzymał się, żeby nie kopnąć nieszczęsnego urządzenia. Przemierzył cały pokój i zawrócił gwałtownie. – Scheisse!

Podszedł do pulpitu, przewrócił go stopą, wdusił kilka razy klawisz „Esc”, a potem „*”. Widząc, że na ekranie pojawiło się menu, podniósł klawiaturę i usiadł w fotelu. Przez kilka minut w milczeniu przygryzał dolną wargę i postukiwał kciukiem w obudowę. W końcu wystukał na pozór bezsensowny numer, który centrala powinna natychmiast odrzucić, ale nie odrzuciła. Sięgnął do monitora, wyjął tkwiącą w bocznym gnieździe słuchawkę. Kiedy usłyszał w głośniczku ciągly delikatny trel, powiedział:

–Herr Präsident, unsere Aktien sind leider gefallen. Odczekał kilkanaście sekund i słysząc zmieniające się tło dźwiękowe, zapytał: – Wollen Sie meine Tdtigkeit akzeptieren?

W słuchawce rozległ się dwukrotny gong. Bodendieke odruchowo lekko skinął głową.

–Ich verstehe.

Odłożył słuchawkę na miejsce. Wiedział, że nie usłyszy ani jednego słowa, ani jednej sylaby. Człowiek, którego nazwał prezesem, nie mógł sobie pozwolić na zdemaskowanie czy nawet cień podejrzenia o udział w tej sprawie. Werner Bodendieke wiedział również, dzięki umówionemu wcześniej prostemu systemowi sygnałów, że ma wolną rękę i że pan prezes akceptuje wszystkie jego poczynania. Rozsiadł się wygodnie i zaczął delikatnie masować prawą skroń.

Wbrew rozsądkowi, już toczącemu walkę z histerią, przemknęło mu przez myśl, że wytworzony gdzieś w cyfrowych trzewiach komputera gong tym razem zabrzmiał jednak odrobinę rozpaczliwie. Jak dzwonek alarmowy. Albo wezwanie pomocy.

–Naprawdę nie lubisz śniadań w łóżku?

–Naprawdę. Kiedy paliłem trzy paczki papierosów dziennie, po przebudzeniu musiałem od razu umyć zęby.

–Szkoda, bo nie mam ochoty wstawać z łóżka. W ogóle.

–No to nie wstawajmy – zaproponował.

Krystyna objęła Michała lewą ręką i wtuliła twarz w jego szyję. Leżeli nieruchomo przez trzy długie minuty.

–Jednak nie – zdecydowała. – Całe to kochanie straciłoby na uroku. A tak jest na co czekać do wieczora.

Michał wyciągnął szyję i przyjrzał się jej zezem.

–Nie wiedziałem, że jesteś taka – powiedział.

–Jaka?

–No, taka!

Roześmiała się cichutko, prawie bezgłośnie.

–Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz.

Powoli przeniosła ręce za głowę, przeciągnęła się, wyprężyła całe ciało. Michał patrzył na nią z przyjemnością.

–No, dosyć tego – rzuciła energicznie i zanim zdążył ją objąć, wyskoczyła z łóżka.

– Grzanki, sok ananasowy, kawa, jajko na miękko. Do roboty!

Ruszyła do drzwi, zgarniając po drodze jedwabny peniuar. Michał został sam w ciepłej pościeli, pachnącej snem i miłością. Leżał z rękami pod głową i przypominał sobie, co mu się śniło tej nocy. Najpierw, pamiętał to dobrze, przyśnił mu się Puchalec. Odmieniony, ufny i łagodny. Dał się potarmosić za futro na karku; Michał zastosował tę pieśczętę, bo uważał, że takiego kocura nie wolno głaskać jak byle persa. We śnie kocisko ułożyło się na

grzbiecie i zadarło wszystkie cztery łapy. Wtedy w zagłębieniach pach Michał zobaczył czarne podskakujące kropki. Wyłapywał pchły walcząc z mdłościami, aż się obudził. Wstrząsnął się na to wspomnienie i wyskoczył z łóżka. W łazience pod strugami wody zdecydował, że nie opowie tego snu Krystynie. Wytarł się i przemknął nago do sypialni, gdzie ubrał się i sprawdził w potężnym tremo swój wygląd, szczególnie dużo uwagi poświęcając okolicom brzucha.

–Mniej jeść! – zalecił sobie i pomaszerował do kuchni. Popijali aromatyczną kawę, gdy odezwał się telefon.

Poderwali się jednocześnie i tak samo jednocześnie opadli na krzesła.

–Trzy puknięcia – przypomniała Krystyna i uniosła filiżankę do ust.

Michał podszedł do telefonu i odczekał, aż sekretarka przestanie odmierzać cyfrowo wygenerowany tekst. Pomachał palcami w powietrzu niczym wirtuoz zabierający się do szczególnie trudnego pasażu. Telefon pisnął i odezwał się Andrzej:

–Halinko, jesteś tam?

Krystyna coś mruknęła. Michał podniósł słuchawkę i paznokciem stuknął trzy razy w osłonę membrany.

–Wszystko w znakomitym porządku! – powiedział wyraźnie Andrzej. – Mam wszystkie składniki, zaraz przyjadę i zrobimy sobie placki z sosem grzybowym. Czekaj.

Michał odłożył słuchawkę. Krystyna wzięła swoją filiżankę i przeszła do salonu. Usiadła na kanapie, podciągnęła nogi, oparła brodę na kolanach.

–Chyba dojrzałem do westchnienia ulgi – stwierdził Michał, siadając naprzeciwko.

–Myślisz, że to się dobrze skończy? – zapytała. – Tylko powiedz szczerze.

–Nigdy ci nie kłamię – obruszył się.

–Wiem. No więc?

–Myślę, że tak. A potem będziemy żyli długo i szczęśliwie. Krystyna nagle

przekręciła głowę.

–Słyszalesz?

–Nie.

–Pewnie to babsko! – Poderwała na równe nogi. Schowaj się!

Michał na palcach podreptał do sypialni. W tej samej chwili przy drzwiach rozległ się przeciągły, dość ponury gong. Krystyna odczekała chwilę i skontrolowała pokój uważnym spojrzeniem, zanim otworzyła drzwi...

–Dzień dobry – uśmiechnęła się do Sterczyńskiej.

Sąsiadka wyciągnęła przed siebie karbowaną plastikową tackę z czterema pączkami. Dwa dla mnie, pomyślała Krystyna, dwa dla niej. Na pewno nie!

–Dzień dobry, dziecino – zatrajkotało babsko. – Myślę sobie: siedzi, bidula, sama, więc jak trafiłam na dostawę świeżych pączków, od razu pomyślałam...

–Ojej, a ja jestem na diecie selerowej – plasnęła w dłonie Krystyna. – Jaka szkoda, pączki to moje ulubione ciasto!

Sterczyńska zaczerpnęła powietrza, żeby coś odpowiedzieć. W tej samej chwili na podjazd wjechał granatowy opel. Andrzej widocznie z daleka zobaczył, co się dzieje, bo wyskoczył z wozu jak na sprężynie. Maszerował do drzwi z wyciągniętymi rękami i szerokim uśmiechem. Cmoknął Krystynę w policzek i od razu zaatakował Sterczyńska:

–To dla nas? O rany! Dziękujemy!

Sąsiadka niemal dygnęła. Andrzej wyrwał tackę z jej ręki i popchnął siostrę do mieszkania:

–Akurat zdążę ci przy kawie opowiedzieć, czego dokonałem.

–Do widzenia – uśmiechnęła się do Sterczyńskiej. Jakiej kawie? – warknęła do Andrzeja, wchodząc przed nim do mieszkania. – Wiesz, że unikam wszystkich używek! Cholera, nawet własna rodzina...

Drzwi zamknąwszy się ucięły końcówkę zdania. Zirytowana sąsiadka obróciła się na pięcie. W domu radośnie uśmiechnięty Andrzej przybił piątkę z Krystyną.

–Pst! Pst! – syknęła w stronę sypialni. – Wietrzenie schronu! Kawy? Odebrała tackę gościowi i ruszyła do kuchni.

–Cztery nie dzieli się przez trzy – mruknęła pod nosem-

W prostokącie drzwi pojawił się uśmiechnięty Michał, wyciągnął rękę na powitanie.

–Powiem od razu, że wszystko załatwiłem znakomicie – oznajmił zadowolony Andrzej.

Sięgnął do kieszeni i wyjął podniszczony portfel.

–Siadaj i przejrzyj – zaproponował.

Stał i patrzył, jak Michał wyjmuje po kolei z portfela Biirgeridentitatsmittei z perłowo mieniącą się literką „G” w centrum gwiazdnego kóleczka, prawo jazdy i trzy karty kredytowe: DB, Visa i Continental. Na widok oszołomienia na twarzy Michała roześmiał się.

–To akurat jest okay, oczywiście zakładając, że podstawowe dane są prawdziwe. Wpłaciłem dwa tysiące erosów.

–Natychmiast ci oddam.

–Natychmiast to ty się zamknij – przerwał Andrzej. Co ty myślisz, że twoja wiarogodność finansowa nie daje mi spać po nocach?

–No...

–Kawa! – rozległ się głos Krystyny.

Zgodnie ruszyli do kuchni. Żaluzje były odsłonięte tylko w górnej części, żeby nikt z zewnątrz nie mógł zajrzeć do domu bez drabiny. Krystyna nalewała kawę, na stole stał talerzyk z trzema pączkami. Siadając, Michał podał jej portfel. Przejrzała pobieżnie dokumenty.

–Dla mnie nie ma – stwierdziła z goryczą. Nikt się nie odezwał, więc zmieniła temat. – Zapraszam do pączków. Wyglądają bardzo zachęcająco.

Andrzej nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Krystyna zachowała powagę, tylko Michał wietrząc jakąś znowę zamarł w połowie ruchu i przyglądał się obojgu uważnie. W końcu, widząc, że nie zamierzają go wtajemniczać, chwycił pączek i zaczął jeść.

–Dobry – ocenił i oblizał palce. – Więc ruszamy?

–Ruszamy. – Andrzej przestał w końcu chichotać, sięgnął po swój pączek i przełknął w dwóch kęsach. Ah, jeszcze jedno. Ogłoszenie.

Wyjął z kieszeni złożoną gazetę, podał Michałowi. Krystyna wstała i podeszła, żeby zajrzeć mu przez ramię. Bez trudu znaleźli obwiedziony krechę grubego mazaka nekrolog: „W niewyjaśnionych okolicznościach zginął Marek Bazarewicz. Jego śmierć nie przyniesie nikomu ukojenia. Para najbliższych przyjaciół”.

Jednocześnie skończyli czytać i podnieśli niedowierzające spojrzenia na Wasielewskiego. Jednocześnie zadali pytania.

–Po co?

Palec Andrzeja uderzył w ostatnie zdanie nekrologu.

–Przeczytaliście do końca?

Pospiesznie wrócili spojrzeniami do kawałka gazety.

–To – wskazał wypisane kursywą trzy słowa: „Crimaris In Pace”. – Na pewno skanujące programy wyłapały nazwisko Bazarewicz w ogłoszeniu. Krymarys dowie się o tym natychmiast albo nie znam się na działaniu polewy.

–No tak, ale... – zaczęła Krystyna i umilkła, domyśliwszy się odpowiedzi.

–Niech wie – powiedział Andrzej – że się zabezpieczyliście. To go powstrzyma przed jakimiś gwałtownymi działaniami.

–Zaczną nachodzić Martę!

Obaj mężczyźni popatrzyli na nią z niedowierzaniem.

–Myślałaś, że jej nie obserwują? – zapytał Andrzej. Wszyscy wasi krewni i znajomi są pod obserwacją, ale nic im nie grozi. Wasza wolność jest dla nich gwarancją. Nikt nie robi im krzywdy, dopóki nie będzie pewien bezkarności.

–Sam zastanawiałem się, jak przejść do ofensywy wtrącił Michał. – Nie można wciąż uciekać, bo prędzej czy później każdy się potknie.

–Otóż to! – pochwalił go Andrzej.

Krystyna skwitowała ich argumenty wzruszeniem ramion. Sięgnęła do tacki,

zebrała palcem okruchy lukru i zlizwała z opuszki.

–No więc? – spojrzała pytająco na obu mężczyzn.

–Wyjedziemy dzisiaj – oznajmił Andrzej.

–Może odczekać dzień? – niepewnie bąknął Michał. Zaraz po tym ogłoszeniu...

–Krymarys i tak wie, że jesteście w Gnieźnie i że ktoś wam pomaga. – wytknął mu Wasielewski. – Na pewno was szukają. Gramy na naszej połowie boiska.

–Racja – zdecydowanie potwierdziła Krystyna. – Szorujcie mi stąd. Nareszcie pomedytuję w spokoju.

Nikt się nie poruszył.

Sygnal kampa powstrzymał go przed otwarciem drzwi. Zamarł i wsłuchał się w raptownie zapadłą za plecami ciszę, jakby terminal wystraszył się własnej odwagi i przycupnął za jakimś serwerem. Bodendieke odwrócił się i odmierzonym krokiem wrócił do monitora w sali relaksu. Pulsowała data na przemian z aktualną godziną.

?? priorytet?

Zamarł. Przełknął ślinę, oblizwał raptownie wyschnięte wargi. Odruchowo rozejrzał się dokoła. W końcu ostrożnie, jakby obawiał się ukąszenia, dotknął klawiatury i jednym palcem stuknął w pytajnik.

?? priorytet 7-7

Po raz drugi dzisiaj wystukał pięć znaków.

Dotyczy skaningu hasła Bazarewitch|Bazarewicz. Termin pojawił się w ogłoszeniu gazetowym o charakterze nekrologu. Podać treść – t/n?

Przeczytał komunikat. Z całej siły zacisnął szczęki. Wyglądał jak chart z początkowymi objawami wścieklizny. Gdyby ktokolwiek zobaczył go w tej chwili, otrzymałby wymówienie i musiałby podpisać sześciostronicowe zobowiązanie do przestrzegania tajemnicy służbowej. Bodendieke miał władzę aż nadto wystarczającą do egzekwowania takich poleceń. Komputer wyświetlił pod nekrologiem kolejny komunikat:

W treści ogłoszenia występuje istotny błąd. Podać – t/n? Werner Bodendieke wpatrywał się w ekran półprzonym wzrokiem. Komputer po chwili zaczął gasić i zapalać tworzące pytanie literki. Adresat nagle rozluźnił mięśnie twarzy, odetchnął głęboko. Kilkanaście razy energicznie kliknął klawiszem „Esc” i oczyściwszy ekran, ruszył znowu do drzwi. Nie troszczył się o kasowanie dialogu; program likwidował go natychmiast po zakończeniu sesji, a na tym miejscu w pamięci nagrywał fragmenty bezwartościowych stenogramów jawnych obrad Bundestagu.

Panie prezesie, pomyślał Bodendieke, czyżbyśmy tonęli?

W windzie powoli, jakby wciąż niepewny, czy wpadł na słuszny pomysł, wyjął płaski prostokąt telefonu i musnął palcem trzy cyfry. Wpatrując się w swoją twarz w lustrze, poczekał na zgłoszenie centrali i zatrzymał windę.

–Proszę natychmiast połączyć mnie z pułkownikiem Krymarysem – zażądał, słysząc w słuchawce służbisty głos.

Czekał minutę.

–Nie ma? – skrzywił się. – Gdzie? Co mnie to obchodzi! – wrzasnął. – Czekał na jego telefon, niech mi nie mówią, że nikt nie wie, gdzie on jest! Ma zadzwonić pod

dwunastkę. Natychmiast!

Uruchomił windę, czego domagała się od minuty, pulsując świetlnym sygnałem. Schował telefon. Obrzucił ponurym spojrzeniem własne odbicie. Jestem taki chudy, że pluton miałby problemy z trafieniem, pomyślał w przypiływie czarnego humoru. Z pętli też się wywinę, ale gdyby chcieli mi wstrzyknąć porcyjkę jadu? Żyły mam jak liny okrętowe.

–Nie. – Krymarys zmarszczył czoło i trzymając słuchawkę w prawej dłoni, bębnił palcami lewej po stole. Proszę przeczytać.

Wbił spojrzenie w podłogę i słuchał przez chwilę.

–Powtórzę – oświadczył i spojrzał znacząco na kapitana. – „W niewyjaśnionych okolicznościach zginął Marek Bazarewicz. Jego śmierć nie przyniesie nikomu ukojenia. Para najbliższych przyjaciół”. Wszystko? Aha: „Crimaris In Pace”. Dziękuję.

Odsunął słuchawkę i stuknął w przerywacz.

–Takie ogłoszenie pojawiło się dzisiaj w gazecie – poinformował słuchaczy. Siedzieli w tym samym pokoju co przedwczoraj, kiedy przyjechali do Gniezna, i wczoraj, po całym dniu kręcenia się po mieście. Pierwszą noc w wygodnym hotelowym łóżku spędził Olczak jako poszkodowany w wypadku, drugą Najmowicz. Dzisiaj dyżur na komendzie przypadał znowu na porucznika, który od kwadransa układał w głowie menu, jakie zamierzał zamówić z niezłej jego zdaniem koreańskiej restauracji. Nagły telefon od

Gross przerwał apetyczne rozmyślania. Wywiadowca podniósł rękę jak klasowy prymus i zapytał:

–Czy dobrze rozumiem to ostatnie zdanie: „Krymarys w pokoju?” Pułkownik zastanowił się przez chwilę.

–Można tak przetłumaczyć – zgodził się w końcu. – To pewnie żadna łacina, ale nie sądzę, żeby znali na pamięć Tacyta. I jak myślicie: to groźba czy propozycja pokoju?

–Pokój – odezwali się jednocześnie. Krymarys pokiwał głową.

–Ale swoją drogą informują, że nie pójdą na rzeź jak baranki. – Podniósł palec i zacytował: – „Jego śmierć nie przyniesie nikomu ukojenia”. To do nas: nie osiągniemy celu, czyli utajnienia dokumentu.

Przyjrzał się po kolei kapitanowi i wywiadowcy.

–Coś jeszcze?

–Pewnie zastosowali jakieś amatorskie zabezpieczenie – stwierdził Olczak.

Ku jego zdziwieniu pułkownik pokiwał głową z lekkim uśmiechem. W tej samej chwili odezwał się telefon. Krymarys gwałtownie chwycił słuchawkę.

–Słucham? – Milczał chwilę, na jego policzkach poruszyły się węzły mięśni. – Dobrze, już dzwonię.

Pod jego wymownym wzrokiem podwładni poderwali się i wybiegli na korytarz. Przez chwilę czekali w milczeniu pod drzwiami. Potem pułkownik stanął na progu.

–Idźcie spać, Olczak – powiedział spokojnie. – Kapitanie, na słowo.

Najmowicz ruszył za pułkownikiem. Krymarys usiadł za biurkiem i wskazał słuchawkę.

–Pan się gniewają – poinformował.

–Bardzo? – zapytał Najmowicz wiedząc, że trudno o głupsze pytanie.

–Czytałeś ten pierdolony dokument? – rzucił pułkownik. Kapitan pokręcił głową.

–Nie zdążyłem. Najpierw deptaliśmy im po piętach i wydawało się, że lada sekunda ich złapiemy. Potem... wzruszył ramionami.

–Ani słowa? – naciskał Krymarys.

–No, trochę zerknąłem. Rzuciłem okiem na pierwszą stronę.

–Okiem, powiadasz – mruknął Krymarys, kładąc płasko dłonie na blacie biurka. – Bodajby ci przedtem wypłynęło.

–Aż tak źle, panie pułkowniku?

Krymarys nie odpowiedział, ale jego milczenie wystarczyło za odpowiedź. Obaj niemal jednocześnie westchnęli.

–Chodźmy się przejść – zaproponował nagle pułkownik.

Najmowicz wcale nie był zaskoczony. Sam też uznał, że nadszedł czas na szczerą męską rozmowę. Tak, pogadajmy szczerze, jak partyzant z czekistą, pomyślał tłumiąc histeryczny chichot. Lepiej, żeby pułkownik nie posądził go o histerię.

Nie byłby daleki od prawdy.

Zaraz za rogatkami miasta rozlokował się patrol policji: wszystkie pasy jezdni przegradzały „węże”, pomiędzy którymi samochody przejeżdżały slalomem. Michał z trudem powstrzymywał się od poprawiania przyklejonych obfitych rudych wąsów. Do kompletu Krystyna przefarbowała mu włosy na rudoblond i wspólnie z Andrzejem uznali, że okulary na nosie skutecznie dopełnią zmiany wizerunku. Po stu metrach od kolczatek przejechali pomiędzy dwoma kopulastymi kłocami metrowej wysokości. Andrzej wskazał je ruchem brwi. -Popatrz, to zdalnie wystrzeliwane kolczatki. Gdyby doszli do wniosku, że jednak należy delikwenta zatrzymać. Dopiero teraz można odetchnąć z ulgą.

Blokada zniknęła za zakrętem i rzadkim laskiem. Andrzej stwierdził:

-Dalej już nie powinno być przeszkód. Myślę, że się uda. Michał wzruszył ramionami.

-Kiedyś w wojsku kazali nam przepłynąć kilka basenów. Skoczyliśmy, ale jeden poszedł od razu na dno. Wyłowili go i kiedy rozjuszony sierżant przestał w końcu nim potrząsać, ryknął: „Dlaczego skakałeś, durniu, jak nie umiesz pływać?!”, a tamten kaszłąc i płacząc wykrztusił: „Myślałem, że się uda!”

-Bardzo budująca opowieść – skwitował kwaśno Andrzej.

Milczeli aż do starej polsko-niemieckiej granicy. Zatrzymali się dopiero na parkingu za Kostrzyniem. Wysiedli i rozprostowali kości. Andrzej długo przyglądał się dużej tablicy po drugiej stronie szosy.

-Zobacz: „Herzlich willkommen in dem Wartheland, dem ersten Briickenkopf Europas!” – przeczytał głośno. Co za skurwysyny! Wiesz, że ten cholerny Euroregion Wielkopolski pierwszy wystąpił z wiernopoddańczym manifestem? – Michał skinął głową. – A myśmy ich hołubili: „Gospodarna Wielkopolska, gospodarna Wielkopolska!” Kundle! – splunął na asfalt.

Kundle to z drugiej strony Wisły, leniwie zaprzeczył w myślach Michał. Nie chciało mu się dyskutować. Czuł się samotny, upokorzony maskaradą i zdenerwowany ciągłym sprawdzaniem, czy wąsy są na miejscu. Zmusił się do przebiegnięcia dookoła parkingu, połowę trasy z energicznym krążeniem ramionami, drugą część z podskokami. Lekko zaspany wrócił do samochodu.

-Bardzo dobrze! – pochwalił go Andrzej. – Każdy gliniarz pomyśli, że jak kto się ukrywa, to nie ćwiczy jak młody gawron startów na przydrożnym parkingu.

-Strasznie mi się wlecze ta droga – przyznał Michał. – Czuję się jak po jednym piwie, zaspany i zniechęcony.

-To chyba reakcja na tych kilka stresowych dni podsunął Wasielewski.

-Pewnie tak – przyznał Michał. – Wieczorem będziemy na miejscu? Andrzej po namyśle kiwnął głową:

-Tak. Zatrzymamy się w jakimś motelu pod Salzwedel.

-Może miniemy Salzwedel i dopiero potem się zatrzymamy, żeby nie zdradzać celu podróży. Tak zrobiliśmy w Tupadłach.

-I pomogło?

Michał przemyślał odpowiedź.

–Nie, masz rację.

Ruszył za Wasielewskim do samochodu.

–Może teraz ja poprowadzę?

Wasielewski wzruszył ramionami, bez słowa obszedł wóz, wsiedli i ruszyli.

–Tym niemniej zgoda. Co nam szkodzi? – oświadczył nagle Andrzej. – Możemy rzeczywiście pojechać za Salzwedel.

Odchylił oparcie i wygodnie rozparł się w fotelu. Kilka minut później zaczął dość głośno sapać, a po chwili otworzył usta i zachrapał. Na długim, płaskim zakręcie, wprowadzającym wóz na autostradę, łagodnie osunął się na bok. Michał musiał pchnąć go z powrotem na miejsce. Śpiący podziękował cichym pomrukiem.

To pewnie jakaś specjalnie wytrenowana umiejętność, żeby zasypiać w dowolnym miejscu i pozycji, pomyślał Michał z zazdrością. Ja muszę łykać wapń i magnez, popijać melisą i szklanką piwa, i dalej nie mogę spać. Jak to się stało, że wpadliśmy w takie bagno?

Na poboczu drogi stał policyjny truckvan, dwaj policjanci w identycznych pozach, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, wpatrywali się w płynące naprzeciw siebie potoki pojazdów. Michał poczuł bolesny skurcz serca i natychmiast zrugął się za tchórzostwo.

Nie dam się, postanowił. Wykrzyknął to tak głośno w myślach, że przestraszył się, czy nie obudził Andrzeja. Niech się wam nie zdaje, prowadził wewnętrzny monolog, że mnie zaszczujecie jak zająca. O nie! Skoro nie jestem pewien dnia i godziny, to przynajmniej nie dam wam satysfakcji! Zdobędę gwarancję na życie albo chociaż wam dokopię.

Poczuł przyływ energii – serce biło mocno i radośnie, w koniuszkach palców czuł mrowienie. Miał ogromną ochotę obudzić Andrzeja i podzielić się z nim najnowszą decyzją: że postanowił żyć jak najdłużej.

Przed Berlinem odbił na północny zachód odnowionym kilka lat temu odcinkiem autobany, a potem pognął jak wichurka całkowicie nowym fragmentem gęstej sieci, najprostszą w Europie autostradą z Berlina do Bremy. Gigantyczny ekran powitał go napisem: „To jest najbezpieczniejsza droga w Europie. Nie próbuj udowodnić, że jest inaczej!” Patrzcie: dowcipni Niemcy, pomyślał. Albo sobie wynajęli Francuza.

Zdjął zerowe okulary, do których nie mógł się przyzwyczaić, przetarł szkła i wpakował ponownie na nos. Nie odrywając dłoni od kierownicy energicznie pokręcił ramionami i kilka razy głęboko odetchnął. Opony cicho szemrzając nawijały wstęgę gładkiej, najprostszej w Europie autostrady.

Inna zaparkowała w ciemnym kanionie, między dwoma wysokimi halami o ścianach pokrytych liszajami odpadającego tynku. Z trzech stron osłaniały ją mury. Wyjęła z torebki telefon i wystukała trzy długie serie liczb. Gdy zgłosił się Byszowiec, wyraźnie, jak adeptka kursu teatralnego wyrecytowała standardową formułkę testującą czystość linii, jakość transmisji i potrójnego odkodowywania. -Kakije nowosti?

-Kontynuuję szukanie po kwaterach prywatnych.

-Uparłaś się, co?

Odnalazła w lusterku odbicie swoich oczu, promieniujących głęboką pogardą.

-W pierwszym hotelu omal nie wpadłam na policjantów szukających tego samego.

Recepcjonista o mało nie powiedział: „Państwo policjanci, poznajcie się!”.

Sprawdzałam potem kilka razy, ciągle ich szukają, nie przeskoczę miejscowej policji.

Ale oni nie siedzą w hotelu i to jest moja szansa.

-Dobrze. Nie zgrzytaj zębami. – Po chwili w słuchawce rozległo się chrząknięcie. – Posyłam ci wsparcie. Dyskretne. Nie będzie ci się pętało pod nogami, ale w ciągu godziny włączy się do akcji.

Zamilkł i Inna zrozumiała, że czeka na komentarz. Szybko podziękowała.

-No. Rabortaj i dierży mienia w kursie dieta.

-Do widzenia.

Odsunęła słuchawkę od ucha i poczekała, czy blok osłaniający nie zamelduje o wykryciu podsłuchu. Uspokojona negatywnym meldunkiem przerwała łączność.

Zerknęła w lusterko, zagwizdała cicho i wyjęła z torebki sztywny identyfikator.

Wczoraj podczas wizyty w Urzędzie Miasta, symulując atak astmy, wysłała z pokoju urzędniczkę po wodę. W tym czasie wydarła z jej torebki identyfikator i wsunęła w szczelinę swojego minikompa. Cztery sekundy później wrzuciła dokument do torebki i wróciła do wachlowania się. Potem popiła wodą tabletkę placebo i podziękowawszy za przysługę, wyniosła się z budynku. W pensjonacie popracowała pół godziny i choć niezadowolona z wyniku – nieco jaśniejszy odcień tła podróbki, marnie symulowany hologram – uznała, że sprawa jest akurat na tyle błaha, żeby indagowani urzędnicy nie sprawdzali zbyt starannie jej dokumentu. Przyjrzała się dziełu komputera, oceniła odbłask w promieniach słońca i westchnąwszy uruchomiła silnik. Tyłem wyprowadziła samochód ze ślepej ulicy. Zamierzała odwiedzić Rat der Wohnsiedlung, Radę Osiedla.

Pewnym krokiem weszła do niskiego budynku i skierowała się do pokoju oznaczonego wizytówką „Kartoteka bieżąca”. Pod spodem znajdowały się dwa polskie nazwiska.

-Dzień dobry. Urząd miasta. – Szerokim uśmiechem okrasila informację.

Mówiła po polsku, ale z wyraźnym niemieckim akcentem – musiała wystraszyć Polki, żeby straciły ostrość wzroku i refleks. Obie urzędniczki zeszywniały, rzuciły tylko okiem na identyfikator, a potem ta siedząca dalej nerwowo rozejrzała się po pokoju, jakby szukając śladów libacji czy innych urzędniczych grzechów. Ta bliższa drgnęła na krześle, ale Inna powstrzymała ją.

–Nie trzeba wzywać przełożonego, ja tylko chcę sprawdzić, jak wygląda u was oferta kwater prywatnych. – Urzędniczka otworzyła usta, ale Inna mówiła dalej: Według danych w Niemczech właściwych – przysunęła sobie krzesło i usiadła – Rady Osiedla mogą poważnie podreperować swoje budżety, pośrednicząc w wynajmie czasowych kwater. Niestety u nas to nie idzie tak gładko. A wiadomo, że olbrzymia rzesza przyjeżdżających do miasta ludzi chętniej zatrzymałaby się w jakimś prywatnym lokum, czasowo nie używanym przez właścicieli, niż w bezosobowym nieprzytulnym hotelu. – Uśmiechnęła się miło. – Zgadza się panie ze mną?

Kobiety wymieniły bezradne spojrzenia.

–Nasze osiedle – zaczęła ta siedząca dalej od Inny właściwie nie ma takiej tradycji. – Przerwała i chyba jęknęła w duchu. – Tu mieszkają niemal wyłącznie Polacy, a oni... -potrząsnęła głową z rozpaczą. – My... przepraszam bardzo, my jakoś nie przywykliśmy udostępniać nasze domy zupełnie obcym osobom. Ludzie się boją o swoją własność, o swoje meble, rzeczy, sprzęt...

–To oczywiste! – zgodziła się Inna. – Ale musimy przełamywać te niedobre stereotypy. Właściciele domów i mieszkań muszą uwierzyć, że my odpowiednio zadamy o ich lokale, że mogą zarobić razem z nami. Powinni się cieszyć, że kiedy wyjeżdżają na wakacje, poniesione koszty częściowo zwracają im się bez żadnego wysiłku.

Zmierzyła obie kobiety „służbowym” spojrzeniem.

–Jeśli mieszkańcy naszego rejonu wam nie ufają... zawiesiła głos, a urzędniczki zaczęły oddychać szybciej.

–Nie, nie! Dlaczego? – wykrztusiła ta bliższa.

–Po drugie – podjęła Inna, nie zwracając uwagi na bezładny protest – do kasy wpływa niezbyt dużo pieniędzy za pilnowanie czasowo opuszczonych lokali. Nie zajmujecie się tym?

–Tak! – chórem wykrzyknęły urzędniczki, wreszcie czując się nieco pewniej. Ta starsza spod okna kontynuowała:

–Świadczymy te usługi od lat. – Rzuciła się do klawiatury i zaczęła gorączkowo przebierać palcami po klawiszach. – Prawie sto procent wyjeżdżających ludzi, nawet na kilka dni, powierza nam kontrolę swoich lokali.

–Aha.

Wyjęte okulary powędrowały na nos, Inna pokiwała z aprobatą głową, jej rysy złagodniały. Wystraszona kobieta nieśmiało odetchnęła. Ekran błysnął kilkoma jaskrawymi oknami, pojawiła się lista kilkunastu pozycji. Inna błyskawicznie oceniła, że tylko jeden adres to wolnostojący dom, pozostałe to mieszkania. Nawet nie musiała używać podstępów do pozbycia się kobiet i robienia kopii bazy. Mieszkania odpadały, uznała już wcześniej. Poza tym wiedziała, że sama musi zachować ostrożność i nie miotać się po wszystkich możliwych adresach. Bież szuma i pyli!, wbijał jej do głowy ojciec. Adres domu tkwił już w jej wytrenowanym mózgu. Zdjęła okulary, złagodziła spojrzenie.

–Powiedzmy, że byłam tu nieoficjalnie, przy okazji odwiedzin u siostry. Za kilka dni Rada Osiedla otrzyma pismo z zaleceniem nasilenia działalności, mającej na celu

utrzymanie wysokiego stopnia bezpieczeństwa w podległym rejonie oraz, co się z tym znakomicie łączy, zwiększenia wpływów do osiedlowej kasy. Co z kolei leży w interesie zarówno mieszkańców, jak i nas, urzędników. Prawda?

Obie kobiety z wyraźną ulgą kiwnęły głowami.

–No to do miłego zobaczenia w przyszłości. – Inna wstała i posłała spoconym urzędniczkom uśmiech, którego miały długo nie zapomnieć.

W samochodzie sprawdziła adres, podjechała kilka przecznic i zatrzymała się kilkadziesiąt metrów od betonowego sześcianu, absurdalnie wciśniętego pomiędzy kilkupiętrowe budynki. Wiedziała, że przez przydymione szyby trudno ją dojrzeć we wnętrzu samochodu. Uważnie obejrzała komin i wylot klimatyzatora. Z żadnego wylotu nie ulatywało drżące ciepłe powietrze. W oknach nie falowały firanki, nikt nie poruszył żaluzjami, skrzynka pocztowa pęczniała od kolorowych reklamowych ofert.

Inna przesiadła się na fotel pasażera, sprawdziła zamek, oparła się plecami o drzwi i ułożyła nogi na fotelu kierowcy. Włączyła radio i wyszukała miejscową stację. Nawet nie przypuszczacie, bracia wywiadowcy, pomyślała, ile można się dowiedzieć z serwisu lokalnych niuchaczy z mikrofonami.

Dała sobie trzy godziny czasu na obserwację. Musiała dzisiaj zdążyć do przynajmniej jeszcze jednej Rat der Wohnsiedlung.

–Naprawdę myślisz, że powinieneś ze mną iść?

–Tak, koniecznie. Z kilku powodów: może ci zabraknąć argumentów, mogą tam siedzieć policjanci albo facet się wystraszy i spróbuje cię huknąć w łeb. Wystarczy?

Weiss chwilę się zastanawiał, jakby wcześniej w motelu nie dyskutowali o wizycie przez niemal pół godziny.

–Przez cały czas wydaje mi się, że powinniśmy mieć jakąś asekurację – bąknął.

–Możemy tylko zawiadomić Krystynę. O dwudziestej włączy się nagranie z centralki w motelu. Gdyby nas złapali, to wytrzymasz chyba do ósmej?

Michał skrzywił się i niechętnie przytaknął.

–Okay. Pamiętaj, ja idę pierwszy. Mnie nie znają. Ty czekasz, aż pojawię się znowu w bramie i wytrę nos.

–Wiem, do cholery! – warknął Weiss.

–To dobrze.

Andrzej wygramolił się z samochodu, obrzucił najbliższą okolicę bacznym spojrzeniem. Swobodnym krokiem przemierzył po skosie chodnik i wszedł w lukę między dwoma trzypiętrowymi budynkami. Nagły podmuch wiatru zarzucił mu na plecy połę marynarki. Andrzej pospiesznie strzepnął materiał. Chyba ma schowaną broń, olśniło Michała. Dlatego tak szybko poprawił marynarkę, nie chce, żeby ktoś zobaczył spluwę. Ktoś -czy ja?

Nerwowo wyłamywał palce. Wreszcie uznał, że minęło już dostatecznie dużo czasu. Wysiadł z samochodu.

Pchnięte drzwi zamknęły się niemal bezgłośnie, cicho pyknął immobiliser.

Po kilku krokach Michał dotarł do wylotu krótkiej alejki i zobaczył bramę domu. Za szklanymi drzwiami pojawił się Andrzej i potarł nos. Michał spokojnie przemierzył alejkę i wszedł do klatki schodowej.

–Jest w domu – mruknął Wasielewski. – Zapytałem o Zimmermanna. Nie widać żadnego kotła. Idziemy, nie ma co marudzić.

Szybko i bez hałasu weszli na drugie piętro. Zatrzymali się przed drzwiami z wizytówką „H. Biirger”. Michał wdusił taster dzwonka i słysząc suchy terkot, oderwał palec.

Po chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich gospodarz. Starszy pan w długiej miękkiej kamizelce, ze starannie przystrzyżonym siwym wąsem, spojrzał uważnie na Michała. Szeroko otworzył oczy, brwi podjechały mu do góry. Zerknął na Andrzeja, życzliwe zdziwienie ustąpiło miejsca zaniepokojeniu. Otworzył usta, ale Michał odezwał się pierwszy:

–Poznaję mnie pan, Herr Biirger? Jestem Michał Weiss, to mój przyjaciel.

Biirger wodził spojrzeniem od jednego gościa do drugiego, jakby nie wiedział, na którego powinien patrzeć.

–Wiem, że już go pan widział przed chwilą. – Biirger ciągle milczał, niespokojnie zgarniając dłonią dzianinę kamizelki. – Wpuści nas pan?

–Mein Gott! – Mężczyzna puścił kamizelkę i uśmiechnął się. – Oczywiście! Tak się zaskoczyłem, że... – plasnął w dłonie: – Proszę! Proszę!

Odsunął się, przepuścił gości i zamknął za nimi drzwi. Gościnnie położył rękę na ramieniu Michała.

–Bardzo przepraszam. Zdrzemnąłem się i obudzony przez dzwonek nie skojarzyłem od razu.

–To my przepraszamy – bąknął Michał.

–Nie ma za co! – zatrajkotał gospodarz. Przyskoczył do Wasielewskiego z wyciągniętą dłonią. – Hans Biirger.

–Wasielewski, miło mi.

–Wasilewski? Dobrze usłyszałem? Przepraszam, że pytam, ale jak głuchy nie usłyszysz, to dobrze nie powtórzy.

–Wasielewski – poprawił gość.

–A! Teraz wiem. – Odwrócił się od Michała. – Witam kochany Michale.

Uścisnęli sobie dłonie. Gospodarz gestem skierował ich do salonu, gdzie cicho mamrotał telewizor. Firanka w otwartym oknie wydymała się od przeciągu.

–Proszę siadać – zaprosił gospodarz. – Pan, pamiętam, lubi naszego mocnego weltmeistra? Mam! – Odwrócił się do Andrzeja z pytającym wyrazem twarzy. – A pan?

–Ja też z przyjemnością, jeśli można.

–Oczywiście!

Biirger wyszedł do kuchni. Młasnęła magnetyczna uszczelka drzwi lodówki, zabręczały szklanki, coś twardo zagrzechotało. Goście rozglądali się po pokoju. Michał usiadł w fotelu, popatrzył na Andrzeja, który odpowiedział spokojnym i pozbawionym treści spojrzeniem.

–Interesy? – zapytał Biirger wnosząc metrowej chyba średnicy tacę z sześciopakami, szklankami i tuzinem małych miseczek, zawierających orzeszki i inne piwne zakąski.

–Oczywiście. Jedziemy do Bremy, pokazuję koledze trasę i pozwoliłem sobie napomknąć o przyjaznej przystani.

–Bardzo dobrze – pochwalił go gospodarz. Wyszarpnął dwie butelki, jedną podał Michałowi, z drugą w rękę odwrócił się do Andrzeja: – Zawsze służę w razie potrzeby albo i bez potrzeby, gdy tylko czas pozwoli.

Podał mu butelkę i wyjął dla siebie. Psyknęły niemal unisono trzy kapsle. Nalewając do swojej szklanki, Andrzej powiedział do Biirgera:

–Michał mi wprawdzie mówił, że pan zna wyśmienicie język polski, ale myślałem sobie: wystarczy, że się jakoś dogadamy. Tymczasem pana można przyłapać najwyżej na bardzo subtelnych fonetycznych potknięciach.

–Moim zdaniem pan Biirger ma prawie idealną wymowę – podjął Michał – tylko czasami kieruje powietrze w niewłaściwą stronę. Przy niektórych spółgłoskach: „p”, „b”, „f”. Panu jest potrzebny miesiąc praktyki, może w informacji na jakimś dworcu.

–Dziękuję, ale nie skorzystam! – roześmiał się komplementowany. Nalał sobie piwa i szybko podniósł szklankę do ust, żeby wyprzedzić wzbierającą pianę. Michał napił się z butelki, Andrzej ze swojej odstałej już szklanki. Tym niemniej jest mi przyjemnie...

–Panie Biirger – zaczął Michał, ale gospodarz zamachał gwałtownie rękami. – Przepraszam, Hans. Czy miałeś jakiś kontakt z Markiem Bazarewiczem? Pamiętasz, poznałeś nas jednocześnie.

Zapytany zmarszczył brwi i zaczął się zastanawiać. Serce Michała wykonało kilka nieprzyjemnych podskoków, a nadzieja na uzyskanie pożądanej informacji uleciała.

–Chyba nie – z wahaniem odpowiedział w końcu gospodarz. – Tylko raz się widzieliśmy, tak jak z tobą. Podniósł swoją szklankę, znad krawędzi zerknął na Polaków, oblizał wargi. – Coś się stało?

–No, właśnie próbujemy to wyjaśnić. Widzisz, on zniknął już prawie trzy miesiące temu. Podejrzewamy, że został zamordowany, ale nie mamy żadnych dowodów. Pomyślałem, że skoro już tędy jedziemy, zajrzemy do ciebie.

Niemiec wstał i odnalazszy pilota wyłączył telewizor. Usiadł z powrotem, zaciskając wargi i marszcząc brwi, co miało świadczyć o głębokim namyśle.

–Dostałem kartkę na Boże Narodzenie. W którym roku się poznaliśmy? Nieważne, w tym roku dostałem od was kartki świąteczne. W następnym roku już tylko od ciebie. Teraz, kiedy tak sobie przypominam, wydaje mi się, że kiedyś miałem na sekretarce nagranie od niego, ale nie dam głowy.

Michał przytaknął ze zrozumieniem. Wypił połowę piwa, wymienił z Andrzejem obojętne spojrzenia. Zgodzili się wcześniej, że nawet jeśli Biirger coś wiedział, nie powie tego w pierwszej rozmowie. Andrzej powtarzał kilka razy: „Jeśli powie, że nic nie wie, to znaczy tylko, że nie może mówić. Takie przyjmujemy założenie. Potem się okaże, czy mamy rację”.

–Ale poczekaj – zażądał nagle gospodarz – dlaczego mówisz: zamordowany? Co się stało?

–Po prostu: Marek zaginął. Nie odezwał się do nikogo od trzech miesięcy. W pracy zaważył kilka spraw. Nie poznał w ostatnim czasie żadnej kobiety, z którą

mógłby wyjechać na Hawaje. Poza tym skarżył się znajomym, że odbiera głuche telefony i że ktoś go śledzi. Wszystko razem, przyznasz, prowadzi do jednego wniosku.

W pokoju zaległa cisza. Właściwie powinniśmy wyjść, pomyślał Michał, ale Andrzej zabronił. Kazał naciskać Hansa i przekonać go, że jesteśmy po właściwej stronie.

–Myśleliśmy, że może uciekł gdzieś na Zachód – wtrącił się Andrzej. – Wtedy mógłby zahaczyć o Salzwedel.

–Prowadził jakąś niebezpieczną działalność? Michał sięgnął po piwo, żeby zyskać na czasie, ale pomógł mu Andrzej:

–Kręcił się po radiu, wie pan, wolny strzelec, taki paparazzo mikrofonu. Dziennikarz zawsze może trafić na jakąś cuchnącą sprawę.

–Jakaś afera – pokiwał głową Biirger.

Obaj Polacy jak na komendę wzruszyli ramionami.

–Współczesny świat jest pełen świństw. – Gospodarz wlał do swojej szklanki resztę piwa i wypił. – Policja oczywiście powiadomiona?

–Oczywiście.

Mężczyzna mruknął coś, wysączył ostatnie krople i wstał.

–Mam na dzisiaj zaplanowane zrazy z kładzionymi kluskami – powiedział. – Nie próbujcie się wymigiwać, jak powiem siostrze, że miałem gości i nie poczęstowałem ich jej zrazami, przestanie mi gotować. Poczekajcie.

Wyszedł do kuchni. Goście wymienili pytające spojrzenia. Michał, nie mając nic innego do roboty, wypił resztę piwa. Andrzej wstał, pod pozorem rozprostowania kości przeciągnął się i podszedł do okna. Nie dotykając firanki, ze znużoną miną zlustrował ulicę i najbliższe otoczenie domu. Z kuchni dobiegały odgłosy obiadowej krzątaniny. Po chwili pojawił się zadowolony gospodarz, wyjął z kartonu kolejne trzy butelki. Zgodnie brzęknęły kapsle.

–Czy to, co robił Bazarewicz, dotyczyło Niemiec? z namysłem zapytał Hans.

–A czy teraz w Europie coś nie dotyczy Niemców? burknął Michał. Na widok miny Biirgera zmieszał się i mruknął: – Przepraszam.

Niespodziewanie Hans się roześmiał:

–Nie przepraszaj, dwadzieścia dwa lata żyłem z Polką. Jagoda kochała mnie, ale co jakiś czas budził się w niej sarmacki nacjonalizm. Złościła się, że cały świat nie docenia Polski, takiej wspaniałej, wyjątkowej. Oczywiście najbardziej ciemną was Szwaby. – Nagle zaczerwienił się. – Teraz ja muszę przeprosić.

Odpowiedziała mu cisza.

–Swoją drogą to ciekawe, a czasem irytujące, że my, Niemcy, stale mamy za co przepraszać Polaków – rzucił w powietrze pytanie Biirger

–Nooo... – mruknął przeciągle Andrzej. Michał w tym samym czasie chrząknął.

–Wiem, to nie wy zajęliście kawałek naszego kraju kontynuował gospodarz. – Ale... Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale z kuchni rozległ się przeciągły modulowany gwizd.

Poderwał się i wybiegł z piwem w rękę.

–Możemy się wynosić – podsumował szeptem Michał po jego wyjściu, a widząc przeczący ruch głowy Andrzeja syknął: – Tak ci zależy na zrazach?

–A co? W życiu kawalera takie chwile rzadko się zdarzają.

–Nie gadaj!

–To nie panikuj – uciął Andrzej wychylając się do przodu z nowym, nieznanym dotychczas Michałowi wyrazem twarzy. – Nerwy zachowaj na inną okazję.

Michał z rezygnacją machnął ręką i przyssał się do swojej butelki. Przyjemna, wyrazista, ale szlachetna goryczka spłynęła przelykiem i miłym chłodem wypełniła żołądek. Burger pojawił się na chwilę, wymienił pusty sześciopak na pełny i gestem zachęcił do częstowania się. Michał od razu skorzystał z zaproszenia. Z butelką w rękę wstał i przeszedł się po pokoju. Przystanął przy oknie, ocenił regał z biblioteczką zawierającą polskie i niemieckie książki historyczne, wrócił do okna. W głowie krążył mu przyjemny szmerek, światło w pokoju nabrało głębszych odcieni. Upił się piwem, pomyślał zdziwiony i wesoly. No to co, piwem nie można? Piwo jest świetne, piwo to potęga!

Oderwał się od piwnych myśli, kiedy do pokoju wszedł Biirger, niosąc tacę z talerzami i dwoma chromowanymi garnkami. Z jednego rozchodził się intensywny mięsny aromat. Goście poruszyli się niespokojnie, obaj jednocześnie przełknęli ślinę.

–Jeszcze suróweczka – zaśpiewał Biirger i wyskoczył do kuchni. Wrócił z michą czerwonej kapusty i sztuczkami, rozłożył je, wskazał garnek z parującymi kluseczkami. Nakładajcie, proszę.

Kwadrans później odpadli od stołu, soczyście, po męsku posapali. Chwycili swoje butelki i szklanki, popili znakomite mięso i precyzyjnie przyrządzone kluski. Andrzej wskazał stół i chciał coś powiedzieć, ale tylko pokręcił głową w niemym podziwie głową i wypił pół szklanki piwa.

–Nasze kuchnie znakomicie się uzupełniają – oświadczył gospodarz, jakby zapomniał o wcześniejszej rozmowie. – Nasza jest ciężka, tłusta, bez polotu, ale kilka rzeczy skomponowanych z waszymi: cudo! Moja Jagódka mi to pokazała – dokończył cicho. Po chwili dodał: – Kiedy ją lepiej poznałem, a przez nią i całą Polskę, oszołomiło mnie, jak wiele mamy wspólnego. Francuzi na przykład zupełnie nie chwytają naszych ciężkich dowcipów, a Polacy tak. Nie muszą ich lubić, ale często je opowiadają. Podobnie w muzyce, w architekturze. Wasze elity intelektualne zawsze pogardzały Niemcami, ale klasa średnia świetnie nas rozumie.

–Chce pan powiedzieć – odezwał się Andrzej – że zrobiliście przysługę klasie średniej?

Michał zmartwiał. Akurat podnosił butelkę do ust, więc dokończył ruch, ale tylko zamarkował picie. Co mu odbiło, cholerny patriota! Zaraz nas Biirger wykopie i skończy się niemiecki trop. Boże, nie pozwól!

–No właśnie – powiedział dość enigmatycznie gospodarz. – Nie wybaczycie nam tego. Nikt nie odezwał się przez długie pół minuty. W końcu Michał, odpukawszy w ducha

w niemalowane drewno, ostrożnie podsunął:

–A wy byście wybaczyli?

Biirger wieloznacznie pokiwał głową na boki.

–Pół roku po... no, wiadomo po czym, w lutym chyba znalazłem w Internecie cały wykład na temat przyczyn, dla których Polska zniknęła z mapy świata. Nazwiecie to nacjonalistycznym, szowinistycznym, szwabskim pieprzeniem, ale znakomicie oczyściło niemieckie sumienia. Po tym wykładzie nikt już nie powinien ubolewać nad losem Polski.

Wychylił się do Michała i poklepał go po kolanie.

–Wytrzyma pan taki germański wykład? – Weiss pokiwał głową. – Świetnie, ale nie przy piwie.

Poderwał się i pomaszerował do regału, starszy pan z niedużą nadwagą, o którą dbała najpierw polska żona, a teraz niemiecka siostra. Otworzył drzwiczki barku i chwilę pomrukując wpatrywał się w zawartość.

–Nie! – zdecydował nagle. – Proponuję po kieliszku bardzo zimnej wódki do pasztecików i ogóreczków.

Wybiegł do kuchni, ale wrócił po minucie. Nalał do trzech ciężkich grubościennych kieliszków, uniósł do góry swój.

–Jeśli nie ślubowaliście sobie niepicia z Niemcami, to na zdrowie! – Nie czekając na gości, wypił wódkę i z chrzęstem przekąsił ogórkiem. – I co, opowiedzieć wam, jak się zagłuszyło sumienie Niemca? To pouczające!

Obaj goście skinęli głowami.

–No to cofnijmy się do końca XX wieku. Wam się ciągle wydawało, że Europa i cały świat wielbi was za inicjatywę rozbicia systemu. Tymczasem w polityce szybko zapomina się o historycznych zasługach. Świadczy o tym los wielu wybitnych polityków, których najpierw noszono na rękach, a potem bezlitośnie wyrzucano na śmietnik. Z wami było podobnie. Przez rok, dwa wszyscy was kochali. Potem okazało się, że system upadł, ale została Rosja i satelici. Nie rozumieliście, że świat ma wobec Rosji nieco inne plany niż wy. Zachód widział w Rosji po pierwsze zaporę między nim a islamem, dlatego najchętniej poszerzyłby ten bufor, nawet kosztem Polski. Po drugie, w miarę silna Rosja sama pilnowałaby swoich „dzikich” narodów, zwalniając innych od tego obowiązku. Po trzecie,

Amerykanie nie chcieli zadrażniać stosunków z Rosją, która przecież jest mocarstwem atomowym. Chcieli spokojnie siedzieć z Rosją przy stole obrad, a Polacy jątrzyli jak mogli, zmuszając USA do żonglowania obietnicami, kredytami, układami i tak dalej.

Popatrzył po kolei na gości. Wasielewski uniósł swój kieliszek i wolno wlał zimny trunek w gardło. Odstawił kieliszek i wziął do ręki pasztecik. Nie odrywając wzroku od gospodarza, powiedział:

–Pamiętajmy o rynku zbytu.

Biirger nie usłyszał delikatnej ironii w jego głosie.

–Oczywiście, ostatni taki olbrzymi rynek zbytu. A wy – cytuję wykład z Internetu - judziliście w Czeczenii, którą inni uznali za wewnętrzną sprawę Rosji i uważali, że zmuszeni między innymi przez was do wysłania swoich obserwatorów, stracili niepotrzebnie kilkudziesięciu obywateli. Takie pretensje zapadają w serca i dusze.

No, ale to już prawie metafizyka.

Chwytał butelkę i nalał sobie i Wasielewskiemu. Zaczekał, aż ponaglony spojrzeniem Michał wypije swojego sznapsa, i natychmiast mu dołał.

–Natomiast fakty są takie: po rządach komuchów wybraliście tego trybuna ludowego, Zatyre. Prawda? I co on zrobił zaraz po wyborach? Poradził Słowakom i Czechom, żeby zrezygnowali z własnych języków, bo są śmieszne i żeby się nauczyli polskiego. Zgadza się? – Wasielewski niechętnie przytaknął. – Potem oświadczył, że Białoruś nigdy nie była samodzielnym państwem, że Białorusini mają mentalność niewolników, więc niech nie podskakują, tylko przyłączą się do Polski, razem z Litwą, Łotwą i Estonią. To było bardzo dyplomatyczne, zwłaszcza po unii Białorusi i Rosji w 1997 – prychnął.

–Nie można słów jakiegoś idioty... – spróbował usprawiedliwić cały naród Michał.

–O nie! – przerwał mu gospodarz, unosząc wskazujący palec. – To był przywódca narodu, idiotą był wcześniej, prywatnie. Prosit!

Wypili tym razem zgodnie. Burger ponownie zachręścił ogórkiem, Weiss i Wasielewski sięgnęli po paszteciki.

–No więc przez cały czas odgrywaliście rolę wrzodu na tyłku, ciągle sprawialiście jakieś problemy. A to jakiś rurociąg, a to kłopoty z torem wodnym, a to Kaliningrad... My was zapraszaliśmy do NATO, wy dziękowaliście i wstępowaliście z godnością, a jednocześnie Zatyra butnie wrzeszczał, że Zachód was potrzebuje, że nie robimy łaski, że dawać i już!

Wstał i poszedł do biblioteczki, wyjął jakiś tom i przewertował go w poszukiwaniu strony.

–O! Posłuchajcie:

Najpopularniejszy polski astrolog, Pankracy Oldwin Rechowic, ogłosił, że siedemnastego lipca planety ułożą się w krzyż, złowieszczy krzyż. Miały wtedy działać się

rzeczy straszne – burze, powodzie, huragany, pożary, miała polać się krew i łzy”. – Przerzucił kilka kartek. – Jakiś kościelny dostojnik nieopatrznie bąknął o nadejściu Antychrysta. To podgrzało atmosferę i kiedy w sierpniu do Polski przyjechały pielgrzymki Żydów do Auschwitz, żeby odbyć wiec w rocznicę wybuchu II wojny światowej, to horda rozhisteryzowanych ortodoksyjnych katolików zaatakowała bezbronnych pielgrzymów.

Odnalazł odpowiednią stronę i ponownie zaczął czytać:

W wyniku dwudniowych zająć spalono osiem autokarów, dwa hotele i pięć pensjonatów, czterdzieści kilka samochodów. W płonących autokarach zginęło szesnaście osób, podczas ataków na pielgrzymów Polacy zabili za pomocą pałek, noży, tłuczonych butelek i broni palnej kolejnych trzydzieści sześć osób. W atakach poprzedzających spalenie hoteli i pensjonatów zabito dziewiętnaście osób. W sumie zginęło siedemdziesięciu czterech pielgrzymów i czterech Polaków. Dopiero desant jednostek liniowych, spóźniony zdaniem wszystkich o dwie doby, położył kres masakrze.

Zamknął tom i włożył pomiędzy inne książki.

–Zresztą padły też ostrzejsze sformułowania – mówił wracając do stołu – na przykład: „barbarzyńskie obyczaje w środku Europy”. Odzywały się głosy, że Zjednoczona Europa to przecież Europa bez granic, bez państw, więc o co Polakom chodzi z tym zaborem?

–Przecież wiadomo, że przy okazji załatwiono masę innych spraw! – zaprotestował Andrzej.

–Tak, ale przy okazji! Wyście ją stworzyli, a niektórzy z radością skorzystali. A jeszcze inni ucieszyli się z waszej sytuacji. Pamiętajcie, że to Czesi puścili w obieg termin: „Aksamitny Anschluss”, w rewanżu za wasze pokpiwanie z bohaterkich Pepików i ich aksamitnych rewolucji.

–A ja przypominam, że to Niemcy gorączkowo domagali się wydania Arendta, tego zajadłego anty syjonisty, który miał pecha znaleźć się po stronie rosyjskiej rano dwudziestego szóstego sierpnia – wtrącił się Michał.

Niemiec roześmiał się protekcjonalnie.

–Myśmy to zrobili po cichu, w rękawiczkach. Rozumiecie? Daliśmy światu szansę niezauważenia kłopotliwej sytuacji i świat skwapliwie z tej szansy skorzystał. A wy? Z hukiem, z pożarami, z ofiarami... Dziewięćdziesiąt procent komentatorów utworzyło chór potępiający Polaków. Przez oświęcimski pogrom zamknęliście usta waszym przyjaciółom. – Widząc, że Michał i Andrzej wymienili spojrzenia, dodał szybko: – Poza tym zrobiliście się po śmierci papieża bardziej...

–My to wszystko wiemy, Hans – przerwał Michał. Ale chciałbym usłyszeć twoją opinię: czy to nie jest dorabianie post factum motywacji do tego... co się stało.

–Masz rację. Skorzystaliśmy podle z pretekstu, ja tego swojemu krajowi nie mogę wybaczyć. Odwlekanie przyjęcia do Unii, a potem ten barbarzyński najazd. Wierzcie lub nie, byłem temu przeciwny i mam nadzieję, że kiedyś wszystko wróci do poprzedniego stanu. Chociaż wątpię. Po Anschlussie wszystkie publikatory tak zgodnie przekonywały o potrzebie, wręcz konieczności ratowania zdrowego rdzenia Polski. Należy „odsiać fundamentalistów katolickich, wnuków komunistów, narodowców i faszystów” – zacytował z pamięci fragmenty publikacji. A społeczeństwo uwierzyło w te bzdury!

Wasielewski wychylił się do gospodarza i wpił mu się spojrzeniem w oczy.

–Może chciało uwierzyć? Żeby mieć spokój? Bo gdybym nie uwierzył, musiałbym coś zrobić!

–Tak – zgodził się Burger. – Tak i jeszcze raz tak. Pan jesteś przenikliwy. W ten sposób mamy spokój. Tak!

Michał poczuł, że za chwilę padną ważne słowa, że właśnie dla tej chwili siedzieli tu od dwóch godzin. Wsunął prawą dłoń pod kolano i zacisnął kciuk.

–A my nie chcemy! – oświadczył z mocą Andrzej. Ten spokój to bagno, w którym utonęła Polska. Nam zależy na wzburzeniu tego bagna! Chcemy odrodzenia Polski i wierzymy, że można jakoś to przyspieszyć.

Burger nie mrugając wpatrywał się w hipnotyzujące oczy Andrzeja. Wasielewski zrobił znaczącą pauzę, potem spojrzał pytająco na Michała i kiwnął głową.

–Musimy panu zaufać. Wiemy, że Marek miał dokument, którego ujawnienie

mogłoby pomóc Polsce i Polakom. Dlatego martwimy się jego zniknięciem.

Opadł głębiej w fotel na znak, że czas rewelacji się skończył. Gospodarz trochę bezradnie obejrzał się na Michała.

–Nie jesteśmy żadną partyzantką – zapewnił Weiss. Nie planujemy przewrotu, zamachu, niczego takiego, ale mamy nadzieję, że ten dokument uświadomi światu, że stała nam się krzywda, że padliśmy ofiarą gigantycznej prowokacji czy manipulacji.

–Rozumiem – mruknął Burger. – Ale naprawdę nic nie wiem o Marku.

Wzruszył ramionami. Z westchnieniem chwycił kieliszek, zakołysał nim. Potem podniósł głowę i popatrzył gościom w oczy. Michał wyczytał w jego spojrzeniu coś jak prośbę o wybaczenie. Tylko o co mu chodzi, zadał sobie w duchu pytanie, o Anschluss czy o losy Bazarka? Może zmywać się, póki Hans daje nam czas? Zerknął na Andrzeja, pokazał mu spojrzeniem drzwi. Wypił wyraźnie już cieplejszą wódkę. Wstał i wyciągnął do Biirgera rękę.

–Dziękujemy, Hans – mocno uścisnął jego dłoń. Dziękujemy za wszystko. Dzisiaj zanocujemy w motelu Silberklee, jutro pojedziemy dalej.

–Moglibyście u mnie – rzucił niepewnie gospodarz. Mam tu dużo miejsca.

–Nie, nie, dziękujemy. Ruszamy wcześniej rano, wygodniej będzie stamtąd.

Poklepał Burgera po ramieniu i odczekał, aż Hans i Wasielewski odbędą ceremoniał pożegnania. Minutę później byli na dole. Michał uświadomił sobie, że ma zdrętwiałe wargi i z trudem koncentruje wzrok. O matko, schlałem się, stwierdził. Zerknął na Andrzeja, ale nie zauważył, żeby tamten miał jakieś problemy ze wzrokiem. Zaczekał, aż wsiedli do samochodu, dopiero wtedy zapytał:

–I co myślisz?

Wasielewski wzruszył ramionami.

–Coś mu leży na wątrobie – stwierdził. – Ale czy to wyrzuty sumienia, czy coś innego? Cholera go wie! Musimy poczekać.

Uruchomił silnik i wyjechał z parkingu. W niemrawym poobiednim ruchu wrócili do motelu i zgodnie rzucili się na swoje łóżka. Przymknąwszy powieki, Michał zaczął analizować rozmowę z Biirgerem. Przypominał sobie szczegóły – miny, reakcje, wyraz oczu. Próbował odgadnąć intencje gospodarza: po co Biirger przypominał czy raczej wypominał Polakom fakty z ich najnowszej historii? Co chciał im przekazać?

Pogrążył się w dziwnym stanie pół snu, pół jawy, kiedy myśli błądzą chaotycznie i nie sposób nimi pokierować. Próbował się zdrzemnąć, ale zapadał tylko w kilkudziesięciosekundowe drzemki, które ani nie dodawały sił, ani nie pozwalały się odprężyć.

Po godzinie takiego miotania się Michał stwierdził, że ma dość. Wstał, wrzucił do małej butelki 7-Up tabletkę aspiryny i powlókł się do większej z łazienek. Zanurzył się w wannie, włączył hydromasaż i wrócił do nasłuchiwania.

Kiedy zadzwoni ten przeklęty telefon?

Czy w ogóle zadzwoni?

Krymarys uchylił drzwi do pokoju, w którym Najmowicz buszował po banku danych, usiłując zlokalizować ewentualne powiązania Weissa z komórkami wywiadowczymi Niemiec i Rosji, a także dawnej Polski. Doszedł już do tak

rozpaczliwego stanu, że zaczął przeglądać setki zdjęć agentów i współpracowników, którym z różnych powodów zafundowano operacje kosmetyczne. Mógł się tym zająć komputer, ale wtedy kapitanowi zostałyby tylko ponure wpatrywanie się w ekran.

Wezwanie pułkownika przyjął ze skrywaną ulgą. Sprawdził tylko, czy komputer zapisuje w pamięci wszystkie twarze z co najmniej ośmioma zaznaczonymi cechami, i starannie zamknął drzwi na klucz.

–Mamy tu osiemnaście osób – powiedział Krymarys. – Jeszcze kilka jest gdzieś na świecie, ale wątpię, czy coś wiedzą. Skoncentrujemy się na tych.

–Tak jest. Ja gram złego? – upewnił się kapitan.

–Zaczniesz, kiedy powiem: „Państwo sobie nawet nie zdajecie sprawy” – oznajmił Krymarys i ciągnął zwodniczo spokojnym tonem: – Nie zainteresowało cię przypadkiem, skąd ta trójkątna pizda mała na was niemiernie?

–Hm? – Najmowicz rozpaczliwie zaczął przerzucać pokłady pamięci. – Zastanawiałem się nad tym. Pierwszy wariant: przypadek... Tylko głośno myślę! – dodał szybko, widząc kosę spojrzenia pułkownika. – Drugi wariant: doczepili coś do Weissa dużo wcześniej, ale musieliby coś wiedzieć, zanim my ruszyliśmy sprawę. Raczej wykluczam. No i...

–No i?

Kapitan poczekał, aż minie ich maszerujący z naprzeciwka mężczyzna, zanim wypalił:

–Wtyka.

Krymarys krótko skinął głową.

–Wymyśliłeś to teraz?

–Nie.

–To dlaczego milczałeś?

–No, wie pan, krąg podejrzanych jest ograniczony: Jarowid, Olczak, ja...

–Ja również.

–Tak, pan również.

Skręcili w lewo, Krymarys zatrzymał się przed drzwiami oznaczonymi siedemnastką.

–Zdajesz sobie sprawę, że jeśli to nie Jarowid, to nadal mamy śpiocha?

–Oczywiście.

Popatrzył pułkownikowi w oczy. Żeby się zesrał, nie odwróć wzroku, obiecał w myślach. Stał i patrzył, aż pułkownik prychnął jak sznauca, któremu do nosa przyczepiło się piórko.

–Gdybyś był agentem Sowietów, w życiu nie przegrałbyś pojedynku na spojrzenia, co?

Pchnął drzwi i wszedł do sali. Bez słowa podszedł do biurka, stanął za nim i dopiero teraz zaszczycił spojrzeniem zebranych.

–Dzień dobry państwu. – Najmowicza nie zdziwiło, że mimo oficjalnego charakteru spotkania nie używał niemieckiego, co było wskazane i na co należały władze. Proszę państwa, znaleźliśmy się w krytycznej sytuacji, ze tak powiem, wobec czego postanowiliśmy poprosić państwa o pomoc. Nie mogę wdawać się w szczegóły,

ponieważ mają charakter operacyjny, ale wiemy z absolutnie pewnych źródeł, że trójka waszych znajomych – odwrócił się do Marty – wśród których znajduje się pani siostra, znalazła się w bardzo poważnym niebezpieczeństwie.

Marta szeroko otworzyła oczy, bezradnie popatrzyła na Jiirgena. Mężczyzna zmarszczył brwi i nie odrywając uważnego spojrzenia od pułkownika, położył rękę na ramieniu towarzyszki.

–Przyczyną polowania... – pułkownik przerwał i odchrząknął, zęby wszyscy zauważyli jego „niezręczny” zwrot. – Przepraszam. Z dotychczasowego przebiegu śledztwa wynika, że niejaki Marek Bazarewicz wdał się w komitywę z organizacją o mafijnym charakterze. Otrzymaliśmy co do tego niepodważalne informacje z Interpolu. Obawiając się zemsty za podbieranie pieniędzy organizacji, przekazał jakieś ważne informacje panu Weissowi. Od tej pory sam Bazarewicz zniknął bez śladu. Organizacja natomiast ogłosiła pościg za Weisse. Wiemy, że miał miejsce przygotowany ad hoc i na szczęście nieudany zamach, po którym pani siostra i Weiss udali się w nieznaQym kierunku. Szczęśliwie uniknęli większych obrażeń, e powiedzmy sobie szczerze: polowanie trwa. Nie ustae nawet wtedy, jeśli Weiss namówi panią Grodziec na przejście granicy. Niestety, oboje nie zdecydowali się zgłosić na policję. Może to lekkomyślność, może zamachowcy zasugerowali w jakiś sposób, że są ze służb specjalnych, znamy takie przypadki.

Westchnął głęboko i rozprostował ramiona. Obejrzał się, przysunął krzesło i usiadł opierając się ciężko łokciami o stół.

–Musimy szybko ich znaleźć i ukryć w bezpiecznym miejscu. Dlatego liczę na państwa pomoc. – Popatrzył na nich poważnie, potem zerknął na kapitana. – Czy możemy jeszcze coś dodać?

Najmowicz w milczeniu pokręcił głową.

–To samo, co pomogło ściganym – kontynuował Krymarys (Najmowicz w duchu z uznaniem pokiwał głową: O, teraz już „ścigani”, stopniowo zwiększamy napięcie) podczas zamachu, mam na myśli ich instynktowne, zupełnie nieprofesjonalne działanie, działa obecnie na ich niekorzyść, to oczywiste. Ponieważ nigdy nie weszli w kolizję z prawem, nie mamy o nich żadnych danych. Nawet nie zdajecie sobie państwo sprawy, jakie drobiazgi czasami decydują o powodzeniu akcji. – Przesunął spojrzeniem po obecnych. – Liczę, że przypomnicie

sobie państwo jakichś ludzi, u których mogli się ukryć, jakieś ulubione miejsca, może wspólnych znajomych Bazarewicza i Weissa... Gdzie zaczęła się ich znajomość?

Niedbałym tonem zadał najważniejsze pytanie. Za odpowiedź ten chudy strzęp, ten nietoperz Bodendieke oddałby oba jaja, pomyślał Najmowicz. Przezornie odwrócił spojrzenie od zebranych, żeby ich nie spłoszyć, nie wzbudzić podejrzeń.

W sali zapanowała cisza. Wyraźnie słyhać było szeptem powtarzane jak zaklęcie: „Matko, co się z nią stanie? Co się stanie?”, ale nikt więcej się nie odzywał. Najmowicz cmoknął przez szparę w zębach, podszedł do biurka.

–Żeby wszystko było jasne, meine liebe Freunde, prosimy państwa o pomoc, ale zatajenie danych przydatnych w śledztwie jest przestępstwem federalnym i jest

ścigane na terytorium całej Europy. Rozumujecie być może tak: zdradzę siostrę! Ale popatrzcie na to inaczej: ona może

umrzeć przez moją zbrodniczą dyskrecję! Poza tym oni są świadkami w sprawie o dużym znaczeniu, jeśli przeżyją... – szarpnął głową, jakby się przejęzyczył -...kiedy w końcu ich znajdziemy, grozi im odpowiedzialność karna. Odczekał chwilę, ale nikt nie podniósł ręki.

–No to inaczej – popatrzył na kartkę. – Państwo Iwaniccy? – popatrzył na siedzącą w ostatnim rzędzie parę.

–Znamy przelotnie Michała Weissa – powiedział mężczyzna. – Spotykamy się chyba tylko na uroczystościach u Marty – wzruszył ramionami.

–To, co państwo w tej chwili mówicie i co powiecie później... – kilka osób poruszyło się niespokojnie -...jest protokolowane.

Zrobił znaczącą pauzę, ale starannie ją odważył, żeby nie przeszarżować. Iwanicka przyłożyła dłoń do piersi.

–My... – głos jej się załamał -... kiedyś byliśmy w lokalu z panią Grodziec i panem Altmanem i tą parą... To znaczy panią Krysią i Weisssem.

Najmowicz skinął krótko głową. Durna pinda, „z panią Grodziec”. Przecież to jej przyjaciółka ze szkoły! Nie będzie z niej pożytku, gdyby coś wiedziała, już bym słuchał litanii.

–Pani Bartnik?

Starsza pani siedząca obok Marty pokręciła głową.

–Pudło, młody człowieku. Byłam jej nauczycielką, ale widujemy się tylko przelotnie. Ostatnio Krysię widziałam z pół roku temu. Mogę tylko powiedzieć, że jestem absolutnie przekonana, że nie mogła popełnić nic złego. Do widzenia.

Wstała i ruszyła do drzwi. Najmowicz westchnął teatralnie.

–Stąd się wychodzi w sposób zorganizowany, proszę pani, czyli kiedy my na to pozwalamy – poinformował ją i resztę siedzących w sali. Bartnik odwróciła się i otworzyła usta. Najmowicz zignorował ją i przeniósł spojrzenie na samotnie siedzącego mężczyznę.

–Pan Turski? Nie mylę się?

–Tak. Jerzy Turski. Jestem wykładowcą...

–My to wiemy, panie doktorze – powiedział z naciskiem Najmowicz. – Potrzebujemy danych nie o panu.

Obsztorcowany mężczyzna zaczerwienił się. Zacisnął palce na trzymanej na kolanach kanciastej teczce.

–Nic nie wiem – wypalił. – On tu bywał rzadko, znałem tylko Krystynę.

–Proszę, jednak coś pan wie. – Kapitan przechylił głowę na bok i wbił w doktora ponure spojrzenie. – Po pierwsze, że pan Weiss bywał tu rzadko. Skoro go pan nie zna, to skąd ta wiedza?

Odwrócił się do Krymarysa.

–Herr Oberst, ich bitte um Erlaubnis die hier anwesenden Personen aufzuhalten, für die Zeit, die für das Verifizieren der Informationen oder deren Gewinn nötig ist. Jetzt müßte ich den schlechten Willen dieser Leute annehmen...

–Czy pan zwariował? – poderwał się z krzesła Altmann, który zrozumiał pierwszy.

– Jakie zatrzymanie? Jaka zła wola?

Najmowicz wolno odwrócił się i obrzucił oburzonego mężczyznę irytująco długim spojrzeniem. Odczekawszy trzy sekundy, kontynuował:

–Freilassen und Aufsicht iibernehmen, das wird zu uiele Krdfte binden, und die Annahme, dafi man diesen Paar nicht helfen kann, ware ein strafwiirdiger Leischtsinni.

Krymarys pokiwał głową.

–To chamstwo! – krzyknął Altmann. – Co to, bawicie się w małe gestapo? Niech się wam nie wydaje...

–Wygląda, że mamy pewien problem – odpowiedział po niemiecku w zadumie pułkownik, nie zwracając najmniejszej uwagi na okrzyk Altmanna. – Ale rzeczywiście twoje argumenty mają sens.

Przerwało mu natarczywe pochrząkiwanie z sali. Siedząca obok Marty smagła brunetka o wysuszonej przez kosmetyki cerze uniosła rękę i przebierała w powietrzu dwoma palcami. Przechwyciwszy spojrzenie pułkownika, powiedziała:

–Pamiętam, że kiedyś wspominali swoje poznanie się, to było gdzieś w Niemczech, znaczy w Vaterlandzie. Jeden z nich zabrał drugiego, któremu zepsuł się samochód. – Uśmiechnęła się wdzięcznie.

Pułkownik skinął wolno głową, również się uśmiechnął.

–Bardzo dziękujemy, panno Zarębska. – Popatrzył na Martę już bez uśmiechu. – Pani musi o tym coś wiedzieć.

–Oczywiście – wzruszyła ramionami. – To żadna tajemnica. Michał spotkał kilka lat temu Bazarewicza niedaleko Bremy. Markowi zepsuł się samochód. Zresztą Michałowi niedługo później również, tak że razem balowali całą dobę, zanim dojechali do Poznania. To był początek ich powierzchownej znajomości. Na pewno nie można tego nazwać przyjaźnią i dlatego uważam, że wiązanie ich z moją siostrą...

No, wreszcie coś!, ucieszył się Najmowicz. Mamy w protokole Bazarewicza i teraz to – gdzie jest Szwab, który coś wie! Cicho chrząknął nie otwierając ust, żeby zwrócić uwagę przełożonego. Po lekkim ruchu powiek poznał, że pułkownik też dostrzegł upragniony cień śladu.

–Proszę sobie przypomnieć, co pani o tym wie? – łagodnie poprosił Krymarys. Obrzucił wyrazistym spojrzeniem pozostałą dziewczynkę. – Państwa również bardzo usilnie proszę o przypomnienie sobie, co wiecie o tym początku znajomości dwu panów. Może jakiś adres, przynajmniej miejscowość, najlepiej nazwiska jakichś niemieckich znajomych?...

Zauważył, że Marta drgnęła, ale Altmann znacząco przycisnął ją do siebie. Kobieta popatrzyła na niego z pytaniem w oczach. Jiirgen pokręcił głową.

–Chce pan zaryzykować wyrzuty sumienia, jeśli stanie im się coś złego?

Altmann szarpnął głową i popatrzył wrogo na pułkownika, ale Marta chwyciła go za rękę, ścisnęła uspokajająco.

–Musiałabym popatrzeć na mapę, na pewno sobie przypomnę – oświadczyła. Kapitan spokojnie wyszedł z sali. Na korytarzu runął biegiem do najbliższego

interkomu.

–Dyżurny! – syknął wdusiwszy taster wywołania. Natychmiast mapę samochodową Niemiec do siedemnastki. Ale biegiem!

Odsunął się od mikrofonu i gwałtownie zaczął przeszukiwać kieszenie w poszukiwaniu papierosów. Zapalił i zaciągnął się tak głęboko, że stuknął tyłem głowy w ścianę za plecami. Gdy zaciągał się trzeci raz, zza rogu wypadł dyżurny z grubym jak tom encyklopedii atlasem samochodowym. Wyhamował przy kapitanie i zasalutował.

–Dawaj!

Wyrwał mu księgę, wcisnął w dłoń papieros. Dyżurny odważył się syknąć dopiero gdy Najmowicz oddalił się o kilka kroków. Kapitan wyciągał już rękę do klamki, ale drzwi niespodziewanie otworzyły się i stanął w nich zafrasowany Krymarys. Trzymał w ręku rozłożoną słuchawkę. Machnął nią do Najmowicza i ruchem brwi posłał go do sali. Kapitan wszedł i skierował się do Marty.

–Bitte – powiedział uprzejmie. – Sie können uns sehr helfen.

Szybko odnalazł skorowidz miast, wyszukał odpowiednią stronę i rozłożony atlas podał kobiecie. Pojeździła palcem, trafiła w Bremę i zaczęła wodzić spiczasto zakończonym paznokciem po papierze. Kilka razy zwalniała, potem potrząsała głową i jeździła dalej. Najmowicz miał ochotę syknąć na nią, poradzić, żeby robiła to trochę bardziej systematycznie – albo poziomo od góry do dołu, albo z prawej do lewej, nie tak beładnie, bo będzie gmerała godzinami. Palec nagle zamarł w miejscu. Marta postukała w papier, namyślała się chwilę. W końcu podniosła głowę.

–Salzwedel – powiedziała i po namyśle powtórzyła stanowczo: – Salzwedel!
Najmowicz miał ochotę podskoczyć i jak dzieciak po strzelonej bramce wrzasnąć: „Jest!” Zamiast tego spokojnie odebrał atlas i wrócił do biurka.

–Czy ta nazwa – zwrócił się do wszystkich obecnych coś mówi komuś z państwa? Czy w waszej obecności Bazarewicz albo Weiss wspominali o tej miejscowości? W jakimkolwiek kontekście?

Bez pośpiechu, nie okazując podniecenia ani zniecierpliwienia, popatrzył w oczy każdemu z obecnych. Pięć osób w ogóle nie zabrało na dzisiejszej konfrontacji głosu, ale nie zdziwiło to kapitana – byli bardzo odległymi znajomymi, właściwie znajomymi znajomych. Ta piątka szczególnie gorliwie kręciła głowami. Przez cały czas uważali, że trafili tu przez przypadek czy wręcz przez pomyłkę, i obawiali się konsekwencji przelotnej znajomości z przestępcami czy ofiarami.

–Kilkanaście minut potrwa, zanim zostaną sporządzone protokoły z zeznaniami państwa. – Kątem oka widział jak Altmann purpurowieje. – Cieszy nas każda oferta współpracy, zwłaszcza że nie werbujemy państwa w szeregi konfidentów, tylko usiłujemy przy waszej pomocy uratować życie parze sympatycznych i niewinnych ludzi.

Był pewien, że w domu Marta zasypie Jurgena płaczącymi wyrzutami: „Musiałeś się popisywać? Chodzi o życie mojej siostry, ale ty musisz być pryncypialny!”
Smakowanie tej wyobrażonej sceny przerwał trzask otwieranych drzwi. Krymarysowi błyszcząły oczy, jakby strzelił sobie w żyłę albo połknął jakąś pochodną

phenylethylaminy z zasobów sejfu nie

ujawnionych konfiskat. Jeśli ma coś naprawdę mocnego, pomyślał, to sam walnę sobie dwa Totenkopfen. Wyszedł za pułkownikiem na korytarz.

–No? – zapytał Krymarys.

Widocznie najpierw chciał poznać jego osiągnięcia, zanim podzieli się swoimi rewelacjami.

–Salzwedel – rzucił kapitan.

Jednocześnie pułkownik rzucił tę samą nazwę. Zamilkli i wymienili spojrzenia.

–Dowiedziałem się przed chwilą – uspokoił kapitana Krymarys i zatarł ręce. –

Dawno nie czułem się tak dobrze.

Najmowicz nie wytrzymał:

–To lecimy tam?

–Ależ tak – zapewnił pułkownik. – Wołaj Olczaka i startujemy. Śmigło już się grzeje. Ruszył korytarzem do windy.

–A ci tam? – zapytał Najmowicz.

–Zostaw ich pod czyimś nadzorem, może jeszcze coś sobie przypomną. Jeśli nie, za dwie godziny do domu. Niech Gross nikomu nie mówi, gdzie jestem, szczególnie temu, co przed chwilą dzwonił.

Kiedy Michał owinięty jednym ręcznikiem w pasie, wycierając głowę drugim, wszedł do pokoju, Wasielewski z zaciętym wyrazem twarzy przyciskał klawisze pilota, usiłując znaleźć w programowej ofercie coś odpowiedniego do jego gustu, humoru i czasu. - Szlag by trafił! – opuścił rękę z pilotem na kolano i bezradnie popatrzył na Michała. – Co jest, na każdym kanale talk show?! Talk show z gościem, co puszcza kolorowe baki, z babcią, która przez dwa dni w tygodniu zajmuje się wnukiem, z lesbijskim małżeństwem, gdzie jedna z partnerek oskarża drugą o zdradę, heteroseksualizm, sodomię i nekrofilie. Kapujesz: przyłapała ją ze zdechłym kocurem na ręku. Gdzie są, do kurwy nędzy, granice ludzkiego ekshibicjonizmu?

Michał potrząsnął głową.

– Nie musisz oglądać. Poczytaj książkę, idź na spacer, zajmij się różami albo sąsiadką.

– Nie o to chodzi. W ten sposób wychowuje się ludzi, których interesuje tylko, co się dzieje u sąsiada, natomiast guzik ich obchodzi, co się dzieje we własnym kraju. Siedzą takie kluchy i gapią się na „ciekawych ludzi”, zamiast sami zrobić coś ciekawego.

Michał podszedł do torby i zaczął grzebać w jej wnętrzu.

– Zapominasz, że zagarnął nas kraj, w którym już kilkadziesiąt lat wcześniej odkryto uroki publicznych spowiedzi – rzucił wyjmując szeleszczące folię skarpety i bokserki.

– No tak... – oklapł Wasielewski. – Jeszcze im się nie znudziło? Wstał i cisnął pilota na stolik.

– Masz jakieś prochy od bólu głowy? Ta mieszanka Hansa przebiera teraz palcami po moim odsłoniętym mózgu.

– Jest aspiryna.

Michał wciągał przez głowę luźną bluzę, kiedy zadzwonił telefon. Zamarli obaj, wymienili niespokojne spojrzenia. Andrzej podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę

– Halo?

– Michael, das bist du?

Andrzej wyciągnął słuchawkę do Michała i szepnął, zasłaniając ręką mikrofon.

– Pamiętaj: dwie-trzy minuty. Jesteś cały czas w cedź aku. Michał kiwnął głową, wziął słuchawkę.

– Halo?

– Michał? – Głos był znajomy, choć zmieniony.

– Hans? – Michał rzucił znaczące spojrzenie Andrzejowi, który pospiesznie upychał w torbach ich rzeczy.

– Ja, das bin ich, mein lieber Michael – zachichotał. – Przepraszam, już mówię po ludzku. Tak mówiła Jagoda w żartach albo kiedy chciała mi dokuczyć.

Michał zakrył słuchawkę i poinformował Andrzeja:

– Jest pijany w dym!

– Halo, jesteś tam? – zawołał Biirger.

– Tak, słucham.

–Słu-ucham – przedrzeźnił go Biirger. – Nie ma co słuchać, trzeba działać! Hörst du? Handen!

–Tak, słyszę. Ale nie mogę działać, mam związane ręce. – Quatsch! So sprechen nur schwache Leute und du bist nicht schwach. – Słuchawka wiernie przeniosła przez łącza sapanie i głośnie beknięcia. – Du kannst viel machen.

–Liczyłem na ciebie, myślałem, że Marek dostał od ciebie pewien dokument.

W słuchawce zapadła na chwilę cisza. Michał słyszał łomoczące własne serce i widział, że Andrzej zamarł z niedomkniętym eklerem torby w ręku.

–Marek... – Biirger wrócił do języka polskiego. – Ale się upiłem! Nie mam już takiej głowy jak kiedyś. Z Markiem się tak nie upiłem. I już się nie upiję... Welch ein elendes Leben! Moja kochana żona Jagoda... Coraz mniej ludzi dokoła.

Nagle zaczął mówić szybciej. Dalej zająkiwał się i nienaturalnie przeciągał niektóre sylaby, lecz Michał odniósł wrażenie, że teraz udaje.

–Mój przyjaciel Dietlef, ledwie minęły dwa lata, a już jego książki leżą pokryte kurzem, nawet w naszej miejskiej bibliotece.

Andrzej stanął przed Michałem i uniósł do góry rękę z zegarkiem. Michał przymknął powieki na znak, że rozumie, ale nie odkładał słuchawki. Czuł, że zbliża się przełom. Nawet widok plutonu egzekucyjnego nie oderwałby go teraz od rozmowy. Nareszcie miał szansę dowiedzieć się czegoś o Marku i jego źródle informacji.

–To są zwykłe koleje losu – bąknął. Wasielewski przekonany, że rozmowa dotyczy jakichś prywatnych pijackich zwierzeń, zrobił wściekłą minę i pokręcił energicznie głową.

–Wcale mi to nie poprawia humoru – wyskandował Biirger. – Proch w urnie, pył na okładce. A co ze mną?

–Hans, jeśli chcesz, spotkajmy się i pogadamy.

–Nein, ich gehe schlafen. Ich bin betrunken. Ich gehe schlafen. Michael, du bist mein bester polnischer Freund... Scheiße!

–Zająknął się, odkaszlnął i niespodziewanie mocnym głosem dodał: – Przyjedź za godzinę. Sam.

W słuchawce rozległ się czysty, głośny sygnał centrali. Pod wściekłym spojrzeniem Andrzeja Michał cisnął słuchawkę w gniazdo. Porwał kurtkę wiszącą na oparciu fotela.

–Wynosimy się.

Dopiero kiedy wsiedli do samochodu, dokończył: – Hans nic sensownego nie powiedział, ale zażądał, żebym do niego przyszedł. Sam. Chyba trzeźwiał w miarę rozmowy. Wasielewski wyprowadził wóz z parkingu i włączył się do ruchu.

–Nie możemy teraz tam jechać – pokręcił głową. Namierzyli ciebie, odsłuchają treść rozmowy. Przez godzinę wiele można zdziałać.

–No to pójdę za pół.

–Też im wystarczy.

–Muszę zaryzykować. To jedyny i ostatni ślad. Jeśli tego nie zrobię, to zostają dwa wyjścia: poddać się albo wykopać sobie ziemiankę.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

–Na razie ścigają nas Polacy, więc chyba jeszcze tu nie dotarli. Mamy trochę czasu. – Michał wskazał zatoczkę przy jezdni ze znakiem zezwalającym na postój przez jedną minutę. – Stań tam. Wsiądę i przejdę się na piechotę.

Andrzej podjął nagłą decyzję.

–Okay. Robimy tak: ja gdzieś przywaruję na godzinę i spotkamy się... – zmarszczył czoło. – Trzysta metrów od jego domu jest dom towarowy Aldi. Za nim musi być parking.

Zatrzymał się w zatoczce i zerknął na zegarek.

–Jest czwarta dwadzieścia. Za godzinę.

Michał sięgnął do klamki, ale Wasielewski chwycił go za rękaw i przytrzymał.

–Nie siedź u niego długo. W razie potrzeby podaj mu adres w Inowrocławiu.

Zresztą wiesz, już to wałkowaliśmy.

Michał wyskoczył na chodnik i nie oglądając się, pomaszerował naprzód.

Usłyszał, jak za plecami wzrosły obroty silnika, a po chwili w polu widzenia pojawił się tył mazdy z umyślnie zachlapaną tablicą rejestracyjną. Poprawił kołnierz kurtki, wsunął ręce do kieszeni. Zatrzymał się przy reklamowym obrotowym walcu, w którym nowa nietłukąca butelka do pepsi spadała z metrowej wysokości na beton, gdzie uderzały w nią cztery metalowe młoty. Przez grube szyby dochodził ciężki łomot. Udając, że ogląda mechaniczny spektakl, Michał rzucił okiem w prawo i w lewo. Nie zauważył niczego podejrzanego. Ruszył energicznie i podczas dwudziestominutowego marszu zerkał na boki tylko na przejściach dla pieszych. Wszedł między budynki kilkadziesiąt metrów wcześniej, żeby uniknąć przechodzenia między garażami. Z bijącym sercem wystukał numer mieszkania Blirgera. Czekał chwilę, ale z mikrofonu nie dobiegał żaden dźwięk.

No i co teraz, zapytał siebie. Zasnął? Wszedł? Uciekać? Nie! Gdyby ktoś tam na mnie czekał, to by mnie wpuścił. Zrobił zniecierpliwioną minę i rozejrzał się dokoła. Otoczenie tchnęło przedwiecznym spokojem. Z bramy obok wyszła jakaś matka z wózkiem i drugim dzieckiem, płaczkliwie domagającym się wzięcia na ręce. Michał wystukał numer byle jakiego mieszkania, zasłonił sitko mikrofonu i niewyraźnie poprosił o otwarcie. Głos ponownie zapytał: „Kto tam?” i kiedy Michał stracił już nadzieję, zaterkotał brzęczyk zamka.

Michał szybko pchnął drzwi i wszedł do bramy. Było cicho. Od poprzedniej wizyty ktoś umył schody, pachniało chemiczną świeżością, a szeroka wycieraczka na podeście lśniła nasączona jakimś płynem. Przeskoczył nad nią i zadowolony z własnej przemyślności, nie zostawiając wilgotnych śladów, na palcach przemknął na piętro. Bez wahania nacisnął klamkę. Ustąpiła, więc wszedł do mieszkania, które opuścili przed kilkoma godzinami. Zamknął cicho drzwi i zawołał:

–Hans?

Odpowiedziało mu tylko ciche mamrotanie. Radio. Zrobił dwa kroki, powtórzył wołanie, ale wszedłszy do pokoju zrozumiał, że to nie ma sensu.

Najpierw zobaczył zwalone z regału książki, leżące bezładnie na podłodze. W pierwszym odruchu chciał uciec, ale zrozumiał, że jeśli teraz wyjdzie, nie dowie się niczego. Wstrzymując oddech, rozejrzał się za jakąś bronią. W końcu chwycił wysoki

smukły flakon. Przeszedł na palcach obok wybebeszonego regału. Spod stolika z gazetami ktoś wywalił cały zestaw prasy, pod pomrukującym radiem w wieży Sony leżały kasety, kilka rozgniecionych jakby w pośpiechu. Przez otwarte drzwi widać było wyrzucone z szafy ubrania. Kłęb pościeli zwiślał z krzywo położonego materaca na szerokim łożu. W całej sypialni pootwierano wszystkie szafki i szuflady, nie ruszono tylko małych kasetonów w tremo i sekretarzyku. Spod dywanu wystawał kawałek skarpety.

Nadal stąpając na palcach, żeby nie zdradzić swojej obecności, Michał przeszedł do kuchni. Tu również ktoś buszował, pootwierał drzwi szafek i wyciągnął z zamrażarki cały kosz na kólkach. Mrożonki lśniły wilgocią, straciły szron, ale jeszcze nie roztały. Najwyżej kilka minut temu, pomyślał Michał. W skroniach pulsowała krew, a w mózgu jakiś uparty rozhisteryzowany głos wywrzaskiwał monotonne ponaglenia: „Wynoś się stąd! Wynoś się stąd! No, szybciej, wynoś się stąd!” Nic nie znajdę, pomyślał. Boże, gdzie Hans? Zabrali go? Kto? Jeśli policja, to czekaliby tu na mnie. W takim razie kto?

Jeszcze raz rozejrzał się po mieszkaniu. Zauważył, że otwarte były tylko duże szafki i szuflady. Więc czego tu szukano? Czyżby opasłej teczki z kilkuset stronicami maszynopisu?

Wynoś się!

Wynoś się!!!

Uznał, że to głos rozsądku. Ostrożnie odstawił flakon na miejsce, potem przypomniał sobie o odciskach palców i zaczął pracowicie je ścierać, trzymając wazon przez poję kurtki. Wycofał się pod drzwi, przyłożył do nich ucho. Co robić? Powtórne przeszukiwanie mieszkania nie ma sensu, tamci na pewno fachowo przetrząsnęli wszystkie kąty i jeśli dokument tu był, to go znaleźli. Chyba że pijany Hans polazł dokądś i zostawił otwarte mieszkanie, a jakiś złodziejasek skorzystał z okazji. No, to się zdziwi gospodarz po powrocie!

Michał rozejrzał się ponownie. Zamknięte drzwi łazienki przyciągnęły jego wzrok. Uchylił je ostrożnie.

Od razu zrozumiał, że Hansa już nie zdziwi bałagan w mieszkaniu. Stał skamieniały, czując w żołądku lodowatą grudę. Gospodarz leżał na boku w wannie, ubrany jak podczas ich

wizyty. Na piersi po lewej stronie zakrzepła duża plama matowej już krwi. Druga plama widniała na plecach. Głowa była przekręcona na bok, prawe oko wpatrywało się martwo w nieskazitelną biel emalii. Na kolanach leżał niedbale ciśnięty miękki sztruksowy kapeć.

Michał jęknął. Z trudem oderwał spojrzenie od ciała. Uciekać! Uprzytomnił sobie, że w każdej chwili tamci mogli wrócić. Nie pamiętał, ile czasu spędził w mieszkaniu. A jeśli go oskarżą o popełnienie tej zbrodni? Zerknął jeszcze raz na zwłoki i wymknął się do salonu.

Klamki! Najpierw starannie przetał tę wewnętrzną. Usiłował sobie przypomnieć, czego jeszcze dotykał w mieszkaniu, ale nie mógł zebrać myśli. Przecież jedli tutaj obiad z Andrzejem! Naczynia, kieliszki, sztucce, butelki po piwie. Beznadziejna

sprawa, nigdy nie znajdzie tego wszystkiego. W końcu łokciem nacisnął klamkę i pełen złych przeczuć wymknął się z mieszkania. Z łomoczącym sercem zbiegł na dół i jak automat wyszedł z bramy.

Dopiero kilkadziesiąt metrów dalej, na pierwszym skrzyżowaniu ochłonął na tyle, że zaczął rozglądać się nerwowo. Po drugiej stronie ulicy zobaczył trzypiętrową bryłę domu towarowego. Omal się nie rozplakał na widok popielatej mazdy z zaniepokojonym Andrzejem za kierownicą. Silnik zaszemrał i wóz ruszył, gdy tylko Michał wsiadł.

–Co się stało, mów!

–Bttrger nie żyje – wykrztusił Weiss.

–Ja pierdolę! – jęknął Andrzej. – Pobiliście się?

–Zwariowałeś? – wrzasnął Michał. – Przecież to nie ja! On był martwy, zanim przyszedłem. O Jezu... Masz papierosy?

–Kurwa, gadaj, jak to było! – Wasielewski wyprowadził wóz z parkingu. – Po kolei.

–Papierosa!

–Jasny szlag, w kasecie. – Sapał chwilę. – No? – ponaglił, gdy Michał w końcu wygrzebał trzęsącymi się palcami papierosa i zapalił.

–Wszedłem... Mieszkanie wybebeszone, ktoś już tam był.

–Trzeba było spieprzać! – ryknął Andrzej.

–A co bym na tym zyskał, kilka godzin bezpieczeństwa? Myślałem, że ten, co przeszukiwał nie miał zbyt dużo czasu, od telefonu minęło ile? Pół godziny. Więc rozejrzałem się.

–I co?

–I nic. Tyle że w łazience znalazłem Hansa.

–Masz ci, kurwa, zasrany los. – Oderwał wzrok od jezdni, przyjrzał się Michałowi.

– Jak się czujesz?

–Przestań. Jak mam się czuć? Piłem z człowiekiem piwo, mija parę godzin i widzę go zastrzelonego we własnej wannie.

–Zastrzelonego... Właśnie miałem cię zapytać, jak zginął.

Jechali kilka minut w milczeniu. Michał zorientował się, że kierują się na wschód.

–Wracamy – oznajmił Wasielewski. – Tu już nic po nas.

Michał nie oponował, palił zachłannie. Z papierosa nie zdążył jeszcze opaść popiół, spalony tytoń utworzył długi słupek żaru.

Ładowisko rosło w oczach. Cztery szeregi wpasowanych w beton czerwonych lamp wykreślały kwadrat, wpisane w kwadrat koło było białe, a krzyż dzielący je na ćwiartki, zadziwiająco wyraźny w pełnym dziennym świetle – niebieski. Helikopter bez najmniejszego wahnięcia, łagodnie opadł na płozy. Wizg silnika zmienił ton i szybko ucichł. Drugi pilot wszedł do salonu i radośnie uśmiechnięty odblokował drzwi. Czego się szczerzy, pomyślał Najmowicz z irytacją. Zerwał słuchawki i zawiesił na podłokietniku. Olczak siedział bliżej drzwi, więc wstał pierwszy. Pułkownik skinął na pilota i powiedział:

– Powiedz mu, żeby nie gasił turbin i wysiądźcie wszyscy na kilka minut.

– Panie pułkowniku, to niezgodne z przepisami. Nie możemy zostawić maszyny, a tym bardziej... – bez wiary oponował pilot.

– Wylecicie z roboty zgodnie z przepisami!

Lotnik wahał się chwilę, w końcu wzruszył ramionami i pomaszerował do kabiny. Olczak pociągnął drzwi i pierwszy wyskoczył na ziemię. Za nim kicnął na beton Najmowicz, postukał czubkiem buta we fluorescencyjną krechę, wsadził ręce do kieszeni i ziewnął potężnie. Prawie dwie godziny w pomrukującym śmigłowcu nastroiły go sennie.

– Fajne te lampy, nie? – zagadnął Olczak. – Aż w oczy kłują.

– A i tak się śmigłowce rozpierdalają! – warknął Najmowicz zły, że podwładny odgadł jego myśli.

– Odmeldowuję się! – Olczak stuknął obcasami i wykonawszy przepisowy zwrot wycofał się.

Jeżu, co się ze mną dzieje? Kapitan zacisnął pięści trzymane w kieszeniach bluzy. Jeszcze mi brakuje, żebym się pożarł z Olczakiem. Przespacerował się do granic kwadratu, zawrócił i zobaczył nadjeżdżający samochód, błyskający niebieskim kogutem. Obaj piloci i Olczak stali kilka metrów od śmigłowca; łopaty wirników zamarły, ale turbiny pomrukiwały jeszcze niczym syte, zadowolone koty. Rozmawia przez telefon, pomyślał Najmowicz,

dlatego kazał nie gasić silnika. Ciekawe, dlaczego dopiero teraz melduje? Postawię pensję przeciwko paczce podpasek, że prowadzi politykę faktów dokonanych. Widać czuje się niepewnie.

Pułkownik czekał długą chwilę na połączenie. Gdy w słuchawce zmienił się ton tła dźwiękowego, powiedział po niemiecku:

– Jest wreszcie trop. Mamy miejscowość, w której są uciekinierzy, mamy namierzony numer telefonu, z którym się kontaktowali. – Postanowił nie ujawniać dodatkowego źródła informacji, nie wyjaśnił, że raport sekcji namierzania tylko potwierdził zeznanie Marty. – W związku z tym proszę o nadanie sprawie wysokiego priorytetu i poinformowanie miejscowych władz.

Słuchawka milczała. Krymarys spokojnie oddychał w mikrofon. Z głośniczka nagle popłynął przerywany sygnał. Pułkownik wzruszył ramionami, złożył telefon i schował do kieszeni. Rozparł się wygodnie w fotelu. Po kilku minutach namysłu przetarł twarz ręką, pomasował chwilę oczy i wstał.

Wyskoczył ze śmigłowca, podszedł do czekającego samochodu. Siedzący obok kierowcy mężczyzna z ogoloną głową rozmawiał przez telefon. Widząc pułkownika, kiwnął energicznie głową, zakończył rozmowę i wysiadł.

–Herr Oberst, der Kommissar der Kriminalpolizei, Walter Markus – powiedział. – Ich habe eben den Befehl bekommen, Ihnen die Untersuchung auf unserem Gebiet zu ermöglichen. Bitte.

Krymarys obejrzał się na Najmowicza i Olczaka. Obaj ruszyli w kierunku samochodu. Pułkownik usiadł obok kierowcy. Niemiec poczekał, aż goście zajmą swoje miejsca i wsiadł ostatni. Kierowca ruszył, nie czekając na polecenia.

–Czy po namierzeniu podjęto jakieś kroki? – zapytał pułkownik po niemiecku.

–Nie. Skaniny tego Weissa nie był w pierwszej setce najpilniejszych spraw. Zanotowaliśmy wynik i przesłaliśmy do sekcji skaningu. Nie było wskazówek...

–Czy ktoś pilnuje tego Biirgera?

–Tak. Od kwadransa. Jeśli chodzi o motel... – zawahał się.

Dupa zimna, pomyślał Olczak. Najmowicz zaczął cicho pogwizdywać. Poczł, jak siedzący obok policjant zeszywniał.

–Tak?

–W motelu mieszkali dwaj mężczyźni, Weiss pod nazwiskiem Prochner i drugi zameldowany jako Havlina. Zapłacili za dwie doby, nie ma ich w pokoju od kilku godzin.

–Samochód?

–Przyszli do motelu na piechotę, powiedzieli, że mieli awarię zawieszenia i wóz jest w remoncie.

–Sprawdziliście?

–Sprawdzamy. Część warsztatów jest zamknięta, musieliśmy rozesłać ludzi po domach, ale jest sobota...

–Dobrze. – Pułkownik odwrócił się i popatrzył na Najmowicza. – Coś jeszcze?

–Granica – podpowiedział kapitan.

–A właśnie. Zorganizujcie na najważniejszych drogach, szczególnie tych prowadzących do Wielkop... przez Brandenburg – poprawił się – inscenizacje kraksy: rozbity wóz, ograniczenie prędkości i kilku cywilnych i mundurowych o dobrej pamięci wzrokowej. Dajcie im fotografie Weissa i portrety pamięciowe z motelu.

–Nie robiliśmy, niski priorytet – usprawiedliwił się Markus wyciągając telefon. Mówił przez chwilę, akcentując polecenia ruchami wyprostowanego wskazującego palca.

I Ucieszony wpadką Niemca Olczak omal nie parsknął śmiechem. Inspektor rozłączył się, ale nie chował telefonu. Zbliżali się do otwieranej już bramy. W samochodzie panowało milczenie. – Do Biirgera – polecił w ostatniej chwili Krymarys.

Markus podał kierowcy adres. Nie odzywali się do siebie przez dwa kilometry. Potem pułkownik zainteresował się:

–Adres zabezpieczony?

–Tak, oczywiście – w głosie inspektora zabrzmiała lekka wymówka. – Grupa

szturmowa jest na miejscu.

–Grupa szturmowa? – zdziwił się pułkownik.

–On myśli, że mogą być wszyscy razem – wtrącił Najmowicz. Cała czwórka przez chwilę rozważała tę możliwość.

–Moim zdaniem nie – oświadczył pułkownik.

Chciał przerzucić ramię przez oparcie fotela, ale huknął łokciem w zagłówek.

Mruknął coś i obejrzał się z pytającą miną. Kapitan i Olczak pokręcili głowami.

Trzy minuty później wóz gwałtownie skręcił z jezdni w osiedlową alejkę. Zatrzymał się przed bramą budynku, przy dwóch rzędach garaży.

–Dwie bramy dalej – mruknął Markus.

Nie pytając o polecenia, ruszył pierwszy. Zza garażów wyłoniła się para młodych ludzi. Podeszli do bramy równocześnie z inspektorem. Jeden z nich prawie uderzył brzuchem w klamkę, jednocześnie wetknął do zamka wytrych zakończony pistoletową rękojeścią i nacisnął spust. Zamek ustąpił bez najmniejszego protestu. Młodzi ludzie wsunęli się do

środka, ale za drzwiami wbili się plecami w ściany i czekali na inspektora. Wszedł tuż za nimi i również odsunął się na bok. Gdy do bramy weszli Polacy, pokazał jeden palec, wskazał schody i zamierzał ruszyć pierwszy, ale pułkownik pokręcił głową. Wskazał palcem Najmowicza, potem Olczaka i siebie. Markus znalazł się dopiero na czwartym miejscu. Przyjął to spokojnie. Odczekał, aż wszyscy przejdą, i ruszył za nimi nawet nie wyjmując broni.

Polaczki! Jeszcze się nie nauczyli porządku, pomyślał. Jeszcze im się wydaje, że jak będą trzymali ze sobą, to coś osiągną. Jak żydostwo, jak turecka komuna. Nacjonalizm w płytkim wsiowym wydaniu. Co za prymitywy!

Krymarys wsunął dłoń do kieszeni. Idący przodem Najmowicz nie bawił się w dyskrecję, tylko wyjął walthera. Posługiwał się tą bronią od lat, wystarczyło mu lekko podrzucić pistolet, żeby wiedzieć, ile naboji siedzi w magazynku, a mechanizm spustowy podwójnego działania pozwalał na oddanie strzału bez żadnych wstępnych manipulacji. Przemknął przez podest bez hałasu, przeszorował plecami po ścianie, wygiął szyję jak hinduska tancerka i przyłożył ucho do drzwi mieszkania Hansa Biirgera. Zerknął na Olczaka, wysunął lewą rękę i delikatnie przekręcił klamkę. Pchnięte lekko drzwi stanęły otworem. Najmowicz przykucnął w przedpokoju, mając za plecami Olczaka z identycznym pistoletem. Wywiadowca wskazał sypialnię, na palcach ruszył w tamtym kierunku. Przyklejony do ściany przy drzwiach, zerknął ostrożnie, skrzywił się na widok bałaganu i wskoczył do sypialni. Chwilę potem wrócił do salonu. Trzymał pistolet w wyciągniętej ręce, ale mina świadczyła o tym, że nie wierzy w niebezpieczeństwo. Najmowicz wskazał na siebie i kuchnię, wsunął się jak wąż za drzwi, wlaź w kałużę wody, pośliznął się i grzmotnął jak długi z cichym stęknieniem. Poderwał się natychmiast, strzepnął wodę z ramienia i dłoni, zmierzył wściekłym spojrzeniem wywiadowcę.

Olczak wyciągnął palec w stronę łazienki. Kapitan potarł łokieć i wrócił do salonu. Drzwi do łazienki były tylko przymknięte. Trącił je i zerknął do środka. Patrzył przez chwilę.

–Zawołaj pułkownika – powiedział głośno. Wsadził pistolet do kabury pod pachą, stanął na wprost drzwi i przyglądał się zwłokom. Po chwili przepuścił pułkownika i Markusa. Kiwnął na Olczaka i wycofał się do sypialni.

–Wszystko przetrzepane? – zapytał.

–Dokładnie – potwierdził wywiadowca.

–Kurwa, albo znalazł, albo...

–I tak mamy tu od zajebania roboty – stwierdził Olczak.

–Zamknij się.

Wrócił do salonu. Krymarys z Markusem pochylali się nad wanną, inspektor pociągał nosem, jakby chciał zwietrzyć trop. Pułkownik podniósł na policjantów pytający wzrok. Obaj lekko pokręcili głowami. Wymamrotał coś bezgłośnie.

–Panie inspektorze, proszę sprowadzić ekipę medyczną i waszych najlepszych ludzi do przeszukania mieszkania. Kilka termosów z kawą i herbatą, coś do jedzenia. Tylko on -wskazał ciało w wannie – może opuścić to mieszkanie. Pozostali będą tu siedzieć tak długo, dopóki nie uzyskamy absolutnej pewności, że interesujące nas przedmioty nie znajdują się w jakiejś skrytce.

Walter Markus skinął głową, odsunął się i zaczął konwersację przez telefon. Rozłączywszy się, zwolnił grupę szturmową. Pozostawił tylko pięciu policjantów, którym kazał zamknąć bramę i nie wypuszczać nikogo bez przesłuchania. Potem podszedł do Polaków. Olczak właśnie pokazywał pułkownikowi i Najmowiczowi jędrny Jasiek z kanapy przedziurawiony pociskiem, osmalony z jednej strony.

–Przez to strzelił – wyjaśnił niepotrzebnie. Inspektor chrząknięciem zwrócił na siebie uwagę Krymarysa.

–Przepraszam, pułkowniku, czego będziemy szukać?

–Dowiemy się, jak znajdziemy. – Pułkownik poklepał go po ramieniu. – To pewne. Odwrócił się do swoich i powiedział po polsku:

–Pomyśleć, że stalinowska kryminalna wcisnęła narodowi, że na siatkówce oka ofiary zostaje fotka ostatniej rzeczy, jaką widziało, rozumiecie? Cała masa ludzi w to uwierzyła. – Chwycił się za ucho i pociągnął w dół. – Fajnie by było...

W garażu Michał zdarł z siebie koc, pod którym przeleżał drogę przez pół miasta, wyskoczył z wozu i pierwszy dopadł drzwi. Namacał klamkę i odwrócił się do Andrzeja.

–Możesz mi zdobyć broń?

–Co? – syknął zapytany.

–Broń.

Andrzej wytrzeszczył oczy na Michała. W kompletnej ciszy trzasnął metalicznie jakiś stygnący element silnika.

–Masz broń? Masz coś dla siebie? – dopytywał się Michał.

–Nie, służbową zwróciłem, a potem nie była mi potrzebna.

Przed oczami Michała stanęła scena, w której Andrzej energicznie strzepuje na miejsce zadartą połą marynarki. Wieloletni, mocno zakorzeniony nawyk, uprzytomnił sobie.

–Możesz powiedzieć, po co ci broń? Chcesz się strzelać z policją? Długo nie

postrzelasz.

–Z policją? – syknął Michał. – Myślisz, że to policja zastrzeliła Hansa, a potem spokojnie opuściła mieszkanie, żebym mógł je sobie obejrzeć?

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale za plecami zachrobotała poruszona klamka. Odsunął się, otworzył drzwi. W progu stała Krystyna. Bez słowa przywarła do Michała. Dopiero w kuchni, nalewając kawę, zapytała:

–No i czego się dowiedzieliście?

–Niewiele – odparł Michał i łyknął kawy. – Hans nie przyznał się do żadnych związków z dokumentem. Za to zrobił nam wykład z historii Polski. Myślałem, że na końcu powie coś w stylu: „Jesteście zakałą Europy, ale ja was, państwo Lachy, lubię” i wyciągnie ten wydruk. Ale nic z tego. Napoił nas drogim piwem i i sznapsem, to wszystko. A potem zadzwonił do hotelu, pijany w dym i zażądał, żebym przyszedł. No to poszedłem, ale w międzyczasie ktoś go załatwił i przeszukał mieszkanie.

Krystyna milczała, wodząc wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego.

–Andrzej sugeruje, że to sprawka jakiejś komórki policji – kontynuował Michał. – A ja pytam: po cholere mieliby to robić? Jeśli Hans miał dokument, wystarczyło go zabrać i poczekać na mnie.

Andrzej spokojnie popijał kawę, nie zwracając uwagi na zaczepny ton Weissa.

–No? Dobrze mówię?

–A jeśli Hans nie miał dokumentu? – zareagował w końcu Wasielewski.

–To gliny powinny zgarnąć go do przesłuchania i poczekać na Polaka...

–Pod warunkiem, że Biirger uprzedził ich o twojej wizycie.

–No to powinni go zabrać, a w mieszkaniu zostawić ekipę do przeszukania.

–Tak już lepiej – zgodził się Andrzej. – Może ekipa wyszła na obiad? Nie masz pojęcia, jak głupio czasem postępują ludzie, również policjanci.

–Nie, to niedorzeczne, taki ciąg przypadków: akurat zabili chwilę po rozmowie ze mną, akurat pobieżnie przejrzeni mieszkanie i wyszli na pizzę tuż przed moim przyjściem -Michał pokręcił głową i odstawił filiżankę.

Podczas tej wymiany zdań Krystyna milczała, skubiąc brzeg rękawa.

–Poszedłeś tam sam? – zapytała w końcu.

–Tak. – Andrzej otworzył usta, ale Michał wyprzedził jego usprawiedliwienia: – Hans tego zażądał.

–Ja pojechałem do myjni – uzupełnił Wasielewski. Gdzieś musiałem przesiedzieć ten czas, poza tym kazałem umyć podwozie i przy okazji sprawdziłem, czy czegoś nam nie przyczepili.

Ruszający po drugą porcję kawy Michał zatrzymał się i zapytał:

–To dlatego jeszcze raz myłeś wóz? Skinienie głowy.

–Dlaczego mi nie powiedziałaś? Wzruszenie ramion.

–Az tak źle ze mną?

–Nie, ale po co? Sam podjąłem odpowiednie kroki.

–Szorowanie podwozia i jazda bocznymi drogami?

–Uhum. – Wasielewski dokończył swoją kawę, przeciągnął się. – Nie zwróciłeś uwagi na komunikaty o kraksach?

–Nie.

–A ja tak. Na drogach do Warthenlandu w kilku miejscach rozbiły się samochody i spowodowały zakłócenie ruchu. To prosty i nadzwyczaj skuteczny sposób: w miejscu rzekomej kraksy stoi kupa policjantów, kieruje ruchem i przy okazji przygląda się przejeżdżającym samochodom.

Wpatrywały się w niego dwie pary oszołomionych oczu. Po chwili Krystyna zaproponowała:

–Napijecie się koniaku? Dla mnie już nie jest za wcześnie. Rozsiedli się w salonie, wdychając bukiet unoszący się z kielichów.

–Czyli co teraz mamy?

–Morderstwo – mruknął Michał.

–Oraz mocne poszlaki, że Biirger coś wiedział – Andrzej odwrócił się do Michała. – Wcale nie był szczególnie zdziwiony naszą wizytą. W dodatku wygłosił długą perorę, świadczącą o jego zainteresowaniu Polską. Moim zdaniem trafiliśmy na ślad.

–Czyli wystarczy odkryć mordercę! – stwierdził Krystyna.

–Chyba tak – zgodził się Michał.

–Nie bardzo – zaproponował Wasielewski. – On czy oni nie muszą mieć dokumentu. Mówiłeś, że mieszkanie było przeszukane, ale z grubsza, tak? Jesteś pewien, że nie przeoczyli jakiegokolwiek kości, CD czy nawet dyskietki?

Klepnięcie się w czoło wystarczyło za odpowiedź.

–Kompakty! Nawet ich nie przejrzałem!

–Daj spokój, jest mnóstwo miejsc, do których nie zajrzałeś. Tam teraz siedzi fachowa ekipa i dokładnie wszystko sprawdza.

Krystyna zakrzuszyła się gwałtownie, zamachała rękami.

–Tam zostały twoje ślady! – jęknęła, kiedy odzyskała dech. – Odciski palców!

–Moje też – pocieszył ją Andrzej. Przez chwile milczeli ponuro.

–Uciekamy? – zapytała wreszcie Krystyna.

–Na razie nie. Lepiej siedzieć tutaj niż szwendać się po ulicach.

–No to idę robić obiad.

Wstała, przechodząc obok Michała pochyliła się i pocałowała go w policzek. Zniknęła w kuchni, skąd dobiegł szcęk drzwi zamrażarki, szelest folii i stukanie jakichś Pojemników.

–Jesteś pewien, że zasługujesz na taką kobietę? szeptem zapytał Andrzej.

–Nie – padła równie cicha odpowiedź.

–Gdybym myślał, że sam zasługuję, próbowałbym ci ją odbić.

Michał uśmiechnął się z trudem, stłumił ziewnięcie. Uświadomił sobie, że nie spał w łóżku prawie od czterdziestu ośmiu godzin. Koniak i poczucie względnie bezpieczeństwa uruchomiły mechanizm Wielkiego Wewnętrznego Pokojowca, który zacierając pracowite łapki prowadził go po jakimś korytarzu, wielkim głosem wołając: „Idziemy spać! Idziemy spać! Karaluchy do poduchy, a szczypawki do nogawki!”

Wzdrygnął się i oprzytomniał. Widocznie przysnął na chwilę. Andrzej nic nie zauważył. Siedział zamyślony, kołysząc w dłoni kieliszek z koniakiem. Miał wyraźne cienie pod oczami, lewy kącik ust drgał mu nerwowo. Michał poczuł wyrzuty

sumienia – oto wciągnął w krwawą aferę niewinnego człowieka. Zapragnął jakoś się usprawiedliwić, wyjaśnić, otworzył usta, ale nie znalazł słów. Andrzej zauważył ten nieznaczny ruch, kiwnął głową

–Myślałem, że już śpisz.

–Mało brakowało – przyznał Michał. – Wydaje mi się, że to trwa od wieków.

–A naprawdę kiedy się zaczęło?

–Zaraz, dzisiaj mamy niedzielę, dwudziesty wrzesień. Imieniny Marty były trzynastego. Dopiero tydzień?!

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

–Inna sprawa, że nie przeżyłem jeszcze takiego tygodnia. I może nie przeżyję - mruknął.

Ze zdziwieniem odkrył, że myśli o tym obojętnie. Zahartowany? Zmęczony? Zniechęcony? Zrezygnowany?

Igor Rodionowicz obudził się w nocy z bolącą głową. W ciągu ostatnich dwu miesięcy zdarzyło mu się to kilka razy, wcześniej nigdy poza przebudzeniem po libacji. Ból był tępy, kamienny, z gatunku takich, co to byle tabletki nie załatwi. Poza tym majorowi śniło się, że nie może zasnąć, a taki sen nie regenerował sił. Byszowiec obudził się zmęczony, zły i obolały. Rzucić by to wszystko i wynieść się na wieś, pomyślał wlokąc się do kuchni. Spać z

oknem otwartym na pola, nażreć się kartofli z kefirem, pierdnąć i narąbać drew, a wieczorkiem – łaźnia, setka i do łóżka.

Wyjął z chowanej przed żoną kopertki jedną z trzech pozostałych tabletek i łyknął popijając letnią mineralną. Wolałby zimną, z lodówki, ale żona usłyszałaby otwieranie drzwi i zaczęłoby się: „Igoriok, tyś chyba zupełnie zwariował! Zimna woda na rozgrzane gardło?!” Żona majora uważała, że największym po Hitlerze masowym mordercą był, jest i będzie przeciąg. W ostatnich latach jej opiekuńczość sprowadzała się przede wszystkim do chronienia męża od raptownych skoków temperatury.

Napił się jeszcze wody, cicho wypuścił wzbierające w przełyku gazy, zamarł słysząc szelest pościeli, ale żona nie odezwała się.

Ta zajadła suka, Poniedziałnik, niech wraca, pomyślał Byszowiec. Gównu tam znajdzie, najwyżej przydusi się kapustę z komendy, trudno – a la guerre, comme a la guerre. Na wajnie nie bież żertw! Znajdzie się ktoś inny.

Przyłożył butelkę do czoła, ale miała temperaturę niewiele niższą od temperatury ciała, zero ulgi. Pałący ból wywołał obraz mózgu spieczonego na skwarę. Kiedyś kąpałem się w przerębłach, przypomniał sobie Byszowiec, ależ to było przeżycie...

–Igor, zwariowałeś! – pisnęła z tyłu żona. Wystraszony major drgnął i omal nie upuścił butelki.

–Czego się drzesz!?! – ryknął. – Nie możesz spać? Załatwię ci nocny etat pisuardessy w komendzie, cholera!

Z hukiem odstawił butelkę na blat i powłókł się do łazienki, żeby tam poczekać, aż zadziała piguła, o której lekarz powiedział, że należy je łykać tylko w razie wielkiej konieczności i – broń Boże – jedną po drugiej.

Obudził go dźwięk telefonu. Poderwał się, natychmiast oprzytomniał i uświadomił sobie, gdzie się znajduje. O tej Porze telefon do nich mógł oznaczać tylko jedno – hasło o ucieczki. Ale telefon milczał. Michał ostrożnie podniósł słuchawkę, ale usłyszał tylko przeciągły sygnał. Jeszcze delikatniej odłożył słuchawkę i opuścił nogi na miękką wykładzinę.

Cały był zlany zimnym potem. Zdawało mu się, że temperatura w sypialni gwałtownie spadała. Na palcach wymknął się na schody i zbiegł do salonu. Powoli, zrugął siebie w myślach. Kto mógł tutaj dzwonić? Andrzej? Dlaczego jeden sygnał? Aż tak się spieszył? Podświetlił tarczę zegarka. Druga czterdzieści. Poniedziałek. Gdyby go aresztowali... nie, wtedy nie zadzwoniłby tutaj, żeby zapis nas nie zdradził.

Odetchnął z ulgą. Widocznie obudził go przypadkowy sygnał, jakieś krótkie elektroniczne echo z centrali upakowanej w skalaki. Taki mały cyfrowy sukinsyn, któremu udało się na chwilę zmylić strażników madę in Sony i wykrzyknąć coś do pierwszej lepszej słuchawki.

Poszedł do kuchni, z lodówki wyjął butelkę mineralnej i napił się, nie zawracając sobie głowy szukaniem szklanki. Był zimna, ale niegazowana. Nie lubił takich, choć rozumiał, na czym polega ich przewaga nad tymi nasyconymi dwutlenkiem węgla. Jarek ukuł kiedyś hasło reklamowe, które Michał z ogromną przyjemnością kolportował wśród znajomych. „Nasza Oplątanka jeszcze bardziej niegazowana. Teraz – najbardziej niegazowana na naszym globie!” Zrezygnowany i spragniony, wypił jeszcze kilka łyków.

–Albo przyśniło mi się – powiedział na głos.

Co mógł oznaczać taki sen? Zupełnie jakby jakiś strażnik w mózgu ostrzegał przed niebezpieczeństwem. Widocznie podświadomość próbuje mi przekazać, że coś przegapiłem, pomiąłem, zlekceważyłem. Ale co?

Drgnął, gdy biper kuchennego zegara oznajmił trzecią rano. Ziewnął i pomyślał, że chyba już nie zaśnie. Odruchowo zerknął na schody, ale nie zobaczył na nich Krystyny. Poszedł do łazienki i szorując zęby szukał w oczach, w rysach twarzy odpowiedzi. Bez rezultatu. Boso wrócił na chwilę do kuchni, zmieszał z trzech gatunków ładunek do ekspresu i wskoczył pod prysznic z nadzieją, że hałas wody nie dochodzi na górę.

Pod prysznicem dopadło go olśnienie. Długo stał bez ruchu pod ulewą z obawy, żeby nie spłoszyć rozwiązania. Dopiero kiedy wszystko przemyślał, roześmiał się z ulgą i owinięty ręcznikiem wyszedł z łazienki.

W salonie na stoliku stały filiżanki z parującą kawą, na tacy leżały cienkie chrupki posmarowane czekoladą i konfiturami, a na kanapie komplet bielizny i nowiotki bawełniany dres. Michał zatrzymał się zaraz za progiem i chłonął widok.

–Czemu się tłuczysz po nocy? – burknęła Krystyna, wychodząc z kuchni z dzbankiem soku. Miała na sobie peniuar, włosy upięła niedbale kilkoma szpilkami, ale mnóstwo kobiet oddałoby miesięczną pensję za taką fryzurę.

–Wiesz, co się stało? – zawołał radośnie. Pokręciła głową, unosząc filiżankę do ust.

–Odkryłem, co mi chciał powiedzieć Hans w ostatniej rozmowie. Bełkotał o

przyjacielu, którego dzieła pokrywają się kurzem w miejscowej bibliotece. Mówił o nim: „Dietlef, a wiesz, kto ma tak na imię? – Krystyna zaprzeczyła ruchem głowy. – Hegelsdorfer! Hans nie miał powodu, żeby wymieniać to imię, chyba że polegał na mojej pamięci i inteligencji.

–No to co chciał powiedzieć?

–Ukrył dokumenty w jakimś zakurzonym dziele Hegelsdorfera w bibliotece!

Patrzyła na niego długą chwilę pustym wzrokiem. Jak ludzie po spotkaniach z UFO w drugoligowych filmach, pomyślał Michał. Jest zmęczona, zniechęcona.

–Aha. – Odstawiła filiżankę i spokojnie sięgnęła po dzbanek z sokiem. – I co dalej?

–To już wszystko.

Zabrał się do chrupania i popijania. Krystyna przyglądała mu się podejrzliwie.

–Nie masz nic więcej do powiedzenia? – zapytała pozornie niedbałym tonem.

Zamarł na chwilę.

–Jesteś zawsze o krok przede mną. Oświadczyłbym się, ale ty już pewnie jesteś po ślubie.

–Głupi dowcip.

–Przepraszam. Jadę do Salzwedel. Muszę to sprawdzić.

–Poczekasz na Andrzeja – zaryzykowała.

–Nie, jadę sam. Sprawdzę pociągi albo samoloty.

–Przecież zgodziliśmy się, że tam właśnie czyhają.

–Krysiu – poprosił. – Nasz wóz, znaczy się Andrzeja, też już jest spalony. Tam został trup, pamiętaj o tym. Ktoś mógł nas widzieć. W tej sytuacji lotnisko może być nawet lepsze. Poza tym musiałbym łapać Andrzeja, przekonywać... Nie, pojedę sam.

–A potem?

Pochylił się i odsunawszy połą peniuaru, pocałował ją w kolano. Popatrzył jej w oczy z żabiej perspektywy.

–Ty pomyśl – zaproponował. – Ja już się wyeksploatowałem.

–Zobaczymy. Zresztą już wymyśliłam.

–Co?

Krystyna wstała i ruszyła w kierunku schodów.

–Do Berlina loty pewnie są co godzinę, stamtąd do Bremy jeszcze częściej. Nie przerywaj! Jeśli chcesz wiedzieć, co wymyśliłam, chodź na górę.

Patrzył z nadzieją, że na szczycie schodów zatrzyma się i obejrzy, ale nie odwróciła głowy. Dopił sok, chwycił dzbanek i popędził na górę.

W kuchni biper pisał „wpół do czwartej”:

Do jedenastej brakowało kilku minut, gdy ktoś zadzwonił trzy razy do drzwi. Krystyna zerknęła w judasza, otworzyła.

–Witaj, skarbie! – Andrzej wpadł i w progu ucałował ją w policzek. – Coś nowego?

Nie była pewna, czy Wasielewski robi to na użytek dociekliwej sąsiadki. Zerknęła ponad jego ramieniem na dom Sterczyńskiej. Niezawodna, pomyślała widząc ciemny kontur za firanką. Zamknęła drzwi.

–Zaplanowałem na dzisiaj burzę mózgow – radośnie oznajmił Wasielewski. – Skończyła się paczka pomysłów, trzeba rozpakować drugą.

Podszedł do stolika, zgarnął kilka suszonych moreli wymieszanych z migdałami.

–Musimy wytropić, skąd Biirger miał dokument. Wrzucił do ust zdobycz i zaczął zaciekle gryźć. – Michał śpi jeszcze?

–Nie. Pojechał do Salzwedel...

–Co?!? – Jednym skokiem dopadł jej i chwycił za rękę. – Kiedy? Po co?

Zabolał ją ściśnięty nadgarstek. Szarpnęła mocno, ale Andrzej nie puścił, więc po prostu stanęła z wyczekującą miną. Oprzytomniał po kilku sekundach.

–Przepraszam. – Szybko podniósł jej dłoń do ust i ucałował. – Ale tak mnie zaskoczyłaś... Czy on zwariował?

–Nie, chyba nie. Po prostu sobie coś przypomniał.

–Jezu! – okręcił się na pięcie z zaciśniętymi pięściami. – Nie mógł na mnie poczekać? – Pomaszerował do okna i z powrotem, mówiąc szybko: – To idiotyzm, przecież tam pełno policji! Jest trup, jest ten Krymarys ze swoją sforą, a tu amator pakuje się w sam środek tego burdelu!

Odwrócił się i z widocznym wysiłkiem panując nad sobą, zapytał:

–Co on sobie przypomniał?

Jeszcze przed chwilą, zanim cęgami twardych palców chwycił ją za rękę, zamierzała powiedzieć mu wszystko. Teraz, gdy Andrzej coraz gwałtowniej potępiał głupotę postępowania Michała, rosła w niej przekora. Otworzyła usta, zęby powiedzieć, że niewiele wie, lecz nagle coś jej przyszło do głowy.

–Dlaczego uważasz, że Krymarys będzie w Salzwedel? Skąd niby ma wiedzieć?

–Myślisz, że nie złapie tropu łączącego Michała z Bazarewiczem? – Minał ją w drodze do drugiego okna, uderzył pięścią w stuloną dłoń. – Wyprzedzaliśmy pułkownika, ale to się skończyło. Pamiętaj o podsłuchu w sieci telefonicznej. A kiedy idziemy równo, to jesteśmy przegrani. Przegrani!

Stanął przed nią pocierając prawą pięść, jakby rozgrzewał się przed walką. Nagła fala strachu załapała Krystynę.

–Teraz pułkownik zgarnie Michała i koniec pieśni! Gwałtownie odwrócił się, zwałił na kanapę i nagle z całej siły uderzył pięścią w kolano. – Kurwa mać! – Myślę...

–Gównu tam! Wcześniej trzeba było myśleć! Nie puszczaj tego kretyna!

Ogarnął ją zimny, morderczy gniew. Poczwała, że za sekundę chwyci flakon i walnie nim z całej siły w ścianę albo – jeśli się nie opanuje – w głowę Andrzeja.

–Nie musisz tak się podniecać – powiedziała spokojnie. – W końcu to przede wszystkim nasza sprawa.

–Akurat! – wrzasnął, potrząsając palcem niczym belfer wygrażający uczniom. – Teraz jestem uczestnikiem jakiejś afery o pierdolonym państwowym priorytecie i współnikiem zbrodni, odkąd pojawił się trup.

–Zwariowałaś – oznajmiła z lodem w głosie. – Myślisz, że Michał go zabił? To najgłupsza...

–A kogo to obchodzi? – przerwał. – Mieszkanie pełne odcisków, motyw widoczny jak kurwa na pogrzebie.

Milczeli przez chwilę, on zrezygnowany i wściekły, ona targana wątpliwościami. Potem pomyślała sobie, że jeśli jeden z poszukiwanych mężczyzn będzie myszkował

w bibliotece, to może mu się uda, ale drugi w tym samym miejscu – przesada. Nie, nic nie powiem, zdecydowała.

Andrzej zerwał się potrącając stolik.

–Jadę za nim. Jakoś go znajdę, Salzwedel to małe miasteczko. Nie mogę go zostawić samego, nie w takiej sytuacji.

–On pewnie będzie wracał pociągiem – bąknęła, łamiąc wcześniejsze postanowienie.

–Dobra, złapię go na dworcu. Trzymaj się – rzucił. Została sama. Odrzuciła głowę do tyłu, zamknęła oczy i starała się uporządkować rozbiegane myśli. Michał pojechał do starych Niemiec, Andrzej zarzucił mu ignorancję i głupotę, postraszył jakimiś konsekwencjami. Co robić? Potrząsnęła głową i nagle zdecydowała, że powinna spakować wszystko, co świadczy o ich pobycie w domu, przygotować się na ucieczkę w każdej chwili. Sypialnia, łazienka na górze, potem salon, natrysk na dole i na końcu kuchnia.

Okręciła się na pięcie – i zamarła słysząc rytmiczny zgrzyt żwiru na ścieżce przed domem. Kilka sekund później odezwał się gong. Krystyna stała nieruchomo. Dzwonek ponownie zadźwięczał, a potem ktoś niecierpliwie uderzył dłonią w drzwi.

–Otwieraj, szantrapo!

Ozdobiona wielobarwnym owalem tabliczka głosiła, że biblioteka należy do Fundacji Niezależnych Instytucji „Tęcza”. Do otwarcia został kwadrans, o ile, myślał ponuro Michał, wredny los nie zesłał grypy na bibliotekarkę. Obszedł budynek dokoła, wypatrując wejść możliwych do sforsowania przez amatora. Znalazł drzwi do piwnicy i jedno okno z rodzaju

tych, które według Jarka „można otworzyć kiszonym bananem”. Wykonał jeszcze jedną rundę wokół wolno stojącego budynku mieszczącego bibliotekę, archiwum miejskie i dwa zrzeszenia emerytów. Potem poszedł na kawę do baru przy stacji benzynowej, gdzie dwie rozognione tematem kelnerki półgłosem omawiały zachowanie męża szefowej.

Wrócił do biblioteki dwadzieścia po dziewiątej. W żołądku czuł lodowaty ciężar. Serce podeszło mu do gardła, gdy trącona klamka uruchomiła automat otwierający drzwi.

Odetchnął głęboko przez szeroko otwarte usta.

Obszedł szklany regał z jakimiś pucharami i makatkami. Zza biurka uniosła głowę młoda dziewczyna w dużej czapce z daszkiem. Uśmiechnęła się na powitanie. Michał w duchu skrzyżował palce.

–Dzień dobry. Zatrzymam się na kilka dni w Salzwedel – powiedział po niemiecku. – Czy mogę skorzystać z zasobów biblioteki?

–Oczywiście. – Wstała i okrągłym gestem, podpatrzonym chyba u jakiejś stewardessy, wskazała plakat po swojej lewej ręce. – FNI jest zrzeszona w państwowej sieci bibliotecznej i kilkunastu prywatnych. Dlatego może Pan za niewielką dodatkową opłatą wypożyczyć u nas Książkę, a zwrócić w dowolnej współzrzeszonej placówce.

Szeroko otworzył oczy.

–Dawno już nie korzystałem z usług bibliotek – przyznał. – Dużo podróżuję, gdybym wcześniej wpadł na ten pomysł... – Uśmiechnął się szeroko. – Jakież dokumenty? Zatrzepotała rękami:

–Karta kredytowa.

Wyjął portfel i podał Visę. Podziękowała uśmiechem, wsunęła kartę do szczeliny czytnika.

–Proszę wybierać – zaprosiła szerokim gestem. Michał ruszył pomiędzy regały. Najpierw postanowił wziąć coś, co wybrałby komiwojażer: ze dwa kryminały, jakąś fantastykę czy sensację, a dopiero potem poszukać półki, gdzie pod warstwą kurzu spoczywał Hegelsdorfer. Przejeżdżając palcem po pstrych grzbietach kombinował gorączkowo: może najpierw znaleźć dokument i przenieść w inne miejsce? Nie, bez sensu – jeśli mnie tu przyskrzynią, to sprawdzą cały księgozbiór, książka po książce. Lepiej złapać dokument i pryskać. Wyszarpnął z półki dwa tomiki, przesunął się o dwa regały w bok, dołożył coś, co błysnęło anglojęzycznym tytułem Flashback i rezygnując z hektarów Jedwabnej pościeli”, ruszył do dwudziestocalowego monitora pulsującego sygnałem gotowości. Zanim jednak wystukał „Hegelsdorfer”, uświadomił sobie, że to nazwisko zostanie w pamięci komputera. Sięgnął więc do archaicznego katalogu z pożółkłymi fiszkami i tam znalazł koordynaty

regału, gdzie trzymano dwa podręczniki ekonomii, tom esejów o afrykańskich drogach do europejskich stosunków ekonomicznych i rozważania o południowoamerykańskim systemie monetarnym.

Odsunął się od katalogu. Czy po odciskach palców mogą odkryć, czego szukałem? Nie, dość tej paranoi. Przeszedł między regałami wsłuchując się w biblioteczną ciszę, ale słyszał tylko łomot własnej krwi. Zdecydowanie minął szeregi regałów, skręcił kilka razy w niewłaściwe odnogi i wreszcie dotarł do poszukiwanej półki. Odnalazł wszystkie cztery tomy dzieł Dietlefa Hegelsdorfera. Biirger przesadził – nie były pokryte kurzem, ale sądząc po datownikach, rzeczywiście nie cieszyły się specjalnym wzięciem.

Położył wcześniej wyluskaną beletrystykę na podłodze i wziął do ręki pierwszy wolumin. Przewertował uważnie, szukając jakiejś wskazówki w postaci karteczki, notatki na marginesie, adresu, telefonu, linku w Internecie... Nic. gięgnął po pozostałe tomy. W miarę, jak gasła nadzieja, w gardle mu zasychało, a serce łomotało coraz głośniejsze. Ponownie sprawdził pierwszy wolumin, uniósł grzbietem do góry, przetrzepał kartki. Powtórzył operację z następną książką. Postanowił, że jeśli nie znajdzie żadnej wskazówki, zabierze wszystkie cztery foliały i znak po znaku przeanalizuje w jakimś spokojnym miejscu. Odłożył eseje o Afryce, przeszukał drugi podręcznik i rozważania o południowej Ameryce.

Nic.

Rozejrzał się dookoła, odetchnął głęboko kilka razy. Zabieram! Pochylił się po leżącą na podłodze beletrystykę. Podnosząc się zerknął do góry i wtedy zobaczył, że pod spodem półki nakrywającej Hegelsdorfera znajduje się gruba koperta, przyklejona na krzyż szeroką taśmą.

Ach!

Zamarł, niezdolny do ruchu. Zrozumiał, że przychodząc tu właściwie nie liczył na sukces. Teraz, kiedy osiągnął swój cel, poczuł w głowie kompletną pustkę. Miał wrażenie, że tkwi tak w niewygodnej pozycji od kilku minut. Wreszcie wstał i nie dotykając koperty, przespacerował się wzdłuż regału. Wrócił, porządnie odłożył wszystkie cztery księgi na miejsce, wsadził pod pachę o wiele mniejsze trzy kryminały i dopiero teraz sięgnął pod półkę. Delikatnie pociągnął kopertę. Taśma odkleiła się z cichutkim szelestem, który Michałowi wydawał się przeraźliwie donośny, niczym zgrzyt styropianu po szkłe. Chwycił kopertę w rozdygotane dłonie i wsunął za pasek spodni na plecach. Ruszył z powrotem do bibliotekarki.

–Już? – zapytała uprzejmie i zaczytała z kodonot dane wybranych pozycji. Podąła Michałowi jego kartę kredytową oraz drugi plastikowy prostokąt. – Oto pański identyfikator.

–Dziękuję. – Zawahał się. – Toaleta?

–W lewo i w prawo, są piktogramy.

Michał zostawił książki i pomaszerował we wskazakierunku, czując na plecach kopertę palącą jak kataplazm. Wszedł do jasnego, pachnącego sztuczną świeżością wnętrza. Wszystkie pięć kabin stały otworem. Wskoczył do ostatniej i zamknął drzwi. Dopiero teraz sięgnął pod połę kurtki i wyciągnął kopertę. Wstrzymując oddech, podważył paznokciem zaklejony brzeg. Zobaczył, że koperta zawiera kilkadziesiąt kartek cienkiego papieru. Wyjął je zdecydowanym ruchem.

Trzecia doba na nogach, pomyślała Inna sięgając po garść tabletek. Nie używała farmakologicznych środków pobudzających. Przed snem wystarczała jej rozmowa z Iwanem Wibratorowiczem, w dzień – dużo witaminy C. Przed południem, coraz bardziej ryzykując, że wystraszone urzędniczki w końcu porozumieją się i zmontują pułapkę na inspektora widmo, odwiedzała kolejne dzielnicowe urzędy. Popołudnia, wieczory i część nocy poświęcała na obserwowanie kolejnych wykradzonych adresów. W jej hotelowym pokoju rosła sterta brudnego ubrania, bo kupowała wciąż świeże bluzki. Pokojówki pewnie uważały ją za zapracowaną bogatą kurwę. Obrzucały ją coraz bezczelniejszymi spojrzeniami i nie domyślały się nawet, jak niebezpiecznie zbliżały się do granicy jej wytrzymałości nerwowej.

Wjechała w przedostatnią dzielnicę do sprawdzenia. Była zła, zmęczona i zdenerwowana. Jej szestiorka, wrocławski informator, nie podnosił słuchawki, nie wiedziała więc, czy Polacy natrafili na jakiś trop. Zerknęła na nazwę ulicy. Rano zdobyła jeszcze trzy adresy. Jutro sprawdzi ostatnią dzielnicę i podda się. O świcie rozmawiała z Byszowcem i dostała od niego jeszcze trzy doby. W pewnej chwili miała ochotę wrzasnąć, że nie załatwia tutaj swoich prywatnych spraw, ale wzięła się w karby. „Życiowa szansa”, powiedziała sobie i spokojnie wysłuchiwała instrukcji Indora, chociaż adept wywiadu usunięty za głupotę z kursu wstępnego mógłby udzielić sensowniejszych.

Zwolniła cztery domy od celu. Wyłączyła silnik i rozłożyła na kierownicy plan miasta. Przez jakiś czas mogła spokojnie obserwować dom.

Rzeczony dom niczym się nie wyróżniał. Stał na Breitgasse w szeregu podobnych, zbudowanych mniej więcej w tym samym czasie, w latach

osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Po tym okresie zostały płoty oddzielające trawniki od chodników i kominy na dachach. Okna były zamknięte i ciemne. Dorotea Forman zgłosiła w urzędzie, że jej domu pilnuje znajomy, ale nie będzie tam mieszkał. Chyba właśnie tak było.

Inna włączyła radio, posłuchała lokalnego programu, przemknęła po skali. Większość stacji nadawała popularną muzykę, powtarzała te same szlagiery. Stłumiła ziewnięcie.

Nagle drzwi domu otworzyły się i stanął w nich mężczyzna. Czyżby znajomy Dorotei? Ale zamiast zamknąć drzwi i zablokować zamek, powiedział coś do niewidzialnej osoby w środku. Potem wsiadł do mazdy i odjechał.

Inna myślała. Ostro, jasno i szybko. Adrenalina i witaminy spowodowały, że myślała jej się przyjemnie, jakby współpracowała z dobrym komputerem. Ktoś został w domu. Znajoma na weekend? Trójka do brydża? Inna postanowiła to sprawdzić, zanim pojedzie pod pozostałe adresy.

Wyskoczyła z samochodu i szybkim krokiem przemierzyła żwirowy podjazd. Zdecydowanie nacisnęła dzwonek. Zadzwoiła jeszcze raz i przypomniała sobie chwyt wymyślony przez jakiegoś psychologa. „Siedzący w kryjówce człowiek prędzej otworzy sobie żyły niż drzwi, ale jeśli podsuniecie mu koło ratunkowe, jeśli uzna, że to pomyłka

–z radością wysłucha waszych przeprosin”. Inna nabrała powietrza do płuc i krzyknęła:

–Otwieraj, szantrapo! Wiem, że tam jesteś! Nie chowaj się. Widziałam, jak stąd zwiewał! – Kilka razy uderzyła pięścią w drzwi. – Otwieraj, bo zaraz pójdę na policję! Oni mi mówią, że ten gad nie ma pieniędzy na alimenty, a na kurwy znajduje! Mach auf! Schnell!

Wrzaski poskutkowały, w drzwiach stanęła Krystyna Grodziec. Nieco odmieniona, ale dla wytrenowanego oka ta sama. Inna poczuła ogromną ulgę. Udała zaskoczoną.

–Słucham? – powiedziała Grodziec. Widocznie też poczuła ulgę na widok konsternacji agresywnej nieznajomej.

–Pani chyba się pomyliła.

–Boże... – Inna zakryła dłonią usta, zamrugnęła. Strasznie panią przepraszam. Podano mi ten adres, podjechałam i akurat zobaczyłam, jak odjeżdża taki wóz, jaki ma jego szwagier.

Z sąsiedniego domu wyszła starsza kobieta, skrzyżowała ręce na piersi i zastygła w wyczekującej pozycji. Grodziec uśmiechnęła się do niej przyjaźnie. Poniedziałek postanowiła się wycofać.

–Przepraszam – wykrztusiła, tłumiąc łzy. – Verzeihung.

Odwróciła się i zerknąwszy na sąsiadkę, pognęła do swojego samochodu. Za jej plecami szczęknął zamek drzwi. W wozie niedbale zmięła w kłęb plan miasta i uśmiechnęła się szeroko do własnego odbicia, odjechała.

Wędrówka po miasteczku o mało nie doprowadziła Michała do zawału: co dwieście metrów pojawiał się pieszy policjant albo samochód patrolowy. Jeśli mnie zatrzymają, wpadłem, pomyślał. Zdawał sobie sprawę, że nie potrafi przekonująco

kłamać, że zdradzi się

rumieńcem, jękaniem lub drżeniem rąk. Ukryta za pasem na plecach koperta parzyła jak ogień.

Po piątym spotkaniu z policjantem Michał poczuł, że zaraz zemdleje. Skręcił w boczną uliczkę, chociaż Andrzej tłumaczył mu niedawno, że łatwiej się zgubić w tłumie. Minął dwie przecznice, szukając jakiegoś spokojnego miejsca. Potrzebował kryjówki, żeby odsapnąć i przejrzeć dokument.

Doszedł do trzeciego skrzyżowania, rozejrzał się pospiesznie. Pulsujący neon ze skandynawskim hełmem na pierwszym planie przyciągnął jego uwagę. Z nadzieją na spokojny bar ruszył w tamtą stronę. Dopiero kiedy podszedł bliżej, zobaczył pod hełmem wypisaną ozdobnymi literami nazwę przybytku: „Viking Club”. Jęknął w duchu, ale nagle na ulicy pojawił się policyjny wóz. Zdesperowany Michał pchnął drzwi.

Nie otworzyły się, widocznie jednak były wyposażone w sensory, bo gdzieś w głębi rozległ się dzwonek. Po chwili kaseton na środku drzwi odchylił się z szurgotem. Mężczyzna z hiszpańską bródką oszacował wzrokiem przybysza i zamknął okienko. Zaraz potem szczęknęły rygle i drzwi stanęły otworem.

Michał wszedł, skinął głową recepcjoniście. Tamten wykonał zapraszający gest i ruszył przodem. Miał na sobie džinsy tak obcisłe, że wyglądały jak absurdalny tatuaż, ale nie kręcił biodrami ani nie robił afektowanych min. Stanął za ladą recepcji i spojrzał pytająco na Michała.

Nad głową recepcjonisty wisiała duża plansza z planem obiektu. Michał doszedł do wniosku, że nie mógł trafić lepiej. Klub dla gejów, z barem, sauną, siłownią, kinem, czytelniami i salami z gramami komputerowymi i zręcznościowymi, stanowił rozległy kompleks w piwnicach kilku sąsiadujących domów. Tutaj klient mógł zaszyć się nawet na dobę w jednym z kilkunastu pokoiów, sam lub w towarzystwie. Michał uiścił opłatę, odebrał puszysty, pachnący karminowy ręcznik – obowiązujący strój – i z wisielczym humorem uświadomił sobie, że jedynym problemem będzie ukrycie pod ręcznikiem grubej koperty formatu A4. W szatni zrzucił z siebie ubranie, powiesił w szafce, zamknął ją i owinięty ręcznikiem, niedbale wymachując kopertą, ruszył korytarzami w poszukiwaniu swojego pokoju. Minął kilka otwartych drzwi. Niektóre sale oferowały specjalne wyposażenie, w kilku leżanki zajmowali młodzi chłopcy o gładkich ciałach, wszyscy bez wyjątku jasnowłosi i kędzierzawi. Widocznie taka teraz obowiązywała moda. Wreszcie znalazł ósemkę, wszedł, zamknął drzwi i odetchnął z ulgą.

Położył ostrożnie kopertę na stoliku przy łóżku, potarł ramiona. Nieoczekiwanie ziewnął mocno. Pokręcił głową i podniósł stylizowaną na lata czterdzieste słuchawkę.

–Coś ciepłego do numeru osiem. – Nagle uświadomił sobie, że zabrzmiało to wieloznacznie i po chamsku. Duża pizza czy jakiś stek – dodał szybko.

Zgodził się na porcję bratwurstu.

–Jakieś duże mocne piwo i podwójna whisky z lodem.

–Coś jeszcze? – usłyszał w słuchawce. Postanowił postawić kropkę nad i.

–Nie, kiedy przyjdzie mój kolega, uzupełnimy zamówienie. Dziękuję.

Przesunął kopertę, położył się obok niej na plecach z rękami pod głową. Czy to naprawdę koniec? Czy wystarczy teraz telefon, dwa i będziemy mogli wrócić do dawnego życia?

„Salzwedel 8 km” przemknęło przez przednią i boczną szybę.

Jeszcze kilka minut, pomyślał Andrzej. I co dalej? Gdzie szukać tego idioty? To znaczy, gdzie – wiadomo. Gdy godzinę temu zadzwonił telefon i w słuchawce rozległ się głos dworcowej spikerki, zapowiadającej podstawienie pociągu na stacji Salzwedel, zrozumiał, że Michał tam właśnie będzie na niego czekał. Ale to było godzinę temu. Może w ogóle wyjechał z miasta, może już go złapali? Przecież leciał tam samolotem, a przebranie ma niezbyt przekonujące... Dokąd był ten pociąg? Boże, po co on się zrywał? Byliśmy blisko, a ten wszystko spieprzył! Gdzie jest Krymarys? Dotarł już do Hansa? Przesłuchuje Michała? Wkłada do niszcarki kolejne strony dokumentu? Kurwa, same znaki zapytania. Lubię tę robotę! Ale może się uda? Może? Musi!

Mężczyzna poruszył wąskim, haczykowatym nosem. Pomyślał, że traci kontrolę nad nerwami, a tego nie potrafił sobie wybaczyć. Poderwał się z fotela, energicznie podszedł do barku. Zatrzymał wzrok na odbiciu bladej twarzy z sinymi obwódkami wokół oczu. Ręka zawisała nad butelką. Nie, pomyślał, to ucieczka, Werner. Dotychczas nigdy nie uciekałeś ani od ciężkich spraw, ani od niebezpiecznych ludzi, ani od odpowiedzi, ani od odpowiedzialności. Cofnął rękę, włożył ją do kieszeni.

–Od odpowiedzialności! – powiedział głośno. – Jakiej odpowiedzialności? Dotychczas przed nikim za nic nie odpowiadałem, do cholery! – Wrócił do stolika, na którym stał tygielek z parującą herbatą, leżał zwykły papierowy notes i fiolka z białymi kapsułkami. – Czyżbym na starość miał się tłumaczyć? Przed kim? – prychnął pogardliwie. – Z krwi? Aż tak wiele jej na rękach nie miał.

Ta ostatnia ofiara, najbardziej nieprzyjemna, w końcu Biirger to Niemiec. Na dodatek sprzątnięto go w pośpiechu, wykonawca był sam, rzucił się do szukania Weissa, a po godzinie siedzieli już tam Polacy...

Nie, on się nie tłumaczy. Nawet przed samym sobą. Bo każdy, kto się tłumaczy, jest już przegrany, pomyślał. Choćby dlatego, że został zmuszony do tłumaczenia. Czyżbym przegrał? Dolał do filiżanki z cieniutkiej porcelany dwa łyki herbaty i natychmiast wypił. Z przyjemnością popatrzył na dno naczynia, gdzie palce mistrza wytłoczyły kobiecy profil. Warstwy porcelany tworzyły świetlisty, miękki, plastyczny portret. Westchnął i odstawił filiżankę. Wstał, podszedł do ściany z wąskim kryształowym lustrem, położył dwa palce na fragmencie rzeźbionej ramy, nacisnął. Szczęknął niewidoczny zamek i lustro drgnęło. Odchyliwszy je do góry, wystukał dwie serie szyfru i otworzył sejf. Przeciętny złodziej byłby rozczarowany: w środku leżały tylko trzy stosy dysków kompaktowych. Złodziej bardziej świadomy rzeczy rozczarowałby się po włożeniu kompaktów do odtwarzaczy, ponieważ otrzymałby komunikat: „Dysk sformatowany. Gotów do nagrywania”.

Zapalniki trzęsienia ziemi na obszarze Europy, jakieś osiem w skali Richtera, pomyślał z ponurym humorem. Kilkaset osób, kilka rządów, kilkanaście lat... Może nie warto było? Ale kto wtedy znał cenę?

Westchnął.

Powiadomić prezesa?

Nagle roześmiał się głośno. Prezes! Gdy tylko prezydent poprosił, żeby w kontaktach pozasłużbowych nazywać go prezesem, wiedział, że to głąb. Ale głąb nie głąb, zapewnił sobie miejsce w historii. Owszem, bez takiego współpracownika jak Werner Bodendieke nie doprowadziłby do zmian na mapach Europy. To Werner przesunął granice, rozszerzył zakres władzy. „Prezes” miał powody do wdzięczności.

Tak. Zadzwoń do prezesa i powiem mu, żeby przygotował sobie wiarogodne świadectwo lekarskie. Coś z psychiatrii?

.c na nalk:ę. Nie. Jeszcze nie. Jeszcze zobaczymy.

Sypialnia straciła wygląd używanego pomieszczenia, trzy wypchane ubraniami torby stanęły u szczytu schodów. Krystyna zepchnęła je nogą, stoczyły się miękko na sam dół... Pikowaną kasetkę z przyborami toaletowymi trzymała pod pachą. Obrzuciła ostatnim kontrolnym spojrzeniem pokój i łazienkę. Pomyślała, że nawet jeśli coś zostało – spinka, włos w szczelinie umywalki, zakrętka do pasty pod wanną – pójdzie to na konto Wasielewskiego i jakiejś jego flamy. Zeszła na dół i kiedy przechodziła nad torbami, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

Cisza.

Wzruszyła ramionami i zabrała się do czyszczenia prysznicza. Pogwizdywała cicho, myjąc i wycierając do sucha ścianki kabiny, wrzucając do worka tubki z ledwie napoczętymi

mydłami, kremami i pastami. Zastanowiła się, czy można te worki wyrzucić do śmietnika, czy konspiracja wymaga, żeby je stąd wywieźli.

Nie rozstrzygnąwszy problemu ruszyła do salonu i niemal zderzyła się z podchodzącą do drzwi kobietą, poranną awanturnicą. Aż podskoczyła ze strachu. Kobieta nie wyglądała już na rozwścieczoną ani na zakłopotaną, najwyżej na lekko rozbawioną. Krystyna otrząsnęła się z zaskoczenia i przeszła do ataku:

–Czego pani tu szuka?

–Ciebie i Weissa – powiedziała kobieta.

Lewą ręką wykonała błyskawiczny ruch i płasko uderzyła ofiarę w tętnicę szyjną.

W głowie Krystyny zabrzmiał dziwny dźwięk, jakby gruby album spadł na kamienną posadzkę. Dźwięk odezwał się głuchym echem, gasnącym wraz ze świadomością.

Widok salonu sprawiłby laika w osłupienie. Wszystkie meble stały zsunięte pod jedną ścianę, oddzielone wysokim stosem przedmiotów – poduszki tapicerskie, książki, li ni kasety, ramki ze zdjęciami, makatki, nawet doniczki z jeszcze zielonymi roślinami. Każdy z tych przedmiotów policjanci dokładnie zbadali. Bardzo podobnie wyglądały sypialnia i kuchnia. Tylko łazienki nie przewrócono do góry nogami. Najmowicz i Olczak przycupnęli z ponurymi minami na kanapie, pułkownik zajął fotel. Od pięciu minut siedział z łokciami opartymi na kolanach i obracał w dłoniach filiżankę ze stygnącą kawą. Wywiadowca zerkał na kapitana, usiłował ściągnąć jego spojrzenie, ale Najmowicz nie chciał niepotrzebnymi ruchami wyrywać Krymarysa z transu. W końcu pułkownik sam ocknął się, siorbnął kawę i odstawił z niesmakiem. Szósta filiżanka w ciągu godziny nie mogła smakować, choćby to była słynna Piramide.-Znowu leżymy – stwierdził pułkownik.

W łazience coś szcęknęło. Wszyscy spojrzeli tam z nadzieją, ale w drzwiach nie pojawił się żaden z dwu niemieckich techników, którzy jeszcze zostali w mieszkaniu.

–Nie ma śladów, nie ma ludzi, nie ma pomysłów podsumował Krymarys.

Ze stołu, na którym rozłożono instrumentarium techników, rozległ się przenikliwy świergot telefonu. Z łazienki rzucił się do stołu młodszy, zameldował się służbiście i słuchał chwilę ze wzniesionymi do góry oczami.

–Ja... Ja... Już przekazuję.

Przeskoczył stos pościelowej bielizny, ręczników, firanek i obrusów, wyciągnął słuchawkę do pułkownika. Krymarys odebrał z nieszczęśliwą miną. Dwaj jego podwładni

wymienili spojrzenia: kto tutaj dzwoni, kto unieszczęśliwia pułkownika? Obaj szybko spuścili wzrok.

–Tak? – Pułkownik zmobilizował się i jego twarz nie zdradzała już żadnych uczuć. Słuchał chwilę, potem zaczął po niemiecku: – Zlokalizowaliśmy człowieka, który dostarczył dokument. Nie żyje. Jeszcze nie wiemy. Tak, oczywiście. Proszę o dwadzieścia cztery godziny, jeśli po upływie tego czasu nie będziemy dysponować...

– podwładni zeszytnieli, słysząc tę jednoznaczną zapowiedź dymisji. – Tak. Natychmiast.

Oddał słuchawkę czekającemu technikowi, który odłożył ją do gniazda w centralce. Potem wstał i chwyciwszy pusty flakon, z całej siły cisnął nim w ścianę. Kryształ rozpadł się na okruchy. Z łazienki wyskoczył drugi technik, ale zobaczywszy minę kolegi zanurkował z powrotem do systematycznie prutego pomieszczenia. Krymarys przespacerował się po wolnym kawałku podłogi. Podwładni dyskretnie spuścili oczy i zajęli się obserwacją własnych paznokci. Po chwili pułkownik odchrząknął.

–Albo...

Przerwał mu dzwonek telefonu, ale nie tego z centralki. Krymarys dwoma skokami dopadł stołu. Cała trójka wpiła rozgorączkowane spojrzenia w aparat leżący na płaskiej tafli searchera. Urządzenie mrugnęło zielonym okiem sygnalizując, że rozpoczęło namierzanie abonenta. Po piątym sygnale pułkownik wyciągnął rękę, ale

wytrzymał jeszcze dwa dzwonki. Najmowicz wisiał już nad ekranem lokalizatora, Olczak przysunął się bliżej i nerwowo oblizywał wargi. Krymarys podniósł słuchawkę. Po kilku sekundach skinął głową. Wtedy Najmowicz delikatnie stuknął w dwa klawisze.

Długo przyglądał się rozjarzonym światłami budynkom dworca. Nie łudził się, że odkryje niewprawnym okiem zasadzkę, ale pamiętając o pouczeniach Andrzeja, nie lekceważył żadnej możliwości. Ruszył swobodnym krokiem przez plac do głównego wejścia. Jeśli tu są, to przede wszystkim obstawiają perony i rampy, zdecydował już wcześniej. Na pewno są wszędzie, pisnął mały wredny głosik. Michał czuł, że ten mały głosik rację, ale już nie mógł się cofnąć.

Do wejścia zostało pięć, sześć metrów, gdy przed Michałem przeszedł mężczyzna, syknięciem zwracając na siebie uwagę. Wasielewski niedbałym krokiem ruszył dalej. Michał rozejrzał się na wszystkie strony i pospieszył za nim. Na parkingu został trochę z tyłu i wskoczył do wozu dopiero wtedy, kiedy zaszemrał silnik. To nie była mazda Andrzeja.

–Co się dzieje? – zapytał.

–Ty mnie pytasz?! – wrzasnął Wasielewski, na chwilę odrywając wzrok od ulicy. – Przecież to ty zwiąłeś z Gniezna!

–Nie zwiąłem, tylko coś sobie przypomniałem i musiałem sprawdzić.

–I?

–I mam!

–Nie?!

–Tak, mam. Skojarzyłem sobie, że Hans zupełnie bez sensu wplótł do rozmowy informację o zakurzonych dziełach w bibliotece, pomyślałem, że może to jest cynk i przyjechałem sprawdzić. – Wychylił się do przodu, aż syknęły napinacze pasów, wyciągnął zza pasa kopertę i potrząsnął nią przed nosem Andrzeja. – Jest!

Samochód skręcił z głównej ulicy w boczną. Andrzej prowadził pewnie, nie wahając się na skrzyżowaniach.

–Dokąd jedziemy?

–A jak myślisz?

–Myślę, że nie wiem – powstrzymując irytację przyznał Michał.

–Musimy gdzieś zalegnać przynajmniej na noc, roгатki obstawione, ruch mały, nie wymkniemy się. Może rano będzie lepiej, zresztą musimy spokojnie pogadać.

–O czym?

Wasielewski, prowadząc w skupieniu, nie odpowiedział od razu. Dopiero po minucie zapytał:

–Co robiłeś przez resztę czasu?

–Czytałem – odpowiedział zdziwiony Michał i pstryknął paznokciem w kopertę.

–No i?

–Takie bagno, bracie, że rzygać się chce. Chyba do końca życia nikomu nie uwierzę -powiedział cicho.

Skręcili dwukrotnie i pomknęli ulicą oświetloną nieprzyjemnym pomarańczowym blaskiem.

–Ale jest tam wszystko? – nalegał Andrzej.

–Wszystkiutko – ponuro przyznał Michał.

–No to gadaj! – zażądał Wasielewski.

Weiss chwilę zbierał myśli, pokręcił głową, ale widząc zniecierpliwioną minę Andrzeja, pomachał uspokajająco

–No więc... wszystko zaczęło się chyba wtedy, gdy powstały plany przygotowania mniejszościom niemieckim sprzyjającego klimatu. Ktoś wpadł na pomysł, że najwięcej zależy od władz lokalnych, zaczęły się działania, mające na celu wybór odpowiednich ludzi na odpowiednie stołki w określonych regionach. Z początku nieśmiało i na małą skalę, ale

wkrótce nabrały rozmachu. Wtedy zaproponowano rozszerzenie skali działania na teren całej Polski. A ponieważ domagaliśmy się przyjęcia do Unii Europejskiej, wystarczyło nam wmówić, że w ten sposób szybciej osiągniemy cel. Tak więc po roku mnóstwo właściwych ludzi znalazło się na właściwych stanowiskach w samorządach. Potem, podobno wskutek kłopotów z żądaniami Polakami, histerią Rosji i innymi sprawami, obecny prezydent, jeszcze jako minister spraw wewnętrznych, na supertajnej naradzie zaproponował wspólne z Rosją przeprowadzenie rozbioru Polski. Przyznał wtedy, że jego podopieczni, na jego polecenie, już od dłuższego czasu prowadzą działania przygotowawcze – eskalują pożyteczne nastroje, dokonują prowokacji w celu wyeliminowania niewygodnych osób, wprowadzają zamieszanie w służbach wewnętrznych i armii Polski. Starają się przy tym, by ślady prowadziły do Rosjan. Polacy wtedy jazgoczą na cały świat, Rosjanie się wściekają, wejście do Unii się odwleka i cały świat ma coraz bardziej dosyć Polaków i ich ciągłych pretensji. – Wyciągnął rękę do skrytki. – Masz papierosy?

Andrzej rzucił mu paczkę wyjętą z kieszeni.

–Dzięki. Na zakończenie wyznaczono termin następnej narady, poświęconej już temu tematowi. Po dwóch tygodniach wystąpił niejaki Werner Bodendieke, który przedstawił szczegółowy program działania. Po pierwsze, nasilić obsadzanie decyzyjnych stanowisk. Po drugie, rozmowy z Rosjanami, których zainteresuje atrakcyjna propozycja rozbioru i stworzenia strefy buforowej pomiędzy nimi a NATO. Po trzecie, obietnice pomocy i korzystnej współpracy ekonomicznej Niemiec i Rosji. Po czwarte, częściowe ujawnienie przed Rosjanami zakulisowych działań służb niemieckich w Polsce, żeby mogli doszlusować. – Postukał pięścią w kolano. – I to przeszło! Rozpoczęto realizację. Nie masz pojęcia, jakie to jest szambo: wojewodowie, prezesi spółek, komendanci, dziennikarze, aktorzy, celnicy, nawet prezesi społecznych stowarzyszeń, i to za jakie gówniane pieniądze!

–Wszystko poszło tak gładko?

–No właśnie. Sąsiadów mieliśmy wrogo do nas nastawionych, to nawet Hans podkreślił. Rosjanie się ucieszyli, że wreszcie zrobią porządek z tymi bezczelnymi Polakami. Każda z naszych dwustu partii widziała wrogów tylko w pozostałych stu dziewięćdziesięciu dziewięciu. Najważniejsze dla polityków to wdrapać się na szczyt, rozsiać się tam i przebierać nóżkami, żeby strącić innych. W każdym razie warunki

były niezwykle sprzyjające. Z dokumentu Hegelsdorfera wynika, że nie zanotowano żadnych poważnych sprzeciwów w tajnej loży, nie było praktycznie żadnego oporu w Polsce i żadnego oporu ze strony rosyjskiej. Toteż akcja przebiegała gładko, a jej apogeum to dwudziesty szósty

sierpnia. – Odwrócił się do Andrzeja i podsumował, jakby zdziwiony, że to było takie proste: I koniec! Bez żadnej walki, bez oporu... Milczał przez kilka minut.

–Ale i tak trzeba to wszystko pokazać światu. Owszem, popełniliśmy wiele błędów, ale faktem jest też, że kilkadziesiąt osób dokonało szwindla na skalę globalną. Polska padła ofiarą tego spisku.

Domy stały teraz dalej od jezdni, kamienice trafiały się rzadko. Jechali w szpalerze równiutkich trawników oświetlonych lampionami.

–Zrobiłeś kopie? – zmienił temat Andrzej. Zaskoczony Michał nie od razu zrozumiał pytanie, ale zanim się odezwał, Wasielewski krzyknął niecierpliwie:

–No, zrobiłeś czy nie?

Coś w jego głosie zirytowało Michała.

–Nie krzycz, jesteśmy we wrogim mieście.

–Wiem to lepiej od ciebie.

–Więc czemu...

Gwałtownie wduszony pedał hamulca spowodował ostre szarpnięcie samochodu. Korektor świateł zareagował błyskawicznie, zmienił ustawienie reflektorów, żeby oświetlały ulicę daleko z przodu. Co się dzieje, zdążył pomyśleć Michał. Andrzej już sięgał do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyciągnął rękę z pojemnikiem i trysnął Michałowi w twarz strumieniem czegoś zimnego. Zalała go lodowata ciemność.

Ocknął się równie gwałtownie. Zawadził spojrzeniem o zegar, przeliczył w pamięci. Czternaście minut, pomyślał. Co on mi zrobił? Dlaczego siedzę taki skulony? Przekręcił głowę, popatrzył na Andrzeja zaciekle palącego papierosa.

–Czyś ty zwariował? – chciał krzyknąć, ale zdołał tylko wykrztusić: „Hy-hha”.

Wasielewski zaciągnął się ponownie. Zgięty wpół Michał otworzył ponownie usta, ale nagle dotarło do niego, że Andrzej dobrze go słyszy, że to nie jest żaden głupi żart. Zamknął usta. Wasielewski rzucił mu krótkie spojrzenie, dokończył papierosa i pstryknął niedopałkiem w czerń nocy. Czerń?! Gdzie światła miasta? Gdzie ulice? Michał usiłował się wyprostować, ale mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa.

–Gdzie schowałeś zapasowe kopie? – zapytał Andrzej.

–Huk-hu! – zajęczał przecząco Michał.

Andrzej skwitował to ruchem brwi. Uruchomił silnik i ruszył. Po chwili jeniec poczuł na karku spływające w dół mrowienie i ze stękaniami zaczął się prostować. Uniósł głowę i zobaczył, że zbliżają się do pustej zautomatyzowanej stacji benzynowej. Samochód skręcił za

róg i wtoczył się przez niski krawężnik na trawnik, w głęboki cień. Andrzej wyłączył silnik, wysiadł i rozpląnął się w mroku.

Michał znowu stęknął i pomyślał, że gdyby teraz odzyskał sprawność mięśni, to mógłby po prostu odjechać. Wasielewski jednak dobrze znał moc użytego specyfiku. Zresztą Michał miał ręce skrępowane za plecami, co zauważył dopiero teraz. Wyteżył

słuch. Cisza. Jakiś samochód przemknął drogą.

Klakson! Gdyby trafił brodą w klakson, mógłby wszcząć alarm! Poderwał głowę jak najwyżej i rzucił się całym ciałem w bok, ale zwałił się na fotel kierowcy i przytulił policzkiem do miękkiej, ciepłej tapicerki. Szamotał się kilka chwil, aż zrozumiał, że jego wysiłki nie dają żadnych efektów. Cmoknął zamek drzwi, zapach tapicerki ustąpił przed falą świeżego nocnego powietrza.

Wasielewski bez słowa chwycił Michała za włosy i przerzucił z powrotem na fotel pasażera. Nie zapiął mu pasów, więc kiedy ruszył, Michał poleciał do przodu uderzając z całej siły twarzą w deskę.

–Popatrz – usłyszał. – Tyle się pieprzy o poduszkach powietrznych, a jak są potrzebne, to ich nie ma!

Kpina Andrzeja przedarła się przez kurtynę bólu i oszołomienia. Czuję ból, więc dochodzę do siebie, pomyślał ucieszony Weiss. Spróbował dokonać przeglądu własnego ciała, ale wciąż nie odbierał żadnych bodźców poza mrowieniem w grzbiecie i bólem rozbitego nosa. Samochód kiwnął się kilka razy, zwolnił i stanął. Silnik zgasł. Wasielewski szarpnięciem za kołnierz posadził Michała, wyjął coś z kieszeni i sprawdzivszy napis, trysnął prosto w twarz jeńca. Ten szarpnął się, zakrztusił i nagle poczuł całe swoje ciało: obolały puchnący nos, zdartą skórę na czole nad okiem, skrępowane mocnymi więzami ręce, niewygodnie wykręconą prawą stopę.

Andrzej wysiadł, obszedł wóz dokoła, otworzył drzwi od strony Michała, pchnął go do przodu, a potem wsadził ręce pod pachy i jednym szarpnięciem wyciągnął go z samochodu.

–Możesz stać! – oświadczył, ale widząc, że Michał okręca się na bezwładnych nogach, podholował go do najbliższego drzewa i oparł o nie brzuchem. – Teraz stój albo się przewracaj, jak wolisz.

Weiss został sam. Rozpaczliwie przywierał do pnia czekając, aż odzyska władzę w nogach. W końcu oderwał policzek od chropowatej kory, stanął prosto i rozejrzał się. Zobaczył małą polankę, której wylot zamykał samochód Andrzeja z zapalonymi światłami. Na tle reflektorów pojawił się Wasielewski z dużym motkiem sznura w ręku. Podeszedł bliżej i

nagle, bez ostrzeżenia, z całej siły uderzył Michała w splot słoneczny. Uderzony zgiął się wpół i

runął na twarz w wilgotną trawę. Przekręcił się na bok, zaczął wymiotować. Nad głową usłyszał kilka inwektyw. Potem Wasielewski szarpnął go za łokcie, postawił na nogi i oparł o drzewo. Kaszlący, z ohydny posmakiem w ustach Michał patrzył bezradnie, jak Wasielewski oplątuje go linką. Zaciągnął węzeł i rzucił:

–Pytam kolejny raz: jak się zabezpieczyłeś, gdzie są kopie?

–Nie ma... – wystękał Michał. Andrzej zastanowił się nad jego słowami.

–Gówno prawda, sam ci mówiłem, że trzeba je zrobić. No trudno, jak sobie życzysz. Wziął potężny zamach i z całej siły uderzył ponownie w splot słoneczny. Michał

poleciał do przodu, ale tym razem więzy utrzymały go w stojącej pozycji.

Miażdżący, tępy ból wycisnął z płuc powietrze, wypełnił brzuch i klatkę piersiową, wysłał w kierunku głowy całe zastępy przeraźliwie czerwonych mroczków. Michał daremnie próbował zaczerpnąć tchu. Andrzej stał przed nim i patrzył na jego wykrzywioną spazmem twarz.

– Za chwilę zrozumiesz, że oddychanie to duży luksus – obiecał obojętnie. – Będziesz się powoli dusił, a szamotanina tylko pogorszy twoją sytuację. Ale nie będzie cię stać na racjonalne myślenie i zachowanie spokoju. Uduszenie to nieprzyjemna sprawa. – Odczekał chwilę. – Jeszcze raz zapytam: gdzie twoja asekuracja? Milczysz?

Zamachnął się i ponownie uderzył jeńca w żołądek. Michał usiłował napiąć mięśnie brzucha, ale w jego ciele eksplodował ból, nieznośny, niemierzalny, nieludzki. Zaraz potem Michał ze zdziwieniem poczuł, że ulatuje z obolałego ciała. Zobaczył, że Andrzej chwyta koniec sznura i ciśniej ściąga więzy opasujące pierś i brzuch. Bezlitosny ucisk na klatce piersiowej prawie uniemożliwiał oddychanie. W gardle narastał skowyt.

Nie wolno krzyczeć, nakazał sobie Michał. Zaczerpnął odrobinę powietrza, tyle co nic. Wasielewski wyjął papierosy i zapalił. Wydmuchiwał dym najpierw odruchowo w bok, potem z sadystyczną przyjemnością w twarz Michała, który zaczął się krztusić.

– To dopiero początek – poinformował Andrzej. – Jeszcze trochę tlenu w bebechach miałeś, najlepsze jeszcze przed tobą.

Wyjął z kieszeni telefon i wystukał numer.

– Zaraz ci pomogę podjąć decyzję – obiecał półprzytomnemu Michałowi.

W nocnej nocy sygnał wywołania rozległ się nadspodziewanie mocno. Dopiero po dziesiątym czy dwunastym sygnale ktoś podniósł słuchawkę, ale milczał. Andrzej zmarszczył brwi i wcisnął klawisz „Mute”, odcinając mikrofon.

– Słyszysz? Nie ma trzykrotnego stuknięcia, nie ma odzewu. Coś źle u twojej dziewczyny.

Przerwał połączenie i gniewnie potrząsnął słuchawką, jakby chciał z niej wydobyć dodatkowe informacje.

– Źle jest! – krzyknął do Michała. – Coś się stało z Krystyną. Gadaj, co wiesz i pojedziesz do niej!

Dźwięki docierały do Michała przez gęstą, wypełnioną szumem mgłę. Kłująca obręcz na piersiach paliła jak ogień, czaszka pękała z bólu – ból, ból, ból...

Andrzej przyłożył płasko dłoń do czoła Michała i pchnął tak mocno, że jego głowa uderzyła o pień drzewa.

– Powiedz, gdzie schowałeś kopie, a odetnę sznury i uciekam. Dam ci szansę: przez kilka godzin możesz wciskać Krymarysowi, że masz ten maszynopis. Zabierzesz kobietę i uciekniecie. Co dalej, wasze zmartwienie...

Zamierzał powiedzieć coś jeszcze.

– Rosjanie mawiają, że małe kęsy łatwiej jest połknąć – rzucił ktoś z mroku. Wasielewski upuścił telefon i jednym skokiem dopadł drzewa z przywiązany

Michałem. Przez mgłę jeniec zobaczył lufę broni. Niemal obojętnie pomyślał, że dobrze by było uderzyć Andrzeja, wyrwać mu broń, zrobić cokolwiek... Od strony

szosy błysnęło światło latarki, która natychmiast upadła na trawę, zanim Andrzej zdążył wycelować. Jak na komendę z prawej i lewej rozbłysły podobne światła, również leżące na ziemi. Wasielewski zrozumiał, że strzelanie nie ma sensu, ale nie odłożył broni.

–Kto tam?! – wrzasnął.

–A kogo oczekujesz?

Głos doleciał z miejsca, gdzie panowała ciemność.

–Czego chcecie? – nerwowo obejrzał się Andrzej. – Dokument jest dobrze zabezpieczony!

–Wiemy, słyszeliśmy, jak go zabezpieczałeś – ironicznie oświadczył z tyłu trzeci głos. Wasielewski szarpnął głową, podniósł broń i przyłożył lufę do skroni Michała.

–Wyjdźcie do światła! – zażądał. – Zabiję go i stracieście do reszty dokumentów!

–A niech sobie leżą zadołowane – powiedział pierwszy głos. Nagle zgasły światła w samochodzie Andrzeja. – To tobie są potrzebne, prawda?

Lufa broni zadrapała skórę Michała, ale jego świadomość gasła, skaleczenia go już nie obchodziły.

–Pułkownik Krymarys? – krzyknął Andrzej.

–Poddaj się – polecił głos z prawej.

–Wyjdźcie do światła! – krzyknął łamiącym się głosem Wasielewski.

–Poddaj się – zażądał głos z lewej.

–On wam nie powie... – Andrzej nagle odskoczył od Michała, huknął strzał, drugi. Nawet nie czuję, błysnęła nikła myśl w głowie Weissa. Głowa opadła mu na pierś.

–Odwiążcie go, szybko! – polecił ktoś.

Więzy krępujące Michała drgnęły, jakaś ciemna sylwetka przemknęła obok niego, ktoś się potknął w ciemnościach i zaklął. Chwilę potem jeniec poczuł, że jego płuca boleśnie się rozszerzają, wypełniają się zimnym kłującym powietrzem. Nie podtrzymywany sznurem, runął na kolana, a potem na bok. Leżąc na ziemi, krztusząc się i zachłystując zachłannie czerpanym powietrzem, zobaczył, że ktoś ponownie włączył światła w wozie Andrzeja. Ktoś inny przykucnął przy nim, chwycił pod pachy i dźwignął na nogi. Dopiero wyprostowany i wygięty do tyłu wciągnął w końcu porządny haust powietrza i wypuścił je poparskując. Po kilku oddechach rozplynęły się barwne smugi przed oczami, ucichł pulsujący w uszach szum.

–Lepiej? – zapytał ktoś.

Chciał odpowiedzieć, ale wydobył z siebie tylko krótki szloch. Dopiero po chwili odchrząknął i wychrypiał:

–Znacz...nie...

W strumieniu światła stanął mocno zbudowany mężczyzna, ubrany w skórzaną kurtkę. Miał krótko przycięte włosy i równie zdyscyplinowany wąs. Michał rozpoznał go z filmu zrobionego przez Wasielewskiego przed ciastkarnią Birbacha. Prawą kieszeń wyraźnie obciążał mu jakiś ciężar. Z tyłu podszedł inny mężczyzna.

–Nie żyje – powiedział cicho.

Człowiek podtrzymujący Michała puścił go i podszedł do pozostałej dwójki. Stali

tyłem do światła, otaczając kaszlącego, oszołomionego, oślepionego Weissa.

–Tak sobie patrzę – powiedział w końcu najstarszy z mężczyzn, chyba również najstarszy stopniem – i zastanawiam się: Co pana zmusiło do tego maratonu pod prąd?

–A ja się dziwię, że są tacy Polacy, których to zastanawia! – wychrypiął Michał. Krymarys pokiwał głową, jakby zadowolony z riposty. Popatrzył na szczuplejszego z towarzyszy.

–Wezwij miejscowych – powiedział. – Powiedz im... Powiedz im, że ścigaliśmy zabójcę Biirgera i dopadliśmy go tutaj.

–Tak jest.

Mężczyzna wszedł w światło. Drugi zawahał się.

–Czy mogę? – zapytał.

–Tak – zgodził się szef.

Zostali sami. Michał odetchnął głęboko, rozkoszując się każdym łykiem powietrza.

–Czy pan wie, kim jestem? Michał wzruszył ramionami.

–Mniej więcej, ale niech się pan tym nie przejmuje. Ja jestem Michał Weiss.

–Pułkownik Feliks Krymarys – przedstawił się mężczyzna.

Zapadła cisza, Michał gorączkowo zastanawiał się, czy ma przed sobą jeszcze przeciwnika, czy już sprzymierzeńca. Jak z niego wyciągnąć, co się dzieje z Krystyną?

–Czy pan zrozumiał – pułkownik przerwał gorączkowe spekulacje Michała – co on mówił o panie Grodziec?

Michał wytrzeszczył na niego oczy.

–To nie wasi ludzie tam są? Krymarys pokręcił głową.

–Nie, nie odkryliśmy waszej kryjówki.

–W Gnieźnie – podpowiedział Michał.

–Ale nie tylko my was szukaliśmy. Na pewno Rosjanie próbują uszarpać coś dla siebie. Może ktoś jeszcze... dokończył niejasno.

–Niemcy! – rzucił Michał.

–Pewnie tak – niechętnie zgodził się Krymarys.

–To naturalne: obie zainteresowane strony.

–A pan? Pan jest po jakiej stronie? Pułkownik milczał.

–Inaczej: pomoże pan Krystynie?

–Oczywiście – odwrócił się i zawołał: – Kornel! Zawołany podbiegł do przełożonego.

–Wywołaj śmigłowiec, niech tu przyleci. Wylądować? rozejrzał się dokoła.

–Spokojnie! – zapewnił go zapytany.

–No to niech tu leci, gazem.

Kornel pognął do samochodu, minął go i zniknął w ciemnościach. Przy wozie Andrzeja został trzeci mężczyzna. Michał obejrzał się. Ciało Wasielewskiego z rozrzuconymi rękami leżało w smudze światła. Wyciągnięta szyja odsłaniała wyraźną czerwoną plamę tuż pod kością żuchwy. Wrócił spojrzeniem do pułkownika.

–Zadzwoń do mnie wczoraj – powiedział Krymarys. – Chciał za wydanie was

przywrócenia go do policji i sporego wynagrodzenia za lata krzywdy. Sto tysięcy euro.

–Zgodził się pan?

–Oczywiście! – Krymarys nie krył zdziwienia, że ktoś może nie rozumieć tak oczywistej sprawy. – Jakkolwiek bym chciał postąpić, musiałem was spotkać. Zadzwoił też

dzisiaj, do mieszkania Biirgera. Wiedział, że siedzimy tam i prujemy tynki... – zacisnął usta i chwilę sapał rozzłoszczony. – Blefował, jak teraz widzę, i naciskał na mnie. Chyba widział, że sprawa wycieka mu z rąk i chciał utargować cokolwiek.

–Tu się umówiliście?

–Umówiliśmy?! – Pułkownik cofnął brodę i popatrzył na Michała zdziwiony. – Ach, pan myśli, że przyjechaliśmy tu pod konkretny adres? Nie-e-e... On chciał mieć coś w ręku, zanim stanie do przetargu. Wypadło na pana i na dokumenty, które dostały się w pańskie ręce.

–No to jak...

Krymarys zastanawiał się chwilę, potem przysunął bliżej Michała.

–Powiem panu, ale proszę, bardzo proszę o dyskrecję. My też położyliśmy głowy na katowskim pniaku... – Nie czekał na zapewnienia Michała: – Jak powiedziałem, zadzwonił z komórki. Już się nie bał namierzania, ale nie wiedział, że posłaliśmy podczas rozmowy... powiedzmy, że skierowaliśmy do jego komórki specjalny kod, który uruchamiał wysyłanie co pewien czas sygnału identyfikującego i lokalizującego. Mogliśmy zatem pójść za nim jak po sznurku... – Rzucił okiem na prawo i lewo. – To taki nasz własny polski wynalazek. Jeszcze się nim nie podzieliliśmy z nikim – zakończył nieco głośniej i odsunął się od Michała.

Milczeli. W końcu Michał odetchnął i obrzuciwszy szybkim spojrzeniem ciało Wasielewskiego, zapytał:

–A jak pan chce... Jak pan może postąpić?

Pułkownik wyjął papierosy, poczęstował Michała, przypalił jemu i sobie. Dłuższą chwilę palili w milczeniu. Michał poczuł mrowienie w koniuszkach palców.

–Gdyby mnie pan zapytał przedwczoraj... wczoraj, może nawet dzisiaj rano, odpowiedź byłaby... – Zaciągnął się ostatni raz, mocno, upuścił niedopałek i przydepnął podeszwą.

–Tak?

–Myślę, że pan coś wymyślił, panie Weiss. Na pewno będzie pan chciał powiadomić świat o tym kancie. Tak, jak też to czytałem. – Popatrzył mu w oczy uważnie. Mógłbym próbować wydobyć z pana... No, nieważne. Nie będę wydobywał z pana niczego. Proszę zrobić, co pan uważa za słuszne. Ale zalecałbym pośpiech.

Michał pomyślał, że już teraz niczego nie zmieni w internecie manuskrypt Hegelsdorfera pojawi się po północy, w tym samym czasie e-mail przyniesie pełny tekst dokumentu kilkudziesięciu najpoważniejszym redakcjom na całym świecie. Tego już nikt nie był w stanie wygasić, wyciszyć, powstrzymać. Ale i tak nie zamierzał pochopnie, również niespodziewanemu sojusznikowi zdradzać, gdzie jest dokument i jak zamierza pokazać go

światu. A ujawnić musiał, chociażby dlatego, że tego chciał, o tym myślał biedny, martwy Bazarewicz. To był winien również Burgerowi i może jeszcze komuś...

–Panie Michale... – zaczął pułkownik i zamilkł. Potem uśmiechnął się krzywo do jakiejś swojej nieprzyjemnej myśli i dokończył: – Sądzi pan, że... że jeszcze nie zginęła? Że to takie ważne... póki my żyjemy...

–A pan tak nie sądzi?

–Nie wiem, pan wprowadził zamęt w moje... nasze... już uporządkowane życie. Michał wzruszył ramionami. Chyba sobie nie wyobraża, że będę go przepraszał?, pomyślał. I dał sobie spokój z wyrzutami.

–Kiedy zrobi się tak naprawdę gorąco? – zapytał pułkownika.

–Mogę zwlekać dwie doby, może trzy...

–To chyba wystarczy – powiedział dumny z własnej chytryści.

W ciszy nocy na granicy słyszalności zrodził się nieprzyjemny suchy terkot. Michał przekrzywił głowę nad słuchując.

–To pana?

–Chyba tak. Polecimy do Gniezna.

Na chwilę wróciła podejrzliwość. Może tylko po to mnie tam ciągną, żeby znaleźć adres, pomyślał. Ale ten zdrajca nie udawał, coś się dzieje u Krystyny! Muszę lecieć!

–Dobrze, a potem co?

Pułkownik zerknął w rozgwieżdżone niebo, wskazał palcem kierunek, poszedł pierwszy. Michał ruszył za nim. Hałas narastał, musieli mówić podniesionymi głosami.

–Nie wiem – powiedział Krymarys. – Wrzawa, rozgłos, szum. Chyba o to wam chodziło?

–Nie wiem, o co nam chodziło – pokręcił głową Weiss. – Coś na nas spadło i to wszystko. Nie zdążyliśmy tego przemyśleć.

Nie przyznał się, że on osobiście nie wierzył w sukces, dlatego nie robił żadnych dalekosiężnych planów. Teraz powinien zastanowić się poważnie nad ciągiem dalszym.

Z góry, z warczącego silnikiem nieba strzelił reflektor i oświetlił polanę oraz dwie przygięte sylwetki. Od wozu z zapalonymi światłami zbliżały się łukiem po obwodzie polany jeszcze dwie. Michał odsunął się pod drzewo. Hałas wirników śmigłowca świdrował w uszach, odzywał się wibracją w kościach szczęki. Krymarys przysunął się do Michała:

–Lecimy do Gniezna! – krzyknął.

Michał skinął głową. Nie miał żadnego innego planu. Helikopter osiadł na rozstawionych szeroko czterech łapach. Krymarys podszedł do jednego ze swoich ludzi i przez chwilę udzielał mu instrukcji. Michał spojrzał na leżące wciąż w wilgotnej trawie ciało Andrzeja. Nie potrafił określić, co czuje do tego człowieka, który obiecał pomoc, zdradził i zapłacił życiem.

Pułkownik machnął do niego ręką. Dwaj towarzysze pułkownika podnieśli ciało i zanieśli do helikoptera, Michał zaczął biec w stronę maszyny, przyciskając rękę do piersi. Wokół mostka czuł nasilające się w trakcie biegu klucie, ale gdy wskoczył do

wyciszonego wnętrza i odetchnął kilka razy, nieprzyjemne wrażenie ustało. Śmigłowiec poderwał się, kiwnął lekko i nagle jak szybkie winda ostro poszedł w górę.

Pułkownik przyłożył do ust mikrofon hełmu zdjętego z zagłówka i powiedział kilka słów. Potem odwiesił hełm.

–Chyba powinienem panu przedstawić – zwrócił się do Weissa – resztę ścigającej was ekipy.

Nieoczekiwanie zamilkł i dopiero zdziwione spojrzenie Michała wyrwało go z zadumy.

–Przepraszam, było nas czterech, jeden zginął z ręki rosyjskiej agentki.

–Jak to? – wybąkał Michał.

–Tuż przed Gnieznem.

–Przed Gnieznem? – powtórzył. Po chwili przypomniał sobie okoliczności. – W Tupadłach jakaś kobieta powiedziała nam, że jesteśmy ścigani i żebyśmy uciekali.

–Wysoka szprycha z kanciastą twarzą? – zapytał szatyn. Michał potwierdził skinieniem głowy.

–Poniedziałek – skonstatował Krymarys. Ostatni z mężczyzn kiwnął głową. Krymarys popatrzył na podwładnych.

–Gross ją informowała – oświadczył. – Tylko ona mogła sypnąć, że jedziecie do Tupadłów.

Najmowicz i Olczak zgodnie pokiwali głowami.

–Dam sobie uciąć, że to ona... – zaczął szatyn i przerwał.

Michał dopiero po chwili zrozumiał, że tamten miał na myśli Krystynę. W podrażnionym papierosami gardle wyschły ostatnie ślady wilgoci.

–Najpewniej tak – zgodził się pułkownik. – Ale miałem nas przedstawić. To nie jest operacyjnie mądra decyzja – popatrzył na swoich pomocników – ale mam dziwną pewność, że

pan Weiss nie wykorzysta tej wiedzy w żaden sposób. Tak więc: kapitan Najmowicz, wywiadowca Olczak.

Najmowicz skinął głową i powiedział:

–Niech pan nie mówi, że jest panu miło. Michał nie uznał tego za śmieszne.

Z ciemnopurpurowej otchłani doleciała seria dźwięków, drobne pojedyncze stuknięcia. Mrok rozmył się w mglistą plamę jasności. Krystyna zrozumiała, że leży twarzą do obicia kanapy. Błyskawicznie przypomniała sobie wszystko – awanturę z Andrzejem, wizytę nieznaną i jej niespodziewany powrót, napaść i utratę przytomności. Nie ruszała się, nasłuchiwała tylko, co zostało nagrodzone: zlokalizowała napastniczkę w kuchni. Poruszyła leciutko głową, odrobinę, tylko tyle, żeby jedno oko skierować na kuchnię. Natychmiast została ukarana: tuż przed jej twarzą pojawiła się druga, wypełniając całe pole widzenia. Oczy wyczekująco wpatrywały się w Krystynę.

–Już? – zapytała napastniczka. Wstała, dźwignęła Krystynę i posadziła prosto. Salon przypominał krajobraz po bitwie: wszystkie przedmioty leżały na podłodze, z której zwinięto dywan. Podobnie wyglądała kuchnia, gdzie dominowały stosy mąki,

kasz, cukru, makaronu i przypraw. Mocny suchy zapach drażnił śluzówkę nosa.

–Widzisz, że jestem zdeterminowana. Napracowałam się, kiedy ty sobie leżałaś, powinnaś to docenić, ale teraz chciałabym pozyskać cię do współpracy. Dobrze? – uśmiechnęła się zimno. – Wiesz, czego szukam?

Wiem, pomyślała Krystyna. Aż za dobrze. Ale na pewno nie możesz liczyć na moją współpracę.

Pokręciła głową. Kobieta odsunęła się i gładko, profesjonalnie, bez niepotrzebnego zamachu uderzyła Krystynę w twarz. Suchy trzask nadspodziewanie mocno rozbrzmiał w uszach.

–Posłuchaj, mam czas. Nazwisko Weiss coś ci mówi? Szuka was niemiecka policja. Jak was znajdą, rozwalą bez najmniejszych skrępułów. Za to ja mogę wam pomóc. Proste? Wy mnie, ja wam.

Krystyna przestała słuchać. Nie była na tyle naiwna, żeby wierzyć w jej obietnice. Już dawno zrozumiała, że w tej sprawie nie może liczyć na niczyją pomoc. Głos nieznanego brzmiał odrobinę zbyt melodyjnie, modulacja była zbyt aktorska. Kłamie, kłamie w żywe oczy!

Krystyna odwróciła wzrok. Zauważyła na podłodze chusteczkę higieniczną ze śladami wilgoci. Odgadła, że po uderzeniu kobieta zaaplikowała jej jakiś środek usypiający. Potem złożyła jej ręce i owinęła od łokci do nadgarstków szeroką taśmą klejącą. Takie więzy były

lepsze od sznurów, które wpijałyby się w ciało i zakłócały krwioobieg, i znacznie trudniejsze do zerwania. Podobne zwoje krępowały stopy na wysokości kostek. Krystyna poczuła wzbierający gniew.

–Kim pani jest, do cholery?

Kobieta wstała z fotela i podeszła do okna. Przez chwilę wyglądała na ulicę, objawszy się ramionami. Za oknem szarzał już zmierzch.

–Nie widzę pomocy dla ciebie – powiedziała i odwróciła się do Krystyny. – Przyznam ci się, że jestem babską szowinistyczną świnią, z przyjemnością wbijam facetom kolanem jaja w brzuchy. To frajda, to mi poprawia samopoczucie. Natomiast bardzo nie lubię sprawiać bólu kobietom. Ale wobec ciebie nie mogę sobie pozwolić na pobłażliwość. Użyję wszelkich sposobów, ostrzegam!

–Po co ta poezja? – rzuciła z pogardą dziewczyna. Jest zapalniczka, jest dziadek do orzechów, tego ci potrzeba. Trochę łez, trochę krwi, siniaki i jęki. To cię bawi, nie gadaj mi tu o babskiej solidarności.

Wykonała nogami wyrzut do góry i do przodu, uniosła się lekko i opadła z powrotem na kanapę – poprawiła tylko pozycję. Widząc niepokój kobiety, uśmiechnęła się zjadliwie. Jeśli podejdzie, kopnę ją w brzuch, pomyślała. Ale miała do czynienia z uważnym przeciwnikiem. Kobieta przespacerowała się po pokoju, w zamyśleniu pocierając łokcie dłońmi. Po chwili ruszyła na górę. Z sypialni dobiegły odgłosy pospiesznej rewizji.

Krystyna zerknęła na zegarek. Dochodziło wpół do siódmej. Rozejrzała się za telefonem, ale aparat zniknął. Poszukała wzrokiem czegoś ostrego do przecięcia więzów, lecz nic takiego nie zauważyła. Mogła przeczołgać się do kuchni, gdzie na

pewno znalazłaby nóż albo nożyczki, doszła jednak do wniosku, że nie ma szans. Siedziała więc i myślała. Zastanawiała się, kogo reprezentuje niespodziewana agresorka. Na piętrze coś szurało, szeleściło, stukąło, skrzypiało. Zupełnie jakby w radiu szło słuchowisko kryminalne, przemknęło przez myśl Krystynie. Odruchowo chciała odwrócić się i sprawdzić, czy babsko nie stoi na podeście, wpatrując się w nią małymi przenikliwymi oczkami. Może czeka, aż na palcach pobiegnę do skrytki w ścianie? Niedoczekanie! Krystyna ostentacyjnie rozłożyła się na kanapie, podniosła nogi i wykonała dwuminutowy cykl gimnastyki stóp. Chwilę później na schodach rozległy się kroki. Kobieta nie ukrywała irytacji.

–Jeszcze raz ci powtarzam, że potrzebuję tego, co macie. W zamian daję wolność i na pewno jakąś gratyfikację. Mówiąc bardziej melodramatycznie, proponuję wam życie, w przeciwieństwie do niemieckich policjantów. Oni was zabijają, kiedy tylko odbiorą wasz skarb!

Zmierzyły się spojrzeniami i Krystyna ze zdziwieniem zrozumiała, że kobieta mówi prawdę. Czyżby... Z plątaniny myśli wyłoniła się jedna: dlaczego kobieta ani razu nie powiedziała wyraźnie, o co jej chodzi? Ani razu nie wspomniała o dokumencie, używała wyłącznie neutralnych określeń: „skarb”, „to, co macie”, „wiesz, o czym mówię”. Otworzyła usta, żeby podzielić się swoimi wątpliwościami.

–No?

Napastniczka zauważyła wahanie Krystyny i poruszyła się z nadzieją, ale dziewczyna milczała.

–Jak chcesz – rzuciła kobieta nie kryjąc rozczarowania. – Poczekam na twojego Michała. Albo on pęknie widząc, jak ci wylupuję oko, albo ty słysząc jego jęki – zagroziła i wyszła do łazienki.

Popełniła błąd, uświadomiła sobie Krystyna po chwili, gdy serce przestało łomotać jak oszalałe. Gdyby naciskała, powiedziałabym wszystko, żeby nie narażać Michała, ale ona dała mi czas do namysłu. Nasza jedyna szansa to udawać, że mamy dokument, czyli podstawę do negocjacji. Odetchnęła głęboko, odwróciła głowę i obserwowała krzątającą się po łazience napastniczkę. Kobieta ciężko pracowała, przeprowadzała fachową i metodyczną rewizję. Po godzinie przeniosła się do garażu. Krystynę korciło, żeby teraz spróbować się uwolnić, ale uświadomiła sobie, że wszystko, co kobieta robiła, nosiło znamiona wysokiej klasy profesjonalizmu. Z pewnością przewidziała też zachowanie jeńca. Dlatego Krystyna postanowiła dbać tylko o krążenie w dłoniach i stopach i czekać na rozwój wypadków. Przemyślała kilka wariantów postępowania, gdyby nagle w progu stanęli Michał z Andrzejem. Mogłaby cisnąć czymś w kobietę, ale w pobliżu nie widziała niczego cięższego od buta Michała.

Napastniczka krzątała się w garażu, łomotała czymś i szurała. Te odgłosy najwyraźniej odzwierciedlały stan jej ducha. Raz nawet wydało się Krystynie, że usłyszała ciche zawzięte przekleństwo. Dobrze ci tak!, pomyślała mściwie. Może jakaś łapka na myszy przytrzyma ci ten wścibski nos.

Wstała i wyprostowała plecy. Poruszała ramionami, wykonała kilka ryzykownych przysiadów, w końcu zasapana opadła na kanapę. Dwie sekundy później kobieta

wróciła do salonu, podejrzliwie przyjrzała się Krystynie, zlustrowała pokój, sprawdziła nawet ulicę przed domem. Nie trzymała w ręku żadnej broni, co bardziej niż groźby umocniło Krystynę w przekonaniu, że ma do czynienia z dobrze wyszkolonym przeciwnikiem. Wreszcie babsko wyszło, obrzuciwszy jeńca pożegnającym nieprzyjemnym spojrzeniem. Dochodziła dziewiąta.

Krystyna ułożyła się na kanapie, przymknęła powieki i poświęciła się ponownie rozważaniom nad sytuacją, w jakiej się znalazła.

Stopniowo zapadła w dziwną drzemkę, na pograniczu snu i jawy. Obudziła ją cisza. Wystraszona Krystyna usiadła prosto i rozejrzała się dookoła. Baba stała w drzwiach kuchni z nożem w dłoni, długim, cienkim, błyszczącym nożem do trybowania. Nie poruszyła się, nie odezwała i to sprawiło, że serce Krystyny uderzyło szybciej. W milczeniu mierzyły się wzrokiem.

Nagle huknęły drzwi wysadzone z zawiasów. Krystyna szarpnęła się do tyłu na widok obcego mężczyzny, wpadającego do środka z pistoletem w dłoni. Mężczyzna gwałtownie odskoczył w bok, ale było już za późno – kobieta trzymała w wyciągniętych dłoniach oksydowaną broń. Huknęło, mężczyzna okręcił się na pięcie, rozrzucił ramiona i zwałił się głową w kierunku drzwi. Kobieta miękkim krokiem wysunęła się z kuchni, przelotnym spojrzeniem obrzuciła zamarłą na kanapie Krystynę. Podeszła do nieruchomo leżącego mężczyzny, na którego brzuchu rosła amebowata plama, ciemna na błękitnym tle koszuli. Krystyna usłyszała, jak kobieta mówi coś po rosyjsku:

–Jewo nie budiet bit' kanwoj, on dabrawolno, on dabrawolno...

Pistolet trzymany w obu dłoniach i skierowany w podłogę drgnął, lufa zaczęła się przesuwac. Krystyna zrozumiała, że gdy skończy się ten ruch, na przedłużeniu lufy znajdzie się głowa mężczyzny. Jego powieki zatrzepotały.

–On dabrawolno... – po raz trzeci powiedziała kobieta, jakby chciała, żeby te słowa stały się epitafium dla zabitego.

Krystyna poderwała się, odbiła i rzuciła się całym ciałem do przodu. Jeszcze w powietrzu zobaczyła, że napastniczka zaczyna się odwracać. Czas i przestrzeń rozciągi' ły się jak w narkotycznym ciągu. Krystyna dokładnie widziała wzór na dywanie, widziała smugę czegoś białego na łydce kobiety, widziała, że z ciemnego prostokąta drzwi wylania się inny mężczyzna. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w kobietę. Ona wyczuła albo dostrzegła kątem oka nowego przeciwnika i przestała się interesować Krystyną. Pochylając się, zaczęła odwracać lufę w stronę drzwi.

Huknął strzał. Kobieta skoczyła w stronę Krystyny, zderzyły się, Krystyna upadła, a jej strażniczka, chociaż trafiona, usiłowała strzelić do mężczyzny. Rozległ się kolejny strzał, a potem jeszcze dwa.

Ktoś szarpnął ją do tyłu, niezgrabnie, ale ten ktoś mamrotał coś bliskiego, coś miłego, wyczekiwanego. Podniosła głowę. Obcy mężczyzna pochylił się nad bezwładnie leżącą kobietą, chwycił jej broń i rzucił daleko w róg salonu. Nad nim zawisł jeszcze jeden

mężczyzna, najstarszy, z krótko przyciętym wąsikiem. Michał boleśnie wpił się

palcami w brzuch Krystyny, usiłując ją odwrócić na plecy. Jęknęła.

–Trafiła cię? Gdzie cię tra...

–Nigdzie, to ty mi wyrwasz wyrostek bez znieczulenia! – machnęła rękami, omal nie rozbijając mu nosa.

Michał chwycił ją na ręce i wyniósł na taras z drugiej strony domu. Postawił ją, przyklęknął i odmotał jej taśmę z nóg.

–Daj mi ręce! – wymamrotał, drżącymi palcami usiłując odkleić taśmę.

–Nie, najpierw mi p-powiedz, że to koniec, a potem mnie p-pocałuj – wyjąkała.

Wykonał polecenie.

Po długiej chwili oderwał się od jej ust i zajrzał w okno salonu. Przez otwarte drzwi słyszał, jak Krymarys wrzeszczy do słuchawki, wzywając karetkę pogotowia. W oświetlonym prostokącie drzwi klęczał przy Najmowiczu wywiadowca Olczak. Potem pojawili się dwaj obcy, którzy dołączyli do nich na lądowisku – wnieśli długi, miękki pakunek. Zainscenizują strzelaninę pomiędzy gentką rosyjskiego wywiadu a emerytowanym policjanein, zrozumiał Michał. Może jeszcze skomponują historyjkę o waleczności i ofiarności polskiego policjanta, który wcześniej zastrzelił współpracownika rosyjskiego Wydziału II, Hansa Biirgera. Może oskarżą go...

Drgnął pod wpływem innej myśli.

Może wrzawa wywołana przez Internet zagłuszy wszystkie takie i nawet poważniejsze historie?

Krystyna poruszyła się, zaniepokojona milczeniem Michała.

Pomyślał, że nie powinna widzieć wypakowywanego z worka ciała Andrzeja, nie powinna widzieć układania trupów w odpowiednich miejscach i pozycjach. O wielu rzeczach powinna się dowiedzieć z jego ust, nieco później.

–Chodźmy.

Pociągnął opierając się lekko kobietę przez ogródek, między domami na ulicę. Przelotnie zobaczył, że do domu Sterczyńskiej wchodzi Olczak, pewnie żeby poinstruować sąsiadkę co do wydarzeń nocy. Obejmując Krystynę, poczuł jej gęsią skórę. Ściągnął kurtkę i narzucił jej na ramiona.

–Wsiadaj i jedziemy stąd.

Na taras wyszedł pułkownik Krymarys, posłał przytulonej parze triumfujące, a zarazem dziwnie współczujące spojrzenie. Wystukał na klawiaturze jakiś długi, dwusekwencyjny numer i – umyślnie nie ścisząc głosu – po niemiecku wprowadził rozmówcę w sytuację. Dwa razy powtórzył, że wie, co robi, używając zwykłej linii. Odszukał wzrokiem spojrzenie Michała, który zrozumiał, o co mu chodzi.

Krystyna milczała, kiedy wsiadali do samochodu, milczała, kiedy ruszyli i pasy samoczynnie ułożyły się na ich piersiach i brzuchach. Dopiero koperta spadająca z półki przy zakręcie wytrąciła ją z oszołomienia.

–Czy to ten dokument? – zapytała. Skinął głową. A gdzie jest Andrzej? – Wzruszył ramionami. – Dokąd jedziemy?

–Dużo pytań – powiedział. – Na wszystkie odpowiem. Wyjedźmy tylko z tego cholernego miasta.

–Ale wyszliśmy na swoje?

Co najmniej pod kilkoma względami, pomyślał. Przede wszystkim dlatego, że już wiem, kto jest dla mnie najważniejszy w życiu.

–Tak. Bez wątpienia.

Skręcił i zacisnął zęby, widząc zbliżający się z naprzeciwka policyjny wóz. Minęli się spokojnie.

Czy do końca życia będę przeżywał palpacje na widok policyjnego munduru?

Przyspieszył, zapanował nad pragnieniem skręcenia w pierwszą przecznicę i pojechał prosto, pod drogowskazem z napisem: „Strelno”.

Strzelno, do cholery, pomyślał. Strzelno!

Werner Bodendieke pomasaował opuszkami palców swój słynny charci nos, przesunął dłonie i przetał piekące, po raz pierwszy w życiu załzawione oczy. Musiał oczyścić je mruganiem, żeby kontury przedmiotów w otoczeniu nabrały ostrości. Biała plama na ciemnym biurku okazała się owalnym puzderkiem. Bez napisu, bez logo, bez ozdób. Jego uylitarność aż biła w oczy. Bodendieke otworzył je i obrócił w palcach, jakby wybierał jedną z trzech identycznych pigulek.

Na wszelki wypadek, chociaż pożądany skutek gwarantowała jedna, połknął wszystkie trzy. Nalał sobie pół szklanki, ale wódka była ciepła. Chichocząc w duchu poszedł do lodówki i znalazł nową oszronioną butelkę. Wypełnił czystą szklankę do połowy lodowatym trunkiem, który miał niezawodnie wspomóc barbiturany.

Wypił.

Usiadł wygodnie i pilotem uruchomił skompilowany specjalnie dla siebie, trwający w nieskończoność, słynny „Lot Walkirii”.

Wagner, pomyślał, jest zwierzęco wprost stymulujący, zawsze tak na mnie działał.

I po chwili pomyślał jeszcze: Ale wobec perspektywy rychłej śmierci jest dziwnie mdły...

Objaśnienia trudniejszych słów i zwrotów

(ros.) Pośpiech jest potrzebny tylko przy pierdoleniu cudzej żony!

(ros.) Pośpiech jest potrzebny tylko przy łapaniu wszy!

3 (ros.) Niech mnie szlag trafi (dosł.: żeby tak zajebali mnie dębową dechą) niemal do utraty tętna. Szkoda, że cię nie było.

4 (niem.) Brudni ciulacze, (niem.) Szczęść Boże!

6 (niem.) Myślałem, że tylko po tamtej stronie granicy nie dogadamy się. (...) Ale tu jest nie lepiej.

7 (niem.) Halo? Pan Satcher? Świetnie, mówi Krystyna Grodziec. Dzwonię zgodnie z umową... Tak. Właśnie ciekawa jestem w jaki sposób zamierza pan unikać... Ach-cha?! O? No to rzeczywiście w ten sposób... Tak, rozumiem. (...) Jasne. Dobrze, taka rola mi odpowiada, zgoda. (...) W takim razie pojutrze uruchamiam całą ekipę, tak? Okay. Jesteśmy umówieni. Dziękuję i do zobaczenia!

(niem.) Panie pułkowniku, kapitan Najmowicz melduje swoje przybycie...

(niem.) Wspaniałe... Wieliczka i wcześniej sam Kraków. No właśnie. Tak wiele wspaniałych, bezcennych budowli. Macie szczęście, że to wszystko pozostało po naszej stronie.

(niem.) Trzy piwa, proszę. Bawarskie!

(niem.) Ale życie tak blisko granicy... 2 (niem.) Potem, po zjednoczeniu Niemiec, jaka ironia losu, skierowano mnie do Cottbus. No? Naprawdę! Znowu do granicy kilka kroków...

(niem.) Panie Jaskowiak... Przecież pan wie, że nie! 14 (niem.) Nie, dziwne, ale nie. Mieszkałem tam też trochę i czułem się wspaniale. (...) Może to sprawa klimatu. (...) Tam czułem się naprawdę jak w domu. Zresztą to są granice bliższe granicom sprzed II wojny, prawda? Wszyscy mogą się czuć jak w starym, dobrym domu.

(niem.) Ale, panie Jaskowiak, tu może pan sobie nawet żartować, tam nie ma żartów. Tam codziennie pańscy rodacy ryzykują wiele, nawet życie, jeśli nie zesłanie...

(ros.) Proszę do samochodu. Mamy o czym porozmawiać.

(niem.) Panowie, proszę bez awantur! Bardzo proszę! (ros.) Co to znaczy: ni cholery nie rozumiemy?!(ros.) Panie majorze. (...) Powiedziałam: „nic”, a nie: „ni cholery”.

(ros.) Nie pierdol. Nie będziemy się bawili w kotka i myszkę. Ni cholery, to ni cholery i nie ma co dupy chusteczką przykrywać, dupsko za duże!

21 22

(ros.) Dupa zimna z kotkiem, już nie poszczy więcej.(ros.) Zanim przyjdzie ten jebany Polak, co jeszcze powinienem wiedzieć?

(ros.) Wszystko wam przekazałam. (...) Nie widzę żadnego drugiego dna.

24 (niem.) Wielkie dzięki. Do widzenia. Macie u mnie dużą wódkę! Cześć!

(ros.) Boże mój, jeśli to pachnie czymś takim, międzynarodowym, to Byszowca błyskawicznie wypierdolimy, Inneczko. Wyleci jak z karabinu maszynowego.

(niem.) Proszę. Nie zrozumiałem o co mnie pytałeś, poczęstuj się.

(niem.) Paskudna sprawa, gdy tak ginie kolega.

(ros.) Czy żył Cytrus w gąszczu południa?

(ros.) Dawaj, wchodź, kochaniutki!

(ros.) Dawaj tu tego naszego robaczka!

(ros.) To jest niebezpieczny Polak

(ros.) To taki dekabrysta, jeśli chcesz jakiegoś porównania.

(ros.) Pije chyba jak szewc.

(ros.) No to wypijmy i na koń! Pogadamy w domu. Porucznik obrobi legendę, Inna poszuka tych dekabrystów. A my pomyślimy, jak to wszystko obrócić na naszą korzyść. Nalewaj!

27 28 29 30 31 32 33 34

(niem.) Dziękuję ci, Uschi. Do jutra.

35”

36 (niem.) Panie prezesie, nasze akcje, niestety, poszły w dół.) Czy zaakceptuje pan moje działania?

39

(ros.) Pracuj i informuj mnie o stanie sprawy.(ros.) Bez hałasu i wzniecania kurzu!

(niem.) Panie pułkowniku, proszę o pozwolenie zatrzymania obecnych na czas potrzebny do weryfikacji ich informacji albo uzyskania takowych. W tej chwili muszę zakładać złą wolę tych ludzi.

(niem.) Wypuszczenie i objęcie nadzorem zwiąże zbyt duże siły, z kolei zakładanie, że nie pomogą tej parze byłoby karygodną lekkomyślnością.

(niem.) Proszę. (...) Bardzo nam pani pomoże.

42 (niem.) Michael, to ty?

43 (niem.) Tak... To ja, Michale drogi

44 (niem.) Słyszysz? Działać!

(niem.) Quatsch! Tak mówią tylko ludzie słabi, ty nie jesteś słaby. (...) Ty możesz

wiele zrobić, (niem.) Co za parszywe to życie.

47 (niem.) – Nie. Ja idę spać, jestem pijany i idę spać. Michał, ty jesteś mój najlepszy polski przyjaciel...

(niem.) Panie pułkowniku, inspektor Policji Kryminalnej Walter Markus. (...) Właśnie otrzymałem polecenie umożliwienia panu prowadzenia śledztwa na naszym terenie. (...) Proszę. 4 (ros.) Wojna wymaga ofiar! 50 (niem.) Otwieraj! Szybko!

(niem.) Przepraszam!

52 (ros.) Nie będą go bili konwojenci, zgłosił się na ochotnika, na ochotnika... (cytat z piosenki Włodzimierza Wysockiego, której bohaterem jest chłopiec udający się dobrowolnie na Magadan).

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-05-09

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/